ADAM ASNYK

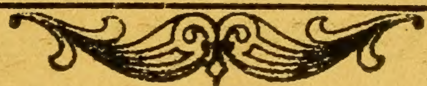
POEZYE



1913



POEZYE



El...y

(*ADAM ASNYK*)



POEZYE

POPRZEDZONE SŁOWEM WSTĘPNEM

Wydanie nowe z portretem autora



1913

Słowo Wstępne.

Adam Asnyk, na chrzcie "Prot Adam," urodził się d. 11. września 1838 r. z rodziców, Kazimierza i Konstancyi z Zagórowskich, w Kaliszu, w istniejącym do dziś dnia domu N. 60 przy ulicy Warszawskiej. Ojciec, były wojskowy, miał duszę jak twarz surową, twardą, ale w głębi swej ukrywającą dobroć. W samem już obejściu pociągał prostotą i otwartością, a po bliższem poznaniu przywiązywał do siebie powagą i prawością. Wiele w życiu swojem doznawszy przygód niezwykłych, zrazu opowiadaniem ich urabiał umysłowość dziecięcia, później stanowczością charakteru i rozległością poglądu na życie, sam o tem nie wiedząc, zakładał fundament eteczny pod tę idealną budowę, którą wrodzone zdolności zwolna w synu jego wznosiły. Matkę swą, Wołyniankę z rodu, poeta w trzydziestym już roku życia żywą jeszcze opiewał ("Echo kołyski"), wkrótce potem umarłą gorącemi łzami opłakał. Nazywał ją "pięknym a rzadkim typem dawnej niewiasty polskiej, poświęconej tylko wyłącznie cichemu domowemu życiu i swoim obowiązkom"; "sło-

dycz jej, tkliwość i głęboka macierzyńska miłość niezatarty wpływ na młodą duszę wywarła."

Pochwały te nie są przesadzone; dodałbym nawet od siebie zdolność odczuwania objawów nad ciche życie domowe wyższych. Wątłego zdrowia, pani Asnykowa, duchowo wydelikacona, subtelna, była istotą poważnie uczuciową. Wielka słabowitość dziecka, któremu wada serca groziła jeszcze w 24-ym r. życia nagłym zgonem, zacieśniła węzły rozrzewniające: matka żyła tylko swym synem, syn miłość swą ukształtował jakby w religię. Kiedy na pierwszem wydaniu *Poezyi* zjawił się napis: "Rodzicom swoim poświęca Autor," było to niejako wyrazem wdzięczności za talent, który w domu rodzicielskim znalazł dla siebie pierwsze niezbędne warunki rozwoju; ale kiedy poeta już po skonie matki zaofiarowanie obojgu rodzicom powtórzył, chciał już przez to tylko wyrazić, jak mu trudno jest pogodzić się z myślą, że już ją utracił. Działalność obojga rodziców wzajemnie się uzupełniała: ojciec uczył myśleć i chcieć, matka uczyła czuć. Oboje nie bawili się skarbem swoim dzisiejszym, ale pielęgnowali człowieka jutrzejszego; rzadki też w życiu stosunek rzetelnej, poważnej prawdziwie wychowującej miłości łączył rodziców z dzieckiem. Cała atmosfera domu rodzicielskiego daje najpierwszą wskazówkę: skąd się wzięła

ta szczera uczuciowość i ta człowiecza rdzenność liryków El...ego?

Jedenastoletnie chłopię z żywym temperamentem, z niezwykłą wrażliwością, z uzdolnieniem do uczuć i wrażeń wyższych, z ciekawością i pamięcią uderzającą, —poduczone w domu przez matkę, poszło w r. 1849 do miejscowej szkoły realnej. Mały Adaś składał już wtedy rymy; jeden wierz, w 12-m r. ż. napisany, wyszedł na jaw po skonie poety. Młodzieniaszek umiał już wrażliwość swą zwracać na przedmioty poważne. O ile pilnie przykładał się do nauk — nie wiem, że pilnie przykładał się do książek — o tem świadczyli rodzice. Pilność ułatwiło to, że ojciec, który dla zdobycia sobie niezależności materyalnej dorabiał się mienia, czyniąc zadość pilnej potrzebie grodu nad Prosną, założył w nim księgarnię. W 15-m r. ż. przyszły liryk pochłaniał już książki, i to książki bynajmniej nie w tym realnym kierunku, w którym kształciła go szkoła. Po skończeniu jej, gdy wyższych zakładów naukowych nie było, wątłość zdrowia dziecka zaleciła rodzicom kształcenie go na ziemianina i zamieszkanie wraz z niem na wsi. Pojechał więc 28-letni młodzieniec w r. 1856 do Warszawy, do Marymontu; ale nie przebył tam nawet pół roku i schorzały, rozstrojony zawitał napowrót w progi rodzicielskie. Cały nastrój umysłu na ton humaniorów, literatury i piękna wskazywał naukę w uniwersytecie jako jedyną odpowiednią; ale brak takiej

uczelni w kraju ze wskazówki nie pozwalał skorzystać. Gdy wreszcie w r. 1857 otwarto w Warszawie Akademię medyko-chirurgiczną, młodzieniec zapisał się do niej, nie tyle z istotnego powołania, ile dla tego otarcia się, okrzesania i wykrzesania, jakie daje koleżaństwo i życie uniwersyteckie. Inne, ogólniejsze życie już go było wówczas na swój sposób okrzesało: po zwykłej studenckiej miłości przeszedł poważniejszą, która nigdy nie miała zrealizować się w małżeństwie, ale realizowała się później w poezyi: obdarzała ją formą uczuć prawdziwych a pięknych. Akademik, w ręku trzymając lancet, miał już tekę wypełnioną wierszami, miał nawet gotowy przekład Burggrafów. Był odrazu jednym z najwybitniejszych młodzieńców tego koła, którego przecież nie zakreślił promień pospolitości, użycia lub karyerowiczowstwa, i które może nawet, przeciwnie, w duchowych dążeniach równego sobie nie miało. Skromny, cichy, nigdy o sobie nie mówiący, ukrywał się, jakby ze zbrodnią, ze swojemi poezyami, choć go zdradzała bijąca z niego łagodna poetyczność, i nigdy też nie stawał do popisów wierszotwórczych, na które inni tłumnie śpieszyli. Ale ta skromność znikała, gdy mówić zaczynał, gdy, młodzieńczą wiedzą swoją i czystym ideowym zapałem silny, podejmował walkę z przekonaniami przeciwnemi. Oko mu wtedy z pod brwi krzaczastych błyszczało, wymowa przyoblekała się w obrazowość, urok siły z głębokiego

przeświadczenia płynącej łączył się z urokiem słodyczy, którą tchnęła dusza z pod egoizmu i egoistycznych zadowoleń w walce wyzwolona. Doskonały idealista, nie widział rzeczy — widział tylko pojęcia, a raczej rzeczy dostrzegał tylko poprzez idee oderwane. Niekiedy w tych utarczkach rozumów i serc wyczerpywał swe siły; ale brutalną gwałtownością nigdy nie wybuchnął. Twarz jego w rozprawie pięknia-ła, podbijała wzrok. Niekiedy oko ścigające go dostrzegało w profilu jakby rysy Jana Jakóba, którego wcześnie poznał i w znacznej mierze przejął. Wspomnienie świetlanej postaci młodzieńca daje mi jeden z najwdzięczniejszych obrazów młodości.

W rozmowach okazywał przyszły autor *Poezyi* wielkie umiłowanie starożytności. Czarowali go prorocy biblijni, pociągali Grakchowie. Z wielkich poetów naszych Słowacki dawał mu najsilniejsze wzruszenia. Znajomością Encyklopedystów, — prawda, że wobec ubogich w wiedzę — poeta-medyk celował. Ciążenie ku mistycyzmowi wcześnie już w umysłowości jego wystąpiło. Z drugiej ręki znał Svedenborga; cuda Apoloniusza z Tyany podziw w nim wzbudzały; wierzył nawet w moc ducha urabiającą dowoli naturę przestrzeniową. Już w r. 1859 głąb duszy zalegał mu smutek, podsycany rozmiłowaniem się w prorokach judzkich i mistycyzmem.

W lecie 1859 przerwał studya w Warszawie i udał się do Wrocławia — w dalszym ciągu na medycynę; sporo napracowawszy się nad nią, nie chciał już teraz jej rzucać: szedł biegiem nabytym. Z przyrodoznawstwa dawał pierwszeństwo botanice. Wakacye w lipcu i sierpniu tegoż roku spędził w Busku; pod koniec pobytu zrobił wycieczkę do Ojcowa, gdzie krajobraz drogi do Skały w czarującem oświetleniu księżycowem i widok Krakowa o zachodzie słońca sprawiły na nim wrażenie silne, pobudzające do tworzenia. Na jesień pojechał do Wrocławia. W lecie r. 1860 zawitał do rodziców, którzy na stałe sprowadzili się byli do Warszawy; mieszkali przy ulicy Smolnej dolnej, gdzie dziś szkoła weterynaryjna.

Życie czynne odrywało wówczas młodzieńca od marzeń i przyniosło mu niejeden znój, udrękę i cierpienie. Gdy w jesieni 1860 r. wyjeżdżał na Zachód, po światło, którego tak pożądał, celem podróży był Paryż. Rozczarował się nim przecież po niespełna półrocznym pobycie i, zrobiwszy wycieczkę do Londynu, z wiosną r. 1861 zawitał do Heidelberga. Medycyny i nauk przyrodniczych już zaniechał; oddał się historyi i filozofii, słuchając nadto nauk państwowych i uczęszczając na wykłady z estetyki. W początku r. 1862 zjawił się znowu w Paryżu, ale już tylko na krótko. Część tego roku spędził w Warszawie, a ostatni raz był w niej we wrześniu r. n. Wkrótce potem

pożegnał na zawsze okolice Rodzinnego Miasta („Ciche wzgórze," por. „Powrót do domu.") Złamany, na wiosnę znalazł się w Heidelbergu. Nieszczęście go miażdżyło. Gdyby nie rodzice, byłby się zupełnie w melancholii pogrążył. Przyjechali, jęli boleść koić, energię rozbudzać, do życia przywracać — aż postawili na swojem: cierpiącą samowiedzę udało im się pchnąć w przestwór, który na natury wrażliwe, głębokie a chore działa cudownie: wchłania w siebie nadmiar myśli, któryby musiał rozburzyć istotę. Z melancholii narodziło się natchnienie. Najwcześniejsze wiersze działu I. wtedy powstać musiały. Poeta odbył podróż po Hollandyi, zatrzymał się dłuższy czas w Niemczech południowych i wczesną jesienią r. 1864 przybył do Neapolu. Zimę całą w nim przepędził. Z Neapolu nadesłał najpierwsze swe liryki do *Dz. literackiego*. Jednym z „Podróżnych" mógł być p. Władysław Waga, który w tym samym czasie wiersze z pod Wezuwiusza nadsyłał *Tyg. illustrowanemu*.

Dusza uspokoiła się; z poza cierpienia wychyliła się i młoda żądza ze swemi prawami. Oprócz pięknych liryk poważnych i obu części „Snu grobów" (bez Epil.) w Neapolu i wogóle we Włoszech powstały niektóre pieśni dz. IX, oddające napawanie się życiem ogólnem, sytość człowieka rodzajowego. Przemykały się one jednak po wierzchu samowiedzy; anakreontyczny ich charakter osłabiała niewzruszona

powaga głębi. Przełożenia rodziców, instynkt zachowawczy, geniusz młodości — na to tylko wygnały rozpacz, aby miejsce po niej oddać smutkowi, który już do ostatniego tchnienia z duszy nie ustąpi i przejmie nawskróś lirykę El...ego elegijnością, najistotniejszym jej przymiotem. Człowiek powrócił do życia, ale, by je mieć pełnem, młodem i jędrnem, potrzebował własnego słońca, własnego powietrza i nieba nad sobą — i ludzi też takich, jakich wymarzył, nie tych, szorstką dłonią rzeczywistości na drogę mu rzucanych. Później nieco zjawi się nawet dowcip, humor, kąsający rozsądek satyryczny, przyjdą natchnienia pogodne; ale autor "Nadgrobka" będzie mógł wciąż po dawnemu o sobie mówić, że mu sen był życiem, przebudzenie męką. Jego ascetyzm (1864), jego rzucenie się "Pod stopy Krzyża" (1868 lub 9) zaświadczą tylko o uciszeniu się duszy przed nadzieją trwałego oparcia w jakimś środkowym punkcie wszechbytu, w idealnem ognisku, godzącem najjaskrawsze nawet, najboleśniejsze przeciwieństwa. Sama poezya El...ego przynosi dowód, że poeta, z żywymi ludźmi, z żywemi myślami przestając, musiał nieraz, jak Anhelli, nawoływać duszę swą własną, w czarownych mgłach elizejskich zapatrzoną w wiekuistość, która tu, na ziemi, przebłyskuje tylko spokojnym i szczęśliwym.

Poeta, wyrobiwszy sobie w tygodniku lwowskim prawo obywatelstwa, zyskał też imię

rozgłośne w powszechności czytającej. Sądy mogły sobie być jak najrozbieżniejsze: liryki tak myślącej i zarazem uczuciowej, tak głęboko smutkiem swym rozdzierającej, tak różnostronnie indywidualnej, a przytem tak rzetelnej, nie z kałamarza, ale z serca czerpanej — literatura nasza przed El...ym nie miała.

Z wiosną r. 1865 podróżnik opuścił Włochy, zwiedził Szwajcaryę i po kilku miesiącach powrócił do Heidelberga. Tu rozpoczął na nowo przerwane w r. 1862 studya; przez cały r. 1866 usilnie pracował z tą nieodstępną swą szczerością, jaką miał dla ludzi i dla obowiązków: w pracy zupełnie utonął. Widać to z *Dz. literackiego*, który ani jednego jego utworu przez cały ten rok nie zamieścił. W Grudniu zdał poeta egzamin doktorski (*Przegl. literacki* 1897 Nr. 19 i 20), głównie z ekonomii politycznej, dodatkowo z państwowości. Całoroczny *improbus labor* poważnie wzbogacił umysł, a samo zajęcie naukowe dobrze wpłynęło na uspokojenie.

Teraz przyszła znowu kolej na talent. W Austryi nastała nowa era. Poeta osiadł we Lwowie i mieszkał tu od środka 1867 r. do wiosny 1870. Na ten czas przypadła wycieczka w Poznańskie, mająca swe odbicie w poezyach. Niewątpliwie we Lwowie powstała, prócz innych, całość "Publiczność i poeci", tu również rzucone były na papier najpierwsze komedyjki i powiastki.

W lecie r. 1870 poeta był już razem z rodzicami w Krakowie; zamieszkał już poza miastem, w tym samym, na własność nabytym domku w pobliżu Rudawy, przy ulicy Łobzowskiej (obecnie N. 7, dawniej N. 99), z którego wyjść miał dopiero martwym. Wybuchła wówczas wojna francusko-niemiecka dała El...emu pochop do skargi "Na pobojowisku" i do wspaniałego manifestu duchowego "Ze sceny świata" — dwu pierwszych utworów prawie zupełnie już przedmiotowych. Jeszcze we Lwowie asceta zaczął wewnętrznie żyć wpośród swoich i wraz z nimi jako cząstka jednorodna z całością, zajmował się jej życiem, losem, ładem i nieładem, jej postępem i zastałością, jej prawdą i kłamstwem; teraz już smagał "ślepego szczęścia płochą zalotnicę," na bezradnych i zawracających w mroki średniowieczne wołał: "Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe" ("Daremne żale"); wątpiącym o przyszłości poezyi rzucał słowo wiary:

...ideału jasny kwiat,
Z zbutwiałych obrany liści,
Napełni znowu wonią świat,
Zakwitnie pełniej i czyściej;
I żywych natchnień złota nić
Przewiąże prawdy zdobyte:
Co nieśmiertelne, musi żyć,
Choć zmienia kształty zużyte. ("Przeminął czas").

W listopadzie 1871 r. utracił El...y matkę. Po skonie żony mąż, który do Krakowa przylgnąć nie mógł, powrócił do Warszawy, gdzie

już był wrósł, gdzie miał i blizkich znajomych i miłą pogawędkę pewną († 1885). Poeta został sam. Majątek rodzicielski zapewnił mu byt dostatni. Nigdy-by wprawdzie El...y duchowego dziedzictwa swego za miskę soczewicy nie sprzedał; ale niezależność materyalna dawała mu tę doskonałą swobodę podniet twórczych, tę szczerość natchnień, jakiej potrzebował, by tworzyć. Poezya samoistna nie tuczy, a groza utonięcia w sadzawce dziennikarstwa dla każdego szczerego poety straszną być musi. Ów majątek wszakże szybko stopniał; w roku krachu wiedeńskiego lwią jego część pochłonęły koleje lombardzkie. Szczęściem, że zyskane już imię i wziętość utworów otworzyły źródło dochodu z książek, ze sztuk wystawianych w teatrze. Z tem wszystkiem położenie majątkowe poety długie lata nie było świetnem; dopiero pod koniec życia przyszła większa zasobność.

Część lata i jesień r. 1872 spędził El...y we Włoszech, w Rzymie, w Kampanii i pod Apeniami. Rzym pobudził go do udramatyzowania przygód "trybuna ludu." Od r. 1873—5 wyjeżdżał poeta na wypoczynek letni w Tatry. Tu ogarnął go nowy widnokrąg: zaprzyjaźnił się z naturą, znalazł w niej sprzymierzeńca i przyjaciela — i więcej niż to, bo matkę, i czcią też synowską ku niej zapłonął. Ta *alma mater* serc skołatanych na nim właśnie mocy swej dowiodła: wzbogacił się, szerzej rozpostarł, pogłębi talent; wykształcił się poetyzujący rozum;

dzieła nabierać zaczęły przeźroczystośći kryształów. "Wstęp," "Noc pod Wysoką" są tu utworami znamiennemi.

W Tatrach, gdyby był chciał, mógł zbierać miłość jak szarotkę, nie potrzebując piąć się na dzikie turnie. Wiele panien i nie panien wzdychało do trzydziestokilkoletniego człowieka: wybrał pannę Zofię Kaczorowskę, córkę wziętego lekarza poznańskiego. Ożenił się z nią na jesieni r. 1875; w rok niespełna już ją utracił. Żona, opuszczając go, zostawiła mu syna. Jest nim p. Włodzimierz Asnyk. Los zawistny zamącił poecie rozkosze ojcowstwa i w pierwszych latach wdowieństwa przyniósł niewysłowione gorycze i utrapienia. Skon żony odbił się i na stanie majątkowym; przyszły troski ciężkie, nieraz bardzo dolegliwe.

Twórczość literacka wszakże nie ustawała, nawet się wzmogła. Prócz liryk w ciągu pięciu lat 1872—7 napisał El...y cztery utwory dramatyczne i kilka rozpraw odczytanych publicznie. Na wycieczkach letnich przybywały nowe ogniwa do łańcucha "W Tatrach." Liryki nietatrzańskie wytworzyły album ofiarowane p. Tarnowskiej. Poetyczność myślowa osnuwała się chętnie na tematach starożytnych. Powstały teraz: "Lykofron do Fatum," "Tantal," "Ociemniały Thamyris," powstał zrąb tragedyi, "Prometeusz." Na ten okres przypadają próby przekładów z Danta. Zachęcano poetę kilkakrotnie, aby przełożył całą Komedyę, a przy-

najmniej Piekło, ale zachęcano daremnie: do pracy ciągłej a większej zaprządz się nie zdołał.

Czas potęgował ową poetyczność rozumową, która niepokoje i zachwyty młodości przetwarzała na mądrość wieku dojrzałego, nie naruszając przecież w niczem religii ideałów wszechludzkich i wśród ludzkości indywidualnych. W sonetach "Nad głębiami," od końca r. 1882, niema jednego zgrzytu, jednego wyrzeczenia się, zaprzaństwa, bluzgnięcia na dawniej czczone świętości: jest tylko poetyczne tłómaczenie jakby mechanizmu wszechbytu, ukazywanie nieodwróconych konieczności kształtów i przemian, sprzeciwieństw i harmonii w życiu natury przestrzeniowej, ludzkości i człowieka. Tuż obok tego wieńca uwitego z pięknych nieśmiertelników oko dostrzega jego dopełnienia pojedyńcze, z których najwyraźniejszem jest "Wobec Sfinksa."

W końcu r. 1881 otwarło się przed człowiekiem poważnie wykształconym w naukach państwowych pole do zużytkowania wiedzy przed laty nabytej. El...y został współzałożycielem nowego dziennika w Krakowie, stającego do walki z organem zachowawczym. Do redakcyi wniósł szczere demokratyczne, postępowe przekonania, czysty charakter i sławne już imię. Przewrót wywołany później przez D-ra Czerwińskiego, nietylko nie osłabił stosunku poety do wydawnictwa, ale go jeszcze za-

ciśnił: wytrwał w nim El...y do r. 1894. Z początku, dopóki siły służyły, był rzeczywistym redaktorem, później już coraz mniej pracy w redakcyę wkładał. Artykuły jego publicystyczne czekają na kogoś, coby je zgromadził, przebrał i w wyborze wydał. Poeta, raz wszedłszy w gąszcze życia czynnego, zapuszczał się w nie coraz głębiej: został radcą m. Krakowa, posłem na sejm krajowy. Szkoła ludowa znalazła w nim — śmiało to rzec można — duchowego ojca. Drogą tę dla siebie instytucyę starał się utrzymać na stopie postępowej, nie średniowiecznej, ale przytem nie odśrodkowej, nie wyłącznie partyjnej. Rozwój jej leżał mu na sercu; na śmiertelnem łożu jeszcze, wpół przytomny, wypytywał się o jej sprawy, zajmował się jej dobrem. W czerwcu 1890 r., jako najpierwszy z nieoniemiałych jeszcze poetów współczesnych, pojechał do Paryża razem z Wł. Koziebrodzkim w delegacyi do odebrania zwłok Mickiewicza z Montmorency i oddania ich Katedrze Wawelskiej. Przedtem energicznie występował przeciwko zdrożnym pomysłom komitetu pomnikowego (1883).

I tak praca obywatelska przetapiała rozgłośnego poetę na zasłużonego męża. Mężem też był, nie wierszopisem, nie machiną do pisania, mniej więcej żywą i mniej więcej doskonałą — gdy ze świata schodził: Wartość swoją czuł, bo miał co odczuwać, wstydu nie uda-

wał; ale żadnych zgoła hałasów naokoło swej osoby nie lubił: to też, kiedy w 30 lat po ogłoszeniu "Podróżnych" (koniec r. 1864) wyprawić mu chciano obchód uroczysty, wręcz odmówił, uciekł i nawet na chwilę z najżyczliwszymi się poróżnił. Ostatecznie sam wyprawił sobie jubileusz przez uwieńczone powodzeniem wezwanie do składek na szkołę w Białej. Dopiero gronu pań krakowskich, współpracujących w szkole, udało się w r. 1896 w d. 13. i 14. grudnia urządzić uroczystość, która była już ostatnią w życiu poety.

Po pięćdziesiątym roku coraz częściej i groźniej na zdrowiu zapadał; raz w sejmie dostał krwotoku. Co parę lat szukał pomocy na południu. W styczniu 1894 r. wyjechał na Cejlon, w maju był z powrotem; wzmocnił się, wypogodził znacznie. Lato 1896 r. spędził w Tatrach przebywał nad jeziorem Szczerbskiem (Csorba). W zimie niezwykle osłabł; w listach przewidywał śmierć blizką. Na wiosnę wyjechał po ratunek do Włoch, do Neapolu; ratunek ten był zgubą. Prawdopodobnie tam nabawił się zarodków tyfusu, który w pierwszej połowie maja, już w Krakowie, odrazu powalił go na łoże śmierci. Organizm zmógł wprawdzie chorobę główną, ale uległ pod następną: galopujące suchoty przecięły pasmo życia. Zanik był powolny, nie sprawiał wielkich cierpień, nie odejmował świadomości. Na dwa dni jeszcze przed skonem

wzniosłe troski błyskały z duszy. Śmierć przyszła d. 2. sierpnia przed godziną 9-tą z raną.

Zwłoki, wystawione w skromnym domku na Łobzowskiej, d. 6. sierpnia po południu przy wielkim napływie ludzi wybitnych, licznych delegacyi i ludu przeprowadzono na Skałkę i pochowano obok Długosza, Pola, Szujskiego, Kraszewskiego i Lenartowicza...

To się im należało.

Stanisław Krżemiński.

Publiczność i Poeci.

I. PUBLICZNOŚĆ DO POETÓW.

Wiecznie śpiewacie na tę samą nutę!
Śpiewacie rozpacz dziką i bezbrzeżną.—
Serca, przedwczesną goryczą zatrute
I melancholią mglistą a lubieżną. —
Senne miłoście, szpilkami przekłute. —
Rany zadane jedną rączką śnieżną; —
I omijacie skrzętnie każdą radość,
Strojąc się w duchów księżycową bladość.

Po tysiąc razy te same westchnienia
Ślecie do oczu niebieskich lub czarnych,
Do drobnej nóżki, krągłego ramienia,
I różnych kształtów, mniej lub więcej zdarnych—
I umieracie, jak Tantal, z pragnienia
Pełni poświęceń i bohaterstw marnych;
A choć się który czasem w rymie potknie,
To jednak lubej ręką swą nie dotknie.

Zawsze, ach, ona! z tą twarzyczką cudną.
Serca wam bierze na straszne tortury;
Spojrzy się... przeżyć jej spojrzenie trudno!

Odwróci oczy... świat się kryje w chmury!
Wszystko stracone: ona jest obłudną —
Dokoła ciemność i smutek ponury!
I nie zostaje nic... o srogi losie!
Jak ginąć w mękach na sonetów stosie.

Wiecznie te same męki bezprzykładne
I te piękności boskie, nadzwyczajne.
Te bujnę włosy, te ruchy układne,
Różane usta, słodkie, życiodajne!
Te oczy, pełne miłości a zdradne,
Które wyczerpał brylantowy Heine,
Te brwi, te rzęsy, te perłowe ząbki,
Te kwiaty w włosach i szat białe rąbki...

I pełno wszędzie słów pieszczonych szmeru,
Co płyną, jako śpiewne wodospady,
I pełno woni, zbyt słodkiej, eteru,
Pełno lamentów, zniszczenia, zagłady,
Zmarnowanego życia i papieru,
I potępieńców pośmiertnej biesiady...
Co wszystko snuje się z jednego wątka;
Z kapryśnej pozy ładnego dziewczątka.

Dosyć już mamy tych rozkoszy dreszczów,
I tych uśmiechów, niby ironicznych —
Bladych księżyców, mgły i krwawych deszczów.
Niezrozumiałych potęg demonicznych;
Dosyć już mamy tych łabędzich wieszczów,
Którzy konają w bólach ustawicznych,
I tych ubóstwień, rozanieleń, szataństw,
I tym podobnych rymowych szarlataństw!

Co nam do tego, że wam bohaterki
Przysięgną miłość, a potem was zdradzą?
Zapewne, są to dość znaczne usterki,
Lecz wartoż za to świat malować sadzą
I wulkaniczne puszczać fajerwerki,
Co się nikomu na nić nie przydadzą?
Wam się to piękne zdaje w waszym rymie,
A my się za to musim krztusić w dymie.

Miłość jest piękną, bezwątpienia, rzeczą
I ma w poezyi stare jak świat prawa;
Lecz trzeba, żeby miała twarz człowieczą;
Żeby tryskała życiem jej postawa;
Śmieszną się staje, gdy ją okaleczą
I kiedy wyjdzie wybladła i krwawa.
Coby, ach! na to Afrodyte rzekła,
Gdyby widziała was i wasze piekła!

Nie zrozumiałaby zapewne wcale,
Że przemawiacie miłości językiem,
Widząc was w jakimś Orestowym szale,
Z spojrzeniem błędnem, pochmurnem i dzikiem;
Na samobójców chwiejących się skale,
Urągających niebu wykrzyknikiem...
Pewnie-by pierś swą zasłoniła twardą
I porzuciła was z gniewem i wzgardą.

Wprawdzie dziś ona, ta naga, ta grecka,
Złej już opinii na świecie używa;
Sentymentalność górą dziś niemiecka,
Co się w mgłach kąpie i we mgłach rozpływa,
I cała młodzież porządna, kupiecka,

Przed jej posągiem oczy swe zakrywa
I marzy, wsparta na łokciu w sklepiku,
O idealnym bardzo kaftaniku.

Wiemy, że trzeba kształty posągowe
Wypełnić wyższem tchnieniem ideału,
Na nagi marmur rzucić światło nowe.
Moc czarodziejską dać pięknemu ciału;
Wierzymy także w zachwyty duchowe:
Ale nie chcemy wiecznego rozdziału
Pomiędzy duchem, nieschwyconym w locie,
A biednem ciałem, co się tarza w błocie.

Chcemy tej zgody, harmonii i ciszy,
Która piękności pierwszym jest warunkiem;
Chcemy tych dźwięków, które każdy słyszy
Na swoich ustach drżących pocałunkiem:
Ale nie wrzasku szalonych derwiszy,
Co, upojeni narkotycznym trunkiem.
Kręcą się w kółko bez tchu i pamięci
I myślą, że to świat się cały kręci.

Chcemy tych natchnień, coby w życia zdroju
Ukazywały nową piękną stronę;
Któreby naprzód biegły — w każdym boju
Pokrzepiać serca słabe lub zmęczone;
Coby rzeźbiły w klasycznym spokoju
Dumne postacie, wawrzynem wieńczone,
I podnosiły wszystkie ludzkie cele,
Zdrowe pragnienia budząc w zdrowem ciele.

Lecz wy, księżyca kochankowie smutni,
Nie macie na to w piersiach dosyć siły!

Każdy z was, wsparty na złocistej lutni,
Wpół pochylony do ciemnej mogiły,
Słucha z przestrachem dzikiej wichrów kłótni,
Nucąc o widmach, co mu się przyśniły;
A że ma głosik łagodny i cienki,
Lubią go słuchać młodziutkie panienki.

Przez to zyskuje do wielkości prawo,
I na miłostkach jako wieszcz wyrasta;
Spogląda łzawo i śmieje się krwawo,
Bo już go chytra zdradziła niewiasta;
Pogardza światem, nauką, zabawą,
Tylko się gorzko uśmiecha, i basta —
I poemata pisze ironiczne,
Bardzo piekielne, choć niegramatyczne.

Ironia wprawdzie ma swój wdzięk oddzielny
I może zasiąść na Parnasu szczycie;
Dużo jest prawdy w śmiałości bezczelnej,
Dużo piękności w jej bolesnym zgrzycie,
Gdy się na przedmiot targa nieśmiertelny,
Widząc, że wcielić nie zdoła go w życie,
Lub gdy odkrywa serc ludzkich sprzeczności
I śmiechem godzi dwie ostateczności.

Ale ironia, o panowie mili!
To nie gra w piłkę, przyjemna i łatwa,
Którąby mogła zawsze, w każdej chwili,
Bawić się z szkoły wychodząca dziatwa;
Ten jeszcze Heinem nie jest, kto się sili
Śmiać się i płakać i w rymie pogmatwa

Dużo utartych wyrażeń cynizmu,
Z romantycznego wziętych katechizmu.

Dlatego radzim wam, wieszczowie nasi;
Niech wasze Muzy w locie swym odpoczną;
Niech się z was żaden nie dręczy, nie kwasi,
Ani też skacze w otchłań zwątpień mroczną
Dla tej niewdzięcznej Maryni lub Kasi;
Niechaj nie pędzi w przestrzeń nadobłoczną
Roztrącać gwiazdy... bo nam tchu nie staje
Zdążać za wami w tak dalekie kraje.

Chciejcie być skromni, zrozumiali, prości;
Panujcie myślą nad słuchaczów gminem
I budźcie w sercach pragnienie piękności,
Niechaj pieśń wasza będzie dobrem winem,
Coby nas mogło zagrzewać w starości;
Lecz nie szukajcie kłótni z Apollinem,
I gdy was rada nie powstrzyma nasza —
Wspomnijcie sobie losy Marsyasza!

II. POECI DO PUBLICZNOŚCI.

Z pokorą nasze pochylamy głowy
Przed twoim sądem, o publiko gniewna!
Bo chociaż wyrok bezwzględnie surowy,
Jednak jest słusznym w gruncie, to rzecz pewna;
I przyznać musim, że nasz chór harfowy;
I nasza nuta, szpitalno-cerkiewna.

Z całym przyborem schorzałej fantazyi, —
Jest dziś najgorszym rodzajem inwazyi.

Po zgasłych wieszczach w ręce słabe, drżące,
Wzięliśmy lutnie, w których pieśń czarowna
Spoczywa w tonów ubrana tysiące,
Boleścią całych pokoleń wymowna.
Smutno nam słyszeć te echa mdlejące,
Smutno nam wiedzieć, że ta moc cudowna,
Potrząsająca niegdyś ludzi tłumem,
Niezrozumiałym stała się dziś szumem.

Straszno nam strun tych dotykać natchnionych,
Co się prężyły jako serca żywe,
Co miały siłę rozbudzać uśpionych,
I smagać biczem umysły leniwe;
Straszno nam stanąć wobec tych zniknionych,
Rozrzucających piękności prawdziwe,
I pieśń podnosić wśród gawiedzi syków —
Pieśń przygnębionych wstydem niewolników.

Znamy swą niemoc, węża, co nas dławi
I opasuje w swe skręty potworne;
Znamy ten obłęd, co nas zwolna trawi
I z piersi dźwięki dobywa niesforne;
Wiemy, że śmieszni jesteśmy, choć łzawi,
I tak bezkształtni, jako mgły wieczorne;
Ale, uznając wszystkie nasze winy,
Chcémy wam złego odsłonić przyczyny.

Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu,

Obojętnego na widok piękności,
A więdnącego z nudy i przesytu, —
Wieku, co wczesnej doczekał starości,
Sam podkopawszy prawa swego bytu, —
Wieku, co siły strwonił i nadużył,
Nic nie postawił, chociaż wszystko zburzył.
Wzrośliśmy także wśród dziwnego świata,

Co się zapału i uniesień wstydzi,
Co każdem wzniosłem uczuciem pomiata
I wszędzie szuka śmieszności i szydzi;
Bawi go jeszcze arlekińska szata,
Lecz ani kocha, ani nienawidzi...
I to jest nasze największe przekleństwo:
Otaczające nas dziś społeczeństwo!

Jego bezduszna, chłodna atmosfera,
Już od kolebki duszę nam otacza;
Dziewiczą barwę szyderstwem z niej ściera,
Żadnej świętości marzeń nie przebacza:
Nic więc dziwnego, że ogień zamiera,
Że się fantazya krzywi i wypacza;
Bo tam, gdzie w sercach bezmyślność i bierność,
Krzewić się może jedna tylko mierność.

Każda epoka, co ze swego łona
Wydała pieśni potężnej olbrzyma,
Nosiła wyższej idei znamiona,
Pewien wzór piękna mając przed oczyma,
I sama była miłością natchniona,
Drżąca jak lutnia, którą śpiewak trzyma:

I on dla tego wielkim być nie przestał,
Że miał słuchaczów serca za piedestał.

On zbierał tylko marzenia tęczowe,
Które duch ludu z piersi swej wysnuwał;
Tylko im polot dawał i wymowę.
Ujmował w kształty i w przyszłość posuwał:
Więc kiedy stworzył potężną budowę,
Każdy jej wielkość i prawdę odczuwał,
Bo znalazł wszystko tam ubrane w ciało,
Co w jego piersi niewyraźnie tlało.

Potrzeba było młodzieńczego wieku,
Pełnego ognia, wrażeń i prostoty,
Wykarmionego na cudownem mleku,
Zbrojnego w wszystkie bohaterskie cnoty;
Potrzeba było, ażeby w człowieku
Wykwitła siła nadziemskiej istoty.
Co dumnym czynem w niebiosa się wdziera, —
Ażeby wydać ślepego Homera!

Potrzeba było dla niego tych czasów,
W których lud cały, w pieśni rozkochany,
Słuchał jej chciwie wśród laurowych lasów
I uzupełniał wątek podsłuchany;
I kiedy z długich pokoleń zapasów
Snuł się poemat wielki, niezrównany;
I gdy bohater, i twórca rapsodu —
Zarówno byli chlubą dla narodu!...

I zawsze w wieków minionych pochodzie
Z duchem społeczeństw szli śpiewacy w parze;

Co zakwitało w ludzkości ogrodzie,
To pieśń na swoje przeniosła ołtarze,
Grek, hołdujący jasnych bóstw urodzie,
Znalazł swój liryzm pieszczony w Pindarze,
A ile ognia tlało w jego łonie,
Tyle rozkosznych brzmień w Anakreonie.

Tak samo znowu, gdy po nocy długiej
Świat się odmłodził wiarą i krwią nową;
Gdy barbarzyńskiej ciosami maczugi
Zgruchotał całą przeszłość posągową;
Kiedy cudownie odżył po raz drugi,
Z całą fantazyą, świeżą, silną zdrową —
Zaraz zaświecił podwójnym brylantem:
Wdzięcznym Petrarką i surowym Dantem.

Szekspir gdy stanął na dramatu szczycie,
Miał pod nogami wielką ludzi wrzawę,
Wybuchające namiętnością życie,
Wielkie gonitwy o miłość i sławę,
A Goethe zastał myśl ludzką w rozkwicie;
Po złote runo wolności wyprawę,
Żądzę ziszczenia ideałów szczytnych
I uwielbienie wzorów starożytnych.

Lecz dziś, gdzie znaleźć jaki sztandar wielki,
Któryby porwał małoduszne zgraje?
Wszechwładnej niegdyś cudów rodzicielki,
Młodzieńczej wiary, świat już nie wyznaje;
Nikt się nie zwraca do tej karmicielki,
Co sercom ludzkim wieczną młodość daje, —

I nie zostało nic z anielskich wizyi
Prócz niedowiarstwa albo hypokryzyi.

Piętrzą się jeszcze gotyckie świątynie,
I wieżycami pną się między chmury,
I dym kadzideł jeszcze w niebo płynie,
I lud się modli, zimny i ponury;
Lecz nad tym jękiem, co bez echa ginie,
Nie ulatuje anioł srebrnopióry
I w chore serca pociechy nie leje, —
I chłód śmiertelny z ciemnej nawy wieje...

Zabrakło wiary, zabrakło płomienia,
Który ożywiał niegdyś mężów dawnych;
Zabrakło cudów, zbrakło pokolenia,
Co cud mieściło w piersiach w stal oprawnych
Dzisiaj, choć widzim smutne poświęcenia,
Choć widzim ludzi krwią swą marnotrawnych,
Przecież to wszystko tak marnie opada,
Jak kwiat, któremu wnętrze robak zjada.

Miłość ojczyzny?... Ta dziś pustym dźwiękiem,
Co nie brzmi wcale, albo brzmi szaleństwem,
Nasi mężowie, śpiąc na łożu miękkiem,
Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem,
Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
I obrzucają swój naród przekleństwem
Za to, że śmiał się targnąć na kajdany
I drgnął na chwilę, własną krwią oblany...

Miłość ojczyzny! to przedmiot zużyty,
I pogrzebany z poległem rycerstwem,

Starannie w trumnie gwoździami przybity
I przytrząśnięty pleśnią i szyderstwem,
A nad nim klęczy postać Jezuity,
Co umarłego gorszy się kacerstwem
I lud poucza, że modna pobożność
Tę ziemską miłość uważa za zdrożność.

Miłość ojczyzny!... Staroświeckie tema
I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem;
Zewsząd mu krzyczą wielkie anatema,
Pokryte słodkim świętoszków lamentem:
Więc, żeby wznawiać rzeczy, których niema,
Trza być półgłówkiem, albo też studentem,
I z Don Kiszotem błądzić po manowcach,
By kruszyć kopie na spłoszonych owcach.

A dziś podobna marzeń wybujałość
Jest w naszym świecie wielce karygodną;
Nasze powagi widzą w tem zuchwałość,
Która być może w straszne skutki płodną;
Przyznają wtedy pieśni doskonałość,
Gdy jest, jak oni, bezbarwną i chłodną
I tak strzyżoną jakby ogród włoski,
Mając ucięte i myśli i zgłoski.

Więc nie dziw, że nikt ręką swą nie sięga
Po ten skarb w lutni ukryty ojczystej...
Dla martwych widzów—martwa to potęga,
I może kruszyć tylko pierś lutnisty
I stać zamkniętą, jak ta czarów księga,

Przez długie wieki w ciszy uroczystej,
Póki epoka nie nadejdzie nowa,
Godna odczytać jej cudowne słowa.

Cóż więcej znaleźć?... Sława?.... tej nie mamy!
Wszyscy mniej więcej jesteśmy niesławni
I nosim znaczne na honorze plamy,
Pod każdym względem zawsze niepoprawni;
O czystą wielkość zawsze mało dbamy,
I wtenczas właśnie jesteśmy zabawni,
Gdy się stroimy w kawałek łachmanu,
Co się nazywa dziś rozumem stanu.

Ten rozum stanu — wynalazek złoty!
Lepszy niż jaki płaszcz nieprzemakalny:
Pod nim bezpiecznie można szydzić z cnoty
I podkopywać przesąd idealny;
Można ojczyźnie różne czynić psoty,
I łuk w nagrodę dostać tryumfalny, —
Bo on zasłonić zdoła każdą sprzeczność,
Wszelki egoizm, wszelką niedorzeczność.

Istny talizman, który dobre wróżki
Roznoszą same jako płód krajowy
I polskiej szlachcie kładą pod poduszki,
A ta się naraz budząc z bólem głowy,
Na suchych wierzbach umie szczepić gruszki
I cycerońskiej nabiera wymowy!
Tak więc, bez pracy, nauk i zachodu
Kraj się zapełnia — gwiazdami narodu.

Przedmiot gotowy dla wieszczów przyszłości!
Będzie go można w gładkie rymy włożyć,
I parafialne pozbierać wielkości,
I epopeję narodową stworzyć,
Co pozostanie Iliadą śmieszności...
Lecz my nie pragniem owej chwili dożyć,
I wolim raczej na swych lutniach drzemać,
Niż próżny pęcherz powietrzem nadymać.

Cóż więc zostaje?... Pieśni erotyczne?
Ale i dla tych braknie w świecie wzorów;
Pogasły w piersiach ognie romantyczne,
Pełne świetności i pięknych kolorów,
A miłość cierpi suchoty chroniczne
I potrzebuje pomocy doktorów,
Co podtrzymują jej zbyt wątłe życie
Przez różnych środków drastycznych użycie.

Nasze anioły i nasze kobiety
Są w sentymenta ubrane po kostki;
Lubią poezyą zajadać na wety,
I lubią także bawić się w miłostki.
Któżby wyliczył ich wszystkie zalety?
Jednej im tylko brak jeszcze drobnostki;
Prawdy w uczuciu... Lecz to rzecz zbyteczna,
Nie modna dzisiaj—nawet niebezpieczna...

Tem, czem są teraz, nie wzniecą tej walki,
Co się toczyła koło murów Troji;
Żadna nie zginie z rąk swojej rywalki,
Żadna się losów Julietty nie boi:
Bo każda, z wdziękiem norymberskiej lalki,

W balowej sukni na wystawie stoi,
I z pochyloną, rozmarzoną główką
Czeka na kupca, co płaci gotówką.

A Romeowie nasi nowocześni
Są jak z żurnalu wycięte figurki:
Tacy bezduszni, tacy bezcieleśni,
Że z nich zaledwie zostały tużurki,
Które, do taktu w salonowej pieśni,
Skaczą kadryle, walce i mazurki,
Wzdychając przytem od czasu do czasu
Do dyamentów, gazy i atłasu.

Krew tam nie kipi purpurowym warem
I nie upiększa ciał swoim szkarłatem;
Zmysły, namiętnym nie owiane czarem,
Nie zakwitają egzaltacyi kwiatem, —
A to, co wschodzi, jest tak zwiędłem, starem,
Tak arlekińskiem i tak karłowatem,
Że może służyć na pastwę dewotkom,
Co się pobożnym poświęcają plotkom.

Ale dla pieśni niema tam oparcia:
Tyle tam ziarna, co w pustym orzechu;
Te straszne dzisiaj czułych serc rozdarcia
Na drugi tydzień goją się w pośpiechu.
Do tragicznego zanim przyjdzie starcia,
Cała tragedya kończy się na śmiechu:
Skąd i poezya nasza nosi znamię,
Że jest szyderczą, gdy uczuć nie kłamie.

Trudno wymagać, by na takiej roli
Wytrysła natchnień prawdziwych obfitość;
Trudno geniuszu żądać aureoli
Tu, gdzie się tuczy sama pospolitość;
I trudno miłość śpiewać wśród swawoli,
Co budzi tylko wzgardę albo litość;
Trudno, ach! żądać dziś Anakreona,
Kiedy świat cały na bezkrwistość kona...

Potrzeba śmiać się więc narówni z wami
I razem z wami nad przepaścią pląsać;
Potrzeba kryć się ze swojemi łzami,
I z własnych uczuć głośno się natrząsać —
Karmić się codzień skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kąsać,
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać;
Potrzeba śmiać się... śmiać się i — umierać...

Jeśli nas teraz potępić pragniecie
Za naszą niemoc, nasze niedołęstwo,
Za rozrzucone poetyczne śmiecie,
Za skoszlawione pieśni czarnoksięstwo, —
Godzim się na to, potępcie, gdy chcecie.
Przy was jest słuszność, przy was jest zwycię-
[stwo;
Lecz tę rozważcie smutną okoliczność;
Tacy poeci, jaka jest publiczność!

———

NAPAD NA PARNAS.

Dobrze było w swoim czasie
Apollina służbie głodnej
Mieć kąt własny na Parnasie,
Ciepły, cichy i wygodny.

Dobrze było w laurów cieniu,
Pod opieką Muz dziewięciu,
W poetycznem zachwyceniu
Żyć po własnem wniebowzięciu.

Wierne sługi łaska Feba
Przyodziała w blask sowicie;
Wszystko było, co potrzeba,
Na Parnasu górnym szczycie.

Można było pełną dłonią
Z kastalskiego czerpać zdroju
I oddychać kwiatów wonią
W błogiej ciszy i spokoju.

Do przejażdżki służył stary
Lotny rumak, co miał skrzydła,
A śmiertelni nieśli dary
I pochwalny hymn kadzidła.

Niezła była to dzierżawa,
Gdy kto innych nie miał włości!

W gruncie rzeczy — dym i sława
Także godne są zazdrości.

Więc i wielcy, więc i mali,
Brnąc przez wszystkie życia burze,
Jak umieli, tak się pchali
Na Parnasu święte wzgórze.

Ten przy lirze, ten przy gęśli,
Ów z piszczałką nawet lichą,
Wszyscy z góry światem trzęśli,
A śmiertelni — byli cicho.

Chociaż który śpiewał cienko,
Chociaż czasem rozdarł uszy,
Lud się pieścił wciąż piosenką,
Bo melodyę miał w swej duszy.

Aż tu naraz zgiełk i wrzawa...
Bartki, Wojtki, nawet Kasie,
Zaprzeczają wieszczom prawa
Do pobytu na Parnasie.

Gmin się burzy, rwie się czeladź,
I przekupki, i studenci;
Wszyscy krzyczą: "Siec i strzelać!"
Niechaj giną wniebowzięci!"

Wydostali gdzieś z przedpiekła
Pozytywnych dział baterye,
W pękające bomby Haeckla
Uzbroili artyleryę;

Przypasali miecz Darwina,
Mściwi groźni i zajadli,
I do gaju Apollina
Na drzemiących wieszczów wpadli

Łatwo rzeszę zgnieść bezbronną,
Łatwo krwawe sprawić rzezie,
Gdy najeźdźcy walczą konno
Na pochodzeń hypotezie;

Induktywną swą metodą,
Ewolucyi chytrą sztuką,
Jednych rąbią, drugich bodą,
W prawo, w lewo, tną i tłuką —

Nikt nie ujdzie ich pogoni!
Próżno śpiewny chór się cofa:
Już nikogo nie zasłoni
Słodko brzmiącej pieśni strofa.

Wykarmione wieszczym duchem
Ody, hymny lub peany
Jęczą teraz pod obuchem
Mechanicznej sił przemiany.

Tren miłosny lub ballada
W swym rynsztunku idealnym —
Wszystko pierzcha, wszystko pada,
Przed doborem naturalnym.

Ta broń straszna w ręce tłumu
Rozstrzygnięcie daje łatwe:

W imię świętych praw rozumu
Apollina biją dziatwę.

Trubadury i minstrele,
Poetyczne bardów pułki,
Otrzymawszy sińców wiele
Przez Parnasu mkną zaułki.

I niejedna nawet Muza,
Zaskoczona przez studenta,
Oberwała nagle guza,
Który długo popamięta.

Aż nareszcie śpiewne bractwo
Woła: "Ratuj! Apollinie!
Ukarz jawne świętokradztwo,
Bo sług twoich ród zaginie."

"Barbarzyńcy ci zuchwali
Już niczego się nie zlękną;
Gdy nie wstrzymasz, pójdą dalej
Nieśmiertelne burzyć piękno.

"Widzisz, panie, straszny zamęt:
Broń więc wiernych od bezprawia..."
Na te skargi, na ten lament,
Melodyjny bóg się zjawia.

W złotym blasku, uśmiechnięty,
Na burzliwą patrzy młodzież,

Co, napadłszy wzgórek święty,
Potargała wieszczom odzież.

Z olimpijskim bóstw spokojem
Przed zwycięzców zastęp schodzi
I ucisza tchnieniem swojem,
Przemawiając tak do młodzi:

"Skąd te gniewy? skąd te krzyki?
Skąd ten rozbój mojej służby?
Skąd ten cały zamach dziki
Na śpiewaków, sny i wróżby?

"Skądże przyszło wam do głowy
Napaść cichy Muz przybytek
I doktryny sztandar nowy
Na tak śmieszny wziąć użytek?

"Czyż sądzicie, że, dorywczo,
Zaczerpnąwszy mądrość szkolną,
Już wam pieśni moc ożywczą
Sponiewierać teraz wolno?

"Ja poważam także wiedzę
I oddaję cześć Minerwie,
Co, mieszkając tuż o miedzę,
Nigdy badań swych nie przerwie.

"Chcę, by Parnas żył z nią w zgodzie,
Korzystając z jej wyroku,
I w kwitnącym Muz ogrodzie
Wieczne prawdy miał na oku.

"Chcę, by kroczył w równej mierze
I otrząsał lutnie z pleśni,
Wszystkie życia prądy świeże,
Odtwarzając w swojej pieśni.

"Jednak moje wdzięczne państwo
Cel i zakres ma odrębny
I nie może pójść w poddaństwo
Guwernantki tej bezzębnej,

"Która siostry mej, Minerwy,
Przedrzeźniając obyczaje,
Wciąż roztrząsa: czyli pierwej
Było kurczę, czy też jaje...

"I nie mogą struny lutni,
Drżące szmerem pocałunków,
Do uczonych schodzić kłótni,
Powstawaniem brzmieć gatunków.

"Tej krainy śpiewnych marzeń
Nietykalną jest potęga
I wśród wszystkich przeobrażeń
W ideału sferę sięga:

"Gdyż królewska pieśni władza
Wieczne swoje panowanie
Na uczuciach tych zasadza,
Co nie mogą uledz zmianie;

"Idealnych snów przędziwo
Wiecznie snuje dla człowieka;

Serc tęskniących walkę żywą
W strój piękności przyobleka.

"Piękność—pierwszem dla niej prawem;
Główną gwiazdą na błękicie;
Piękność tylko swym objawem
Nieśmiertelne da jej życie!

"Więc, chcąc sądzić w państwie sztuki
O fałszywej pieśców nucie,
Prócz rozsądku, prócz nauki,
Trzeba piękna mieć poczucie.

"Komu takiej braknie miary,
Ten się światu nie przysłuży,
Gdy poezyi słodkie czary
I fantazyi gmachy zburzy.

"Wyście przyszli jak szkodnicy,
Biorąc sobie za rzemiosło
Deptać wszystko bez różnicy,
Co w ogrodzie mym wyrosło.

"Muszę skarać taki zamach...
I tej hordzie, która wrzeszczy,
W mej świątyni stojąc bramach,
Nowy rodzaj stworzę wieszczy."

To wyrzekłszy, bożek wkrótce
W napastników wybrał gronie;
Krzykliwego wziął dowódcę,
Wieńcząc laurem jego skronie.

Złotą lirę dał mu w ręce,
Tajemnicze wyrzekł słowo
I rozkazał, by w piosence
Streścił światu mądrość nową.

Wnet Parnasu cały wzgórek
Stanął w niemem osłupieniu,
Słysząc romans dwóch komórek
W pacierzowym tkwiących rdzeniu.

Pieśń, na nowe pchnięta tory,
Materyalną wziąwszy suknię,
Do mózgowej sięga kory,
Po nerwowem pędzi włóknie.

Serc pragnienia, i zachwyty,
I myśl każdą, i uczynek,
Wyprowadza z walki skrytej
Wirujących wciąż drobinek.

W nieprzerwanym kreśli wątku
Organizmów epopeję,
Odtwarzając od początku
Protoplazmy pierwsze dzieje.

I w powszechnej bytu walce
Przez rodzajów zmiany skacze.
Aż, w rozpaczy łamiąc palce,
Upadają, w proch słuchacze

I błagają: "Wielki Febie!
Dość tej kary, dość tej męki!

My o litość prosim ciebie:
Ucisz dzikie lutni dźwięki."

Lecz Apollo, nieubłagan,
Zapał wieszcza wciąż podsyca —
I pieśń huczy jak huragan,
Albo wyje jak wilczyca.

Śpiewa dalej mistrz uparty,
Rozdzierając wszystkim uszy —
A tłum, widząc, że nie żarty,
Pragnie strasznej ujść katuszy.

Napastników roty bitne
Na złamanie lecą karku;
Swe sztandary gubiąc szczytne,
Uciekają z Muz folwarku...

Wszyscy chcą się w ziemię zapaść,
By ujść mściwej Feba dłoni;
Taki koniec wzięła napaść;
Ledwie przetrwa pamięć o niej.

Znowu Parnas lśni pogodą,
Znowu spokój w nim głęboki;
Tylko wieszcze dotąd wodą
Okładają swoje boki.



ZMIERZCH MELODYI.

Śpiewnej melodyi słodycze,
Wpółsenne pienia słowicze,
Serc silniej nie wzruszą już:
Na gruzach wiary dziecięcej
Duch ludzki pożąda więcej —
Wśród walk i burz.

Nie dość mu tkliwych pobudek:
Róż zwiędłych i niezabudek,
I szmeru srebrzystych strug...
Lecz żąda, by w męskiej nucie
Dźwięczało głębsze odczucie
Duchowych dróg.

Trzeba mu w pieśni odbicia
Tej walki o prawdę życia,
Co z niebem rozpoczął wieść;
Prawda dlań teraz — najświętsza:
Więc chce przeniknąć do wnętrza
Istnienia treść.

Te, co nęciły go wprzódy,
Bańki tęczowej ułudy
Straciły dawniejszy czar;
W chciwej za światłem pogoni,
Od błędnych ogników stroni
I nocnych mar.

Myśl niespokojna nań czyha
Na dnie rozkoszy kielicha
I z kwiatów odrywa wzrok;
Nawet miłosne marzenia
Bezmiarem swoim ocienia
Zaziemski mrok.

Wszędzie go ściga myśl: po co
Z nieznaną ściera się mocą,
Z potęgą, co wiecznie trwa?...
I czemu serce ogarnia
Nieskończoności męczarnia.
Pod którą drga?...

PRZEMINĄŁ CZAS.

Przeminął czas!... przeminął czas
Tęczowej cudów powieści;
Już opustoszał święty las
I czarów w sobie nie mieści.

Już w nim nie mieszka żaden bóg,
Faun płochy ani Dryada;
Na skrzyżowaniu ciemnych dróg
Żadne już widmo nie siada.

Zaklęty zamek poszedł w dym,
Postrachu więcej nie szerzy...

I Meluzyna głosem swym
Nie wabi błędnych rycerzy.

Już czarodziejski prysnął krąg,
Serc widzeniami nie pieści;
Wyrwał się nagle z ludzkich rąk
Geniusz cudownych powieści!

* * *

Przeminął czas! przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza;
Zmalały pieśni pośród nas,
I pierś zmalała człowiecza!

Wolności także zamarł śpiew,
Niema skrzydlatej hussaryi,
Co za ojczyznę lała krew,
Padając z imieniem Maryi.

A bohaterstwa jasny cud,
Co niegdyś blasków lśnił tęczą,
Dzisiaj wyklina biedny lud,
Żelazną ściśnion obręczą.

Niezrozumiałym już się stał
Orężny szczęk epopie
Dla znikczemniałych smutnych ciał
Bez męstwa i bez nadziei.

* * *

Przycichła pieśń i kona już,
Nie budząc żadnego echa...

Próżno się czepia zwiędłych róż,
Napróżno w łzach się uśmiecha.

Próżno na grobach w cichą noc
Skarży się smutna i blada:
Straciła dawną swoją moc,
Sercem człowieka nie włada.

On się już wyrzekł złotych mar,
Jasnego zaparł królestwa
I nieśmiertelny ducha dar
W otchłanie strącił nicestwa.
I runął cały wielki gmach,
Wzniesiony wiarą pokoleń...
Została nędza — niemoc — strach,
I ojców spróchniała goleń!

*

* *

Lecz błyśnie dzień! lecz błyśnie dzień,
W którym duch ludzki na nowo
Ożywi zeschły życia pień
Girlandą kwiecia różową.

I z prochu, który dziś się wpił
Na dawnych marzeń ruinie,
Zaczerpnie zapas twórczych sił
I znowu w niebo popłynie.

A ideału jasny kwiat,
Z zbutwiałych obrany liści,

Napełni znowu wonią świat,
Zakwitnie pełniej i czyściej.

I żywych natchnień złota nić
Przewiąże prawdy zdobyte:
Co nieśmiertelne, musi żyć!
Choć zmienia kształty zużyte.



A wtenczas pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży,
I z labiryntu ciemnych snów
Na światło dzienne wybieży.

Rozpostrze tęczę rajskich farb
I nowe jutrznie zapali,
Najczystszy ludzkich natchnień skarb
Na śpiewnej unosząc fali...

I nieśmiertelną życia treść
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wznieść
Za sobą — do ideału;

A bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniej,
Gdzie miłość zmaże plamy krwi
I uścisk zwycięży bratni.

ODPOWIEDŹ PRZESZŁOŚCI.

Czasem, gdy smutny o przeszłości marzę,
Ona przede mną staje jak w obrazku:
Widzę pogodne greckich mężów twarze
Od wewnętrznego jaśniejące blasku,
I widzę młodzież, jak w wesołym gwarze,
Wśród mirtowego mocuje się lasku,
I widzę starców uśmiech, który leci
Zadowolony — do niebios i dzieci.

Wszędzie zdrój życia jasnym nurtem płynie
I harmonijnie dla ucha szeleści:
Tyle piękności w tej cudnej krainie,
Tyle rozkoszy i szczęścia się mieści,
Tyle odwagi w każdym ludzkim czynie,
I tyle nawet spokoju w boleści!...
Każdy wesoło w błękity spoziera,
Bez skargi żyje, bez jęku umiera.

Młodość, tak w siłę i powab obfita,
Nieśmiertelnością z bóstwami się dzieli;
Poezya życia pięknością zakwita
W melodyach pieśni i posągów bieli;
I starość nawet, choć dni swoich syta,
Wieczornym blaskiem jeszcze się weseli,
Przez marmurowe portyków kolumny
Nowych zwycięzców śledząc pochód dumny.

Każdy znajduje szczęście, choć nie szuka,
I słodkim wdziękiem życia się napawa;
Mędrcom nie chmurzy czoła ich nauka,
I bohaterom nie cięży ich sława;
A choć niedola do grodów zapuka,
Choć na kraj spadnie jaka klęska krwawa.—
Nikt nie narzeka — lecz wszyscy się zbroją,
Idąc z pogodą pełnić służbę swoją.

Więc gdy porównam tę słoneczność ducha,
Z jaką przez ziemię niegdyś szli szczęśliwi,
Do nocy, która otacza nas głucha,
Do tej goryczy, co nam usta krzywi
I z serca krzykiem rozpaczy wybucha —
Ta nagła zmiana straszy mnie i dziwi,
I nie wiem, czemu teraz mrok osłania
Ziemskich jutrzenek promienne świtania?

Nie wiem, dlaczego ludzie tak się chwieją
I przeklinają dzień istnienia krótki?
Czemu nie żyją przyszłości nadzieją,
Lecz snują z siebie samolubne smutki?
Nie wiem, gdzie z wieków minionych koleją
Pierzchły szlachetne do życia pobudki?
Gdzie się podziały życiodajne zdroje,
W których świat dawny czerpał siły swoje?

Zniknione przeto przywołuję cienie,
By powiedziały: w czem ich tajemnica?
Skąd brały swoje ożywcze promienie
I uśmiech, który przystrajał im lica?

Gdzie kupowały i po jakiej cenie
Szlachetny spokój, który nas zachwyca?
A tak pytając, gdy ucho wytężę,
Słyszę odpowiedź, co ślą greckie męże:

"Za naszych czasów — powiadają oni —
Nie samą także rozkosz niosło życie;
Lecz nikt nie zdążał w namiętnej pogoni
Za marą szczęścia wypieszczoną skrycie,
Nikt samolubnej nie wyciągał dłoni,
Ani w się własnym nie zasklepiał bycie:
Każdy dla drugich żył — a w dumie męzkiej
Miał swoją tarczę na ciosy i klęski.

"Życie człowieka wówczas się zlewało
Z życiem narodu w jeden silny związek,
I pnia swojego wielkością i chwałą
Żywił się zawsze splot świeżych gałązek;
Dla wszystkich dobro powszechne jaśniało,
Wszystkim do szczęścia starczył obowiązek;
Los osobisty rzeczą był podrzędną:
Każdy o wieńcach myślał, co nie więdną.

"Każdy krąg swego istnienia rozszerzył,
Żyjąc w swych ojcach, i braciach, i synach;
I całe dzieje swej ojczyzny przeżył
W nowych nadziejach i spełnionych czynach;
I w nieśmiertelność swojej pracy wierzył, —
W myśl, kierującą wiecznie na ruinach,
Co, w doskonalszej wschodząc wciąż postaci,
Za trudy ojców potomnym zapłaci

"Tak szliśmy, wiedząc, gdzie dążym i po co,
Z obróconemi do światła oczami,
Tęczowe blaski, co dzień życia złocą.
W wieczne piękności przerabiając sami:
Te dziś nad grobu tajemniczą nocą,
Z rozwiniętemi wzlatują skrzydłami
I wyraz naszej pogody i siły
W kształcie posągów jasnych uwieczniły.

NA ZGON POEZYI.

Nie! nie umarła, jak to próżnie głoszą,
Ta jasnych krain pani i królowa,
Co serca ludzkie napawa rozkoszą;
Żaden jej grabarz pod ziemię nie schowa,
Nie stłumi natchnień, które pierś jej wznoszą,
Nie skazi wdzięku cudownego słowa:
Bo nim ją w piasku mogilnym pogrzebie,
Już z nową jutrznią zabłyśnie na niebie.

Ci, którzy mówią ciągle o jej zgonie,
Czyliż nie wiedzą, że ma żywot wieczny
W piersiach ludzkości i w natury łonie?
Że się odnawia w jasności słonecznej,
W ogniu młodości, co wieczyście płonie,

- -

I czarodziejsko w jeden węzeł splata
Marzenia ludzi z pięknościami świata?

Czyliż nie wiedzą, że ona jest wszędzie
Rozlaną w całej błękitów przestrzeni;
Że ciemnych jaskiń przenika krawędzie
I świeżym liściem w gruzach się zieleni;
A choć zużyte porzuci narzędzie,
Choć dawno swoje koryto odmieni,
To w nowych myślach, uczuciach lub czynie
Naprzód z wezbranym prądem życia płynie.

Na cóż więc trwoga o jej przyszłe losy?
Czyliż zabraknie wiosennych błękitów?
Czyliż zabraknie łez ożywczej rosy,
Snów bohaterskich, miłosnych zachwytów?
Czyliż ucichną tajemnicze głosy
Stłumionych pragnień i rozpaczy zgrzytów?
I czyliż wszystko w nicość się rozwieje,
Co żywi całych pokoleń nadzieje?

Nie! nic nie zginie z uczuć przędzy złotej.
Choć wzór powolnej ulegnie przemianie....
Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty
Wzbijać się będą nad ciemne otchłanie,
Zawsze te same słowicze tęsknoty
I żądza szczęścia ta sama zostanie
I sercom ludzkim śpiewną da wymowę. —
Dźwięki tak znane, a tak wiecznie nowe.

Niewczesne wasze żale, o wróżkowie,
Co nieśmiertelnej śmierć wróżycie pewną!
Ona się w martwem nie zamyka słowie,
Nie jest zaklętą w marmur ani drewno,
Lecz ma sklepienia niebios za wezgłowie,

A na usługi sfer harmonię śpiewną,
I rządzi z góry sercem niewolnika:
Jak chce zstępuje — i kiedy chce znika.

Ona żyć będzie, choć jej oddźwięk zgłuchnie
W lutniach śpiewaków i sercach słuchaczy;
Ona w grobowem przechowa się próchnie,
Przetrwa mrok zwątpień i burzę rozpaczy
I świeżym ogniem w przyszłości wybuchnie;
I znowu świat ją schodzącą zobaczy
Biorącą berło, by rządzić wszechwładnie,
I znów z miłością do nóg jej upadnie.

Ta trumna, którą do grobu składacie,
Zawiera tylko kształt jej już przeżyty, —
Uwiędłe kwiaty na jej ślubnej szacie,
Woń znikającą, lutni dźwięk rozbity.
Wolno wam płakać po kochanki stracie,
Co w was młodzieńcze budziła zachwyty,
Ale nie wolno orzekać — że ona
Dla serca ludzi na zawsze stracona.

Wy się nie troszczcie o nią, — o wróżbici!
Bo ona w piasku mogilnym nie leży,
Lecz dawnych marzeń potargane nici
Przerabia w ciszy na strój inny, świeży,
W którym znów serca stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.
Nie płaczcie nad nią — bo ona w obłoku
Na chwilę tylko uszła ludzi wzroku.

WIECZYSTE PIĘKNO.

Stanisławowi Krzemińskiemu.

Wieczyste piękno daremnie dla ślepych
Roztacza wkoło barw i blasków przepych;
Daremnie jasne promienie, jak gońce,
Posyła ziemi, to duchowe słońce, —
Gdy niema oczu, którym światła promień
Mógłby otworzyć drogę uwidomień
I ponad błotem skrwawionych trzęsawisk,
Ponad prądami mijających zjawisk
Ukazać bytu zdrój słoneczny, złoty,
Przenikający kolejne żywoty,
I ciągły przypływ tej świetlanej fali,
Co łańcuch istnień wiecznie doskonali.

Lecz chociaż dotąd jeszcze ziemskie rody
Nie widzą wyższej harmonii i zgody
I błądzą w cieniu bezsłonecznych krain
Z piętnem przekleństwa, jakie nosił Kain, —
To wciąż powoli istniejąca siła
Potrzebne zmysły będzie im kształciła,
I tak, jak niegdyś, pod fal światła wpływem,
Ślepy twór na świat błysnął okiem żywem,
Tak ślepa ludzkość w przyszłości zdobędzie
Do wyższych zadań konieczne narzędzie.

A gdy do światła otworzy swe oczy,
Ze wstrętem spojrzy na krew, co ją broczy,

Na posiew zemsty, który się odnawia
Z ziarn jadowitych krzywdy i bezprawia, —
Na barbarzyństwa szalejący nierząd,
Co świat napełnia walką dzikich zwierząt, —
Na źródła szczęścia, zatrute tak marnie
Przez dobrowolnie stwarzane męczarnie...
Spojrzy ze wstydem, — i jak z snu zbudzona,
Ku czystym blaskom wyciągnie ramiona
I pokieruje swoje przyszłe dzieje
Gdzie piękno, dobro i prawda jaśnieje...

SZTUCZNE KWIATY.

Fabrykacya sztucznej flory
Z wielką prawdą dziś oddaje
Roślinnego świata wzory
I odmienne ich rodzaje.

Każdy nawet kwiat najrzadszy
Naśladuje zręcznie sztuka;
Kto się dobrze nie przypatrzy,
Bardzo łatwo się oszuka.

I w poezyi wdzięcznych kwiatach
Wzmógł się przemysł, gdyż je sztucznie
Wyrabiają na warsztatach
Wyzwolonych kunsztów ucznie.

Odtwarzają nader wiernie
Układ, barwę i kształt wszelki,
Płatki koron, listki, ciernie,
Nawet lśniące ros kropelki.

Pierwszorzędnych firm wyroby,
Posiadając wiele zalet,
Służyć mogą do ozdoby
Salonowych dam tualet.
Fabrykaty mocne, tanie,
Pełne smaku i świeżości,
Zasłużyły na uznanie
Eleganckiej publiczności.

Znaczny zapas jest do zbycia
Doskonałych tych towarów;
Nic im nie brak... oprócz życia
I poezyi słodkich czarów!

HELENIE MODRZEJEWSKIEJ.

Ponad tem wszystkiem, co początek bierze
W ciężkiej i dusznej życia atmosferze;
Ponad tem wszystkiem, co się ćmi i wichrzy
W prochy tej ziemi, jak owad najlichszy;
Ponad tem wszystkiem, co z niesforną wrzawą
Goni za chlebem, miłością lub sławą,

I świecąc chwilę, znowu w mroku ginie
W łez, krwi i błota dziwnej mieszaninie:
Ponad tem wszystkiem — jest jaśniejsza sfera,
Będąca ziemskiej tęczowem odbiciem;
Ta zmienne kształty w wieczny blask ubiera,
I jak posągi stawia ponad życiem,
I każdą miłość, co się w proch rozwiała,
Uwiecznia w krasie dziewiczego ciała,
I każdą sławę podejmuje z zgliszcza,
I ze rdzy ziemskiej ogniem ją oczyszcza.
Ta sfera jasna, sfera ideału,
W którą świat żywych wsiąka wciąż pomału,

I gdzie przenosi swoje łzy i nędzę
Na rajskich marzeń nieśmiertelną przędzę;
Ta sfera sztuki, jak ją tłum nazywa,
Wieczyście piękna, wieczyście prawdziwa —
Ma swoje sługi, którym jest zlecone
Ukrytych cudów odchylać zasłonę;
Ma swoje sługi wierne niewolniczo,
Co wdzięcznym marom, zrodzonym w błękicie,
Własnego ducha na chwilę użyczą
I mglistym kształtom własne dadzą życie,
I całą swoją roztrwonią istotę
Na ich nadziemską walkę i tęsknotę,
I trwają, błyszczą i lecą... dopóki
Nie strawi ducha boski płomień sztuki!

Biedne ofiary! Im nie wolno w locie
Opuścić skrzydeł w jakiej cichej grocie,
Ani ugasić ognia, co je pali,
Jako jaskółkom, gdzie na modrej fali,

Im, w ideału jarzmie, bez wytchnienia,
Wszystkie łzy, skargi, krzywdy i cierpienia
Potrzeba zbierać, każdą ludzką ranę
Przejmując na swe serce skołatane;
Trzeba im chodzić w królewskiej purpurze,
W koronie z szychu, i nie giąć się pod nią;
Odczuć w swych piersiach wszystkie ziemskie burze,
I dyszeć dumą, nienawiścią, zbrodnią;
Umarłych plemion żywym być wyrazem,
Kochać, żyć, walczyć, ginąć z niemi razem...
I wszystkie piękne widma, co się roją.
Aby ożyły, krwią napoić swoją.

Biedne ofiary! Tłum, co patrzy na
Widzi ułudę tylko i udanie —
I gdy się ogniem tęczowym zachwyca,
Nie pyta: czem go niewolnik podsyca?
Nie pyta: czemu mieści posąg Nioby
Tyle kamiennej grozy i żałoby?
Czemu pieśń, co się w powietrzu roztrąca,
Jest tyle śpiewna, spłakana i drżąca?
Czemu ta postać jasna, czysta, biała,
Spoczywająca dotąd w zapomnieniu,
Nagle przed okiem widza zmartwychwstała
I w czarodziejskim zakwita promieniu?
Skąd płynie fala tych uczuć obfita,
Co go rwie z sobą? O to tłum nie pyta...
Pewny, że wzruszeń tajemniczych tęcza
Bengalskim ogniom początek zawdzięcza.

Nikt nie przeczuwa owej wielkiej rany,
Skąd krwi upływa strumień nieprzebrany;

Ani tej walki, co trwa życiem całem
Z nieuchwyconym nigdy ideałem;
Ani też nie ma współczujących świadków
Dla tych porażek, zwątpień i upadków,
Gdy niewidzialne wyższej mocy ramię
Słonecznym gońcom skrzydła i lot łamie.
O! tych wewnętrznych konań ponad światem
Nie dojrzą nawet oczy najciekawsze;
Źródło, co było w twórcze łzy bogatem,
Zostanie ciemną zagadką na zawsze;
I gdy duch w prochu szermierza powali,
Na śmierć zadepcze i uleci dalej...
Tłum się nie troszczy o los zapaśnika,
Ale do domu powraca... i syka.

Strwonione życie! komedya skończona!
Nad zwyciężonym zapadła zasłona....
I głucha cisza zaległa bezzwłocznie,
Wprzód, zanim w ziemi naprawdę odpocznie.
Serdecznych natchnień błyski drogocenne,
Te uleciały ponad prądy zmienne,
Unosząc z sobą w kraj przyszłości mglisty
Serce człowieka i duszę artysty:
Więc pozostaje tylko marą błędną,
Rozdawszy z siebie wszystko, co najlepsze;
Zebrane laury do wieczora zwiędną,
I nikt go piersią swoją nie podeprze.
Dopiero wtedy, gdy z nędzy człowieczej
Chłodna go ziemia na zawsze wyleczy,
Nad grobem miga błędny ognik sławy,
Przed którym staje przechodzień ciekawy.

A jednak mimo, że ten ból, ta praca,
W której się własną istotę zatraca,
I nikt go piersią swoją nie podeprze.
W wiecznej piękności, blasku i ogromie,
Jak rosa w słońcu... jednak przecież warto
Chociaż na chwilę dać swą pierś rozdartą
Tym, którzy łakną i tęsknią za niebem,
I głodnych karmić ideału chlebem.
Warto chociażby raz, na chwilę jedną,
Położyć palec na dusz ludzkich ranie
I w lepsze światy zawieść rzeszę biedną, —
Prawdy i piękna dać jej pożądanie.
Bo, chociaż twórca i dzieło przeminie,
Rzucone ziarno zejdzie kiedyś w czynie
I w przyszłych czynów rycerskiej postaci
Zapomnianemu sprawcy się wypłaci.

ODPOWIEDŹ.

Księżycowe nikłe tęcze,
Rozwieszone mgły pajęcze
Na leciuchne tkać przędziwa;
Chore serca do snu tulić,
Blaskiem srebrnych snów rozczulić,
Jak kochanka pieszczotliwa;

Bladych dziewic gorzkie żale
Stroić w świeżej krwi korale

I żałobne rzucać kwiaty,
I Filonów dniowe troski
W harmonijne przelać zgłoski,
Jak w motyli rój skrzydlaty;

Nogą oprzeć się na grobie
I uwielbić ludzkość w sobie,
I uwielbić się w ludzkości,
I każdemu, co dziś żywy,
Oddać pokłon sprawiedliwy,
A spróchniałe uczcić kości:

To są jasne drogi wieszczów,
Co w ulewie krwawych deszczów
Przy swej wierze się ostali,
A zbawienia żądni świata,
Za ofiary i za kata
Rzeki gorzkich łez wylali!

Oni ziemię rozserdecznią,
Pamięć wszelkich dzieł uwiecznią,
I swą pieśnią porwą duchy
W Elizejskie błogie Pola,
Gdzie zapomną, że niewola
Wpiła w cielsko swe łańcuchy.

Więc za niemi i w ich ślady
Do błyszczącej gwiazd plejady
Roztkliwione, śpieszcie, cienie,
W harmonijnym westchnień szmerze
Z aniołami wejść w przymierze
I zwiastować przebaczenie —

I wyjednać nam, co czarni,
I skalani, i poczwarni,
Długą mękę, co grzech gładzi,
I litości srebrne wieńce
Rzucać na te potępieńce,
Co męczarni są nieradzi.

Lecz tu, w ciemnej piekieł kuźni,
Moc zuchwała niebu bluźni,
Butwiejące rwie całuny
I narusza kość spróchniałą;
Chce ją ubrać w nowe ciało,
A uzbroić ją w pioruny.

Ezechiela wtórząc głosom,
Urągając się niebiosom,
Każe nowym duchim zstąpić
I ożywić prochy łzawe,
Nowej śmierci dać na strawę,
A płomieni swych nie skąpić.

Więc się wichrzy, więc się kłębi;
W zatraconych światów głębi
Jadowita tryska piana;
Śród podziemnych prac mozołu,
Z grobowego wybiedz dołu
Śpieszy zgraja krwią zbryzgana.

Archanielskie bledną twarze,
Gdy na słońce się ukaże
Chciwość życia i zawziętość,
Co, swą przyszłość chłonąc w płuca,

Starą, zgniłą krew wyrzuca
I nie uczci żadną świętość;

A w namiętnych rwąc podskokach,
Nie w pokutnych długich zwłokach
Jasne zyskać chce męczeństwo,
Lecz toruje nowe drogi,
Lecz gliniane wali bogi —
Gwałtem bierze człowieczeństwo!

Takim duchom więc przystało,
Nie przebrzmiewać dawną chwałą
Lub dziękczynne hymny głosić,
Lecz w zawodów ciągłej kaźni
Bez litości, bez bojaźni
W niebo wściekłą pięść podnosić —

I rozpalać gniewu burze,
Błyskawice rzucać duże
I panować zawieruchom,
Z grobu kości powywlekać,
I nad niemi sąd orzekać,
I spokoju nie dać duchom.

ECHO KOŁYSKI.

Gdym jeszcze dzieckiem był,
Budzącem się na świat,
Gdy wątły życia kwiat

Jeszcze się w pączku krył,
Na łono matka mnie brała,
Pieściła i całowała, —
Gdym jeszcze dzieckiem był.

Pamiętam po dziś dzień,
Jak, kojąc płacz i gniew,
Nuciła smętny śpiew,
Co falą słodkich brzmień
Dobywał uśmiech nanowo —
I każde piosnki słowo
Pamiętam po dziś dzień.

"Dziecino, nie płacz! nie!
Rozjaśnij twoją twarz;
Dopóki matkę masz,
Nie może ci być źle;
Na mojem oprzej się łonie:
Ja cię przed bólem zasłonię, —
Dziecino, nie płacz, nie!

"Chowaj na później łzy!
Dziś jeszcze anioł stróż
Girlandą białych róż
Okala twoje sny;
Na tkance marzeń pajęczej
Maluje kolory tęczy —
Chowaj na później łzy!

"Rozkoszą wszystko tchnie!
Śpiewa ci ptaków chór;
W twem niebie niema chmur,

Ani goryczy w łzie;
Życie uśmiechem cię wita
I każdy kwiat ci rozkwita —
Rozkoszą wszystko tchnie!

"Więc duszę swoją pieść
Jutrzenką rajskich farb,
I czystych uczuć skarb
W niewinnej piersi mieść!
Byś mógł zaczerpnąć w tym zdroju,
Gdy ci przybraknie spokoju —
Więc duszę swoją pieść!

"Bo przyjdzie inny dzień,
W którym, o synu mój!
Napotkasz tylko znój,
Zamiast rozkoszy tchnień:
Zdrada ci oczy otworzy,
Nieufność ducha zuboży —
Bo przyjdzie inny dzień.

"Przyjdzie ci płacić krwią
Serdecznych marzeń dług;
Zdepcze cię w prochu wróg,
Znieważy boleść twą;
Szlachetny poryw zapału
I miłość dla ideału —
Przyjdzie ci płacić krwią.

"I ból swój będziesz niósł,
Samotny sercem, w świat!
Zawodów, złudzeń, zdrad

Będzie ci wieniec rósł,
Cierniami otoczy skronie,
Skrępuje na zawsze dłonie —
I będziesz ból swój niósł.

"Na taki życia zmrok,
Rozbicia straszna noc,
Zachowaj ducha moc
I jasny dziecka wzrok.
Niech ci wspomnienie kołyski
Przyniesie matki uściski —
Na taki życia zmrok!

"Pomimo gorzkich prób
Zawsze, ach! dobrym bądź,
Z miłością drugich sądź
I patrz z nadzieją w grób.
Nie trać dziecinnej wiary,
Nie żałuj swojej ofiary —
Pomimo gorzkich prób.

"O, nie mów, dziecię me!
Że marny życia trud,
Że wszystko fałsz i brud,
A prawdą tylko złe;
Że trzeba wątpić i szydzić
Pogardzać i nienawidzić, —
O, nie mów, dziecię me!

"Na matkę wspomnij swą,
Na miłość, co bez plam;

Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę łzą;
Wierz w piękność ducha słoneczną.
I w miłość, która jest wieczną. —
Na matkę wspomnij swą."

RODZINNEMU MIASTU.

Jest jedno piękne ludowe podanie,
Co treścią swoją do łez mnie porusza:
Lud prosty mniema, że gdy czas nastanie,
W którym już ciało ma opuścić dusza,
Zanim w nadziemskim utonie błękicie,
Powraca jeszcze wstecz przez swoje życie...

I zwolna idzie przebytym już śladem
Żegnać to wszystko, co jej drogiem było, —
Raz jeszcze ujrzeć w świetle grobu bladem
Miejsca, gdzie niegdyś żywiej serce biło!
I tak dochodzi aż w dziecinne lata
I nad kolebką staje znów skrzydlata;

Jako wędrowiec smutny i zmęczony
Kąpie się znowu w jasnych wspomnień zdroju
I błogosławi swe rodzinne strony —
I wtedy z ziemi odchodzi w pokoju,
Niosąc na skrzydłach w krainę wieczności
Najszlachetniejsze marzenia młodości.

To wszystko prawdą mnie się dziś wydaje:
Bo choć sam jeszcze do żywych się liczę,
Za każdym krokiem, co mi pozostaje,
W tył poza siebie odwracam oblicze
I moja dusza wyrywa się smutna
Tam, gdzie młodością była tak rozrzutna.

I często cichym, gwieździstym wieczorem,
Gdy swoim blaskiem księżyc do mnie wchodzi,
Gdy anioł ciszy na mem sercu chorem
Kładzie swe dłonie i boleść łagodzi,
Czuję, jakobym był już tylko cieniem,
Ulatującym z księżyca promieniem.

Wtedy, ach! idę po srebrzystej fali
I całą drogę minioną odnawiam;
Pozdrawiam ludzi, co mnie dzieckiem znali,
Gaje i łąki, i pola pozdrawiam,
I zatrzymuję się nad każdą miedzą,
Gdzie złote mary lat dziecinnych siedzą.

Droga mnie wiedzie do starego grodu,
Otoczonego ramionami Prosny...
Tam, wśród alei kasztanowych chłodu,
Czerpałem tchnienie pierwszej życia wiosny,
Co w cudowności szatę się obleka,
Jak sen zstępuje i jak sen ucieka...

Dziś wywołane pamięcią promienie
Złocą mi pasma zielonych wybrzeży,
I znów anielskie śle mi pozdrowienie,
Jak niegdyś rankiem, dzwonek farnej wieży.

I całe miasto w oczach się powiększa
Przez mgłę tęsknoty, co wszystko upiększa.

Jak tam spokojnie płynie ludzkie życie,
Mierzone dźwiękiem słodko brzmiących godzin!
Jak wody w Prosny łagodnem korycie,
Dnie upływają w kółku cichych rodzin,
I z domowego ogniska blask strzela,
Który przechodnia oczy rozwesela.

Ach! z tem ogniskiem dusza moja zrosła
I brała z niego macierzyńskie ciepło,
Zanim daleka fala mnie uniosła
Na brzeg, co dłonią pochwyciłem skrzepłą.
Więc gdy te domy i serca obaczę,
Jak dziecko ręce wyciągam i płaczę.

Bo cóż słodszego nad rodzinny związek,
Co wielkiem drzewem jedności wyrasta
I pełen wiecznie zielonych gałązek
Ocienia sobą cały obręb miasta?
I nad tę wiarę, która wszystko zbliża
W nawie kościelnej u jednego krzyża?

I cóż świętszego nad domowe cnoty,
Nad tę tradycyę żywą, starożytną?...
Cóż jaśniejszego nad ów szczerozłoty
Wesoły uśmiech, którym twarze kwitną?
I nad tę cichą zacnych serc zażyłość,
Co niesie szczęście, niosąc z sobą miłość!

Tak mi to wszystko cudnie się uśmiecha,
Tak mnie ta przeszłość pociąga zniknioną

Że szukam wzrokiem, gdzie jest owa strzecha,
Pod którą spocznę wśród przyjaciół grona;
Ale napróżno... bo w mej idealnej
Podróży błądzę, jak cień — niewidzialny.

Zresztą już moi przyjaciele starzy
Po większej części poszli na spoczynek;
Rodzinna ziemia lekkim snem ich darzy —
Więc im dać muszę łzę na upominek!
A z tych, co żyją, mało kto mnie wspomni:
W pamięci ludzkiej nikną nieprzytomni.

Z czasem powoli wszystko się zaciera,
A więc i moje zatarły się ślady...
Stary park na mnie z zdziwieniem spoziera,
Pytając: "Co to za przechodzień blady?"
I nawet mury wahają się szkolne
Rozpoznać we mnie swe dziecko swawolne!

Chociaż przechodzę około okienka,
Pod które dawniej zbliżałem się z drżeniem,
Już w niem nie siedzi figlarna panienka,
Co była pierwszej miłości marzeniem,
I tylko gzemsy opuszczone sterczą
I patrzą na mnie dziwnie i szyderczo.

Tylko sny dawne zlatują się do mnie,
Spływając łukiem różnobarwnej tęczy...
I widzę wszystko, com śnił nieprzytomnie,
Nad nurtem rzeki wsparty na poręczy...
Lecz te marzenia nie wydały plonu:
I jestem smutny — smutny aż do zgonu.

Jednak nie chciałbym teraz mej żałoby
Zawiesić chmurą nad poczciwym grodem;
Chciałbym na boku pozostawić groby,
A zejść się z życiem szlachetnem i młodem,
Co, jak bluszcz, swoją latorośl przeciska
Do słonecznego światła — przez zwaliska.

Chciałbym z młodzieżą w kielichy uderzyć
I ze starymi pogwarzyć przy winie;
W młodość wskrzeszoną węgrzynem uwierzyć
I nucić piosnkę o psotnej dziewczynie,
A skończyć głośnym, wesołym toastem
Na powitanie z ukochanem miastem.

I chciałbym objąć w uścisku serdecznym
Ziemię i mury i wody i ludzi...
Ale czas wracać szlakiem nadpietrzownym,
Bo już jutrzenka słońce ze snu budzi
I księżycowe gasnące promienie
Już mnie wzywają w błękitne przestrzenie.

Tak więc znikając w jasności porannej,
Dobrych aniołów polecam was pieczy:
Niech promień łaski nieba nieustannej
Poczciwe serca przed złem ubezpieczy,
I Ten, co wszystkich w przeszłość nas posuwa.
Nad starym grodem — niech Bóg zawsze czuwa!

POWRÓT DO DOMU.

Wśród cichej nocy, do wioski, co w dole
Po nad srebrzystym rzucona strumieniem,
Zdążał podróżny i witał westchnieniem
Wysmukłe, zdala widzialne topole;
Chociaż zmęczony, przyśpieszał wciąż kroku,
Jakby przypuszczał, że mu sił nie stanie,
I całą duszę umieścił w swym wzroku —
Na pierwsze, długie, łzawe powitanie.
Świadomy drogi, przez lasek brzozowy
Zbiegł na dół ścieżką i zniknął w olszynie,
Aż stanął wkrótce na mostku przy młynie,
Słuchając jego z bocianem rozmowy.

Co mu powiedział bocian i młyn stary
Swoim klekotem, płynącym po rzeczce?
Jakie obudził wspomnienia i mary
Ten głos dwóch starców w nieustannej sprzeczce?
Nie wiem — lecz silniej pobladły mu lica
W srebrzystem świetle bladego księżyca,
I boleść w niemej utopił zadumie,
Szukając wspomnień w śpiewnym rzeczki szumie...
Wiatr mu z bliskiego przynosił ogrodu
Znajomych kwiatów woń pamiętną, miłą...
I zaczął marzyć, jak niegdyś za młodu,
Jak gdyby w życiu nic się nie zmieniło!
I cała przeszłość stanęła tak żywa,

Skupiona w jednym tęczowym obrazku;
I pierzchłe złotej młodości ogniwa
Nabrały teraz nieznanego blasku.
Cichego szczęścia najmniejsze wypadki,
Jasnym płomieniem świecące ognisko,
I te najsłodsze pocałunki matki,
I drugie, również anielskie, zjawisko:
Wszystko to widział w dziwnej mgle nie-
bieskiej
Jak poplątane cudne arabeski.

Wydarł się wreszcie tej, widzę, ponęcie.
Co pieszcząc serce, krwawi je zarazem;
Zwrócił się śpiesznie na drogi zakręcie —
A twarz się znowu powlokła wyrazem
Owej spokojnej, bezbrzeżnej boleści.,
Co się niczego już w świecie nie lęka
I żadnej w sobie nadziei nie mieści.
Dalej, za młynem, stała Boża męka,
Na skrzyżowaniu drożyn pochylona,
I wyciągnęła czarne swe ramiona
Z błogosławieństwem ponad ciche pole,
Patrząc z miłością na ludzką niedolę...
Minął ją zwolna, pochyliwszy głowy,
I poszedł prosto na cmentarz wioskowy.

Topole, brzozy i wierzby płaczące
Wieńczyły miejsce spoczynku do koła,
Schylając swoje zadumane czoła.
Jakby piastunki do snu śpiewające.
Tam, pod ich strażą, rozsiadły się wzgórza,
Gdzieniegdzie w czarne ubrane krzyżyki;

Gdzieniegdzie polna wczołgała się róża,
Lub zielsko bujne, lub też krzaczek dziki.

W milczeniu stąpał wśród mogił podróżny,
Bojąc się przerwać uroczystej ciszy;
Nadstawiał ucha na każdy szmer próżny,
Jakby przypuszczał, że jeszcze usłyszy,
Głos, co go wołać zacznie po imieniu!
Z bijącem sercem przed siebie spoglądał,
Jakby na jasnym księżyca promieniu
Jaki cień drogi jeszcze ujrzeć żądał.

Lecz nic nie było słychać — prócz tych szmerów
Co się być zdają nadziemskich eterów
Falistem drżeniem i spływają w pieśni,
Gdy je noc ujmie w dźwięk i ucieleśni;
I nic nie widać — prócz tej gry znikomej
Drżącego światła i przelotnych cieni,
Która na fali powietrza ruchomej
Niepewne kształty rysuje w przestrzeni
I z krzyżów, krzewów i głazów cmentarza
Coraz-to nowe widziadła wytwarza.

Lecz ujrzał za to w księżycowym blasku
Wśród innych mogił kamienny grobowiec...
Spojrzawszy, przykląkł na ziemię wędrowiec
I złożył głowę na wilgotnym piasku,
I przytulony do zimnego głazu
Leżał bez ruchu, życia i wyrazu.

Łza mu z suchego nie pociekła oka,
Ani też jękiem nie drżała pierś pusta;

Modlitwy nawet nie szeptały usta;
Bo wszystko boleść stłumiła głęboka,
Rzucając sercu, co padło zranione,
Nieprzytomności i szału zasłonę.

CICHE WZGÓRZE.

Znam ja jedno piękne wzgórze
Na niem kwitną przy figurze
Przeźroczyste polne róże.

Boża męka pochylona
Patrzy z ciszą i spokojem,
W świat wyciąga swe ramiona
Po nad ziemskim krwawym znojem.

Jak tam słodko, jak tam błogo!
Niedotknięte bólem, trwogą
Serca w niebo płynąć mogą;

Tęsknych dumań nic nie zmąci;
Cichnie ludzkiej głos boleści...
Chyba wietrzyk listkiem trąci,
Lekko, śpiewnie zaszeleści...

Kiedy słońce z nieba schodzi
W swojej złotem tkanej łodzi,
W purpurowych fal powodzi, —

To nad wzgórkiem twarz swą zniża,
Pożegnalnym blaskiem strzela
I całuje stopy krzyża,
Święte stopy Zbawiciela.

Pod tym krzyżem w pierwszej wiośnie,
Z polną różą, co tam rośnie,
Wyglądałem w świat radośnie;
Pod tym krzyżem w ranek jasny
Na mogile kwiaty rwałem;
Z tego wzgórza zagon własny
Raz na zawsze pożegnałem.

Więc choć lat już przeszło tyle,
Myślą wracam w dawne chwile
Siąść pod krzyżem na mogile:

Chcę usłyszeć znów o zmroku
Pieśń nabożną tego ludu,
Co się modląc ze łzą w oku
Oczekuje zawsze cudu...

JEDNA CHWILA.

Zobaczyłem ją tylko na chwilę
I już pewnie nie ujrzę jej więcej...
Dziwny los!
W moich piersiach wstało pragnień tyle,

Moje serce zabiło goręcej
Na jej głos.

A jednakże zostanę nieznany,
Nie wywołam żadnego wspomnienia
Ani łzy,
I nie wiedząc, czy byłbym kochany,
Nieziszczone uniosę pragnienia,
Próżne sny.

Gdym ją ujrzał, myślałem, że ona
Przyjdzie do mnie, z anielskiem spojrzeniem
Zwróci twarz
I wyciągnie ku mnie swe ramiona,
Mówiąc: "Jestem twojem przeznaczeniem;
Wszak mnie znasz?"

I myślałem, że przed nią uklęknę
I zawołam w nadziemskiej ekstazy
Słodkim śnie:
"Jesteś wszystkiem, co dobre i piękne,
Ja cię kocham nad wszystkie wyrazy:
Kochaj mnie!"

Lecz złudzenie moje krótko trwało:
Poszła dalej — zimno, obojętnie —
Próżnom drżał!
Nie widziała, co się ze mną działo,
Nie przeczuła, żebym dla niej chętnie
Życie dał;
I zniknęła, jak w sennem marzeniu...

A jam jeszcze w naszych uczuć wierzył
Cichy ślub;
Długie lata słodkich wzruszeń przeżył
U jej stóp.

NA ŚNIEGU.

Bielą się pola, oj bielą;
Zasnęły krzewy i zioła
Pod miękką śniegu pościelą —
Biała pustynia dokoła.

Gdzie była łączka zielona,
Gdzie gaj rozkoszny brzozowy,
Drzew obnażone ramiona
Sterczą z pod zaspy śniegowej.

Opadła weselna szata,
Zniknęły wiosenne czary;
Wiatr gałązkami pomiata,
Zgrzytają suche konary.

Tylko świerk, zawsze ponury,
W tym samym żałobnym stroju,
Wśród obumarłej natury
Modli się, pełen spokoju.

Więc drzewa obdarte z liści
Na jego ciemną koronę

Patrzą się okiem zawiści,
Głowami trzęsą zdziwione...

Próżno głowami nie trzęście,
Wy, nagie, bezlistne gaje!
Przemija rozkosz i szczęście. —
Boleść niezmienna zostaje.

DWA ANIOŁY.

Dwa anioły spotkały się w locie
Ponad ziemią, wśród błękitnych mórz:
Jeden płynął w purpurze i złocie,
Miał wejrzenie jakby rannych zórz;
Drugi w czarnych aksamitach tonął,
Łez brylantem świecił jego wzrok,
A na głowie wieniec z gwiazd mu płonął
I rozjaśniał nieskończony mrok...

"Wracam z ziemi — rzekł pierwszy z aniołów —
Gdziem w ogrodzie życia kwiaty siał,
Rozdmuchiwał płomienie z piopiołów
I przyśpieszał nowy rozkwit ciał.

"Tam widziałem, w ciemnej nieszczęść nocy,
Dwóch serc czystych krwawy z losem bój,
Dwojga istot gorzki ból sierocy,
Ich samotny, ciężki życia znój.

"Więc zbliżyłem dwie niedole z sobą...
I miłości owiałem je tchem...
A z dwóch smutków, nad dawną żałobą,
Szczęście rajskim wykwitnęło snem."

"Ja — rzekł drugi w gwiaździstej koronie —
Wracam także z owych ziemskich pól,
Gdzie na chorych sercach kładłem dłonie...
I na zawsze koiłem ich ból.

Tam spotkałem, pomiędzy innemi,
Jedną duszę szlachetną, bez plam —
I kochałem tego syna ziemi,
Co pięknością dorównywał nam.

"Lecz dojrzałem, że w żywota męc
Zaczął chwiać się... rdzy dostrzegłem ślad, ..
I strwożony, wyciągnąłem ręce,
By, padając, nie poplamił szat.

"I miłością prowadzony czystą,
Jak najciszej zbliżyłem się doń:
Zarzuciłem zasłonę gwiaździstą,
I na sercu położyłem dłoń.

"W mych objęciach on teraz bezpieczny,
Bo już władzy nie ma nad nim czas —
I zostanie w swej piękności wiecznej,
Niedotknięty żadną z ziemskich skaz."

SONET.

Poco się budzą pragnienia szalone,
Gdy ich nie można ugasić napojem?
Poco się serce wyrywa stęsknione
Do burzy, gardząc ciszą i spokojem?

Poco chce zedrzeć przyszłości zasłonę
I nieskończoność zmieścić w łonie swojem?
Kiedy, zaledwie dotknie się spragnione,
Usycha w żalu nad zmąconym zdrojem?..

Próżne zabiegi! Wieczyste pragnienia
Zwodnicze widma! Któż was nie wyklina?
A jednak, mimo klątw i złorzeczenia,

Każdy na nowo wraca i zaczyna
Szukać tej mary, co świat opromienia,
I o dawniejszych klęskach zapomina.

GDYBYM BYŁ MŁODSZY...

Gdybym był młodszy, dziewczyno,
Gdybym był młodszy!
Piłbym, ach, wtenczas, nie wino,
Lecz spojrzeń twoich najsłodszy
Nektar, dziewczyno!

Tybyś mnie może kochała,
Krasny aniele...
Na tę myśl pierś mi zadrżała,
Bo widzę szczęścia zawiele,
Gdybyś kochała!

Gwiazdbym nie szukał na niebie,
Ani miesiąca,
Ałebym patrzał na ciebie,
Boś więcej promieniejąca
Od gwiazd na niebie!

Wzgardziłbym słońca jasnością
I wiosny tchnieniem,
A żyłbym twoją miłością;
Boś ty jest mojem natchnieniem
I słońc jasnością.

Ale już jestem za stary,
Bym mógł, dzieweczko,
Zażądać serca ofiary:
Więc bawię tylko piosneczką, —
Bom już za stary!

Uciekam od ciebie zdala,
Motylu złoty!
Bo duma mi nie pozwala
Cierpieć, więc, pełen tęsknoty,
Uciekam zdala.

Śmieję się i piję wino
Mieszane z łzami,

I patrzę, piękna dziewczyno,
W swą przeszłość pokrytą mgłami,
I — piję wino...

SONET.

Pierwsze uczucia — to kwiaty wiosenne,
Co się swą własną upajają wonią;
Przed żywszym blaskiem jeszcze w cień się
[chronią
I wierzą jeszcze w swe trwanie niezmienne.

Po nich, ach! inne, stubarwne, płomienne,
Znów zakwitają i za słońcem gonią;
Wiedzą, że zwiędną: więc czasu nie trwonią
I gaszą tylko pragnienia codzienne.

A później znowu wspomnień astry blade
Wschodzą samotne na schyłku jesieni,
I chcą trwać tylko, i walczą z ulewą.

Widząc wokoło martwość i zagładę...
A wkońcu jeden cyprys się zieleni, —
Ponure, smutne rezygnacyi drzewo.

SONET.

Jednego serca! tak mało, tak mało!
Jednego serca trzeba mi na ziemi!
Coby przy mojem miłością zadrżało:
A byłbym cichym pomiędzy cichemi.

Jednych ust trzeba! skądbym wieczność całą
Pił napój szczęścia ustami mojemi;
I oczu dwoje, gdziebym patrzał śmiało,
Widząc się świętym pomiędzy świętemi.

Jednego serca i rąk białych dwoje!
Coby mi oczy zasłoniły moje,
Bym zasnął słodko, marząc o aniele,
Który mnie niesie w objęciach do nieba...
Jednego serca! tak mało mi trzeba,
A jednak widzę, że żądam — zawiele.

CHOĆ PÓL I ŁĄK...

Choć pól i łąk
Odmładzasz krąg,
Roznosząc woń miłosną,
Nie wrócisz mi

Młodości dni,
O czarodziejko, wiosno!

Nie wskrzesisz złud,
Pojących wprzód
Zachwytem serce moje:
Nie dla mnie już
Rumieńce róż
I świeżych uczuć zdroje!

Więc z czary twej
Dla innych lej
Rozkoszy słodkie miody;
Niech z twoich szat
Rwie cudny kwiat
Kochanków zastęp młody.

Mnie tylko daj
Szumiący gaj
Nad moją głową senną...
I otocz mnie
W głębokim śnie
Miłością dusz promienną.

TA ŁZA.

Ta łza, co z oczu twoich spływa,
Jak ogień pali moją duszę;

I wciąż mnie dręczy myśl straszliwa,
Że cię w nieszczęściu rzucić muszę,

Że cię zostawię tak znękaną,
I nic z win przeszłych nie odrobię —
Ta myśl jest wieczną serca raną
I ścigać będzie jeszcze w grobie.

Myślałem, że, nim rzucę ziemię,
Twych nieszczęść szala się przeważy,
Że z ramion ciężkie spadnie brzemię.
I ujrzę radość na twej twarzy.

Lecz gdy los na to nie dozwoli,
Po cierniach w górę wciąż się wspinaj;
A choć winienem twej niedoli,
Miłości mojej nie przeklinaj!

ENDYMION.

Blada Selene w błękity rzucona
Do drzemiącego wiecznie Edymiona
Co noc miłośnie wyciąga ramiona —

I czoło w srebrne ubiera promienie,
Kładąc na ustach senne pozdrowienie
I pocałunku wiecznego milczenie.

I ten cień cichy umarłych pasterza,
Nieprzebudzony w uściskach kochanki,
Co noc się nową młodością odświeża
I we mgłach tonie w różane poranki.

A przechylony w rozkosznem wygięciu,
Z wieczną pięknością, co mu z twarzy świeci,
Spoczywa cicho u lubej w objęciu
I z nią w zachwytów nieskończoność leci.

I tak przez wieki, pojąc się zachwytem,
Spleciony smutnej ogniwem miłości,
Grobów legendą jest i rajskim mytem,
Co zaświatowe rozjaśnia ciemności.

O! wieczność taką zyskać sobie senną.
Z takim aniołem, co życia nie budzi,
Lecz tylko duszę kołysze promienną
I łzami czoło rozpalone studzi —

I być strażnikiem grobów, które proszą
O łzy i miłość, i być tylko cieniem,
Którego skrzydła anielskie unoszą
Między nicością a grobów marzeniem:

To warto drugą wiecznością boleści
Kupić ją sobie i z ducha pogodą,
Za żywot, co się już w piersiach nie mieści,
Wziąć nieśmiertelność marzeń wiecznie młodą!

Za tym więc pójdę snem, i za tem niczem,

Tonąć w objęciu słodkiem i dziewiczem,
Co grób osłania życiem tajemniczem...

Aż ta miłości pełna i stęskniona
Do mnie nowego zstąpi Edymiona,
I pocałunkiem czas mi zamknie — ona!

MYŚLAŁEM, ŻE TO SEN.

Myślałem, że to sen, lecz to prawda była:
Z nadziemskich jasnych sfer do mnie tu zstąpiła;
Przyniosła dziwny blask w swoich modrych
[oczach,
Przyniosła kwiatów woń na złotych warkoczach.
Podała rączkę swą — szliśmy z sobą razem;
Przed nami jaśniał świat cudnym krajobrazem;
Pośród rozkosznych łąk i gajów mirtowych,
Wiecznie zielonych wzgórz i wód szafirowych
Szliśmy, nie mówiąc nic... a mnie się wydało,
Żem życia mego pieśń wypowiedział całą,
Czerpałem tajny skarb wiedzy i potęgi.
Wtem nagle przyszła myśl dziwna i szalona,
Żeby koniecznie dojść: skąd i kto jest ona?
I gdy zacząłem tak i ważyć i badać,
Kwiaty zaczęły schnąć, a liście opadać,
I nastał szary mrok... a ja w swoim biegu
Stanąłem w gęstej mgle na przepaści brzegu.
Strwożony zmianą tą, zwróciłem się do niej:

Niestety, już jej dłoń nie była w mej dłoni!
Słyszałem tylko głos, ginący w ciemności:
"Byłem natchnieniem twem, marą twej młodo-
[ści!"
I pozostałem sam — i noc świat pokryła!
Myślałem, że to sen — lecz to prawda była...

RÓŻNE ŁZY.

Szedłem gajem samotny i cichy,
I spotkałem dziewicę nadobną;
Ta łzy lała na kwiatów kielichy
I twarz miała, jak Niobe, żałobną.
Jej westchnienia z lekkiem wiatru drżeniem
W jedną falę spływały harmonii
I w powietrzu mieszały się z tchnieniem
Wonnych mirtów, jaśminów, lewkonii.
Łez widokiem wzruszony, co cieką,
Zapytałem: dlaczego się smuci?
Na to rzekła: "Odjechał daleko,
I nie wraca, i może nie wróci."
Te wyrazy, tak proste i smętne,
Ostrzem noża utkwiły w mem sercu,
I tłumiłem pragnienia namiętne,
Idąc dalej po łąki kobiercu.

I usiadłem nad morzem samotny,
Wyklinając me życie tułacze,

I łzy lałem na piasek wilgotny,
Że już teraz nikt za mną nie płacze...
Me westchnienia przygłuszył szum fali,
Serce moje pękało z żałości,
Myśl za morze popłynęła dalej...
I zostałem jako głaz w ciemności.

ŻYCZENIE.

Minęła wiosna, minęło lato,
I smutna jesień już mija;
Każdy dzień nową żegna mnie stratą
I resztę łez mych wypija.

Skończy się jesień, nadejdzie zima,
Pajęcza zerwie się przędza;
Serce chwil jasnych w locie nie wstrzyma...
Zostanie rozpacz i nędza.

I zima minie i świat nanowo
Przybierze postać wiośnianą;
Lecz mnie nie zbudzi miłości słowo:
Umarli z grobu nie wstaną!

Na godach życia duchem i ciałem
Inni już będą przytomni...
Lecz niech ta, którą tyle kochałem,
Czasami jeszcze mnie wspomni!

NADGROBEK.

Chwilę nad krwawym zbłąkany zagonem,
Wracam z pola znużony drogą nadpowietrzną;
Z próżnemi dłońmi, z sercem rozżalonem,
Kończąc wędrówkę marną, choć konieczną,
I w tył się zimną twarzą nie odwrócę,
Bo obojętnem jest mi to, co rzucę.

Nigdym się z ciemnych krain nie wychylił,
Ani rzeczywistości nie dotknąłem ręką,
Próżnom się stworzyć sferę życia silił:
Sen mi był życiem, przebudzenie męką,
I z za obłoków chyląc się niechętnie,
Patrzałem na świat łzawo, choć namiętnie!

I nigdym w nikim nie znalazł oparcia,
Coby podzielił ze mną gorycz próżnych chęci:
Więc sam zostałem zawsze podczas starcia
Bezsilność nosząc w cielesnej pieczęci, —
I choć bojowych uniknąłem skażeń,
Zostałem za to bez plonu i wrażeń.

I nigdym usty nie dotknął drżącemi
Ust drugich, coby w serce miłość ziemską lały:
Senne mnie tylko widma kołysały
I dziś me serce złożą do podziemi,
Gdzie rozsypane w proch śnić jeszcze będzie,
Że nad niem płaczą dziewicze łabędzie.

Ta czystość, grobu nimfom poślubiona,
Dała mej mglistej duszy świąteczną pogodę,
I melancholii łagodnej zasłona
Spadła na dziwną narcyzów urodę,
Co, nie znalazłszy nic dla siebie w życiu,
We własnym musi utonąć odbiciu.

W wiązance wspomnień, zbieranych starannie,
Nic nie przeżyje chwilą jutra mej mogiły.
Błyszczałem rosą uczuć nieustannie;
Lecz i tę ptaki niebieskie wypiły...
I tyle tylko pozostanie śladu,
Co po tych perłach, startych piersią gadu.

Ani opróżnię miejsca wśród gromady,
Choć zniknie cieniu mego przeźroczysta białość;
Nie pójdę błądzić po księżycu bladym
I od zbudzenia zbawi mnie ospałość,
I głuche nawet echa nie powtórzą,
Żem się już ukrył przed boleści burzą.

NA PAMIĄTKĘ.

Na pamiątkę, żem chwil kilka
Żył w czarownych marzeń kole,
Że z nich jedna, jedna chwilka
Zostawiła wspomnień pole, —
    Na pamiątkę cóż zostanie?

Na pamiątkę, żem przez ciernie
Drogi życia przeszedł wiernie
I bez skargi, jak przez róże;
Że nie zgięły mego czoła
Żadne wichry, żadne burze, —
Na pamiątkę cóż zostanie?

Na pamiątkę natchnień rzewnych,
Com piastował w swojej duszy,
I tych kilku dźwięków śpiewnych,
Co wiatr uniósł i przygłuszy;
Na pamiątkę łez ukrytych,
Ideałów niezdobytych —
Na pamiątkę cóż zostanie?

W ALBUMIE.

Kiedyś mi serce wzięła, niech ci służy
Jako rozbite muzyczne narzędzie!
Ręka twa śpiewne zeń tony dobędzie
I życie nowym akordem przedłuży,
Co przeniesiony w zagrobowe świty
Falą harmonii przepełni błękity.

Niechaj nie zadrży myśl twa ani ręka,
Sądząc, że próżno w boleściach się łamie;
Nadzieją szczęścia los go nie okłamie,
Ani go rajska nie zbawi jutrzenka;

Lecz gdy się krwi swej rubinem obleje,
Wdzięczne jak róża cmentarza jaśnieje.

Niechaj ta chwila, co mu jeszcze dłużna
Kilka jaśniejszych natchnień i wybuchów,
Przejdzie wśród walki tytanicznych duchów,
A nie jak z niebios rzucona jałmużna;
Niech się przystroi w swe świąteczne szaty,
Wieńczone ręką posępnej Hekaty.

Jeśli cię straszy ten dźwięk, co ulany
Z ostatniej myśli, która w grobach żyje —
Rzuć! niech się w ciche popioły zaryje,
Jak liść jesienny wichrami zagnany,
I wzrok zatrzymaj chwilę na popiołach...
A może wieczność prześni o aniołach!

DO...

Przekleństwa synu! co Kaina piętnem
Straszysz w dzień biały Chrystusową trzodę,
Przybywaj do mnie! W uściśnieniu smętnem
Znajdziesz dla siebie gorycz i ochłodę.
Znanyś mi zdawna, gdy życiem namiętnem
Przyniosłeś duszy swojej wieczną szkodę,
Rzuciwszy cnoty gościniec utarty
I do bram niebios biegnąc i odparty

Lepiej ci było wraz z bracią Ablową
Przeżuwać życie na pokory zębie,

Kochać na rozkaz i wierzyć na słowo,
Paląc na stosie ofiarnym gołębie —
Niźli, do boju stanąwszy z Jehową.
Przeglądać bytu i nicestwa głębie:
Nie byłby nosił fatalnej pieczęci,
Na którą z wstrętem patrzą wniebowzięci!

Lecz tem, czem jesteś, skazany na piekło,
Tem cię mieć pragnę, gościu mój posępny!
Bo jakieś echo podziemne mi rzekło,
Że los nasz jeden, że i ja występny, —
Czemu tem bardziej wierzyć teraz muszę,
Gdy jasne niebo z piersi mej uciekło
I sam zostałem, nieprzystępny skrusze,
A tylko jednej rozpaczy przystępny.

Razem więc z tobą, synu potępienia,
Nad Babilonu wodami usiędziem,
A nieśmietelni wielkością zwątpienia,
Z swej piersi głosu strasznego dobędziem;
Z Prometeuszów wiecznością cierpienia,
I z sępem żądzy, męczarni narzędziem,
W własnej niemocy skowani łańcuchy,
Zostaniem bratnie dwa stracone duchy!

Lecz nim utoniem w niepamięci fali,
Przed okiem ludzi skryci w obłok czarny,
Niech ich pieśń nasza gromem wstydu spali,
Że w nikczemności pędząc żywot marny,
Płazowe szczęście, nie wielkość obrali!
Niech ich ród, szczęsny, cierpliwy i karny,

Z pokorą znosi losów wyrok twardy:
My im zapłaćmy jałmużną pogardy.

ANIELSKIE CHÓRY.

Anielskie śpiewają chóry
W gwiaździstem błękitów morzu,
Wśród nocnej ciszy, przy łożu
Sennej natury.

Śpiewają tej biednej ziemi,
Co, wiecznie w świeżej żałobie,
Jak matka płacze na grobie
Za dziećmi swemi.

Śpiewają ludziom, co dyszą
W codziennym, a krwawym trudzie;
Lecz biedni, zmęczeni ludzie
Pieśni nie słyszą!

I tylko ci, którzy toną
W wielkiej miłości pragnieniu,
Ci słyszą w serc swoich drżeniu,
Tę pieśń natchnioną!

PROŚBA.

O mój Aniele, ty rękę
Daj!
Przez łzy i mękę,
Przez ciemny kraj,
Do jasnych źródeł ty mnie doprowadź, —
Racz się zlitować!

Serce me zwiędło jak marny
Liść;
Wśród nocy czarnej
Nie wiem gdzie iść,
I po przepaściach muszę nocować, —
Więc ty mię prowadź!

To, com ukochał, com tyle
Czcił,
Zdeptane w pyle
Padło bez sił;
Rozpacz i hańbę widząc po drodze,
Stanąłem w trwodze.

Widziałem zbrodni zwycięski
Szał,
Widziałem klęski
Duchów i ciał:
Więc obłąkany boleścią chodzę
We łzach i trwodze.

I nie wiem teraz w co wierzyć
Mam?
Jak dzień mój przeżyć
W ciemności — sam?
Nie wiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie!
Więc ty zstąp do mnie!

Lękam się wstąpić z wątpieniem
W grób;
I z utęsknieniem
Do twoich stóp
Chylę się z prośbą i nieprzytomnie
Wołam: zstąp do mnie!

Pokaż mi tryumf w przyszłości
Dniach,
Tryumf miłości
Kupiony w łzach,
I ludu mego zwycięstwo jasne
Pokaż, nim zasnę!

Pokaż mi ciszę wschodzących
Zórz,
Zmartwychwstających
Królestwo dusz:
A dbać nie będę o szczęście własne —
Spokojny zasnę.

USPRAWIEDLIWIENIE.

Odtrąciłem od siebie z daleka
Samolubną boleść, co się żali;
Jednak w piersiach mam serce człowieka
I nie jestem ukuty ze stali.

Więc, dźwigając swoich smutków brzemię,
Czuję nieraz, że mi braknie sił,
I upadam zmęczony na ziemię,
Odkrywając rany, którem krył.

Lecz słabości nie wstydzę się swojej.
Ni litości cudzej, którą czerpię;
Mnie czasami żądać jej przystoi,
Gdyż nietylko sam za siebie cierpię.

Wszystkie ludzkie nędze i rozpacze
W swojem sercu pomieszczone mam;
Gdy nad szczęściem utraconem płaczę,
To nad czyjem? — nie wiem dobrze sam!

POŻEGNALNE SŁOWO.

O drogę moję pytasz się i zżymasz,
Że ta wykracza poza słońc twych sfery...
Nie chcę cię łudzić, — widzisz: jestem szczery —

Nie pójdziesz ze mną, lecz mnie nie powstrzy-
masz!
Gdzie świat mój? słońce? gdzie jest moja meta?
Może meteor błędny, nie kometa,
Chwilę nadziemskie olśniwszy etery,
Zgasnę w ciemnościach: więc imię me wymaż
Z listy twych bratnich planet, co bez końca
Kręcić się będą koło swego słońca.
Może kataklizm straszny mnie tam wiąże
Z nieznajomego biegunami świata...
Może fatalizm pcha mnie, a zatrata
Jedynym kresem, do którego dążę...
Na cóż mi wiedzieć, gdy wytknięta droga?
A resztę zdałem na los, czy na Boga...

Jam już zmęczony tą ciągłą gonitwą,
W której co chwila duch mój łamał skrzydła;
Nie mogłem niebios przejednać modlitwą,
A Syzyfowa praca mi obrzydła;
Nie chcę już ducha okiełznać w wędzidła,
Jak niesfornego rumaka przed bitwą,
By zwyciężonym powrócić z wyłomu,
Unosząc hańbę do pustego domu.

Ach, w tej bezbrzeżnej pustyni dla ducha
Niema gdzie widzeń swoich ucieleśnić!
Więc chociaż serce jak wulkan wybucha,
Samotne musi wieczność gniewu prześnić
I do grobowców przywyknąć milczenia,
Nim znajdzie w prochach ciszę zakończenia.

Wolę więc, pełen pogardy i wstrętu,
Odwrócić moje obłąkane oczy —

Od tego lądu próżnego lamentu,
Od tej przyszłości, którą robak toczy,
I zapatrzony w mój ideał biały
Stać jako posąg na ból skamieniały.

A kiedy słońce gasnące oświeci
Ostatni dzień mych marzeń i upadek
Sam swojej hańby i rozpaczy świadek,
W milczącą przepaść duch się mój rozleci
I nie zostawi dla was nic po sobie,
Cobyście mogli lżyć litością w grobie.

ACH, JAK MI SMUTNO!

Ach, jak mi smutno! mój anioł mnie rzucił,
W daleki odbiegł świat,
I próżno wzywam, ażeby mi zwrócił
Zabrany marzeń kwiat.
Ach, jak mi smutno! cień mnie już otacza,
Posępny grobu cień...
Serce się jeszcze zrywa i rozpacza,
Szukając jasnych tchnień;
Ale napróżno uciszyć się lęka
I próżno przeszłość oskarża rozrzutną!
Cięży już nad niem niewidzialna ręka —
Ach, jak mi smutno!

TĘSKNOTA.

Obłoki, co z ziemi wstają
I płyną w słońca blask złoty,
Ach, one mi się być zdają
Skrzydłami mojej tęsknoty.

Te białe skrzydła powiewne
Często nad ziemią obwisną;
Łzy po nich spływają rzewne,
Czasem i tęczą zabłysną.

Gwiazdy, co krążą w przestrzeniach
Po drogach nieskończoności,
Są one dla mnie w marzeniach
Oczami mojej miłości.

Patrzą się w ciemne odmęty
Te wielkie ruchome słońca —
I ja, miłością przejęty
Patrzę i tęsknię bez końca.

UWIELBIENIE.

Umarły jeszcze będę wielbić ciebie!
I nie zapomnę, pod ziemią, czy w niebie,
O twej jasności;
Boś ty mi była, nie próżnem marzeniem,

Nie bańką zmysłów tęczowej nicości,
Lecz byłaś ducha ożywczem pragnieniem
Wiecznej miłości!

Nie otoczyłaś mnie pieszczotą senną,
Ani też falą spłynęłaś płomienną
Na pierś stęsknioną;
Nie wprowadziłaś mnie na róż posłanie,
Gdzie tylko ciała w upojeniu toną:
Lecz mi piękności dałaś pożądanie, —
Moc nieskończoną.

WSPOMNIENIE.

Ach, tam! gdzie pierwsza witała mnie zorza,
Gdzie tyle w życiu dosłyszałem gwaru,
Przez te zastygłe i umarłe morza
Wrócę do uczuć młodzieńczych pożaru,
Po kwiat się jeden schylę nad łez wodą:
A może znajdę swoję duszę młodą —

Taką, jak była w poranku stworzenia,
Gdy biegła witać świat ten, dla niej nowy,
Żądzą miłości, walki i cierpienia,
W blask się jutrzenki przybrawszy różowy.
I zakochana w własnych mar odbiciu
Zaczęła pierwszy poemat o życiu.

O! poemacie młodości, któż może
Na twe wspomnienie obojętnym zostać?
I widzieć ten sen i to kwiatów łoże,
Na którem jasna spoczywała postać?
I choć na chwilę nie spłonąć rozkoszą
Wśród rajskich widzeń, które woń roznoszą?

W maju, w urocze bogatym poranki,
W kwitnącej życia chwili, z marzeń tęczy
Komuż nie spływa niebiańskiej kochanki
Widmo, co serce jak lutnię rozdźwięczy,
I paląc piersi namiętnym oddechem,
Komuż nie porwie duszy niebios echem?..

Nikły meteor, lecz toruje drogę
I nieśmiertelność pragnień w piersiach szczepi:
Więc choć na widmie postawi się nogę,
Boleść mu nowy piedestał ulepi,
Gdzie stojąc, skrzy się różowym płomieniem
Do chwili, w której wszystko zajdzie cieniem.

Gdzież jest to pierwsze rozkoszne zjawisko,
Co się do piersi mej tuliło drżącej?
Ach! tak daleko już, i ach, tak blizko ...
Odchodzi zwolna od wierzby płaczącej,
Co ocieniała rozmarzone głowy,
Słuchając sennej słowików rozmowy...

Wracaj, o luba! wszakże zmierzch wieczorny
Zranione serca zwykł zbliżać do siebie;
Na ustach twoich zawisnę pokorny

I całą pamięć przeszłości zagrzebię;
Jak feniks z własnych powstanie popiołów
To opętane serce przez aniołów.

Czy pomnisz dzień ten omamień bez trwogi,
W którym miłości rzuciłaś mi słowo?
A jam ci światy chciał rzucić pod nogi
I innem życiem natchnąć je nanowo,
Bom się tak uczuł wielki, dumny, silny,
Że chciałem nawet wskrzesić świat mogilny...

Jeżeli pomnisz dzień ten i wyrazy,
Które się lały wezbranym potokiem,
Wiedz, że wciąż do tej zielonej oazy
Wybiegam sercem i myślą i wzrokiem;
U tego źródła, co tak żywo bije,
Jak gołąb pióra obmywam i piję...

A gdy się zdrojem tych wspomnień odświeżę,
Gdy się upoję miłości tej wonią,
Znowu zaczynam kochać i znów wierzę,
Że zdołam jeszcze wzlecieć w niebo po nie,
I zapominam, com cierpiał i przeżył,
Bylebym jeszcze chwilę dłużej wierzył.

I zapominam, że mi już nie wolno
Powrócić w przeszłość jasną i szczęśliwą;
Że muszę naprzód drogą iść mozolną,
I snuć z swej piersi pajęcze przędziwo:
Więc, na to wszystko niepomny przez chwilę,
Chcę przybrać skrzydła i barwy motyle.

Lecz już zapóźno! duszy, co się wzbija,
Motyle skrzydła unieść już nie mogą!
Chwila upojeń bezpowrotnie mija,
I dziś trza pełzać wydeptaną drogą,
O żadne loty więcej się nie kusić,
Milczeć i serce do milczenia zmusić.

Do ciebie wrócić nie chcę i nie mogę,
Bo już zaginął dawny kształt — młodzieńczy;
Długą przebyłem po przepaściach drogę,
I dziś już żadna róża mnie nie wieńczy:
Wolę się ukryć przed twym wzrokiem w cieniu
I żyć młodością wieczną w twem wspomnieniu.

Miałbym odsłonić przed tobą pierś pustą,
W której wygasła siła i namiętność?
Miałbym pozwolić pocałunku ustom,
Na których usiadł chłód i obojętność?
O, nie! na wieki wolę się rozłączyć,
Niż gorycz moją w twoje serce sączyć!

Tak więc odchodzę, bez żalu, bez serca.
Słowiki wspomnień do snu już się kładą
I tylko puhacz, posępny szyderca,
Słyszeć się daje. Ja twarz zwracam bladą
I przez dzielący nas przeszłości cmentarz
Rzucam pytanie: "Czy jeszcze pamiętasz?"

W CICHEJ PRZYSTANI.

Kiedy już umrę, każ mi, matko miła,
Włożyć do trumny białe ślubne szaty:
Będę o cichych zaślubinach śniła,
Ubrana w mirtu i pomarańcz kwiaty.
Niech śmierć mi wdzięku marzeń nie umniejsza...
W marzeniach serca leży dziwna siła:
Od samej śmierci miłość jest silniejsza!

Nie wiem dlaczego, lecz w ostatniej chwili.
Inaczej patrzę na życia koleje:
Serce już losom oprzeć się nie sili,
Przebyta boleść cichnie i maleje,
I wszystko znika nakształt snu przykrego,
Który blask dzienny na zawsze rozwieje,
Choć w oczach pełno jeszcze łez od niego.

Dawniej zbyt często duch bólem miotany
Stawał oporem przeciw woli bożej,
Smutnych przeznaczeń żądając odmiany
I zwrotu szczęścia utraconej zorzy;
Za ziemskim rajem tęskniąc najgoręcej,
Bezsilną walką powiększał swe rany
I nad swą boleść nic nie widział więcej...

Dziś, gdyby anioł, co stoi nade mną,
Dał mi moc losem rozrządzić do woli
I po swe szczęście wrócić w przeszłość ciemną,

Już-bym nie chciał ... dusza, gdy przeboli
Raz wszystkie ziemskie cierpienia serdeczne,
Nie chce się nagiąć do znikomej doli
I tylko sięga po to — co już wieczne!

Dziś mogę patrzeć wolna od goryczy
Na te palące przeszłości widziadła;
Ból już na grozie stracił tajemniczej
I wymarzona szczęśliwość—pobladła,
I wszystkie straty, najcięższe w wspomnieniu,
Spływają w jeden obraz malowniczy,
Zstępując do mnie w cudnem oświetleniu.

Z spokojem patrzę na tę postać drogą,
Co prowadziła mnie w słoneczne światy,
Na chwile słodkie, w których ludzie mogą
Własnych serc wonią poić się jak kwiaty —
I żyć bez pragnień, czasu i przestrzeni,
Nie dotykając nawet ziemskiej szaty,
A tylko w słońce miłości wpatrzeni.

Z równym spokojem spoglądam na cienie,
Które zaćmiły mój obrazek złoty;
Widzę noc czarną... trwogę... rozłączenie...
Próżne nadzieje, żale i tęsknoty!
Nawet śmierć jego wspominam z spokojem,
A z piersi żadne rwie się westchnienie,
I łzy już żadnej niema w oku mojem.

A jednak we mnie miłość nie umarła,
Tylko pełniejszej żąda szczęścia miary:
O nieśmiertelność skrzydła swe oparła,

Poza grób sięga jasnym wzrokiem wiary
I przerzucona w drugą światów stronę
Znajduje wszystko, co tutaj mrok szary
Pokrył dla oczu śmiertelnych zniknione.

Jestem zbyt pewną, że cudowna siła,
Która dwa serca łączy kochające,
Choćby nie istniał jeszcze-by stworzyła
Raj, gdzieby mogły zejść się po rozłące:
Więc kiedy przyjdzie ów cichy cherubin
Zamknąć mi oczy, to ja będę śniła,
Że mnie kochanek wzywa do zaślubin.

ZMARŁEJ DZIEWICY.

Zasnęła cicho — i nic jej nie zbudzi,
Ani płacz siostry, ani matki łkanie,
Ani gwar obcych, a ciekawych ludzi,
Co otoczyli śmiertelne posłanie;
Już jej dosięgnąć boleść nie jest w stanie —
Zasnęła cicho i nic jej nie zbudzi.

Na zawsze swoje zamknęła powieki
Spokojna, blada, smutna narzeczona
Anioła, co ją poślubił na wieki;
Jakoby w jasny posąg zamieniona,
Zaziemskich widzeń jasnością olśniona —
Na zawsze swoje zamknęła powieki.

Ostatni uśmiech wykwitł na jej twarzy,
A obok niego dziwne zamyślenie...
Jeszcze się może nad jej kształtem waży
Zbiegłego życia rozwiane marzenie:
Więc choć ją wieczność ubrała w milczenie —
Ostatni uśmiech wykwitł na jej twarzy.

Z rozbitej czary idealnych marzeń
Piła zaledwie woń kwiatów wiosenną;
Od rozczarowań wolna i od skażeń
Rzuciła czarę pod urnę kamienną
I w sferę duchów wzlatuje promienną —
Z rozbitej czary idealnych marzeń.

Rozmiłowana w nieśmiertelnem pięknie,
Ukołysana pieśnią tajemniczą,
Ani się grobu ciemności ulęknie,
Ani zatęskni za życia goryczą,
Ale uwieczni swą piękność dziewiczą —
Rozmiłowana w nieśmiertelnem pięknie.

Mistrzowstwo śmierci i śmierci potęga
Białego kwiatu utrwaliły białość.
Co życie w biegu niszczy i rozprzęga,
To śmierć obleka w harmonijną całość,
I nieskalaną daje doskonałość —
Mistrzowstwo śmierci i śmierci potęga!

W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju
Zakwita róża mistyczna zachwytu...
Znikome kształty padły w życia boju,

Lecz to, co boskie, na fali błękitu
Wraca panować nad zmiennością bytu —
W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju.

REZYGNACYA.

Wszystko skończone już pomiędzy nami!
I sny o szczęściu pierzchły bezpowrotnie!
Wziąłem już rozbrat z tęsknotą i łzami:
I żyć i umrzeć potrafię samotnie.

Dziś nic z mych piersi skargi nie dobędzie,
Nic jej nie przejmie zachwytem lub trwogą:
Nie wyda dźwięku rozbite narzędzie;
Pęknięte struny zadrżeć już nie mogą.

Niema boleści, coby mnie trwożyła,
Bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzę;
Ogniowa próba dla mnie się skończyła,
I do cierpiących więcej nie należę.

I żadne szczęście ziemskie mnie nie zwabi,
Żebym się po nie miał schylić ku ziemi...
I żaden zawód sił mych nie osłabi:
Przebytą męką panuję nad niemi.

Światowych uczuć nicość i obłuda
Już mnie nie porwie swym chwilowym szałem;
Przestałem wierzyć w te fałszywe cuda,
Więc i zwątpieniu ulegać przestałem.

Z całego tłumu zmyślonych aniołów,
Połyskujących tęczą swoich skrzydeł,
Została tylko szara garść popiołów
I wiotkę nici porwanych już sideł.

Dziś jeden tylko duch mi towarzyszy,
Co rezygnacyi nosi ziemskie miano;
On wszystkie burze na zawsze uciszy
I da mi zbroję w ogniu hartowaną.

W tej zbroi — przejdę przez świat obojętnie,
Surowe prawdy życia mierząc wzrokiem;
Ani się gniewem kiedy roznamiętnię,
Ani się ugnę przed losu wyrokiem.

Patrząc się zdala na kłamliwe rzesze,
Na ich zabiegi o błyskotki próżne,
Kamieniem na nie rzucić nie pośpieszę,
I pobłażania jeszcze dam jałmużnę.

Niech się więc kończy owa sztuka ładna,
Co się zwie życiem, w cieniu cichej nocy!
Bo żadna rozpacz i nadzieja żadna
Nad mojem sercem nie ma już dziś mocy.

IDŹ DALEJ.

Wzywałem ciemności: niech wstanie
I niech mnie pogrąży w noc ciemną!

Wzywałem milczące otchłanie,
By łona zawarły nade mną;

Wzywałem strasznego anioła:
Niech ślad mój zagładzi na ziemi,
Niech wszystkie dnie moje odwoła,
Niepamięć rozpostrze nad niemi!

Lecz próżno wzywałem litości,
Jak inni przede mną wzywali...
Głos tylko mnie doszedł z ciemności,
Co wołał: "Idź dalej, idź dalej!"

SAM NA SAM.

Dzień był tak ciężki!.. Wieczór taki głychy,
Wiejący grobów chłodem i żałobą...
Wszystkie życzliwe odbiegły mnie duchy,
Łzy i nadzieje unosząc ze sobą...
Więc przy ognisku wygasłem, sczerniałem
Sam na sam tylko z nieszczęściem zostałem.

Gość to surowy: czuwa on przytomnie,
Bym chwilę w słodszem nie spoczął marzeniu,
By żaden uśmiech nie doleciał do mnie
Na jakim słońca jaśniejszym promieniu,
I od wszelakiej pokusy mnie broni,
Zawsze w żelaznej przytrzymując dłoni.

Gość to surowy: serca nie rozpieści,
Ani mu nie da we łzy się rozpłynąć;
Lecz, wszystkie naraz gromadząc boleści,
Każe mu stwardnieć pod ciosem — lub zginąć..
I dalej w przyszłość prowadzi mnie ciemną,
Upominając, że wciąż będzie ze mną.

Ja mu zaś mówię: Pozostań na straży
Mojego życia jak wierny towarzysz;
Do twojej groźnej przywykłem już twarzy,
I do tych ciosów, któremi mnie darzysz,
I skorzystałem wiele z twej wymowy,
Nauczycielu wielki! choć surowy.

Dość mi, że wobec ciebie niezłamany
Na gruzach całej swej przeszłości stoję...
Na tych dni kilka nie pragnę odmiany,
Bo nie dbam więcej już o losy swoje;
Lecz gdy mnie własne cierpienia utrudzą,
Potrafię jeszcze żyć radością cudzą.

Niech więc twa ręka wszystko we mnie kruszy,
Co z osobistem pragnieniem się wiąże:
Najlepszej cząstki nie wydrzesz mi z duszy,
Ni tej światłości, w stronę której dążę...
Depcz śmiało ziemską istotę ułomną,
O której duch mój i ludzie zapomną!

To, co dobrego w moich piersiach tkwiło,
Co się wiązało z wspólnem życiem świata,
To — pozostanie pięknością lub siłą.

Chociaż znikoma już opadnie szata,
I w innych sercach żyć nanowo będzie,
Dotychczasowe rzuciwszy narzędzie.

Zresztą — niech wszystko niepamięć pochłonie,
Co nosi doli osobistej piętna!
Niech się rozgrywa dalej w mojem łonie
Ta walka z losem smutna i namiętna...
Bo oto w świetle grobu tajemniczem
I ból... i rozkosz... zarówno są niczem!

POD STOPY KRZYŻA.

Dużo cierpiałem... lecz koniec się zbliża ..
Z uspokojeniem po przebytej męce
Pójdź, o Chryste, do stóp twego krzyża
Wyciągnąć znowu z utęsknieniem ręce
Powitać ciszę ze wschodzącej zorzy,
Która mnie w prochy u stóp twych położy!

Nie pomnę modlitw, com niegdyś ze skruchą
Przy boku matki powtarzał niewinny:
Te utonęły w fali życia głucho,
I odkąd w gruzy padł mój raj dziecinny,
Odkąd mi zbrakło ojczyzny i domu,
Nie otworzyłem mej duszy nikomu!

Nawet przed Tobą, nie mogłem, o Panie,
Wydobyć płaczu z mej piersi ściśniętej;

Bo wzrok mój padał w bezdenne otchłanie,
A Tyś mi zniknął na krzyżu rozpięty,
Z pośród pokoleń rozrzuconych kości,
Za ciemną chmurą krwi, łez i nicości.

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota;
Widziałem zbrodnie — nie widziałem kary;
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie widziałem: i zbrakło mi wiary,
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach płaczą.

Widziałem trwogę i niemoc konania,
Widziałem duchów hańbę i upadek;
Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania;
I próżnych męczeństw przerażony świadek,
Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje,
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję.

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą;
Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie,
Wiedzą przynajmniej dlaczego tam lecą
I że przyjmując każdy ból i ranę,
W piersiach anielstwo noszą nieskalane...

Lecz gdym obaczył, skąd to wszystkie czyny
Swój tajemniczy początek wywodzą;
Skąd wyrastają ściekłe krwią wawrzyny,
Gdzie upadają ci, co w niebo godzą,
I, gdy wnikając w serc zranionych ciemność,
Za każdym bólem znalazłem nikczemność —

Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posępnej,
I przeklinałem tę rzeszę żałobną
I pogardzałem niemi — sam występny...
I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Żem nie mógł kochać jak dawniej, za młodu.

Tak więc w mej duszy zburzonym kościele
Została straszna pustka i samotność;
Sam jako nędzarz zostałem w popiele
I własną badać zacząłem przewrotność,
I wszystko w sobie znalazłem to samo,
Co mi się zdało być u drugich plamą.

Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche,
Co kłamią tylko pozór wyższej cnoty,
Olbrzymią nicość i olbrzymią pychę
Znalazłem na dnie swej własnej istoty, —
I tak swe serce rozpoznawszy chore,
Straciłem w sobie ostatnią podporę.

Lecz ta upadku właśnie ostateczność,
Co mnie w bezdennej pogrążyła nocy,
Dała mi poznać wszechwładną konieczność
Wyższej, a zatem nieskończonej mocy —
I moja rozpacz szalona i trwoga
Świadczyła jeszcze o potędze Boga.

Na mojej piersi spoczywał schowany
Maleński krzyżyk ze słoniowej kości,
Świadek młodzieńczej wiary nieskalanej,
Dar macierzyńskiej najczystszej miłości,

Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego, boskiego męczeństwa.

Kiedy go teraz na piersi zbolałej'
Po latach tylu znalazłem niewierny,
Tak mi się wydał znowu jasny, biały,
Taki potężny i tak miłosierny,
Że znów tęsknotą zadrżało mi łono
Za tą postacią tyle uwielbioną!

I powitałem światło wiecznie nowe
Z tych jasnych ramion krzyża tryskające,..
I na skrwawione stopy Chrystusowe
Tak samo lałem moje łzy gorące,
Jak wówczas, kiedym poił serce młode,
Patrząc na mistrza nadziemską pogodę,

I znów słyszałem te boskie wyrazy:
"Chodźcie tu do mnie, wy, którzy cierpicie,
'Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy.
"We mnie jest spokój i we mnie jest życie!
"Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie:
Wszystko przemija, — prawda nie przeminie.

Więc posłuchałem słodkiego wezwania —
I oto idę z mem sercem schorzałem,
I pewny jestem twego zmiłowania,
Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem
I drogi życia przeszedłem cierniste...
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz, Chryste!

ASCETA.

I.

W Tobie, o Panie, zamknąłem życie;
Ku Tobie dusza jawnie i skrycie
Płynie drogami wszystkiemi...
I wciąż katuję wzgardzone ciało,
Chcąc Twoją tylko oddychać chwałą
A zostać obcym tej ziemi.

Tyle lat klęczę tutaj w pokorze
I wzrok zatapiam w jasności morze,
Za którą mam Cię pożądać...
Nie dość, że Ciebie myśl ma odgadnie:
Ja Cię przeniknąć pragnę dokładnie,
Oczyma ducha oglądać!

Więc zapatrzony w wieczyste blaski,
Spragniony widzeń natchnionych łaski,
Krwawemi świecę stygmaty
I, wylatując za ziemską glinę,
W nieskończoności pożądań ginę,
W Twoje wdzierając się światy.

Lecz próżno miłość świętą rozpalam,
Próżno się z więzów ciała wyzwalam:
Nie mogę jeszcze, nie mogę
Przedrzeć ostatnich mroków zasłony
I przez serafów jasne legiony
Ostatnią otworzyć drogę...

Jeszcze królestwo Twoje nie spadło
Na duszy mojej smutne zwierciadło,
By się tam zawrzeć jak w grobie;
I nie leżałem w prochu zdrętwiały
Przed majestatem straszliwej chwały,
Widząc Cię w ogniach przy sobie.

Czasami tylko, bólem targany,
Duch mój porzuca cielska łachmany,
W nowe przedzierzga się życie
I do twych niebios biegnie promienny
W apoteozie rozlać się sennej —
A ja umieram w zachwycie...

I już się oczom moim odsłania
Przez rozstąpionych grobów błyskania
Ta Jeruzalem bez zmazy,
Co na zburzonym świata porządku
Staje bez końca i bez początku —
Przybytkiem wiecznej ekstazy.
Lecz ledwie pierwszym świtem ogrzany
Zrywam objawień świat pożądany,
Uduchowione upajam zmysły,
Gdy nagle z natchnień moich zenitu
Do dawnej wracam martwości bytu...
I rajskie widzenia prysły.

II.

Panie! z otwartym duszy kielichem,
W unicestwieniu pogrążon cichem,
Nowemi ogniami płonę,

Niema już dla mnie czasu, przestrzeni,
Tylko się zorza wiecznie promieni:
Nie jestem — lecz w Tobie tonę,

Wznoszę się, lecę...' Głębia bez końca,
A chociaż niema ziemskiego słońca,
Oczy znieść blasków nie w stanie:
To nie są gwiazdy, to nie są chmury,
Ale skrzydlate anielskie chóry,
Co wiodą w świateł otchłanie.

O! to krzyż wielki tę jasność miota,
A u stóp jego źródło żywota
Rozlewa wieczne strumienie;
Tłumy wybranych, miliony całe,
Niby błyszczące gołębie białe,
Piją zeń swoje zbawienie.

Wszyscy swe oczy wznoszą w tę stronę,
Gdzie zakrwawioną ciernów koronę
Trzymają złote Cheruby;
A pod nią wyższe orszaki świętych,
Na nieskończonej tęczy rozpiętych,
Jako gwiaździste tkwią śruby.

" Jedni z otwartą księgą wyroków
Przestrzenie mierzą okiem proroków
A chwałę ustami niosą;
Drudzy weselne śpiewają psalmy,
Strojni w zielone męczeńskie palmy,
I krwawą myją się rosą.
W tych sfer duchowych ruchomej fali

Dziewic przeczystych rój płynie —
Każda z srebrzystym na głowie wieńcem —
W godowych szatach przed oblubieńcem
Stanąć w tryumfu godzinie.

Ach! i ta płynie... jasna, natchniona,
Z takiem spojrzeniem niebios jak ona,
Co stała drżąca i blada,
Gdym usta topił w złotym warkoczu..
Gdzie jesteś, Panie? tracę Cię z oczu —
I niebo Twoje przepada!

III.

Cóż mi ta ziemia? jej się wyparłem.
I cóż mi ludzie? dla nich umarłem,
I nic mnie z nimi nie łączy.
Ziemskie pociechy, ziemskie boleści —
To tyleż bluźnierstw odmiennej treści,
Których jad w serce się sączy.

Niechaj krwią dymi czara ohydna,
Niech się urąga tłuszcza bezwstydna,
Tryumfy święcąc zwodnicze!
W kłamstwie upadną kłamstwa czciciele,
Co na jałowym wieków popiele
Nietrwałe łowią zdobycze.

Niech obłąkane dumą anioły,
Co chcą zapłodnić martwe popioły,
Ziemskiej oddani ojczyźnie,
Dotknięci słusznym niebios wyrokiem,

Nie dojrzą Boga stęsknionem okiem,
W dziejowej niknąc krwawiźnie...

Ponad tą lichą robactwa wrzawą,
Co się dobija o życia prawo
W fałszu chwilowych zapędów,
Niezmienna prawda, do której dążę,
Jedna warunki życia rozwiąże
I skruszy kajdany błędów.

Tam! za tą wstrętną plamą nierządu
Bić już zaczyna godzina sądu
Dla ciemnych ludzkości marzeń;
I duchy, trwogą przeczuć miotane,
Patrzą się, dzikim bólem złamane,
W niebiosa pełne przerażeń.

Czas się wiekowej wypełnia zgrozy,
I na gwiaździste wstąpił już wozy
Żelaznem berłem rządzący.
Ten, co go nie zña nawet z imienia
Świat, choć pokazał twarz Swą z płomienia
A w ręku swojem sierp lśniący —

Idzie na żniwo; przed nim anioły
Równają ziemskie góry i doły
Pługami ostatnich zniszczeń,
I przewracając glebę cmentarną,
Zbierają ważne i czyste ziarno
W omłocie boskich oczyszczeń.

Duchy brylantem zasług bogate
Wdziewają świetną zwycięstwa szatę,
W nadziemskiej stają ozdobie;
Nawet skalane krwią ludzką zbójce,
Przeszedłszy męki Twojej ogrójce,
Wznoszą się czyste ku Tobie.

Jacyż to biedni i odtrąceni,
Idą w czerwone morze płomieni,
Okryci hańby swej piętnem?
Ach! to ostatni z mojego ludu,
Co próżno w jasnych zmartwychwstań cudu
Oczekiwaniu stał smętnem.

Bezpłodne męki dostał w udziale,
Choć zawsze świadczył o Twojej chwale,
I dziś go czeka zagłada!
Takąż robotnik Twój bierze płacę?

. . . .

Gdzie jesteś, Panie? z oczów Cię tracę —
I niebo Twoje przepada!

WIECZNIE TO SAMO.

Wiecznie ta sama płynie zjawisk fala,
I wciąż obrazy odnawia te same;
Wiecznie jutrzenka swe ognie zapala,
Z mgieł purpurowych tworząc słońcu bramę;

Wiecznie te same czary wiosna niesie,
Blaski i wonie, kwiaty i zieloność,
Te same chóry śpiewnych ptasząt w lesie,
Tę samą tęsknych pragnień nieskończoność;

Tą samą serca poją się rozkoszą,
I wiecznie snują nić tej samej przędzy;
Wiecznie te same skargi się podnoszą
Z ciemnej otchłani rozpaczy i nędzy:

A jednak jasność jutrzenki, wdzięk wiosny,
Ziemia, i morze, i niebios sklepienie,
Młodość, tęsknota, i zachwyt miłosny,
Rozkosz i boleść, walka i zwątpienie,
I każda śpiewna kochanków rozmowa —
Wiecznie jest nowa!...

BÓSTWO TAJEMNICZE.

Jarosławowi Vrchlickiemu.

Na chmurnym szczycie góry
Kamienne jest oblicze;
Świątyni kryją mury
To bóstwo tajemnicze.

Składają mu ofiary
Zastępy wiernych sług —

Przez dym kadzideł szary
Poczerniał stary bóg.

Twarz jego skryta w cieniu,
Przyćmiona wieków pleśnią —
I stoi tak w milczeniu,
Wielbiony ludu pieśnią...

Aż nagle tłum zdziczały
Pożogę wpada nieść;-
Chce burzyć ołtarz chwały.
Niweczyć dawną cześć!

Są już w świątyni progu
I łamią wszelki opór;
Grożą staremu bogu,
Wstrząsając młot i topór.

Kapłani wznoszą dłonie —
W ich sercach ból i gniew...
W świętości swych obronie
Gotowi przelać krew...

I modły ślą: "O Panie,
Swej mocy pokaż cud;
Bluźnierców strąć w otchłanie,
Niewierny ukarz lud!"

I biorą oręż w ręce...
Wtem bóstwo na głos rzecze:
"Ja dziś mój tryumf święcę,
Więc wy schowajcie miecze!

"Nie trzeba mi obrony,
Ani cudownych sił:
Niech burzy tłum szalony
Tę postać, którą czcił!

"Ja pomsty nad winnem
Nie daję w dłoń nikomu;
Nie chcę pomocy ziemi,
I nie chcę niebios gromu.

"Niech wznoszą swoje młoty,
Rzeźbiony krusząc kształt!
Gdyż boskiej mej istoty
Nie zniszczy żaden gwałt.

"W minionych wieków ciągu
Nieraz już ludu złość
Mściła się na posągu:
Cierpiałem gwałtów dość!

"I nieraz dzikie zgraje
Wydały mnie pożodze:
A zawsze większy wstaję,
Piękniejszy z ruin wschodzę!

"Mnie topór nie powali,
Chociaż rozbija głaz,
Lecz kształt mój doskonali
Każdy zadany raz.

"Zniszczenie mnie odmładza
I ogień mnie oczyszcza;

Padając, moja władza
Wyrasta silniej z gliszcza...

"I zgina znów kolana
Przedemną cały lud...
A ciągła ta przemiana —
To mój największy cud."

CZARODZIEJKA.

Z wdziękiem wiosny nieśmiertelnym,
W jutrzenkowym blasku szat,
Wraz z orszakiem swym weselnym
Czarodziejka idzie w świat,
Z uwieńczoną biegnie skronią,
Z śpiewem ptasząt, z kwiatów wonią.

Przed nią sylfów jasna rzesza,
Swój weselny nucąc chór,
Na obłokach tęcze wiesza
I otrząsa rosę z piór, —
I obwieszcza jej przybycie
Świeżą rozkosz, nowe życie.

Świat zakwita cały przed nią
I różowy bierze blask,
Płonie szczęścia przepowiednią,
Pożądaniem słodkich łask,

Wszystko wschodzi, wszystko rośnie,
Pod jej stopą drżąc radośnie.

Ona, z twarzą uśmiechniętą,
Coraz nowych gości zwie
Na weselne życia święto,
Na godowe krótkie dnie,
I z złotego swego lejka
Słodycz sączy — czarodziejka.

Wiecznie piękna, wiecznie młoda,
Biesiadników poi krąg;
Ledwie komu czarę poda,
Już ją wyrwie z chciwych rąk
I unosi z sobą dalej,
Na świetlanej biegnąc fali.

Próżno za nią skargi gonią,
Próżno westchnień płynie szmer:
Ona z śpiewem, blaskiem, wonią
Już do innych zdąża sfer,
Zawiedzionym, co się skarżą,
Z uśmiechniętą mówiąc twarzą:

"Czyż sądzicie, że wy jedni
Macie zgarnąć cały dział
Waszym żądzom odpowiedni
I nasycić pragnień szał?
Że wam jednym tylko służę,
Niosąc życia miód i róże?

"Czy sądzicie, że mnie wiele
Obejść może ludzki los? —
Ja natury spełniam cele,
Nie zważając na wasz głos;
Nikt nie wstrzyma mnie na drodze:
Jak przybyłam, tak odchodzę.

"Muszę naprzód iść bezwzględnie,
Wszystkim nowy wieścić dzień...
Co zatkwiło — niechaj zwiędnie,
Niech opada w proch i cień,
Ustępując miejsca nowym
Pączkom wonnym a różowym.

"Korzystajcie zatem z chwili,
W której napój niosę wam:
Kto raz czarę mą wychyli,
Co w niej znajdzie — mało dbam;
Czy się cieszy, czy się żali,
Niewzruszona idę dalej.

"Nie mam czasu tych żałować,
Inne usta chcą całować,
Inne serca kochać chcą;
Przyszłość świata, niecierpliwa,
Głośnym krzykiem mnie przyzywa!"

ASZERA

Ponad ziemskim lecąc globem,
W brylantowych skrzę się rosach
Wonne róże na mych włosach,
Z moich ramion spływa bluszcz;
Nad otwartym stanę grobem,
Pocałunki śląc namiętne,
I uwiodę cienie smętne
W lauzurowych kraje puszcz.

Niegdyś, dawniej świat młodzieńczy
Rozjarzyłam w sen lubieżny,
Do mej piersi tuląc śnieżnej,
W namiętności strojąc kwiat;
Dziś mię próżno róża wieńczy:
Zapoznane bóstwo błędne
Bez uścisków schnę i więdnę,
Opłakując dawny świat.

I choć tyle ognia w łonie,
W ustach pragnień niosę tyle,
Nie zlatują się motyle,
Aby wieczną rozkosz pić;
I kochanków próżno gonię,
Paląc lilie swym oddechem;
Nad przeszłości dźwięcznem echem
Zadumana muszę śnić.

Kwiaty więdną, blaski gasną,
Porankowych braknie rojeń,

I miłosnych już upojeń
Nie pożąda zimny tłum,
I zmysłową żądzę jasną,
Zapaloną w ust purpurze,
W melancholii topi chmurze
Lub przelewa w westchnień szum.

A za łzawą biegnąc perłą,
Ogniem życia już nie tryska;
Smutnie dymią ciał ogniska,
A nie dają ciepła już.
Brylantowe złożę berło
Lub na gwiazdy pójdę inne,
Bo tu lilie wód niewinne
Natrząsają się z mych róż.

Albo rzucę wzrok błyszczący
Między ciche zmarłych cienie:
Rozbujanej piersi drżenie
Może ruszy śpiący proch;
Może oddech mój gorący
Kości stopi i skrzysztali...
Z zapomnienia wyjdą fali —
I kochanków odda loch.

Do mnie, do mnie, tu do łona!
Znów zakwitać, znowu płonąć
I w uściskach ciągłych tonąć
Spłyńcie, roje bladych mar!
Ja otwieram swe ramiona,
Pocałunkiem zmyję pleśnie:

Tam sen w grobie, tu raj we śnie
I miłości wieczny czar!

Czyż mam próżno sypać skarby
Gwiazd, korali, pereł, wieńców,
Rzęs jedwabnych i rumieńców,
Alabastrów miękkich ciał?
I w urocze przybrać farby
Pożądanie rajskie drzewo,
By spłonęło łez ulewą,
A owoce wicher zwiał?

Młodość, piękność, wdzięk i siłę, —
Skwarem nieba, tchnieniem wiosny
Skojarzoną w splot miłosny —
Nieprzebyty okrył cień.
Adonisa dziś mogiłę
Wśród Byblosu wonnych zwalisk
Nie otacza rój odalisk,
Gorączkowych pełny drżeń.

Cześć rozkoszy bez uniesień
Serc nie pali i nie wskrzesza,
Słońc na chmurach nie zawiesza,
Nie przymnaża twórczych sił;
Namiętności smutna jesień
Życiodajne traci ognie,
Obumarłych typu brył.

W opóźnionych pulsach świata
Erotyczna boska władza

Skrzepłych istnień nie odmładza;
Ledwie ciągnie dalszy byt.
Mych gołąbków tęcz skrzydlata,
Zawieszona u podwiązki,
Bez mirtowej wróżb gałązki
Na jaśniejszy czeka świt.

Muszę rzucić błysk zmysłowy
I dzisiejszą łez opiłość
W wulkaniczną zmienić miłość,
Co poruszy nowy prąd:
Gdy rycerski proch grobowy
Mym uściskiem rozpłomienię,
Wyjdzie silne pokolenie
Chananejski zyskać ląd!

WOBEC SFINKSA.

Józefowi Rostasińskiemu.

Szukałem prawdy — strawiłem wiek cały
Na dochodzeniu tajemnych praw bytu...
Myśli me w ogrom gwiaździsty leciały
Po nieskończonej przestrzeni błękitu...
Przez słońc odległych tęczowe pożary,
Przez powstających mgławic pierwsze błyski,
Przez zamrożone i puste obszary,

Przez gwiazd cmentarze i światów kołyski —
Coraz-to wyżej... i wyżej... i dalej...
Aż od eterów odbiły się fali,
Od wiecznej nocy, co w przepaściach drzemie,
I powróciły bezsilne na ziemię.

Do wnętrza ziemskiej zstępowałem bryły
Przez chaotycznie rzucone pokłady,
Gdzie swe pieczęcie i tajemnic ślady
Wieki przewrotów i wstrząśnień wyryły,
I te kamienne łamiąc sarkofagi,
W których się całe epoki zawarły,
Chciałem wydobyć trup przeszłości nagi,

Zawezwać świadki, które dawno zmarły:
Więc skamieniałe wskrzeszałe, rodzaje,
Więc odtwarzałem dawne krajobrazy,
Słupy zieleni i bezlistne gaje,
W których potworne gnieździły się płazy,
Dzikie fantazye pierwotnej natury,
Wylęgłe w zbytku ciepła i wilgoci —
Łabędzie gadów, skrzydlate jaszczury —
Ulatujące nad lasem paproci.

I coraz mglistsze śledziłem widoki
Na pękającej chwiejące się korze, —
Ciężkie, przy ziemi wiszące obłoki,
Wysepki lądów i bagniste morze...
I tak, wstecz idąc od grobu do grobu,
Do ognistego wreszciem doszedł globu,
Który na moje pytania bez końca
Znów mnie odesłał na odległe słońca!

Gdziekolwiek swoje obróciłem oczy,
Ruchliwą falę widziałem w obiegu,
Która przez wieki pianę zjawisk toczy,
Do nieznanego wiecznie płynąc brzegu.
Widziałem światy, jak pędzą w przestrzeni,
Na swojej osi tocząc się ukrytej,
Wraz z księżycowych opaską pierścieni,
Które ze sobą unoszą w błękity.

Widziałem wszechświat w nieustannym wirze,
Rozkołysany, jak lutnia drgająca,
Po której strunach światło leci chyże
I falą ciepła pierś ziemi potrąca,
Widziałem wodę jak płynie do morza
I w mgły zmieniona na lądy opada
I żłobi w skałach dla potoków łoża
I twardy kamień kruszy i rozkłada,

Przygotowując wilgotne posłanie
Dla mchu lub pieśni, co zwolna powstanie.

Widziałem prądy powietrznych orkanów
I w błyskawicach bijące pioruny —
Wstrząśnienia lądów, wybuchy wulkanów
I zórz północnych zakrwawione łuny.
Widziałem wszystkie żywioły tej ziemi
Jak się nawzajem potrącają w biegu,
Jak wybuchają ogniami złotemi
I w nowych zjawisk powstają szeregu;
Jak się spychają... i cisną... i wiążą
W powiewne pary lub bryły granitu —
I razem w bezmiar nieskończony ciążą

Ważąc się wieczne na szali błękitu...
Więc chciałem schwycić te ukryte siły,
Co krąg wszechświata w wieczny bieg wprawiły.

Ale napróżno wyciągałem dłonie,
By je ułowić na przyrody łonie
Próżnom chciał każdą wydzielić z wszechświata,
Aby przedemną stanęła skrzydlata
I w niewzruszone ujęta granice
Wypowiedziała bytu tajemnice.

Każda z nich, wiecznie zmienna i ruchliwa,
W inną się coraz przeradza i spływa
I jak Proteusz postać swą odmienia.
Krąg niezmierzony przechodząc istnienia
Wszystkie bez granic, końca i początku
Biegły się ukryć w tajemniczym wątku
W drobnych cząsteczek drgającej tkaninie,
Co w nieskończoność faluje i płynie
I ukazały na dnie istnień głuchem
Materyę wiecznym ożywioną duchem.

Więc chcąc za niemi dotrzeć do tej głębi,
Gdzie wir pierwotnych żywiołów się kłębi,
Począłem zwolna ziemskich ciał budowę
Na jej cząsteczki rozbierać składowe
Które w swem wnętrzu, tak jak większe bryły
Całe plejady drobnych światów kryły;
I rozłożone coraz bardziej związki
Poza widzenia i czucia granicą,
Jeszcze je dzieląc myśli błyskawicą,

Która wciąż biegła w nieskończoność — dalej —
Aż od eteru odbiła się fali...

I tak przede mną cały świat widomy
Na nieuchwytne rozprzągł się atomy,
Na mgłę bez kształtów, rozmiarów i treści,
W której prócz ruchu, nic się już nie mieści —
I w tej ruchliwej nicości przeźroczu
Ciał rzeczywistość zniknęła mi z oczu —
I świat materyi zagasł, jako tęcza,
Co drganiom światła trwanie swe zawdzięcza.

KAMIEŃ.

Ja tylko jestem kamieniem
I jako niemowlę tu
Objęty matki ramieniem,
Cichego używam snu.

Ledwie świt ducha półsenny
Mnie z łona martwości zwie
I w mojej piersi kamiennej
Poczuciem istnienia tchnie.

Jeszczem związany łańcuchem
W szeregu bezwiednych brył, —
Z ogólnym natury duchem,
Z kolebką bezwiednych sił...

Jednak przeczuwam powoli,
Że zacznie pierś moja bić,
I marzę o ludzkiej doli:
Chcę kochać, cierpieć i żyć!

I wierzę, iż ten, co kruszy
Dziś moją powłokę, grom
Otworzy dla mojej duszy
Wspanialszy cielesny dom.

I witam z dreszczem rozkoszy
Każdy zadany mi gwałt —
W niszczeniu, co mnie rozproszy,
Zgadując przyszłości kształt.

Tam, gdzie się boleść zaczyna,
Bezwiedniej martwości kres,
A nad nią boska kraina,
Gdzie miłość wykwita z łez!

Przez wszystkie śmierci ogniwa
Postępu ciągnie się nić;
Ból samowiedzę zdobywa:
Chcę cierpieć, kochać i żyć!

ŚWIATŁA.

Niebieskie światła po drżącym eterze
Ślą jasność swoją w bezbrzeżne otchłanie —
A nikt nie dojdzie: skąd się blask ich bierze?

I jak się w ciemność rozprasza świtanie?
I nikt nie zbada: co? i w jakiej sferze
Z tej promienistej wędrówki powstanie?
Lecz moc nie ginie — i promień skrzydlaty
Do życia nowe powołuje światy.

Tak samo światła ludzkich dusz, co płoną
I po nad ziemią znaczą drogę jasną,
Gdy promieniami w nieskończoność toną,
Chociaż się w ciemność rozproszą — nie zgasną;
Ale dalekiej przyszłości zniknioną
Przekażą siłę i słoneczność własną...
Aż z owych blasków rozpierzchłych w przestrzeni
Nowa jutrzenka ludzkość opromieni.

MŁODOŚCI SEN.

Młodości sen, uroczy sen
Roztacza krąg cudownych sen,
Wśród których walczym na przedzie —
I złotem lśniąc
Szlachetnych żądz,
W kraj bohaterstwa nas wiedzie.

Z młodości mar, skrzydlatych mar,
Tak szybko złudny znika czar,
Tak mało życie nam ziszcza...

Topnieje w łzach
Fantazyi gmach:
Zostają gruzy i zgliszcza!

NIE-BAJKA.

Spadł z drzewa topoli pączek
I płynie z potoku pianą;
Na nim sieć osnuł pajączek,
Czyha na muszkę schwytaną.

Próżno się z więzów wyrywa
I targa sprężyste nici:
Gdy się wysunie wpół żywa,
Pająk w objęcia ją chwyci.

Zwolna ją dusi i gnębi,
Zanim śmiertelny cios zada...
A pączek płynie ku głębi,
Gdzie nurt potoku w dół spada,

I wkrótce po muszki klęsce,
Gdy się już więcej nie broni,
Z ofiarą razem zwycięzcę
Wir wodny pogrążył w toni.

EGZOTYCZNE KWIATY.

Pod zwrotnikami rosną w lasach kwiaty,
Co przybierają wzory fantastyczne:
Strój ich niezwykły, wdzięczny i bogaty,
Cudowne barwy, wonie narkotyczne —
I nęcą zmysły ich korony świetne,
I te zapachy z pozoru szlachetne.

Każdy z nich postać rzadkiego motyla
Lub przepych kształtów nieznanych roztoczy;
Z szczeliny drzewa w błękit się wychyla,
Wprawiając w zachwyt podróżnika oczy;
A jednak one soki swoje biorą
Z zgnilizny, w drzewach ukrytej pod korą.

Są i uczucia szlachetne z pozorów,
Rozpromienione całą blasków tęczą,
Nadziemskiej miary, cudownych kolorów,
Jakby anioły, co w błękitach klęczą, —
I rozsiewają idealne wonie,
W których wędrowiec sercem swojem tonie.

A jednak, chociaż taki czar roznoszą,
Chociaż cel w sobie przedstawiają wzniosły
I nęcą ludzi nieznaną rozkoszą,
One na drzewie zbutwiałem wyrosły,
Z głębi tajnego powstały zepsucia —
Te fantastycznie błyszczące uczucia.

UŚMIECH.

Na wstępie życia przez dobre anioły
Zesłany w darze niewinnemu sercu
Na ustach uśmiech zjawia się wesoły,
Igra jak motyl na łąki kobiercu.

Tak łatwo leci, tak swobodnie wschodzi,
Nie potrzebując jeszcze nic dla siebie!
Sama go jasność chwil porannych rodzi,
I świeżość wiosny rozlana po niebie.

Później ten uśmiech głębsze bierze piętno:
Za marą szczęścia i piękności leci,
Melodyą uczuć dźwięczy już namiętną,
Ogniem zachwytów i pożądań świeci.

Utracił spokój niewinności błogi,
I falą wzruszeń gwałtownych wybucha,
I na rozstajne wylatuje drogi
Wśród krwi podszeptów i porywów ducha.

A gdy się w ciemnych przepaściach zabłąka,
Przejdzie zawodów kolej i zwątpienia,
Wtedy, ach, dziwną goryczą przesiąka
I na szyderczy uśmiech się zamienia,

I twarz złośliwym wykrzywia wyrazem,
Którym chce dusza urągać zatruta...

I brzmi boleśnie i złowrogo razem,
Jak rozstrojonej harfy dzika nuta.

Lecz i ten uśmiech, co swe rany smaga
I świat wyszydza i światu się skarży,
Rozwieje życia surowa powaga —
Nie da mu powstać na szlachetnej twarzy.

Wtedy znów po nad smutkami wszystkiemi
Litośny anioł, który nas osłania,
Przysyła uśmiech ostatni na ziemi —
Uśmiech dobroci, uśmiech pobłażania.

CHÓR.

Strofa.

Jakże jest straszną cierpienia potęga!
Chwilowo nawet moc Tytanów łamie
I nieugiętą ich wolę rozprzęga
Silniejsze złych losów ramię.
Lecz tylko rodzaj znikomy
Traci na zawsze swą pozorną dzielność;
Przetrwa zaś wszystkie przeznaczenia gromy
Kto czuje swą nieśmiertelność.
Choć się pod ciosem czasami zachwieje,
Własnym natchnieniom choć złorzeczy w szale —

Nieporuszony przez wieków koleje
Stać będzie w posępnej chwale.

Antistrofa.

Mizerną rozkosz otrzymuje w darze
Wszystko, co pełza i w cieniu się kryje:
Wielkość z cierpieniem zawsze chodzi w parze,
W najwyższe szczyty grom bije.
Kto obrał niezwykłe drogi,
Musi się zbroić na ból i męczarnie;
Wyniosłej głowy nie oszczędzą bogi:
Nie wolno wznieść się bezkarnie!
Lecz kara w tryumf zamienia się potem,
To dawnych blasków przyrzucając świeżej
Prawdziwa wielkość pod nieszczęścia młotem
Kształt doskonały przybierze!

BEZ GRANIC.

Potoki mają swe łoża
I mają granice morza
Dla swojej fali;
I góry, co toną w niebie,
Mają kres dany dla siebie:
Nie pójdą dalej!

Lecz serce, serce człowieka
Wciąż w nieskończoność ucieka

Przez łzy, tęsknoty, męczarnie,
I wierzy, że w swojem łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

JEDNI I DRUDZY.

Są jedni, którzy wiecznie za czemś gonią.
Za jakąś marą szczęścia nadpowietrzną;
W próżnej gonitwie siły swoje trwonią,
Lecz żyją walką serdeczną.

I całą kolej złudzeń i zawodów
Przechodzą razem z rozkoszą i trwogą,
I wszystkie kwiaty zrywają z ogrodów
I depczą pod swoją nogą.

Są inni, którzy płyną, bez oporu
Na fali życia unoszeni w ciemność,
Niby spokojni i zimni z pozoru —
Bo widzą walki daremność.

Zrzekli się cierpień i szczęścia się zrzekli,
Zgadując zdradę w każdym losu darze;
Przed swojem sercem jednak nie uciekli —
I własne serce ich karze!

Gdy się spotkają gdzie w ostatniej chwili,
Jedni i drudzy przy otwartym grobie,
Żałują, czemu inaczej nie żyli, —
Wzajemnie zazdroszczą sobie.

SZKODA.

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni —
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni;
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni;
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą;
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia...
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

KRĄG PRZEMIAN.

Dnia słoneczność, wiosny tchnienie,
Morza piany i błękity
W jedno zlały się widzenie:
W cudną postać Afrodyty!

Wymarzona piękność ciała,
Nawpół boska, wpół kobieca,
Żądzom nowy polot dała —
Nieśmiertelną miłość wznieca.

A miłosnych pragnień siła,
Ku zwycięskiej dążąc chwale,
W biegu swoim potrąciła
Różnorodnych uczuć fale.

Każda fala kręgi duże
Zataczając, rośnie... wzbiera...
I kochanków mirt i róże
W laur zamienia bohatera.

Sen rozkoszy, sen miłosny,
Choć go jedne serca prześnią,
Wraca na świat wdziękiem wiosny, —
Blaskiem, wonią, barwą, pieśnią!

Zawiedzionych serc tęsknota,
Piękność, która z ciałem ginie,

Wschodzi w nowych dniach żywota
W poświęcenia wielkim czynie.

To, co było czynem wczora,
Dziś jest pieśnią lub legendą —
A gdy nowa błyśnie pora,
Pieśni w czyn się zmieniać będą!

LUDZKOŚCI!

Ludzkości ty Atreusza rodzie,
Wśród ciągłych walk idziesz naprzód, niespokojna,
I własną pierś ranisz w tym pochodzie,
Głucha na łzy, nienawiścią zbrojna.

Przebyty ból płacisz nową męką,
I chcąc się mścić — mścisz się wiecznie, lecz na sobie;
Bo każdy cios twą zadany ręką
Spycha cię w dół, we krwi i żałobie.

Tyś sama jest katem i ofiarą,
I padasz w proch, kiedy kroczyć chcesz zwycięsko,
I tryumf twój jest dla ciebie karą,
I zwycięstw szał jest dla ciebie klęską.

Lecz mimo klątw, bólu i zwątpienia,
Przeczuwasz cel, ku któremu dążysz zwolna;
On czoło twe zawsze opromienia,
Choć ująć go jeszcześ nie jest zdolna.

XIX-MU WIEKOWI.

Wieku bez jutra, wieku bez przyszłości,
Co nad przepaścią stanąłeś ponury
Nauczycielu zgrozy i nicości,
Coś wziął ludzkiego ducha na tortury
Wieku zwątpienia, o wieku niewiary
Jakże ty strasznym jesteś dla cierpiących
Sfinksową twarzą patrzysz na ofiary,
Szyderstwem żegnasz w męczarniach ginących,
Śląc im do grobu te słowa najkrwawsze:
"Wszystko skończone, giniecie na zawsze!"

Na co się przyda, mistrzu, twa nauka,
Na co się przyda dla błądzącej rzeszy?
Gdzież masz pociechę, której ona szuka?
Gdzież masz tę miłość, która ją rozgrzeszy?
Dałeś jej ziemi obszary jałowe,
I dożywotnie dałeś jej dziedzictwo;
Ale zabrałeś najlepszą połowę:
Idealnego świata uczestnictwo
Choć jasne źródła stoją jej otworem,
Ona z nich przecież rozkoszy nie czerpie,
I woła, sercem upadając chorem:
"Poco ja żyję, umieram i cierpię?"

NA POBOJOWISKU.

Chłód go nocny powrócił do *życia* —
I otworzył swe oczy powoli...
Wkoło ciemność... słychać jakieś wycia,
Jakieś jęki... coś go w piersiach boli...
Z bólem pamięć powraca leniwa:
Rozpoznaje, z dreszczem niepokoju,
Że na ziemi wilgotnej spoczywa,
Gdzie upadł w boju.

Rozpoznaje przez mgieł kłęby sine
Ciemne kształty rzucone w nieładzie,
Co zasłały dokoła równinę,
Pojedyńczo leżąc, lub w gromadzie;
Rozpoznaje stosy nieforemne,
Z których czasem straszny jęk wybucha...
I ze zgrozą patrzy w niebo ciemne, —
Patrzy i słucha.

Coś się ruszy — coś tam zaszeleści;
To znów słychać rżenie, lub chrapanie,
Głosy dzikiej nieludzkiej boleści;
Coś upadnie, coś ze ziemi wstanie, —
A szmer każdy w nocnej ciszy rośnie,
Olbrzymieje trwogą, wstrętem, bolem,
I w powietrzu jęczy wciąż żałośnie
Nad krwawem polem.

Czasem ptaki załopoczą skrzydłem
I na ziemię w pobliżu przypadną.

Żerowaniem zajęte obrzydłem...
On się wstrząsa przed wizyą szkaradną;
Choć odważny, a przecież się lęka,
Że niedługo, może już nie zdoła
Spędzić ptactwa — nieruchoma ręka
Z martwego czoła.

Mgła mu oczy powoli zasłania...
On sam nie wie: czy to rosa ścieka
Po źrenicach? czy też mrok konania
W noc go cichą na zawsze obleka?
Lecz, że życie boleścią się mierzy,
A w swych piersiach czuje bólu żmiję,
Mimo cieniu grobowego wierzy,
Że jeszcze żyje!

Żal go dławi — pragnienie go piecze,
Dreszcz śmiertelny członki mu przejmuje,
Krew uchodzi — z nią życie uciecze...
Lecz on jeszcze słyszy — myśli — czuje...
Jeszcze wzrokiem powłóczy po ziemi,
Po postaciach leżących w ciemności,
Jeszcze szemrze usty spieczonemi:
"Biedna ludzkości!"

Jeszcze myślą błądzi wśród ciał stosów,
Których losy niedługo podzieli,
I zagadka smutnych ludzkich losów
"Biedna ludzkość — powtarza i wzdycha —
Co ją pędzi na straszne rożdroża?
Co ją gwałtem z łąk kwiecistych spycha
Pod ostrze noża?

"Sławą?.. miłość dla ziemi rodzinnej?..
Parcie ducha, któremu za ciasno?
Czy przeczucie jakiej lepszej, innej
Doli ludów, krwią kupionej własną?
Czy nienawiść, szał, lub przesąd lichy,
Zaszczepiony starannie za młodu?
Czy pojęcie wielkości i pychy
Swego narodu?

"Czy też zwykła bierność, brak oporu,
Ślepy nałóg, ślepe posłuszeństwo?
Jakieś widmo tęczowe honoru,
Co zasłania dzikie okrucieństwo?
Może wszystko, może wszystko razem
Pchało naprzód te zastępy zbrojne,
Co zmiecione ogniem i żelazem
Leżą spokojne.

"Biedna ludzkość! — Wieluż z nich wiedziało
Jaką przyszłość toruje i komu?
Czy śmierć będzie ich klątwą, czy chwałą?
Kto skorzysta z klęski lub pogromu?
Czy nad nocą ich własnej zagłady
Nowe ducha zabłyśnie świtanie?
Czy się raczej nie zalęgną gady
W otwartej ranie?

"Ten, kto może ginąć z pełną wiarą,
Że umiera za ludu swobody,
Że krwi swojej serdecznej ofiarą
Zbawi w więzach jęczące narody,

Że ojczyźnie cierpiącej otworzy
Nowe drogi szczęścia i spokoju —
Ten usypia jako sługa boży
Po krwawym znoju.

"Lecz kto ginie jak niewolnik marny,
Zawleczony za włosy przemocą
I rzucony pod topór ofiarny,
Nic nie wiedząc: dlaczego i poco?
Kto upada bez pociechy czystej,
Że szedł bronić tego, co mu drogiem —
Ten ze skargą na sąd wiekuisty
Stanie przed Bogiem.

"I najwyższy nie dozwoli Sędzia,
Aby odtąd już na ojców grobie
Nasze dzieci, jak ślepe narzędzia,
Uzbrajano na śmierć przeciw sobie;
Aby miały z myślą rozpaczliwą
Rzucać znowu życia blask różowy,
Że zwiększają przyszłe nieszczęść żniwo,
W proch kładąc głowy."

Tak się żali swego serca raną
Przed tem niebem pochmurnem i głuchem...
I swą ziemię wspomina kochaną,
Gdzie nie wróci, chyba tylko duchem;
Że nie ujrzy więcej syna swego...
"Biedna matka! Święci Aniołowie
Niechaj ją strzegą!"

Dom rodzinny staje mu przed okiem,
Taki jasny, wdzięczny, uśmiechnięty,
I tak ludny złotych mar natłokiem.
I tak pełen najmilszej ponęty...
Szczęście, miłość, żony postać słodka,
Przesłonięta smutkiem i tęsknotą,
I ta mała w kołysce szczebiotka,
Co już sierotą!

Znowu oczy zaszły łzą, czy rosą;
Gdy wtem nagle zdala blask spostrzega...
Jacyś ludzie — w ręku światło niosą:
Pewnie pomoc dla rannych przybiega,
"To ratunek — szepcze — to ratunek!
"Może jeszcze będę ocalony,
"I po słodki wrócę pocałunek
Matki i żony!"

Z utęsknieniem wowita światło e
I chce wołać i wzywać pomocy;
Lecz dokoła słychać jęki nowe,
I głos jego ginie w ciemnej nocy.
Światło miga tu ówdzie wśród zielska,
A gdzie przejdzie, tam ucichną jęki:
Pewnie ręka litości anielska
Łagodzi męki.
Aż przed sobą przy świetle latarni
Ujrzy twarze — widziadła gorączki...
Niby ludzie — lecz nadto poczwarni,
Chcą mu z palców pościągać obrączki...
Widzi obok jak dłoń świętokradzka
Z ciał zabitych smutne łupy zrywa

I jak rannych dobija znienacka,
Grabieży chciwa

Ten ohydny widok śmierci dreszczem
Ścina piersi rannego żołnierza;
Wzrok martwieje przed widmem złowieszczem,
Głowa martwo o ziemię uderza;
Tylko ciało kurczowo się wzdryga
Na straszniejsze nad grób okropności...
I westchnienie na ustach zastyga:
"Biedna ludzkości!"

W WALCE O BYT.

Tyle nasion spotyka zagłada,
Tyle kiełków wschodzących marnieje,
Tyle pączków przedwcześnie opada,
Najpiękniejsze budzących nadzieje.

Usychają młode latorośle,
Zanim stanąć zdążyły w rozkwicie,
Dumne kształty, co zeszły wyniośle,
Upadają wśród walki o życie.

Giną w męce rody i plemiona,
Choć walczyły z męztwem bohatera...
Mnóstwo pragnień nieziszczonych kona,
Mnóstwo uczuć bezpłodnie umiera.

Wszędzie ciężka na byt dalszy praca,
Wszędzie walki groza i męczarnia,
Która w niwecz zwycięstwo obraca
I ofiary w ciemną przepaść zgarnia.

I odwieczne nie troszczą się moce:
Co przez chwilę na fali wypłynie?
Co zatonie w zagłady pomrocę?
I co zejdzie na świeżej ruinie?

Nie pytają: kto doznał rozbicia?
Kto się w gnieździe rozsiada zdobytem?
Byle tylko rwący strumień życia
Płynął dalej wezbranem korytem;

Byle tylko zorany przez klęski
Grunt dla nowych zasiewów był gotów
I kształt nowy, co wyjdzie zwycięski,
Wyżej poziom podnosił żywotów.

SONET.

Zejdź jasna jutrznio! rozlej światła strumień
Po ziemi życia nowego spragnionej;
Złotym promieniem do dna ludzkich sumień
Sięgnij i blask im nadaj nieskażony!

Rozedrzyj mroczne przyszłości zasłony
I wstydem czoła wątpiących zarumień

I oczom, chciwym zachwytów i zdumień,
Ukaż odrodzeń szereg nieskończony!

Zejdź jasna jutrznio! Świat, przeczuciem tknięty,
Z lochów, gdzie nędza z zbrodnią mieszka skrycie,
Z gmachów, gdzie orgia dopija swe męty —

Wygląda ciebie, w troskach czy przesycie,
I woła, dziwną tęsknotą przejęty,
O świeże, lepsze, szlachetniejsze życie.

SONET.

Czego ci trzeba dziś, posępny tłumie,
By piersi twoje napełnić otuchą?
Czego ci trzeba w kamiennej zadumie,
By łzy przywołać na źrenicę suchą!

Anielskie chóry, których twoje ucho
Dosłuchiwało niegdyś w pieśni szumie —
Te dziś przebrzmiały martwo, sennie, głucho..
I serce twoje chwytać ich nie umie.

Tyś łzy zatracił, myśląc, że cię lepiej
Osłaniać będzie chłód twój i rozwaga,
Gdy świat ten z złudzeń rozbierzesz do naga

I myśl się w prochy, jak robak, zasklepi:
A oto zawsze niedola cię smaga, —
Tylko cię żadna łza już nie pokrzepi!...

FANTAZYA LUDÓW.

Fantazya ludów nieraz daje życie
I stwarza mężów, którzy nie istnieli;
W dziejach ich kształty rzeźbi, jak w granicie
I taką mocą duchową obdzieli,
Że choć ich postać i czyny — legendą,
Pełniej i trwalej od innych żyć będą.

Daremnie potem dziejów badacz ścisły
Chce legendową przywrócić im rolę,
Widząc w nich tylko fantazyi pomysły,
Słoneczne mity, lub wierzeń symbole;
Próżno te cienie chce pozbawić ciała,
W które je wieków tradycya ubrała.

FALE.

Na morza wzdętej toni
Wciąż fala falę goni,
Wzbierając z szumem, pędzi,
Srebrzystą pianą wrząca,
W podskokach się roztrąca
Na ostrej skał krawędzi;

Lub, tocząc na brzeg płaski
Błyszczące, mokre piaski,

Kamyczki i muszelki,
Zamiera z dźwięcznem echem,
Zanim ją swym oddechem
Ocean wciągnie wielki.

I żadna z nich nic nie wie,
W bezsilnym swoim gniewie,
Do jakich celów służy;
Lecz powracając ginie
W bezdennej wód głębinie
Po krótkiej swej podróży.

Jednak ich ciągła praca
Skalisty brzeg wywraca,
Zmienia koryta prądów;
Pochłania ziem przestworza
I nowe wznosi z morza,
I rzeźbi postać lądów.

Pokoleń smutna fala
Podobnie się użala
Na marność swych zabiegów:
Że tak bez śladu tonie
W wielkiej całości łonie,
Odbita z ziemi brzegów.

Widocznych śladów mało
Po każdej pozostało
I dumne jej zamysły,
Odparte w swoim pędzie
Przez ostre skał krawędzie,
Jak piana nagle prysły.

A przecież siła żywa,
Wiążąca ich ogniwa
Przez długie lat koleje,
Z pokoleń w pokolenia
Ludzkości postać zmienia
I rzeźbi świata dzieje.

NAD PRZEPAŚCIĄ.

Z przepaści ciemne widmo wstało...
I na urwisku stromem
Wędrowca w drodze zatrzymało
Bezkształtnym swym ogromem.

Przyszło go trwożyć groźną mocą,
Co ludzkie serca gnębi:
Unicestwienia głuchą i nocą,
Próżnią bezdennej głębi.

I zasłoniwszy błękit, rzecze:
"Nic ciebie nie ocali;
"Z tego rozdroża, o człowiecze,
"Już niema wyjścia dalej!

"Próżno, na przekór twardym losom;
"Zmierzałeś wciąż do szczytu,
"I próżno chciałeś kraść niebiosom
"Zagadkę swego bytu.

"Szalona pycha ciebie zwiodła:
"Myślałeś, że bez końca
"Będziesz nieść w górę ludzkie godła,
"Do prawdy zdążać słońca...

"Wiedz, że nie może nikt bezkarnie
"W bezdenną toń spozierać —
"I musisz wszystkie przejść męczarnie,
"I zwątpić.. i umierać...

"To światło, z którem dumnie kroczysz,
"Na to ci tylko służy,
"Byś ujrzał przepaść, gdzie się stoczysz
"Na końcu swej podróży.

"Tem światłem mar uroczych roje
"Spłoszyłeś na swej drodze...
"Uniosły z sobą szczęście twoje,
"A za to ja przychodzę!

"Na miejsce jasnej ich gromady,
"Co pierzchła już skrzydlata,
"Przybywam, jako cień zagłady
"I wiecznej nędzy świata."

A człowiek na to: "Marny cieniu,
"Coś postać wziął olbrzyma,
"Idę ku swemu przeznaczeniu
"I nic mnie nie zatrzyma.

"Do góry, naprzód, wciąż przez wieki,
"Z tem światłem, co mi dano,

"Muszę w przyszłości kraj daleki
"Za jutrznią biedz różaną;

"Muszę zdobywać, krok za krokiem
"Zdążając wiecznie za nią;
"Na stromych ścieżkach walczyć z mrokiem
"I chwiać się nad otchłanią.

"Niejedne widma przychodziły,
"By wieść mnie na bezdroże;
"Niejeden sen mnie wabił miły
"Na kwiatów miękkie łoże...
"Spędziłem wszystkie mary piękne,
"By prościej iść do celu:
"I ciebie teraz się nie zlęknę,
"Posępny kusicielu!

"I ty ustąpić musisz z drogi:
"Zwodnicza twa potęga!
"Po nad nicestwa ciemne progi
'Duch ludzki wyżej sięga!"

ODA.

W ciemności czasów
Wśród krzywd i gwałtów kolei złowrogiej,
Wśród krwawych o łup zapasów,
Wśród nienawiści i trwogi,
Nad grozą powszechną bytu,

Nad dzikim żyjących zgiełkiem,
Jak gwiazda na tle błękitu
Niebiańskiem płonie światełkiem
Miłość, co, całej królując naturze
I słodsze budząc pragnienia.
Ucisza walki... i burze
W jasność przemienia.

Cichą ponętą,
Pociągiem zmysłów i czarem rozkoszy
Srogość łagodzi zawziętą.
Zajadłość zemsty rozproszy...
Gdy usta ogniem zapali
I pocałunkiem połączy,
To z ust płonących korali
Do serca słodycz przesączy,
I z miłosnego kochanków uścisku
Wytwarza węzeł wśród świata,
Który przy wspólnem ognisku
Wrogów pobrata.

Z namiętnych zmysłów upojeń,
Z cielesnych pragnień i szału,
Dnieje świt uczuć i rojeń,
Brzask ideału;
I płomień żądzy znikomej
Blaskami coraz jaśnieje czystszemi,
Ogarnia światów ogromy,
Niebiosa zbliża ku ziemi,
Coraz-to głębiej w sferę ducha sięga
I w sercu, co zwolna mięknie,
Rozmiłowanie w nieśmiertelnem pięknie
Szczepi miłości potęga!

Coraz-to wyżej i dalej
Chór duchów wiedzie skrzydlaty
I na kształt świetlanej fali
Przenika światy;
Tchnieniem harmonii i zgody
Boski porządek z zamętu dobywa,
Wiąże plemiona i rody
W jednej całości ogniwa;
Nie tylko samą rozkoszą nietrwałą
Sercom napawać się każe,
Lecz uczy wznosić dla Bóstwa ołtarze
I jego oddychać chwałą.

Po szczeblach stopniowych przemian,
Na idealnej podnosząc się zorzy,
Zwycięska miłość dla ziemian
Najsłodsze dary swe mnoży,
W stubarwne mieniąc się blaski,
Cierpiącej, znękanej rzeszy,
Litości, pociechy, łaski
Promienie rozsyłać śpieszy,
Z pod stóp jej wszystkie uczucia wykwitną,
Zdobiąc owiane jej tchnieniem istoty —
I poryw serca staje się już szczytną
Miłością prawdy i cnoty.

Świat się zaludnia powoli
Orszakiem czystych szlachetnych postaci,
Co cudzej służą niedoli,
Dla szczęścia pracują braci,
Synowie światła i chwały,

Jasne półbogi się wznoszą,
Którym kochanką świat cały
A poświęcenie — rozkoszą...
I idą własną ofiarować mękę, —
Z wielkiej dla istot cierpiących miłości
Dobra i prawdy zapalać jutrzenkę
W ogniu duchowej wolności.

DZISIEJSZYM IDEALISTOM.

Czyliż fałszywy wzbrania wam wstyd
Z obłoków zstąpić do ziemian?
I czynnie walczyć o dalszy byt
Wśród życia wstrząśnień i przemian?

Czyliż sądzicie, iż spadek wasz
Całą wam wieczność zapewni —
Że odwracacie od ziemi twarz
Bezczynni, a jednak gniewni?

Wprawdzie bogaty wzięliście dział,
Przyjąć dziedzictwo gotowi;
Lecz on na zawsze nie będzie trwał,
Gdy zasiew żniwa nie wznowi.

Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków dostatki,
Temu dowództwo odbierze świat
A mienie — wydrą wypadki.

Do tych należy jutrzejszy dzień,
Co nowych łakną zdobyczy!
Kto się usuwa w ciszę i w cień,
Ten się do żywych nie liczy.

Dziś hasłem walka — i trudno już
Milczeniem przeczyć jej skrycie:
Dziś trzeba zstąpić w sam środek burz,
Potrzeba walczyć o życie!

Napróżno chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowej sfery istnienia:
On tylko wyższy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.

Lecz i tu — walka powszechna trwa,
Podległa duchów potrzebie;
A ten zwycięzcą, kto drugim da
Najwięcej światła od siebie!

PRZYJŚCIE MESYASZA.

I.

Lud czekający na swego Mesyasza
Nie zwróci oczu na dziecinę małą
I do biednego nie zajrzy poddasza;
Mniema, że zbawcę, którego czekało

Tyle pokoleń, ujrzy ziemia nasza
Odrazu ziemską okrytego chwałą,
Jak na wojsk czele — niewiernych rozprasza;
Mniema, że wszystko będzie przed nim drżało,

Że nawet głowy ugną się książęce,
Zdając mu władzę nad światem... więc, jeśli
Usłyszy, że się narodził w stajence

I że mędrcowie dary mu przynieśli, —
Pyta ze śmiechem: "Jakto? ten syn cieśli
Ma rządy świata ująć w swoje ręce?"

II.

Nawet ci wszyscy najwierniejsi ucznie,
Którzy do końca w swym mistrzu widzieli
Zbawienie świata i światłości jutrznię,
Gdy na śmiertelnej ujrzą go pościeli

Z przebitym bokiem przez żołdaków włócznię, —
Gdy, archanielskich nie widząc mścicieli,
Widzą, jak zgraja wrogów się weseli
I jak swój tryumf święci teraz hucznie:

To i ci, z twarzą przerażeniem bladłą,
Zwłoki w grobowe tuląc prześcieradło,
Zwątpią o prawdzie słów boskiego męża,

Trwożąc się w duchu, że wszystko przepadło...
A On tymczasem bez wojsk i oręża
Po swoim zgonie — idzie — i zwycięża.

III.

Choć krzyżowany przez odstępców roty
W sercu ludzkości umiera na nowo
I z szczytu swojej niebieskiej Golgoty
Na chwilę w otchłań zapada grobową, —

A świat, straciwszy promień prawdy złoty,
Drogę zbawienia i żywota słowo,
Krzyk rozpaczliwy podnosi sieroty,
Patrząc na mękę pokoleń dziejową:

On spełnia dalej odkupienia dzieło,
I to, co w krwawej bezprawia powodzi
Pod znakiem jego walcząc, zatonęło,

Wraz z nim w postaci doskonalszej wschodzi...
I zanim grobu łono się zamknęło,
W sercu ludzkości Bóg się znowu rodzi.

IV.

Kończący skrycie w dziejowym zamęcie
Bóg spodziewaną nie nadchodzi drogą;
Blaski na niebios widne firmamencie
Łuną pożarów okazać się mogą,

I te nadzieje, których się zawzięcie
Czepiamy sercem, mszczą się na nas srogo:

Tymczasem zbawczej idei poczęcie
Niedostrzeżonem bywa przez nikogo...

Chociaż na ziemię zstępuje jak bóstwo,
Szydzą z niej sobie małoduszne zgraje,
Widząc pozorną słabość i ubóstwo,

I musi przenieść prześladowań mnóstwo
I śmierć na krzyżu; lecz gdy zmartwychwstaje,
Podbija ludy i zdobywa kraje ...

W OBIEGU.

Ludzkość w swoim obiegu słonecznym
Miewa także pełne mroku dnie,
W których, prawom podległa odwiecznym,
Mniejszą siłą żywotności tchnie.

Miewa swoją, chłód niosącą, jesień,
W której stygnie dawnych uczuć żar,
Gaśnie płomień namiętnych uniesień
I swą jasność traci życia dar.

Otrząśnięty, po ziemi się wala
Przeszłych dążeń idealny kwiat;
Rwącej myśli nie przybiera fala
I lodowych nie przerywa krat.

Pierzchły marzeń tęczowe motyle,
W gajach umilkł wdzięczny przedtem śpiew
I nadzieje, w pełnej niegdyś sile,
Jako liście opadają z drzew,

Zewsząd słychać skargi rozpaczliwe...
Zapóźniony dawnych czasów widz
Mniema, patrząc na zmrożoną niwę,
Że już na niej nie powstanie nic;

Że serc ludzkich nic już nie poruszy;
Że kwiat uczuć, ani myśli kłos
Nie wystrzeli z głębi ludzkiej duszy
I nie zabrzmi świeżej pieśni głos;

Że nie będzie już światła ni ciepła,
I zagaśnie nawet święty Znicz;
I że ludzkość, co w mrokach oślepła,
W ludożerców zamieni się dzicz.

Lecz gdy właśnie najwięcej się szerzą
Smutne wróżby — niewiadomo skąd,
W skrzepłe serca niesie wiosnę świeżą
Niewidzialny, a cieplejszy prąd.

Myśl ożywcza nagle znów wystrzeli
Jak nieznany pojawi się bóg
I odnajdzie namiętnych czcicieli,
Szukających nowych życia dróg.

Znowu zapał pierś ludzkości grzeje,
Znowu jasność opromienia świat,

Nieśmiertelne znów wschodzą nadzieje
I zakwita ideału kwiat.

I pieśń świeża dźwięczy znów i rośnie,
Odnajduje utraconą moc,
Głosząc sercom bijącym radośnie,
Że już przeszła smutnej zimy noc.

ŚWIAT SIĘ OGNIAMI ZAPALA...

Świat się ogniami zapala
Do wnętrza swego wstrząśnięty;
Burzliwa wezbrała fala
I z rykiem leci w odmęty...
Bóg dzikie rozkiełznał siły:
Więc będą z sobą walczyły.

Powstaje w ogniu i dymie,
Co dotąd kryła noc głucha;
Jakieś widziadła olbrzymie
Rwą się ze swego łańcucha,
Z otchłani podnoszą głowę,
Znów na śmierć walczyć gotowe.

W powietrzu pełno okrzyków,
Pobudka brzmi już straszliwa;
Zwycięzców i niewolników
Krwawe szaleństwo porywa;

Choć nie chcą, wściekłość i nędza
Tłum cały naprzód popędza

W przeczuciu groźnych przewrotów
Strwożone zbroją się ludy,
Czują, że runąć im gotów
Ów gmach społecznej obłudy,
A wszystkie święte przymierza
Krew ofiar zaleje świeża.

Czują, że tajna potęga,
Nurtując ziemię do gruntu,
Dawny porządek rozprzęga,
Podnosi chorągiew buntu
I wszystkie przeszłości ślady
Chce zrównać pługiem zagłady.

Więc wiedzą, że bronić muszą
Całej dziejowej zdobyczy
Przed własną zatrutą duszą,
Przed nowym najazdem dziczy, —
By choć ocalić z rozbicia
Podstawy przyszłego życia.

GŁOS WOŁAJĄCY NA PUSZCZY.

Czasami doleci z burzą
Do uszu bezmyślnej tłuszczy,
Do wodzów, co kłamstwu służą,
Głos wołający na puszczy.

Grozą przenika ich serca...
Nie jeden porzuca łoże,
Drży, jak schwytany morderca,
Lecz przestróg pojąć nie może.

Niezrozumiałym jest dźwiękiem
Głos wołający w pustyni;
Śpią dalej na łożu miękkiem...
I nikt pokuty nie czyni.

WCIELENIE.

Ignacemu Pieniążkowi.

To, co niegdyś w ideału sferze
Snem jedynie było marzyciela,
Z biegiem czasu kształt widomy bierze
I w dążenia ludzkości się wciela.

Jasną marę, nieuchwytną wprzódy,
A tak pełną rajskiej szczęścia wróżby,
Wywalczają krwią i łzami ludy
I do ziemskiej zaprzęgają służby.

Ów sen wieków, długo niedościgły,
Co rozjaśniał ciemne marzeń noce,
Staje nagle wśród świata zastygły
I zamknięty w cielesnej powłoce.

Krótki tryumf — Po zachwytu chwili.
Jaka wieki oczekiwań płaci,
Ci rycerze, co za nią walczyli,
Nie poznają wielbionej postaci...

Widzą z żalem, że wszystko, co w darze
Wniosła na świat wśród swego pochodu,
Krzywd i gwałtów z kart dziejów nie zmaże
I ludzkiego nie nasyci głodu.

WŚRÓD PRZEŁOMU.

Na niebie odblask łun ognistych płonie
I ciemne noce opromienia krwawo;
Skrwawione widma wyciągają dłonie,
W poświście wichru lecą z mgieł kurzawą,
Powietrze jęków wypełniając wrzawą;
Nad krwią przelaną, która świeżo dymi,
Z ciemności kształt się wynurza olbrzymi...

Coraz wyraźniej z cieniu się wychyla
Jak geniusz wschodnich powieści złowrogi,
Jak nowy Xerxes, lub nowy Attyla,
Na tle czerwonem mordów i pożogi
Z wozu swym mieczem w świat zakreśla drogi,
A wysyłając hordy swe na rzezie,
Łańcuchy światu w podarunku wiezie.

Wyciąga rękę — a ta dłoń straszliwa
Po coraz nowe sięga wciąż zabory,
Na bój śmiertelny ludzki ród wyzywa —
Ten ród leniwy, rozbity i chory,
Co do podziemnej chce się ukryć nory
Byle choć jedną przedłużyć godziną
Ten żywot zbiegów, co bez walki giną.

Ale napróżno w strachu się poniża:
Czyha nań hańba, niewola, zatrata;
Rydwan zwycięzcy powoli się zbliża
I piersi ofiar dyszących przygniata;
Coraz-to groźniej tocząc się wśród świata,
W dziejach ludzkości robi nowy przełom
I ku straszliwym popycha ją dziełom.

Próżno się cofa i wzdryga i chowa:
W obronie życia musi dobyć miecze.
Mszcząc przeszłe winy, Nemezis dziejowa
Strwożone ludy już za włosy wlecze,
A wszystkie prawa, boskie i człowiecze,
Padają w gruzy: więc — iść naprzód muszą,
Zabijać ręką... i myślą... i duszą...

Kości rzucone—już się losy ważą,
Losy narodów na wypadków szali;
I przyszłość świata, z zasłoniętą twarzą,
Nieznane bóstwo na ognistej fali,
Pośród rozruchu posuwa się dalej...
A przeszłość smutna, miesięczna i blada
Topnieje przed nią i w ciemność zapada.

Świat dawny tonie w legendowym mroku
Z całą rozwianą swoich marzeń tęczą;
Jak księżyc w czarnym nurza się obłoku,
Okryty siecią srebrnej mgły pajęczą...
I tylko po nim smutne skargi dźwięczą,
I tylko jeszcze jasność po nim błyska,
Co czarodziejsko oświetla — zwaliska.

Na widnokręgu gasnących pokoleń
Snują się jeszcze idealne mary;
Brzmią dotąd hasła duchowych wyzwoleń,
Hymny poświęceń, braterstwa i wiary...
Jeszcze gdzieniegdzie jaki rycerz stary
Nad głową wznosi sztandar swój niezłomnie
I na wyłomie ginie — bezpotomnie ...

Jeszcze gdzieniegdzie jaki sługa boży
Chwałę zmartwychwstań głosi z nad mogiły,
W blask się wpatrując zachodzącej zorzy...
Ale już nowe rozkiełznane siły
Światła niebiańskich widzeń pogasiły,
I nad mdlejącem dziś królestwem ducha
Noc się rozszerza — ponura i głucha.

W zaćmieniu ducha, w dzikich żądz zamęcie
Pod tajemniczą ciemności zasłoną,
Nastaje nowych żywotów poczęcie,
Co rozdzierają macierzyńskie łono,
By mieć narodzin chwilę przyśpieszoną
I prędzej zgarnąć po przeszłości spadek
I szereg ciemnych rozwiązać zagadek.

Tak więc ludzkością wstrząsają do głębi
Męki konania i bóle porodu,
Rój nowych tworów wichrzy się i kłębi:
Zrodzone z matki-nędzy, z ojca-głodu,
Straszliwe widmo dźwiga się ze spodu
I gdzie zwycięzców dojrzy przy biesiadzie,
Dłoń im kościstą na ramieniu kładzie.

Gość nieproszony wciska się do koła,
Płosząc pijane zdobywców zachwyty,
"Zróbcie mi miejsce" — grzmiącym głosem woła —
"Wy macie sławę, wielkość i zaszczyty;
"Wy ucztujecie: a jam nie jest syty
"Dajcie mi zaraz waszą część grabieży
"Wszystko, co macie, do mnie dziś należy..

"Co? wy własności chcecie być stróżami,
"Wy mi mówicie, że ja prawo gwałcę
"Siła przed prawem — nauczacie sami —
"Ta sama słuszność w mieczu, co i w pałce...
"Ja waszą mądrość rozwijam i kształcę,
"I chcę mieć przystęp do uczty swobodny,
"Bo jestem silny.. i chciwy... i głodny!"

Ten krzyk podziemne powtarzają chóry —
I po przepaściach huczy wciąż wymownie...
Tłum barbarzyńców dźwiga się ponury
I gwałtem wkracza na świata widownię,
Wstrząsając w ręku zapalone głownie,
Aby ślad swego pochodu na ziemi
Ogniami zaraz znaczyć czerwonymi.

Na przedzie biegnie, nagiem świecą ciałem,
Nawpół bogini, nawpół zalotnica,
Bachantka-wiedza, dzikim tchnąca szałem...
W bezwstydny uśmiech przystroiwszy lica,
Tłumów namiętne pragnienia podsyca,
I wiodąc naprzód zbuntowane zgraje,
Nowe swym uczniom przykazania daje:

"Precz z marzeniami dziecinnego wieku,
"Co ponad ziemskie wzlatują wybrzeża!
"Precz z urojonem anielstwem w człowieku!
"Górą konieczność, co losy odmierza
"Wedle sił, zachceń i zmyślności zwierza!
"Precz z ideałem! Dziś przewodzą światom:
"Bóg ślepej woli,... bóg chaos,... bóg atom...

"W imię tej trójcy, w imię tej nicości,
"Która jak Saturn pożera swe plemię,
"Idźcie pożerać matczyne wnętrzności
"Pługiem zniszczenia idźcie zorać ziemię
"Zrzućcie z swych ramion obowiązków brzemię,
"Stargajcie więzy przesądów dziejowe,
"I burzcie starą społeczeństw budowę..

"Kościół — ojczyzna — własność — i rodzina:
"Niech wszystko znika w wezbranej powodzi!
"Niech ginie wielkość, zasługa i wina
"Dawny dzień minął, nowy już nadchodzi:
"Wy go zwiastujcie, wyzwoleńcy młodzi,
"I zamieniajcie świat cały w pustynię,
"By nowe życie weszło na ruinie..

"Niech runie gmach ten społecznej obłudy,
"Chytrych kramarzy podpierany dłonią,
"Co, blichtrem swobód wyzyskując ludy,
"Własnego tylko samolubstwa bronią
"I wietrzą zdobycz, i sięgają po nią...
"A gdy w niej szpony zatapiają sępie,
"Prawią o cnocie — sumieniu — postępie...

"Dość tej komedyi harmonii i zgody,
"Którą świat bawią wolności fałszerze,
"Gdy uciśnione sprzedają narody,
"I wchodzą w tajne z bezprawiem przymierze.
"Dość hypokryzyi, co porządku strzeże,
"A wobec gwałtu korzy się i płaszczy,
"Ofiarom zionąc przekleństwa z swej paszczy..

"Precz z ową maską moralnego ładu,
"Co twarz rozpusty pokrywa skalaną
"Precz z marzycielstwem nikczemnego gadu,
"Co kwiaty uczuć brudzi swoją pianą
"Niechaj do walki, z nagą piersią, staną
"Ludzie i czyny, myśli i uczucia,
"I mierzą głębię — własnego zepsucia...

"Potrzeba formę rozkruszyć przeżytą,
"Gdy się w niej brudne robactwo zasklepi,
"I strumień życia w nowe pchnąć koryto,
"Gdzie będzie płynął i silniej i lepiej...
"Więc śmiało naprzód, wykonawcy ślepi
"Bezwiednych potęg, co w ciemnościach drzemią
"Burzcie kształt dawny i równajcie z ziemią...

BEZ ODPOWIEDZI.

Nie znali nigdy co to jest dostatek,
Lecz znali tylko — co trud i potrzeba;
Nieraz im brakło mleka w piersiach matek,
Nieraz im brakło na zagonach chleba...
Nie znali nigdy tej pomyślnej doli,
W której bez troski o jutrzejszą strawę
Duch ludzki z mroku budząc się powoli,
Na światło oczy otwiera ciekawe.
Gdyż od kolebki czatowała bieda,
Co duszy dziecka rozwinąć się nie da.

Los im poskąpił wszystkich swoich darów
I dał im środków do walki za mało...
Prócz życia trudów i życia ciężarów,
Jedno im prawo do życia zostało;
Jednak znosili swą nędzę cierpliwie
Jako istnienia warunek niezmienny,
Marząc o przyszłem, a bogatszem żniwie,
Zapominali o trosce codziennej,
Żądając w zamian za pracę mozolną,
By im wraz z dziećmi wyżyć było wolno...

Lecz teraz próżne wszelkie wysilenia!
Żadna wytrwałość zbawić ich nie może:
Głód — ciała w żywe szkielety zamienia,
Kładąc w ciemnościach na zmrożone łoże;
Dziś nie o sytość, lecz o żywot idzie,
Gdyż to, nie zwykłej nędzy widmo blade

Lecz śmierć głodowa w całej swej ohydzie
W zimowej nocy wchodzi w ich mieszkania
Przynosząc męki wolnego konania.

To śmierć głodowa przy zgasłem ognisku
Zasiada, wlokąc całun lodowaty,
I matkom dzieci porywa z uścisku,
I nagie trupy zostawia wśród chaty,
I kroczy dalej w upiora postaci,
Rozpościerając gorączkowe dreszcze...
A zmarły wstaje, by zabijać braci;
Za krzywdy swoje mszcząc się w grobie jeszcze
I rozszerzając zaraźliwe tchnienia,
Idzie do ludzi przemawiać sumienia.

A ci, co jeszcze wśród mogił zostali,
Aby oglądać męczarnie swych rodzin,
Trawieni ogniem, co wnętrzności pali,
Mierzą ostatek uchodzących godzin
I patrzą w otchłań... szukając gdzieś na dnie
Nieuchwyconej ocalenia mocy...
Ale myśl w próżni kręci się bezwładnie,
I gaśnie w głuchej odrętwienia nocy...
I nic nie mogąc odnaleźć, nędzarze
Chylą z rozpaczą wychudzone twarze.

Wiedzą, że wszędzie ta sama dokoła
Głodowej śmierci konieczność straszliwa;
Że brat ratunku udzielić nie zdoła,
Bo sam go teraz daremnie przyzywa:
Więc milczą — patrzą na śniegu posłanie —
Słuchają wiatru żałobnego wycia —

I w ciemność smutne rzucają pytanie.
"Gdzie jest ich prawo najświętsze do życia?
"Czemu są na śmierć skazani i za co,
"Gdy na chleb ciężką zarabiali pracą?"

Kto im odpowie na ten wykrzyk głuchy?
Ludzkość zostanie w odpowiedzi dłużną;
Bo choć szlachetne poruszą się duchy
I miłosierdzie pośpieszy z jałmużną,
Rzucone wsparcie nie rozstrzygnie w niczem
I w niczem ciemnych pytań nie rozświeci,
I ziemia dalej, z sfinksowem obliczem,
Będzie pożerać pracujące dzieci —
A ludzkość będzie roztrząsać, ciekawa,
Ten zgrzyt w harmonii społecznego prawa...

JULIUSZOWI MIEN.

Omdlały rącze fantazyi loty:
Już na szczęśliwe wyspy nie płynie,
Aby odnowić ludziom wiek złoty
W czarów krainie.

Dzisiaj myśl ludzka schodzi pod ziemię,
Z trudem kamienne żłobi koryto,
By wydrzeć nocy, która tam drzemie,
Zdobycz ukrytą.

Przygasło dumnych pragnień żarzewie;
Sny bohaterstwa, marzenia chwały,

Wielkie natchnienia — w życiu i śpiewie
Zwolna przebrzmiały.

Dziś ludzkość trwożnie patrzy przed siebie,
Szukając nowej gwiazdy przewodniej.
I o codziennym rozmyśla chlebie
Dla tych, co głodni!

Żal nam stubarwnej tęczy, co blednie,
Cudownych marzeń, co blask swój tracą,
Lecz ludzie muszą prawdy powszednie
Zdobywać pracą.

Żal nam poezyi w pieśni i czynach,
I bohaterów żal nam pochodu;
Lecz ludzkość musi myśleć o synach
Ginących z głodu.

Z CYKLU SONETÓW.

Nad głębiami.

I.

Zmiennego bytu falo ty ruchliwa,
Co nas unosisz po wszechświata toni
Daremnie wzrok nasz za tem wszystkiem goni,
Co pod powierzchnią twoją się ukrywa:

Choć nam w błyskawic blasku się odsłoni
Głąb niezmierzona, ciemna i straszliwa...
Trudno nam dotrzeć spojrzeniami do niej
Przez pianę zjawisk, co po wierzchu pływa.

Próżno, nad głębią schyleni — jej ciemnic
Obraz chwytamy, gdyż ruchliwa fala,
Zamiast odwiecznych istnienia tajemnic,

Własną twarz naszą ukazuje zdala, —
I nasz widnokrąg cały się powleka
Rzuconem w wszechświat odbiciem człowieka.

II.

Wieczne ciemności! bezdenne otchłanie,
Co otaczacie tajemnicą życie
Próżno was ciągle pytamy — milczycie,
Głuche na nasze skargi i wołanie.

Próżna ciekawość próżne serca bicie
Nikt odpowiedzi od was nie dostanie;
Chyba nam echo odrzuci pytanie,
Przywtórzy myśli, tkwiącej w piersiach skrycie...

I nieraz, biedni, za prawdę bierzemy
Ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni,
Sądząc, że słyszym tajny głos natury;

Lecz wszechświat stoi, tak jak przedtem, —
niemy,

I otchłań póty milczeniem nas drażni,
Póki nas w mrok swój nie wciągnie ponury.

III.

Łudząca Maja otworzy ci oczy,
Migając widzeń różnobarwną tęczą,
Splotami wrażeń zmysłowych otoczy
I siecią złudzeń usidli pajęczą.

Widzisz tłum zjawisk, co się wkoło tłoczy,
Słyszysz melodye, co ci w uszach dźwięczą.
I śnisz sen smutny, chwilami uroczy,
W którym cię widma zagadkowe dręczą.

Ścigając próżno przynęty zwodnicze,
Co się wciąż z twojej usuwają dłoni,
Pragniesz rozpóznać więzy tajemnicze

I swej piastunki zakryte oblicze;
Lecz, ledwie rękę wyciągnąłeś do niej,
Łudząca Maja oczy ci zasłoni.

IV.

Jak ptaki, kiedy odlatywać poczną,
Bez przerwy ciągną w dal przestrzeni siną
I horyzontu granicę widoczną
Raz przekroczywszy, gdzieś bez śladu giną —

Tak pokolenia w nieskończoność mroczną
Nieprzerwanemi łańcuchami płyną,

Nie wiedząc nawet skąd wyszły?.. gdzie spoczną?...
Ani nad jaką wznoszą się krainą?

W chmurach i burzy, lub w blasku promieni,
Podległe skrytych instynktów wskazówce,
Lecą, badając wązki szlak przestrzeni,

Który im znaczą poprzedników hufce,
I tę przelotną grę świateł i cieni,
Jaką w swej krótkiej zobaczą wędrówce.

V.

Gdy nas ciemności otaczają wszędzie,
W swej zacieśnionej zatrzymując sieci,
Wzrok nasz nie sięga za drogi krawędzie
I nie pytamy: Co za nią? jak dzieci.

Lecz niech kto światło na drodze roznieci —
To, choć wzrok szerszy widnokrąg posiędzie
Dokoła miejsca, które blask oświeci,
Otchłań ciemności jeszcze większą będzie.

Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
W miarę jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...

I to, co dostrzedz możemy, jest niczem
Przed tem nieznanem, skrytem, tajemniczem,
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

VI.

Na falach swoich toczy słońc miliony.
Wieczny Ocean bez dna i wybrzeży,
Którego nawet goniec uskrzydlony
Przestrzeni — promień świetlany nie zmierzy;

Ani fantazyi młodej polot świeży,
Ani błysk myśli, na zwiady rzucony,
Do krańców jego nigdzie nie dobieży
I tajemniczej nie przedrze zasłony.

Nieskończoności łańcuch wyciągnięty,
Biegnąc przez mroczne przestrzeni odmęty,
Wśród bezbrzeżnego znika nam ogromu,

Niemocą myśli przedwcześnie ucięty;
A z drugiej strony ginie pokryjomu,
Gdzieś — w nieskończonej małości atomu.

VII.

Rzucone w przestrzeń złotych gwiazd kagańce,
Te wirujące światów zbiorowiska,
Skupione bytów chwilowe ogniska,
Ten cały ogrom, za którego krańce

Nie możem sięgnąć — przygodni mieszkańce —
Z nieskończoności toni bez nazwiska
Wzniósł się, podobny wirującej bańce,
Która na fali tęczuje i pryska.

Niesie go z sobą ta nieznana fala,
Co, po za bytem będąc, byt okala,
I wszystko z łona swego wyprowadza,

I nowe słońca w przestrzeniach zapala,
Gdy nią poruszy kierująca władza,
Co byt na głębiach nicestwa osadza.

VIII.

Noc, noc wieczysta, głuszą przedbytową
Otacza kręgi drgające istnienia —
Noc i pierwotny eter, bez skupienia,
Bez związku z światów fizyczną budową

Swą jednolitą nicość rozprzestrzenia,
Z której dopiero falę światów nową
Wirami mgławic skłębionych pierścienia
W przyszłości twórcze wyprowadzi słowo.

Noc, noc wieczysta. W jej bezwładnej czczości
Żaden istnienia odblask nie zagości;
Nic się nie zmienia, nie drga, nie posuwa

I nic nie mierzy tej pustej wieczności:
Tylko Duch Świata bezustannie czuwa
I przyszłych istnień z siebie nić wysnuwa.

IX.

Nieśmiertelności nie poszukuj w próchnie,
Albo w czynnikach, co się wnet rozprzęgną:
Nieśmiertelnemi nie są kość i ścięgno,
Ni żądz płomyki, które śmierć zadmuchnie.

Te dumne myśli, co się w głowie lęgną,
Pójdą na pastwę bladej przemian druchnie,
Jeśli za zlepek znikomy nie sięgną
I osobistej sławy oddźwięk zgłuchnie.
Wszystko, co świeci w ludzkich cacek kramie,
Co przypadkowe, ułomne i liche,
Co nosi zachceń osobistych znamię,

Choć się przystraja w odrębności pychę, —
Wraz z swą skorupą w prochy się rozłamie,
Na dno przepaści opadając ciche.

X.

Tylko treść, która z całością się splata,
To, czego żaden błąd nie upośledza,
Czego nie dzieli egoizmu miedza
Od wszystkich ogniw duchowych wszechświata;

To, co chwilowy zakres swój wyprzedza
I z życiem przyszłych pokoleń się brata, —

Tylko ta wspólnych źródeł samowiedza,
Co z gwiazd na gwiazdy wzlatuje skrzydlata

I wszędzie siebie znajduje świadomie:
W minionych zmierzchach, w mgle przyszłych
stuleci,
W sercach współbraci i światów ogromie.

I w każdym życiem drgającym atomie —
Ta jedna, z czasu wyplątana sieci,
Nieśmiertelnością poza grób uleci.

XI.

Ileż to zgonów, i narodzin ile
W krótkim dni naszych przechodzim zakresie!
Tłum nowych pędów wciąż do życia rwie się,
Gdy to, co przedtem w pełnej kwitło sile,

Spada jak liście obumarłe w lesie...
Szybko mkną w przeszłość niepochwytne chwile,
A każda cząstki oderwane niesie
Z naszego wnętrza... i składa w mogile.

Wciąż coś przybywa i coś nam ucieka;
Myśli, uczucia — rodzą się i giną;
Każdy dzień stwarza świeży kształt człowieka,

Który nad dawną wyrasta ruiną...
I tylko pamięć wiąże w całość jedną
Mgliste obrazy, co w przelocie bledną.

XII.

Wzniosłe dążenia, szlachetne pobudki,
Rozpaczne walki, zgliszcza i cmentarze,
Roże miłości, uczuć niezabudki,
I ukochanych jasne przedtem twarze —

We mgłach przeszłości nikną, jak sen krótki...
A czas powoli w pamięci zamaże
Najdroższe rysy i najcięższe smutki,
I echa wspomnień zgłuszy w dziennym gwarze.

Napróżno serce chce zatrzymać w głębi —
Gdy szron jesienny kurczy je i ziębi —
Wdzięczne obrazy błogości dziecięcej;

Próżno chce wskrzeszać bieg minionej chwili
I tych, co z nami wspólnem życiem żyli:
To, co już przeszło, nie powraca więcej!

XIII.

Przeszłość nie wraca jak żywe zjawisko,
W dawnej postaci — jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko,
I świeże kształty dla siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasnych żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej, życiodajnej strugi
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;
Żywi nas zasób pracy plemion długiej,

Ich miłość, sława, istnienie nam krasi;
A z naszych czynów i z naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.

XIV.

Po wszystkie czasy, przez obszar daleki,
Wiążą się istnień kolejne ogniwa;
Fala pokoleń, wielkie ludów rzeki —
Wszystko w ocean jeden wspólny spływa

Który zasila coraz dalsze wieki...
Z rzeszą zniknionych ciągle rzesza żywa,
Jako strumienie, mieszają swe ścieki
I jedna drugą ze sobą porywa.

Wszyscy są wspólną związani macierzą:
Umarli, żywi, wielcy, czy też mali,
Wrogowie, bracia, dalecy lub blizcy —

Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając, na wypadków fali,
Każdy za wszystkich, za każdego wszyscy.

XV.

Na dzieci spada win ojcowskich brzemię,
Lud pokutuje za grzechy zbrodniarza;

Każde gwałcące sprawiedliwość plemię
Cierpień i nieszczęść ludzkości przysparza.

Złe, jak zaraza, w lot obiega ziemię...
A czy na sobie łachman ma nędzarza,
Czy też w książęcym kroczy dyademie —
Zatrutem tchnieniem cały świat zaraża.

Wobec praw światem rządzących wszechwładnie
Nikt ujść nie może złych wpływów przekleństwa:
Każdemu w dziale część winy przypadnie,

Nawet za cudze zbrodnie i szaleństwa;
Bo każdy nosi w duszy swojej, na dnie,
Odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa.

XVI.

Dzień, w którym jeden z grzesznych braci koła,
Najświętsze prawa zdeptawszy niegodnie,
Rozpali krwawą pożarów pochodnię,
Widziadło mordów na ziemię przywoła

I zaćmi światła narodów przewodnie —
Dzień ten jest klęską dobrego anioła,
I ludzkość cała, chyląc kornie czoła,
Winna za syna pokutować zbrodnie;

Winna obchodzić we łzach i żałobie
Grzech, który nową klątwą ją obarczy
I zwróci z drogi ku jaśniejszej dobie...

Powinna szukać przeciw złemu tarczy,
Poznaniem prawdy potęgując w sobie
Miłość, co środków zbawienia dostarczy.

XVII.

Co złość zniweczy, co występek zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadłą ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecący żórawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca,

I coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

XVIII.

Tak złe, jak dobre wspólną jest zdobyczą:
I ci, co czynem ewangelię głoszą,

I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą,
Dzielą się plonem i spadek dziedziczą;

I wszyscy następstw ciężary ponoszą,
Wszyscy w dorobku ciężkim uczestniczą,
Który napawa bólem lub rozkoszą
Ludzkiego rodu duszę tajemniczą.

Ten wzajemności twardy obowiązek —
Zależność losów i wspólnictwo winy
Z pnia odwiecznego wyrosłych gałązek —

Utrwala wielki religijny związek,
Łączący członków rozpierzchłej rodziny
W Duchu, co wszystko ożywia — jedyny.

XIX.

Dopiero w związku z wszechświata ogromem
Człowiek granice istnienia rozszerza;
Na mocy swego z naturą przymierza
Już się nie czuje bezsilnym atomem,

Tonącym w wnętrzu nicestwa łakomem —
Lecz odzyskuje odwagę żołnierza,
Co wie, że za nim stoi armia świeża
I że świat cały jest dla niego domem.

Jako cząsteczka tej wielkiej potęgi,
Co się rozciąga w nieskończoność wszędzie...
Może ogarniać wszystkie widnokręgi

Odczuć się w światów niewstrzymanym pędzie;
I na tle czasu wijącej się wstęgi
Żyć w tem, co było, co jest i co będzie.

X .

W nieprzerwalności zbiorowego bytu
Duch, współistnienia wieczystego świadom,
Może z spokojem, z jasnego błękitu,
Swego pochodu przyglądać się śladom:

Cząstkowym zgonom, pozornym zagładom,
Burzliwej fali ciemnemu korytu,
Lecącym w otchłań stuleci kaskadom,
Pomrokom nocy i jutrzenkom świtu.

Jemu nie wydrze błogiego spokoju
Ziemskich męczarni małoduszna trwoga;
Nie wprawi w rozpacz dziki zamęt boju,

Ani dziejowej klęski noc złowroga, —
Gdyż mu widnieje pewna w przyszłość droga,
Gdzie śmierć jest stopniem wyższego rozwoju.

XXI.

W coraz-to wyższe przeradza się wzory
Pył ożywiony, co w przestrzeni krąży;
Ledwie się w cieniu śmiertelnym pogrąży,
Wnet go z martwości świt rozbudzi skory.

Śmierć — to ciągłego postępu chorąży
Który na nowe świat prowadzi tory,

Wschodzącym kiełkom usuwa zapory
I z rzeszą istot w nieskończoność dąży.

Z jego opatrznej, choć surowej, łaski
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią

I w coraz nowe przystraja się blaski,
I coraz dalej mknąc po fali chyżej,
Po stopniach przemian posuwa się wyżej.

XXII.

Naprzód i wyżej przez ból i męczarnie,
Przez ciemną otchłań, przez śmierci podwoje,
Przez szereg istnień padających marnie,
Lecą bez końca tłoczące się roje.

Senne zarodki, tkwiące w swojem ziarnie,
Głazy zakute w bezwładności zbroję,
Czekają tęsknie na zbudzenie swoje,
Gdy je dreszcz życia przejmie, ogarnie.

Naprzód i wyżej w gwiaździste ogromy
Prąd życia coraz przyśpieszonym ruchem
Porywa z głębi bezwiedne atomy...

I w to, co było i martwem i głuchem,
Rzuca blask myśli, sam siebie świadomy,
Przenika światłem i wypełnia duchem.

XXIII.

Choć w praw niezmiennych poruszasz się kole,
Jeśli rozpoznasz twórcze ich zamysły
I ten ich związek z dobrem świata ścisły,
I cel ich wieczny w swoją wcielisz wolę —

Wtedy swobodne masz do czynu pole:
Opadło jarzmo, więzy twoje prysły:
I jako czynnik chętny, niezawisły,
W rozwoju świata grasz świadomą rolę.

Lecz gdy chcesz działać ku powszechnej szkodzie
Gwałcić istotne zadania człowiecze —
Trudem Danaid wszelka twoja praca:

Jarzmo niewoli kark ci wtenczas bodzie,
Wyższa potęga przemocą cię wlecze
I przeciw tobie czyny twoje zwraca.

XXIV.

Przez chwilę możesz ślepą być zaporą,
Niszczącą siłą, jadowitym lekiem,
Którym natura leczy ludzkość chorą —
Tamą rzuconą przed strumieni ściekiem,

Ażeby w wielkie rozlały jezioro,
A którą zaraz, z jutrem niedalekiem,
Wezbrane wody skruszą i zabiorą:
Tylko już wolnym nie będziesz człowiekiem.

Z wolności wieczne prawa cię wywłaszczą,
A tych nie zwalczysz żadną ziemską władzą —
Ni żądłem żmii, ni tygrysa paszczą...

Choć tryumf zgubnym twym dążnościom dadzą,
Z chwilą gdy tajne cele przeprowadzą,
Wraz z tobą — dzieło twoje zaprzepaszczą!

XXV.

Jako cząsteczka wszechświata myśląca
Szukam w nim celu i o celu myślę —
Bo ten się wiąże z mem pojęciem ściśle,
Tak, jak odczucie światła lub gorąca.

Znam tylko bowiem jedną z form tysiąca
Natury, w moim odbitej umyśle;
Sądzę ją z tego, co mi sama przyśle
I czem o władze mi dane potrąca.

Natura twórcza, wieczna, bezcelowa,
Nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie:
Więc wiecznym prawom, co w swem łonie chowa

I konieczności, co nas wszystkich łamie,
Ludzkiej dążności narzucamy znamię,
Na ludzki język tłómacząc jej słowa.

XXVI.

Pierwotną białość słonecznych promieni
Ziemski widnokrąg rozszczepia i łamie

Na chmurach, w tęczy różnobarwnej bramie;
I fala światła inaczej się mieni

W błękitach morza, w żywej łąk zieleni,
W złocistych łanach, i zórz krwawej plamie...
I każdy z kwiatów innej barwy znamię
W grze malowniczych odbija odcieni.

Podobnie światło prawdy w ziemskiej sferze,
Przez mgły spływając, w tęcze się rozwionie,
Gdy ludzkim duszom niesie blaski świeże;

Każda z nich w siebie inne barwy chłonie,
Każda za całość jedną cząstkę bierze:
Tę, którą sama w swem odbija łonie.

XXVII.

Smutny jest schyłek roku w mgieł pomroce
Gdy wiatr jesienny zwiędłym liściem miota,
Ostatnie kwiaty, ostatnie owoce
Strąca i grzebie pod całunem błota.

Smutniejszy koniec bezsilny żywota,
Osamotnienie starości sieroce,
I długie, ciemne, pełne cierpień noce,
W których się ludzka rozprzęga istota.

Lecz najsmutniejszym jest duchowy schyłek
Zamierającej powoli epoki —
Gdy w niwecz poszedł pokoleń wysiłek,

Strawiwszy wszystkie żywotniejsze soki,
A w spadku — szereg błędów i pomyłek
Na dni ostatnie rzuca cień głęboki!

XXVIII.

Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły
Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie...
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,
Na którym teraz robactwo się pasie;

Musisz zatracić nie jeden rys miły
I wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie..
Lecz nową postać wziąć i nowe siły
I nowych wieków oręż mieć w zapasie.

Grób cię nie odda światu — widmem bladem.
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą,
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem;

Lecz przystrojona w królewski dyadem
Musisz do życia wkroczyć życia bramą,
Musisz być inną! — choć będziesz tą samą.

SEN GROBÓW.

I'non so ben rieir com'io v'entrai:
Tant'era pien di sonno in su quel punto,
Che la verace via abbandonai.
L'inferno Canto I.

I.

W posępną nocy zaszedłem krainę,
Po śniegu, co się usuwał pode mną —
I przez powietrze zmrożone i sine,

Które zawisło nad przepaścią ciemną,
Rzucałem trwożne spojrzenia w pustkowie,
Bo czułem trwogę w mej piersi nikczemną.

Włos mi się jeżył, przymarzły na głowie;
Na duszę dziwna przerażeń zmartwiałość
Spadła i skrzydła rozpostarła sowie;

I oślepiała mnie ta śniegu białość,
I obłąkały mnie te nocne cienie,
I upajała mnie ta skamieniałość.

I to zamarłej pustyni milczenie
Zdało się łamać we mnie życia prawa:
Byłem, jak ciemność, rzucony w przestrzenie

I nie wiedziałem, czy to sen czy jawa...
O bycie własnym wątpiąc, znicestwiony,
W białym tumanie, jak znikomość mgława

Niknąc, leciałem tym wirem niesiony
Bez tchu, pamięci, w milczące otchłanie,
Spowity w śnieżnej zamieci osłony.

Ani to blade poranku świtanie
Nadeszło ująć martwości złowrogiej,
Co z chłodnych puchów utkała posłanie

Zniknionej ziemi; ani wśród tej drogi,
Do zatracenia podobnej odmętów,
Nie rozdarł ciszy żaden szmer ubogi,

I nawet echa dalekich lamentów
Nie biegły świadczyć o istnień ruinie,
Strąconych z życia powierzchni bez szczętów.

W tej niezmierzonej ciemności godzinie
Czasu już długa przeciekała wieczność,
A nieruchome nicestwa pustynie

Nie przyszła mierzyć codzienna słonecznotć
Zwyczajnych światów i noc nieskończona
Trwała — jak trwania ostatnia konieczność.

Zrazu myślałem, że mnie ból pokona,
Że mnie wstręt zdławi, a przestrach oniemi,
I że ta próżnia niebios potępiona,

Co bez powietrza zda się i bez ziemi,
Mnie, w nieruchome opasawszy skręty,
Z cieniami tylko porówna czarnemi;

I że w tę straszną ponurość wsiąknięty,
Utonę głucho bez łez i bez jęku,
Zaprzepaszczony i w mgły rozpierzchnięty...

Lecz i ten koniec nawet, pełen wdzięku
Wobec ohydy upiornego bytu,
Jak widmo z światów dobyte rozdźwięku

Pierzchał przede mną wśród męczarń przesytu —
I wciąż płynąłem jako rzecz bezwładna
Przeciw ciemnemu nicestwa korytu.

Otucha mnie też nie karmiła zdradna.
Bom się czuł skonan — myślą pogrobową,
Dla której przeszłość nie świeci już żadna;

I całą przeszłość niosłem bezechową
Na barkach swoich, w kraje bezpowrotne,
Rozpamiętując jej umarłe słowo.

Dalej więc, przez te wybrzeża samotne.
Przez mgieł powodzie, przez zaspy śniegowe,
Przez niebios brudne plamy i przez błotne

Zacisza bagien, przez stepy jałowe,
Gorzkie jeziora, piaszczyste wydmuchy —
Pędziłem, chmury roztrącając płowe.

Pytałem tylko siebie: gdzie są duchy
Z rozbitych siedzib na wieki wyparte?
I zatraconych światów gdzie okruchy?

Wszystko zostałoż bez śladu zatarte?
I żadneż widmo nie przyjdzie mnie trwożyć,
Na swoje piersi wskazując rozdarte?

Z plemion, co jutra nie umiały dożyć,
Nie pozostałoż śladu nawet w próchnie,
Cobym na sercu swojem mógł położyć?

I żaden z lodów płomień nie wybuchnie,
Coby mi wskazał grobów tajne nory,
Gdzie ton harfowy padł — i w kirach głuch-
nie?

Żadneż się nawet nie zlęgną potwory
Z mętnych zapłodnień, zgnilizn i kałuży,
Coby, przeznaczeń złamawszy zapory,

Powstały straszne wśród mogilnej burzy?
Ale Nic — jedno, wielkie, uroczyste,
Co się nie błyska nawet i nie chmurzy,

Przestrzenie sobą wypełniło mgliste;
A jam je musiał, do dna mierząc wzrokiem,
Za swe dziedzictwo przyjąć — i wieczyste.

Krusząc się pod tym haniebnym wyrokiem,
Przypominałem stracone obrazy,
Gdy tęcze grały nad życia obłokiem,

Gdy nawet z łomów dźwigały się głazy,
A rozbujane w takt Amfionów pieśni
Spełniały proroctw szalone rozkazy.

Przypominałem jak szli ci boleśni,
Rozmiłowani w szumie gęstych borów,
Płaczących Dryad kochankowie leśni,

Wrzosom rumianych użyczać kolorów,
Uśpione echa budzić z wschodnem słońca;
Aby Gemonie zyskać gladyatorów,

I w oczach moich gwiazda spadająca
Stopiła lawin zimowe obroże:
I poruszyła się fala milcząca

I odsłoniła mi umarłych żorzę,
Co się na ciemnych rozpostarłszy sferach,
Usłała śmierci koralowe łoże

I jako próchnik, błyszczący w eterach,
Rozbłękitniła grobów sen miesięczny,
Ledwie widzialny w gwiaździstych szpalerach.

Więc znów ujrzałem świat ten — tyle wdzięczny! —
W harmonii, wieczną uświęconej ciszą,
Tracący życia koloryt niewdzięczny —

I otrząśnięty z tych łez, które wiszą
Nadziemskich piekieł nieustanną wrzawą,
Aż w sobie piorun dla nich wykołyszą.

Mieniąc się barwą opalów jaskrawą,
Stanął przedemną, jak anioł, co klęknie
Ponad kołyską sierocą i łzawą

Patrzeć: czy serce dziecięcia nie pęknie,
A z róż niebiańskich niosąc mu kolędę,
Ani go zdziwi, ani też przelęknie.

Miłość ma swoją słoneczną legendę,
Co wspomnień zerwać nie daje łańcucha.
Mówiąc sierotom: "Ja, matka, przybędę

"Słuchać tych żalów, których nikt nie słucha.
"Nie wierzcie temu, że nas teraz dzieli
"Niezapełniona niczem przepaść głucha."

Więc i ja, z martwej podniesion topieli,
Kłamstwo zadałem śmiertelnej rozłące
I w to wierzyłem, co mówią anieli.

O, jakież zdroje czyste i szemrzące
Wiosennych kwiatów podsycają wonność,
Między olchami ściekając po łące.

Melancholijną wierzb płaczących skłonność
Łagodząc Majad pieszczonym językiem,
Głoszących ślubów przeżytych dozgonność!

I złotym jaskrów błyszczące płomykiem
Pomiędzy gaje biegną i ogrody,
Prowadzić nocne rozmowy z słowikiem.

Ponad cichemi rozstawione wody,
Na wzgórzach spiętych dzikiej róży krzewem,
Bieleją wiosek ubogie zagrody —

Kołyski marzeń dziecinnych — gdzie śpiewem
Porwane myśli lecą ponad błonie,
Ponad zielonym przyszłości zasiewem.

Ta niemowlęca świętość, co tu wionie,
Prześniła wieki czysta, nieskażona,
Jak perła w muszli zachowana łonie,

I nie wie nawet, gdzie jest pogrzebiona
Ciężka spuścizna, którą przyjąć trzeba,
Rzucając w ziemię ojczystą nasiona:

Dość jej na dzisiaj ojczystego nieba
I dymiącego ojcowizn ogniska,
Sosnowych borów i czarnego chleba.

Gaje i chaty jasne zdrojowiska!
Zielone łąki, wysmukłe topole
I na rozstajnych drogach wśród urwiska

Omszone krzyże w cierniach! was, pacholę,
Widziałem w tęczy migającej rąbku,
A dziś was widzę strojne w aureolę.

O lilio czystych krynic! o gołąbku
Opróżnionego gniazda! drzewko krasne,
Wieńczony krwawą jagodą, jarząbku!

Widzieć cię jeszcze, nim na wieki zasnę,
Ach dozwoliły mi anioły złote
I pod twe stopy rzucić serce własne.

Wy, cienie! w jasną odziane prostotę,
Coście rycerskiej zbyły się kolczugi,
A krwi rycerskiej lejecie szczodrotę!

Kapłany gruzów, twarde krzyża sługi! —
Raz jeszcze padnę wśród was na kolana,
Zanim przekleństwo rzucę na wiek długi.

Przez niebo wasze dziś rozmiłowana
Błądząca dusza zapomni o gniewie —
Bo ojców swoich szuka rozpłakana.

Wy, jak cyprysy naszych pól — modrzewie,
Stoicie smutnie w opróchniałej korze,
W niezrozumiałym dziś gwarzące śpiewie.

Przy was mą harfę wędrowną położę:
Niechaj jęk wyda, strzaskana przez gromy,
Co w wieczność waszą wróci bez klątw może...

Lecz cicho teraz bo przez świątyń łomy
Widzę, żałobny w pół, a w pół weselny,
Ciągnący orszak duchów mi znajomy,

Wzniosły i święty jako hymn kościelny,
Co się wylewa w ekstazie ofiary.
Czy prawdą jesteś — o, ty nieśmiertelny

Zawiązku kwiatów niewygasłej wiary,
Co bez owoców z drzewa życia spadasz,
Jak niedośniony tryumf nocnej mary,

Lecz ani barwy wiosennej postradasz,
Ani cię splami rozpacz, albo trwoga:
Ziemi ci braknie, lecz niebo posiadasz,

I tak ci przyszłość zaświatowa droga,
Że otrząśnięty w girlandach przedwcześnie
Z ochotą lecisz kwitnąć w ręku Boga?..

Prawdą ach! dla mnie, co powtarzam pieśnie
Przebrzmiewające w tylu piersiach rannych,
Com się zabłąkał w ciemnościach i we śnie,

I tum was znalazł w jutrzenkach porannych,
Przez drogi mlecznej zamgloną gwiaździstość
W pragnieniach do was lecąc nieustannych.

Prawdą jest dla mnie ta dziewicza czystość,
Z którą płyniecie w światy idealne,
Jak meteorów różana ognistość.

Serca! grobowców prochami zapalne
Anielskich kwiatów upojone wonią,
Ogniki tylko w cmentarzach widzialne..

Do was przychodzę z połamaną bronią,
I z zasłoniętem rękami obliczem;
Z wami zgubiłem duszę — idę po nią...

Kwitnienie wasze będzie tajemniczem
Dla światów zgiętych nad codziennym plonem:
Lecz w opadnięciu cichem, ofiarniczem

Pod Chrystusowe nogi — wczesnym zgonem —
Spoczywa natchnień nieujęta siła,
Co świat nastraja nadzmysłowym tonem.

Cóż? że się w drżeniu eterów ukryła
I błądzi srebrna po księżyca sierpie...
Do niej się będzie zwracać ziemska bryła

I brać swe blaski, nie wiedząc skąd czerpie;
Aż zwyciężona zgryzotą duchową:
"Wstań ideale — zawoła — bo cierpię."

Tu przed oczami mojemi nanowo
Widzę was wszystkich wieńczonych jemiołą,
Co jest odrodzeń godłem, jak w tóżową

Toniecie światłość i wieśniacze sioło,
Niby betlemską narodzin stajenkę,
Rozpromieniacie gwiazdami wokoło.

O, stójcie jeszcze! Lecz rajską jutrzenkę
Pokryła ciemność lecąca w odmęty
I położyła mi na duszy rękę...

Wtedy się chyląc zwolna, jak kwiat ścięty,
Co kładzie twarz swą smutną na mchy rdzawe,
Jeszcze nie zeschły, ale już zwiędnięty,

Przybrałem cichą umarłych postawę
I chciałem zabić myśl i zamknąć oczy
Na wszelką boleść i wstyd i niesławę,

Gdy wtem mnie chmura ciemniejsza otoczy,
Z tej chmury skrzydeł wynurzy się dwoje,
I mnie cudownem zjawiskiem zaskoczy.

Aż nagle, chmurne odrzuciwszy zwoje,
Zstąpił przede mnie jakiś rycerz hardy,
W wieczyste duchów zaprawiony boje.

Jak płomień jasny, a jak marmur twardy,
Nieugiętością zbrojny, nie puklerzem,
Mierzył mnie wzrokiem spokojnej pogardy.

Dał mi znak, a jam powstał przed rycerzem,
Niewzruszoności dziwiąc się kamiennej,
Którą my, ludzie, za nieczułość bierzem,

A którą, gdy duch napełni płomienny,
To jest królową światów, które kruszy, —
Jedynie godną dzierżyć rząd niezmienny.

Ze czcią patrzałem, cichy syn pastuszy,
Na tę książęcą postać gromowładną,
Co się nie ugnie w gromach i nie ruszy,

Co nie rozbroi się litością żadną,
I póty miecza do pochwy nie włoży,
Aż wyrok spełni nad temi, co padną.

Poznałem, że to jest posłaniec boży,
Choć kto on — jeszcze nie odgadłem zrazu,
Wpół oślepiony blaskiem tamtej zorzy;

I tylko w jego źrenicach z topazu,
Czytałem straszną, świat łamiącą siłę,
Której, nie myśli braknie, lecz wyrazu.

Tak w dociekania pogrążon zawiłe,
Straciłem z oczu, z serca i z pamięci
Teraźniejszości zniknioną mogiłę.

Jakby zgadując niewyraźnie chęci,
Duch ten swój oddech w ludzkie ubrał słowa
I rzekł potrzykroć: "Przeklęci! przeklęci!

"Przeklęci, których jutrzenka grobowa
"Kołysze do snu, do łez i nicości,
"I żywcem w łonie potępionem chowa!

"Dla takich Bóg sam nie znajdzie litości,
"Bram im przyszłego życia nie otworzy,
"I twarz odwróci swoją od ich kości

"Bo kto do tyla duszę swą zuboży,
"Że już z niej zetrze nieśmiertelne piętno
"I dobrowolnie w prochach się położy,

"Jak samobójca pierś splamiwszy smętną —
"Wart, by go zdeptał praw skrzywdzonych mściciel,
"I nawet pamięć jego będzie wstrętną!

"Janie przychodzę jako pocieszyciel
"Zatruwać przyszłość miłością zgnilizny,
"Ale sąd niosę, wszechwładny niszczyciel —

"A miecz wyroków, wolny od trucizny,
"Jest obosiecznym i, zadając ciosy,
"Zasklepia razem ciężkie wieków blizny.

"Długo was pieścił Cherub złotowłosy
"I nad lichemi prochami się bawił,
"Wmawiając wielkość w strzaskane kolosy:

"A przecież z gruzów kolumn nie wystawił,
"I życia nie wlał w umęczone prochy;
"Tylko je w tęczy krwawej przez świat spławił,

"Mistyczną pieśnią napawając śpiochy,
"A odurzone siedmiu niebios blaskiem
"Rzucił w ciemności ów aniołek płochy.

"Ja więc przychodzę jako burza z trzaskiem
"Deptać doszczętnie zgniecione owady,
"Połowicznego istnienia obrazkiem

"Zadowolone, byle ujść zagłady,
"A życiu, które wyższych szczebli sięga,
"Dziś krępujące usunąć zawady.

"Oto jest moja tajemna potęga,
"Co ma odnawiać bezpłodne ugory!
"I oto jarzmo, w które ludy wprzęga!

"Chodź za mną! w świat ten gnijący i chory,
"Przez drogi pełne klątwy i rozpaczy,
"Między skowane w łańcuchach upiory.

"Pomiędzy również upiornych siepaczy,
"Brodzących we krwi, którym wciąż się zdaje,
"Że o nich przyszłość świata się zahaczy.

"Chodź za mną w znojów nieprzebranych kraje
"Lepsze są one, niźli wyobraźni
"Kłamliwych widzeń utracone raje.

"Niech cię nie straszy długość ciężkiej kaźni,
"Ani zasmuca wierzchniej pleśni zgniłość:
"Stąpaj bez wspomnień, żalu i bojaźni,

"I zerwij dawną z grobami zażyłość,
"I całą przeszłość marzeń chciej zostawić —
"Aby cię znowu nie zbłąkała miłość.

"To, co upadło, musi w rdzy się strawić
"I pod martwości szatą taić skrycie,
"Bez próżnych pokus, aby siebie zbawić...

"Nienadwątlone niczem — nowe życie,
"Któremu niańczy grób ten, jak kołyska.
"Nim niemowlęce odrzuci spowicie

"I rzeczywistą siłę lotu zyska
"Niech więc nie jęczy cichy proch człowieczy
"Pod stopą, co go depcze i uciska,

"Bo odrodzenie światów ma na pieczy:
"I z woli Bożej zostaje deptany,
"Która mu tryumf ojcostw zabezpieczy.

"I ty więc losów nie pragnij odmiany,
"Nie żądaj nigdy łaski, ni przebaczeń."
"Kto ty?" — spytałem — "duchu niezbłagany!'
A on mi na to: "Jam anioł przeznaczeń."

II.

Gdzie niegdyś duchom poczynione szkody
Mierzyłem bólem połamanych skrzydeł,
Tam dziś, cierpiące odwiedzać narody

Szedłem spokojny, pomimo straszydeł,
Pod wodzą mistrza, co z ciemnej otchłani
Wysnuwał tęczę krwawych malowideł.

Przywędrowałem do smutnej przystani,
Skąd odbijają od ziemskiego lądu
Na niemoc ducha i hańbę skazani.

Zastałem tłumy czekające sądu,
Co, jak spłoszone stada nocnych ptaków,
Wzdłuż huczącego wzlatywały prądu.

Tyle tam było przeklętych orszaków,
Żem się aż cofnął z grozy i zdziwienia,
Poznając wszędzie braci i rodaków...

I naraz wszystkie głosy utrapienia
Podziemia jaskiń napełniły zgrzytem,
Aż echem piekieł odwrzasły przedsienia.

Rozpaczy straszna pieśń, ponad rozbitem
Ciał rumowiskiem wzięła wszystkie tony
I urąganiem, męczarnią dobytem,

Związała jęków niesfornych miliony:
I tak nad duchów kolumną powietrzną
Jakoby sztandar wiała potępiony.

Chociażem wzgardę poślubował wieczną
Dla istnień światom wymiecionych z drogi,
Przecież, ujęty zgryzotą serdeczną,

Zadrżałem z bólu, litości i trwogi,
Słysząc tę skargę na wieczność rzuconą
I o piekielne odtrąconą progi.

Zachód się palił łunami czerwono
I w purpurowym ogniu szpetne głębie
Rozpościerały tajemnicze łono.

Ja szedłem dalej po skalistym zrębie
Między pierzchliwych widziadeł orszaki...
Wtem otoczyły mnie wieńcem gołębie,

Spojrzałem, zdziwion, na te czyste ptaki,
Białe, od krwawych promieni różowe,
Gdy, roztopione wprzód w powietrzne szlaki

Jak róż girlanda spadły mi na głowę...
Skądże? — myślałem — ich niewinne loty —
Pokierowane w gwiazdy zodyakowe

I w słońc promiennych wplecione obroty —
Tu je przyniosły, od biegu omdlałe
I gnane wichrem anielskiej tęsknoty?

Czem zawiniły te latawce białe,
Że na tym smutnym znalazły się brzegu,
Skąd niema wyjścia już na wieki całe?

Ach, nie na takim spoczywać noclegu
Żeglarzom nieba najczystszych błękitów,
I łamać skrzydła jaśniejsze od śniegu

Na ostrzach łzami wzrosłych stalaktytów,
I ślepnąć w blasku podziemnych płomieni
W owej krainie zatraconych bytów.

Kiedym to myślał, stada srebrnych scieni
Ponad burzliwę zniżyły się fale
I piły chciwie z ich czarnych strumieni

Gorycz, co na śmierć upaja — i w szale
Krwawiły piersi, lecąc obłąkane,
I siadły dumać na nadbrzeżnej skale.

Stamtąd — wpatrzone w pożary rumiane
W podziemnych ognisk jaskrawe wytryski —
Myślały może, jasnością oblane,

Że się rumienić poczyna świt blizki;
Bo wszystkie naraz zerwały się lotem,
W płomiennych wężów duszące uściski

Spływając, chwilę purpurą i złotem
Migały w blasku ubarwionej szaty —
Aż znikły wszystkie pod dymu namiotem;

I tylko pieczar ponure komnaty
Wstrzęsły się śmiechu szatańskiego wrzawą,
Gdy się posypał cichy proch skrzydlaty.

Zanim się nad tą zadumałem sprawą,
Rzekł mi przewodnik: "Widziałeś tę marną,
"Za poświęceniem goniącą i sławą,

"Czeredę sylfów, czystą i ofiarną,
"Co chciwie napój wysącza boleści
"I w płomień ciska duszy swojej ziarno?

"Ich trwanie, ziemskiej pozbawione treści,
"Jest jednym ciągiem pragnień i niemocy:
"Błyszczy się chwilę i ginie bez cześci.

"Pokój im w cichej zapomnienia nocy
"Ich jest królestwo pośmiertnej pogody,
"Aż je odkopią grabarze północy."

Umilkł, — i szliśmy dalej ponad wody,
Co, rozwścieklone, z rykiem nawałnicy
O skał się tłukły granitowe spody.

Przed nami sterczał najwyższej iglicy
Lodowy cypel, zatopiony w chmurze
I opasany wstęgą błyskawicy;

Jakby umarłej panując naturze,
Wstrząsał się cały wulkanicznym grzmotem
I głuszył ryki odmętów i burze.

Tam walcząc z urwisk wstrząsanych wywrotem,
Pełznąc po głazach strącanych od gromów,
Niezastraszony burzą, ni łoskotem,

Po ostrzach lawy i ostrogach łomów
Piąłem się, zwieszon na przepaści krańce —
Jak atom wobec lodowych ogromów.

I tylko wichry, pustyń wychowańce,
W ślad mojej drogi wyły po rozdrożach,
Szturmując z lawin usypane szańce

Lub się błąkając w lodowatych morzach;
Tylko potoki — z rozdartego łona
Olbrzymią raną po kamiennych łożach

Rzucały wody huczącej brzemiona,
W zakryte oczom tajemnicze cieśnie,
Skąd tylko pary powiewna zasłona

Zraszała skalne porosty i pleśnie;
Tylko pędzone wichrem mgły przelotne,
Niby widzenia pochwytane we śnie,

Biegły po szczytach w przestrzenie samotne
A wypełniając bezdenne obszary,
Porozwieszały swe płaszcze wilgotne.

I dalej — coraz przepaścistsze jary
Porozgradzały straszliwe przystępy,
I coraz bardziej tonęły w mgle szarej.

Ciemnych granitów poszarpane strzępy:
Tak, że nareszcie za mną i przede mną
Góry, przepaści, lawiny, skał kępy—

Stopniały wszystkie w nieskończoność ciemną
Już blizko celu — i srebrzyste ostrze,
Co pracą ogni wewnętrznych podziemną

Rzuciło w błękit swe dymiące nozdrze,
Wkrótce w ostatnim zdobyte okopie,
Pod stopą moją widnokrąg rozpostrze...

Jestem — i chyba w błękit się roztopię;
W pół przechylony w przymglone powietrze,
W gasnących świateł opływam potopie

I łowię wzrokiem te barwy wciąż bledsze,
Co w nowe coraz zlewają się tony,
Zanim je wszystkie ręka nocy zetrze.

Zrazu nic widzieć nie mogłem, olśniony...
Niebo i ziemia w szalonym zawrocie
Spływały w jeden łańcuch nieschwycony;

I w nierozdzielnym powiązane splocie,
Gór rusztowania, niebieskie przestworza,
Doliny, ledwie widzialne w przelocie,

Srebrne wód spadki i błyszczące morza, —
Migały naraz przed zdumionem okiem...
A nad tem wszystkiem jedna wielka zorza.

Od strony morza, nad urwiska bokiem,
Obok krateru, co wieczyście płonie,
Osłonion dymu przejrzystym obłokiem,

Ze łzami w oczach, w błyskawic koronie,
Na piedestale, z złotą harfą w ręku,
Siedział lutnista na obłocznym tronie.

Nogę swą oparł na liktorskim pęku
I drżącą rękę kładł na złote struny,
A harfa jego, orężnego szczęku

Pełna, a dla niej przygrywką — pioruny.
Posąg to w przyszłość obrócon daleką,
Zagadkowemi wypełniony runy;

Przed nim duch ludu trzaska trumny wieko,
A obleczony szatą purpurową,
Na krwawe strugi spogląda, co cieką.

Dalej Polelum pod jutrznią tęczową
Na piersiach brata umarłego trzyma,
Trupią dłoń jego wznosi ponad głową,

I u chmur żebrze piorunów oczyma.
Obok, na stosie strzaskanych oręży,
Przy popielnicy z prochami olbrzyma

Dwie dziewic: jedna trzyma kłębek węży
I nóż skrwawiony; jak Nemezis gniewna,
Woła: "Kto za mną, nim umrze, zwycięży"

Druga, w liliowym wianku lutnia śpiewna,
Wiatrom się skarży, że nad sercem ludu
Więcej ma władzy płaczącego drewna

Nieczuły kawał i nadzieja cudu —
Niźli królewska boleść, stos ofiarny
I cała przyszłość spodlenia i brudu.

A z drugiej strony tętni jeździec czarny
I całun śniegu piersią konia kraje;
Zwrócony biegiem ku gwieździe polarnej,

Grzmiąco przyzywa: "Kto rycerz, niech wstaje!"
Tak coraz dalej wokoło lutnisty
Widziałem całą białych widem zgraję,

Zarysowaną zlekka w wieniec mglisty,
Który wypełniał ciemne tło obrazu,
Składając jeden długi sen kwiecisty.

Wpatrzony stałem na krawędzi głazu,
Nie śmiejąc skłócić powietrza westchnieniem,
Nie mogąc znaleźć w swych ustach wyrazu .

W zachwycie przed tem cudownem widzeniem:
I chciałem wżyć się w tę całość natchnioną
A naznaczoną piekielnem znamieniem.

Nie łatwo walką duszy swej szaloną
Rozgrodzić niebios i piekieł potęgi
I stać na szczycie bólu przed zhańbioną;

Na zatracone patrząc widnokręgi,
Zachować dumy błyskawiczny wieniec,
Nie łamiąc Bogu czynionej przysięgi.

Ten więc przede mną wielki potępieniec,
Co deptał światów zwyczajne porządki
I duchom wstydu wypalił rumieniec,

Gnając je myślą w genetyczne wrzątki, —
W apoteozie swej posępnej doli,
Jaśniał jak niebem gardzące wyjątki.

Ach wobec niego korząc się — powoli
Traciłem dotąd niezłomną pogodę;
Chciałem się wyrzec narzuconej roli,

Na wszystkie ciosy mieć znów serce młode,
I walcząc przeciw naznaczonym sądom
W piekielnych ogniach walki wziąść nagrodę.

Bo któż się może oprzeć takim prądom,
Co rozrywają zasklepione rany?
Któż może nędzy niezmiennej zarządom

Spokojnie duch swój powierzyć stroskany;
Z wytkniętych torów nigdy nie wykraczać —
By nieomylnej doczekać wygranej,

Gdy tak sam z sobą bój począłem staczać,
Wtopiony wzrokiem w chmurną postać mistrza,
Wichry przybiegły — po lutni rozpaczać;

I coraz bardziej burzliwa i mglistsza
Fala harmonii spłynęła w błękity;
I niebios coraz jaskrawość ognistsza

Porozciągała swe płonące świty;
I coraz więcej ciemniały ku górze
Bezksiężycowe posępne zenity.

Tymczasem wulkan w płomieniste róże
Ubrał się cały — i hukiem podziemnym,
Wraz z piorunami, które słały burze,

Wtórował pieśni natchnieniom tajemnym;
A z dołu jeszcze pod olbrzymią skałą,
Rozbijające się na pasie ciemnym

Morze odmęty swoje rozkiełznało
I z bezkrańcowej wyjącej przestrzeni
Trzecią pieśń straszną do wierzchołka słało.

Jakby za danem hasłem, potępieni
Zaczęli z tajnych wychodzić kryjówek.
Była to chmura połowicznych cieni,

Co pozbawiona rąk i trupich główek,
Z grobowców nagie szkielety wywlekła,
Do rozpaczliwych zagnana wędrówek.

Straszna je wiedźma po ramieniach siekła,
Pędząc jak trzodę przez płomienie żrące,
By nie uciekły na dno swego piekła.

Tylko się kości kurczyły płaczące
I w łez przydrożne padały kałuże,
Chcąc tam swe rany ochłodzić piekące.

I ani całej zgrozy nie powtórzę:
Jak wypraszały się widma od męki;
Z jaką niechęcią pełzły pod to wzgórze,

Skąd brzmiały harfy piorunowe dźwięki;
I jak bolesnym przejmował mię wstrętem
Ten trupi zastęp głowy i ręki.

Przyszedł nareszcie i w kole przeklętem
Naprzeciw mistrza rozpostarł się tronu...
Tu, — jakby, pieśni porwany zamętem,

Stracić miał pamięć haniebnego zgonu, —
Cały się łańcuch ożywił występny
I w takt dzikiego kołysał się tonu.

Z trwogą patrzałem na taniec posępny,
Na te szkielety wsłuchane ciekawie
W tok pieśni, dla ich bytów niedostępny...

I kiedy lutnia zagrzmiała o sławie,
Żywiej zabłysła ich próchen bielizna —
I w wojowniczej stanęły postawie;

A kiedy lutnia wyjękła: "Ojczyzna",
Poodrzucały swe skrawione płótna —
I silniej od nich wionęła zgnilizna.

Gdy coraz bardziej pieśń szalała smutna
W pourywane chaotyczne spadki,
Na ziemię padła czereda pokutna

I wszczęła wyciem głośno wzywać matki
Aż dreszcz przejmował patrzeć na te wstrętne
Spróchniałych kości skrzypiące ostatki:

Jak się w targania rzucały namiętne.
Jak się przykrzyły niebu swemi modły,
I o zniszczenie błagały doszczętne.

Długo się w bólach pasował proch podły,
Nim się odważył powstać o swej sile,
I tam, gdzie harfy natchnienia go wiodły,

Iść — na wiekowej oprzeć się mogile;
Lecz przy odgłosie wulkanicznych grzmotów
Zerwał się przecież — i wrzeszcząc opile,

Straszne przysięgi składał, że już gotów,
Ruszyły naprzód te, krzywoprzysiężne,
Roznamiętnione do niezwykłych lotów

Mary wpółsenne, liche, niedołężne,
Gnane boleścią, przestrachem, rozpaczą,
Jako upiorów hufce bezorężne...

I kędy orły nad grobowcem kraczą,
I kędy tylko nad przepaści łonem
Porozwieszane czarne świerki płaczą

W miejscu grobową ciszą uświęconem,
Na okrwawiony szaniec uroczyska
Biegły ohydne za nikczemnym zgonem.

I wnet się smutne zatrzęsły zwaliska,
I cichych westchnień przedarły się tony,
I w głębi lochu trumna, czy kołyska,

W gwiazd się jaśniejsze przybrała korony —
I całą martwość grobowego świata
Oświecił z góry księżyc przerażony.

Srebrna mgła, duchów niewidzialnych szata
Rozfalowana tajemniczem drżeniem,
Ponad grobami zawisła skrzydlata,

Trącana widzeń wzlatujących tchnieniem
A na niej blade zakwitły postacie
Narysowane miesięcznym promieniem.

I pełno było w tej obłocznej szacie
Zaledwie przeczuć dających się szmerów,
O pohańbionym teraz majestacie

Rozmyślających dawnych bohaterów;
I pełno wonnych przeszłością podmuchów,
Z nadziemskiej sfery płynących eterów.

Coraz się więcej rozszerzał krąg duchów,
Jakby się wieków otchłanie otwarły,
Jakby się wydarł ze swoich łańcuchów

I tu na świadka stanął świat umarły
W tej symbolicznej nocy zatracenia
Z pogardą patrzeć na bezgłowe karły.

Wszystkich żywiołów zmieszały się tchnienia
I wszystkich potęg nadzmysłowe straże
Przyszły do ziemi szturmować sumienia,

A rozgrzebując milczące cmentarze,
Zajrzeć w ludzkości zapleśniałe serce:
Czy nic — prócz pleśni — więcej nie pokaże...

W takiej szalonej widziadeł rozterce
Trwoga i boleść wiały nieskończone,
Jakby w przeklętej od nieba szermierce

Miały być struny przeczuć potrącone,
I w rozstrzygnięciu krwawego dramatu,
Poza tryumfem piekieł nieskażone

Wschodzące słońce miało wskazać światu —
W długim szeregu zatraceń i zniszczeń,
Od legendowych rajów Eufratu —

Drogę — wśród ciągłych bojów i oczyszczeń —
Do tej anielskiej ojczyzny wszech ludów,
Co, wolna w chwili osiągniętych ziszczeń,

Spłynie z rozbitej dziś kolebki cudów.

EPILOG

DO

SNU GROBÓW.

O jakże trudno pierzchłe już obrazy
Do życia z sennych krain przywoływać
I jakże smutno ciemne duchów skazy

Z zasłony, którą śmierć rzuca, odkrywać,
I po przepaściach łowić epos bladą,
I co zawiera męki odgadywać!

Czyż się nie cofnąć raczej przed gromadą,
Co winy swoje w inne światy wlecze,
I, gdy się żywi do spoczynku kładą,

Jeszcze w ciemnościach gdzieś krzyżuje miecze?
Czyż nie zamilknąć przed żyjących rzeczą,
Co mniemać będzie, że wraz z nią złorzeczę?

Świat ten tak dziwny! — i ludzie się śpieszą
Zetrzeć czemprędzej ślad krwawej areny;
To, w co wierzyli wczoraj, dziś ośmieszą,

I codzień nowej potrzebując sceny,
Trupa przeszłości ze wzgardą wywleką,
Na łup zgłodniałe spraszając hyeny.

Tymczasem cienie nad Letejską rzeką
Kończą tragiczną dramatu osnowę;
Łzy im pod martwą zastygły powieką—

I żale swoje wywodzą grobowe;
Bo żyją tylko tem dalekiem brzmieniem,
Które przyszłości sny potrąca nowe.

I myślą, biedne, że ludzi wspomnieniem
Nieśmiertelności dokupią się mglistej;
Że ta drgająca fala ich imieniem

W krąg się po ziemi rozejdzie ojczystej
I że im echo wracające powie
O serc pamięci wdzięcznej i wieczystej...

Lecz świat ten dziwny — zrzuca szaty wdowie,
Aby zapomnieć prędzej, czem żył wczora;
I klątwą tylko żegnają synowie

Odlatującej ojczyzny upiora;
I dawny ołtarz rozpada się w zgliszcza
Pod jednem cięciem krwawego topora:

Nowy obrządek i nowe bożyszcza
Biorą pokłony spłoszonego tłumu
Lecz ani boleść, co serca oczyszcza,

Ani jaskrawa pochodnia rozumu
Do wyższych celów zaprzańców nie nagną;
Bo ci śród szyderstw głuszącego szumu

Do swych poziomów wszystko zniżyć pragną:
Tak więc po smutnym przeszłości wyłomie
Zostaje w spadku — wielkie tylko bagno.

A kto się twarzą zwróci ku Sodomie,
Tego Bóg w posąg boleści zamienia;
I nad umarłem morzem nieruchomie

Sam pozostanie śród pustyń milczenia,
Dźwigając przekleństw narzucone brzemię,
Co go nimbusem piekieł opromienia.

Śmieszna komedya — gdzie zwycięzcy strzemię
Całują zgięte na kolanach męże,
I gdzie umarłych nieświęconą ziemię

Plugawią jadem pełzające węże,
I gdzie ostatnia zacność, co nie pada,
Modlitwą nawet niebios nie dosięże!

Więc gdy ostatnie hasło w sercach: "zdrada,"
Z cmentarnych krzyżów niech pręgierze stawią!
I umęczonych śpiąca już gromada

Niech się nie dziwi, że ich proch zniesławią;
Niech się nie troszczy, w chmurach rozpostarta,
Że ich śmiertelnej koszuli pozbawią!

Bo tak być musi: i dziejowa karta,
Co lśniła blaskiem nieuszczkniętych marzeń,
Raz ręką mściwej Nemezis rozdarta,

Walać się musi w błocie ziemskich skażeń —
Aż ją znów przyszłość podniesie zwycięska,
I w krwi umyje anioł przeobrażeń.

Choć się więc skruszy pierśnie jedna męska
Kamienowana u świątyni progu,
Choć grasująca czarnych odstępstw klęska

Szerzyć się będzie w smutnym epilogu:
Nieprzekupiony przetrwa prawdy świadek,
Co boleść naszą odda w ręce Bogu.

Ileż-to ciemnych ciągnie się zagadek
Przy tym krzyżowym ludzkości pochodzie,
Gdzie wciąż się nowy powtarza upadek,

Co spycha w przepaść jasne duchów łodzie!
Ileż-to razy ginące plemiona
Chciały powstrzymać słońce na zachodzie,

By przyszłość w swoje uchwycić ramiona —
Sądząc, że one kończą dzień pokuty,
A jutro błyśnie jutrznia nieskażona!

Próżne złudzenia, bo ich ślad zatruty
Zostaje w spadku przyszłym pokoleniom;
Ideał starców łamie się zepsuty,

A młódź urąga okrwawionym cieniom —
I gdy ma nowe gonitwy poczynać,
Kłamstwo zadaje przeszłości natchnieniom.

Więc znowu trzeba boleć i przeklinać,
Trzeba ukochać jaką nową marę,
I nowe tęcze na niebie rozpinać,

Wątpić i wierzyć i znów tracić wiarę, —
A po pielgrzymce męczącej i długiej
Minotaurowi znów złożyć ofiarę.

Ha! gdyby znalazł się Tezeusz drugi,
Coby odszukał labiryntu wątek,
I spłacił za nas zaciągnięte długi,

I dał nam w ręce rapsodu początek —
Możeby jeszcze było stworzyć z czego
Dziwną krainę marzeń i pamiątek!...

Lecz tak — co robić?.. Życzę snu dobrego
I tej odwagi, co zdrajcom przystoi...
A sam do grobu wracam splamionego

Jak upiór w dawno zardzewiałej zbroi,
Któremu serce trza odjąć i głowę,
Aby nie straszył tłuszczy, co się boi.

APOSTROFA.

Dałem ci żywot mój — to nie wiele!
Żywotów takich tysiąc dziś przepada;
Dałem ci miłość mą — o, aniele!
Lecz cóż z miłości, co jak łez kaskada
Kołysze ucho twe w takt i pieści,
A w strofie życia piorunów nie mieści?..

Mamże jak Narcyz stać, wdzięczny sobie,
I roznamiętniać się odbitym cieniem?
Grobu niesławę czcić na twym grobie,
Schlebiać ci tylko łzami i cierpieniem,
I gdy ci mieczów brak, nieść ci róże,
Co na Cezarów widnieją purpurze?

O, precz mi z drogi tej — ja nie mogę
Płatnych służalców zwykłą iść koleją;
Ja widzę hańby znak, w oczach trwogę, —
Ręce, co światu pogrozić nie śmieją:
Więc rzucam gniewu krzyk i wściekłości,
I grobu twego znieważam świętości!

Ja dla męczarni twych — wzgardę czuję,
Bo ty frymarczysz krwią twą, Messalino!
Wierna przeszłości tej — co cię truje,
Gdy pokolenia całe bez czci giną,
Pod tryumfalny wóz zawleczona,
Gotowaś upaść liktorom w ramiona.

Spartaków wprzódy syn, niż twój czciciel,
Rachunku żądam od ciebie, przeklęta,
Przeszłości krwawych krzywd smutny mściciel
Pytam — gdzie w bólach ludzkości poczęta
A przekazana myśl jednej tobie,
Arystodemów ty wdowo w żałobie!..

Miałaś przewodnią być gwiazdą ludom
I na sąd wielki wieków wyprowadzić
Zastęp czerniawy tej, co dziś trudom
Wolnych poświęceń zdoła już poradzić —

Gracchów zabity sen w czyn zamienić
I ludzkość złotą jutrznią opromienić!..

Więc kiedy zdradzasz dziś — giń bez chwały
Nie łez ci dłużnym, lecz urągowiska.
Czuję w wnętrznościach twych duch struchlały,
I w oczach twoich ogień już nie błyska;
Focyonów słuchać chcesz smutnej rady...
Więc tylko Baru powstajesz cień blady!

O nie tak, piękna ma! nie w arenie
Ku czci Cezarów jak niewolnik padać,
Ale się w węże strój i w płomienie
I idź sumienie narodów spowiadać;
Gorgony twarzą świeć zbrodniom w oczy,
Aż każda głazem pod nogi się stoczy!

Przez ludów ciężki znój i przez mękę
Plemion dławionych wężem Laokona
Ludowi swemu ty podaj rękę
I w przyszłe wieki pchnij się uwielbiona
I ofiarnicą bądź! — dla przyszłości...
Znacząc krwią duchy wydarte nicości.

Niech pokolenie to gruzem legnie
U wielkich natchnień dziejowych ołtarza
Bo anioł, Polsko, twój — dalej biegnie
I szalę świata ku niebu przeważa,
I depcząc purpur tych krwawe szmaty,
Wolności ludom sypie złote kwiaty!

PRZYCHODZISZ DO MNIE...

Przychodzisz do mnie, nie mówisz nic,
Lecz ukazujesz swe rany,
Śmiertelność bladą zmartwiałych lic
I całun krwią twą zbryzgany!

Zatapiasz we mnie żałosny wzrok,
Co w pierś mi wbija swe ostrze,
Aż grozę śmierci, nicestwa mrok
Nademną wkoło rozpostrze.

W duszę mi spływa rozpacz i wstyd,
I cała konania męka...
I potępieńców ściga mnie zgrzyt,
I serce z bólu mi pęka!

W CIEMNOŚCI GROBU

Ciebie już, w ciemności spowitą i w ciszę,
Sen nieprzespany łagodnie kołysze;
Na grozę śmierci oczy ci zasłania
Wiecznemi blaski rajskiego świtania
I żadnych w sobie udręczeń nie mieści,
I żadnej z życia minionych boleści.

Za to ta cała noc grobu straszliwa
Mnie, bezsennego, swym mrokiem pokrywa,

Przez niedomknięte wciskając się oczy,
Widomą grozą serce me otoczy;

Za to mnie śmierci milczenie powleka
Jak zbudzonego w mogile człowieka,
Co z przerażeniem w tej podziemnej ciszy
Zamierający własny krzyk swój słyszy
I czuje rozpacz, co nim jeszcze miota,
I całą gorycz zgonu i żywota.

SAMOTNE WIDMO.

We mgle wieczornej usiadło
Samotne, blade widziadło
Przy drodze koło cmentarza —
I wzdycha, płacze, narzeka,
I o niewdzięczność oskarża
Serce człowieka.

— "Co robisz? — pytam — nad ziemią,
Gdy inne widma już drzemią
I żywych więcej nie trwożą?
Jaka zgryzota cię budzi?
I po co z wieczorną zorzą
Wracasz do ludzi?"

— "Co robię? pytasz, co robię?
Czy nie wiesz, jak straszno w grobie

W wieczystej zostawać nocy,
I widzieć, jak żywych tłuszcza
Grób nasz, samotny, sierocy,
Bez łez opuszcza!

"Ty nie wiesz — jak to, ach, boli!
Gdy świat rozerwie powoli
Wszystkie serdeczne ogniwa,
I jak pierś naszą przygniata
Milcząca, zimna, wzgardliwa
Niepamięć świata!

"Dlatego wstaję z mogiły
I dążę gdzie dla mnie biły
Serca kochanków tysiąca...
Lecz, choć wyciągam ramiona,
Każdy mnie z gniewem odtrąca
Od swego łona.

"Nic nie chcąc wiedzieć już o mnie,
Choć przysięgali niezłomnie
Dochować miłość i wiarę:
Więc wracam i patrzę zdala
Jak wszystkie wspomnienia stare
Unosi fala."

— "Więc nie masz w świecie nikogo,
Któremu byłaby drogą
Twa pamięć, samotny cieniu?
Za jakie grzechy i winy
Przestałeś żyć już w wspomnieniu
Bratniej drużyny?"

— "Ach serce ludzkie tak zmienne!
Dawszy mi łoże kamienne,
Cień zapomnienia głęboki
Nad grobem mym rozpostarło...
Choć jestem całej epoki —
Myślą umarłą."

DWIE FAZY.

I.

Kiedy myśl wielka nagle zajaśnieje
I porwie z sobą mętną ludzi falę,
Burzliwym prądem niosąc je przez dzieje
Ku szczęściu, prawdzie zwycięstwu i chwale—

Wtenczas pierś każda ludzka olbrzymieje
I po nad trwogi powszednie i żale
Każdy, jak Tytan, wyrasta zuchwale,
Po nieśmiertelną sięgając nadzieję;

Wtedy z owego tajnego ogniska,
Na świat ożywcze spływają promienie;
Życie co siłą i młodością tryska,

Zyskuje na swej wartości i cenie;
A śmierć sama pięknością połyska,
Jak godne męskiej pracy zakończenie.

Lecz gdy zagaśnie blask promiennej zorzy,
Gdy myśl ożywcza sercami nie włada, —
Zaraz duch ludzki waha się i trwoży
I nikczemnieje znowu i upada.

Wówczas — strach tylko pędzi ludzkie stada,
W których zepsucie i rozpacz się mnoży...
I rzesza ludów, przerażeniem blada,
Błądzi bez celu wśród ciemnych rozdroży;

Wówczas — świat, dziwnie zmieniony i stary,
Samą goryczą swoim dzieciom płaci;
Życie bez pragnień, bez natchnień, bez wiary,

Cały swój urok, całą jasność traci;
A śmierć w ohydnej zjawia się postaci,
Jak straszne widmo nicości i kary!

GAŁĄZKA JAŚMINU.

Tam, pod niebem południa palącem,
Szło ich dwoje po mirtów alei,
Słów namiętnych rzucając tysiącem;
Lecz nie było tam słowa nadziei:
Pożegnanie ostatnie, na wieki...
To trwa długo... i wstał księżyc blady,
A westchnienia powtarzał daleki
Szum płaczącej kaskady.

Obcy młodzian opuszczał dziewczynę,
Co jak powój w jego serce wrosła,
I porzucał słoneczną krainę,
Lecąc na śmierć, gdzie rozpacz go niosła:
Więc, targając serdeczne ogniwa,
Czuł, że serce z swej piersi wydziera
I że młodość, ta jasna, szczęśliwa,
W jej uścisku umiera.

Biedne dziewczę zrozumieć nie zdoła,
Że jest wyższa nad miłość potęga;
Że głos smutny, głos grobów anioła,
W jej objęciach go jeszcze dosięga:
Więc się skarży jak dziecię pieszczone:
— "O niedobry, jak mnie możesz smucić!
"Twoje słowa mnie ranią szalone,
"Nie mów, że chcesz mnie rzucić!

"Cóż mieć możesz na ziemi droższego
"Nad mą miłość?.. Gdy ta cię nie wstrzyma —
"Idź..." Tu głosu zabrakło drżącego,
I spojrzała smutnemi oczyma:
— "Patrz, me serce omdlewa mi w łonie,
"Łez mi braknie i w oczach mi ciemno...
"Masz tam ginąć gdzie w dalekiej stronie,
"To umrzej razem ze mną!

"Tak, o dobrze! Nie będę po tobie
"Więcej płakać, ni gorzko się smucić;
"Ale razem w jednym spoczniem grobie, —
"I nie będziesz już mnie mógł porzucić!
"Wieczność całą prześnimy tak błogo,

"I przebaczy nam Bóg miłosierny!..
"Ja prócz ciebie nie mam tu nikogo:
"A ty idziesz, niewierny!?

"Nie chcesz umrzeć i nie chcesz żyć razem?..
"Idź szczęśliwy! Twa kochanka biedna
"Przed cudownej Madonny obrazem
"Szczęście tobie u Boga wyjedna.
"Teraz jeszcze mej prośbie serdecznej
"Uczyń zadość, bo cierpię ogromnie,
"Gdy pomyślę, że w rozłące wiecznej
"Możesz zapomnieć o mnie.

"Tyś tak lubił wonny kwiat jaśminu,
"Ja go odtąd na mem sercu noszę..."
I odpięła chusteczkę z muślinu,
Mówiąc dalej: "Weź gałązkę, proszę,
"A ta druga na sercu zostanie,
"Mówić będzie o tobie, jedyny!
"Gdy nie przyjdziesz na moje wołanie,
"Łzą się zroszą jaśminy..."

I oparta na jego ramieniu,
Wpół zemdlona kwiaty do ust ciśnie,
I tak stoją oboje w płomieniu,
I ust dwoje na kwiatach zawiśnie;
Aż nareszcie wydarł się z objęcia
I rzekł do niej: "O, żegnaj mi, droga
"Gdy mnie twoje nie zbawią zaklęcia —
"Spotkamy się u Boga!

"Ja nie mogę pozostać przy tobie,
"Choć twój jestem na wieki, dziewczyno!

"Bo mnie duchy wzywają w żałobie,
"Bym szedł z tymi, co marnie dziś giną,
"Słyszę matkę wołającą: Synu!
"Lecz zachowam, zachowam do zgonu
"Tę gałązkę jaśminu..."

PAMIĘCI JÓZEFA P...

Byłeś jednym z tych ludzi nielicznego koła,
Co wierni ideałom, pod nogą nie czują
Ziemskiego błota, — dotknięciem się trują;
Ludzi palącej myśli i bladego czoła,
Co, rażeni w kolebce spojrzeniem anioła,
Jak błędnie cienie po ziemi się snują.

A wyzwolenia z męki czekając serdecznej,
Jak stracone pikiety wielkiej armii ludów
Idą, — niepostrzeżeni dokazują cudów,
Ginąć bez echa w niepamięci wiecznej.

Przebiegłeś swoją metę jak rycerz bez trwogi,
Bez skargi, bez pociechy, ani twemu oku
Odsłoniła się przyszłość w ognistym obłoku,
Jak ostatni Sakrament co ostatniej drogi.

Do twojego grobowca nie zstąpi cień sławy,
Co po podziemiach zbiera swoje ulubieńce
A próchniejące kości strojąc w lauru wieńce,
Na zasiew światu rzuca ich proch krwawy.

Śpij cicho! Fala życia leniwo się toczy
Dla tych, co sztandar walki chcą zatknąć przy zgonie
I nieśmiertelność, którą czują w łonie,
Przekazać pokutnicy, co w popiołach kroczy,
A którą oglądali w tęsknocie proroczej,
Królową ludów — zwycięską w Syonie.

PRZODOWNIKOM.

Słudzy prawdy i prawdy czciciele,
Kochankowie dziś zasłoniętej! —
Wam się godzi wzrok zatapiać śmiele
W ciemnych głębin kuszące odmęty.

Wam dążącym wciąż do światła, w górę,
Na rozdrożach zabłąkać się wolno,
Schodzić na dół, w przepaści ponure
I pierś krwawić wędrówką mozolną.

Choć się który w podziemia zapuści,
Tracąc z oczu jasny trop błękitu —
Wyjdzie cało z straszliwej czeluści
I podąży znów dalej do szczytu.

Wy możecie zstępować bez trwogi,
Gdzie noc, groza i zwątpienie mieszka,
I piekielne nie zwiodą was bogi,
Bo do światła wiedzie wasza ścieżka.

Lecz gdy macie wieść za sobą tłumy,
Których myśli biegły dotąd nizko,
Nie szukajcie w tem dla siebie dumy,
Że umiecie kroczyć przez urwisko.

Nie prowadźcie na spadziste tory,
Gdzie się czasem nawet mężni chwieją,
A gdzie lud ten, zmęczony i chory,
Raz na zawsze żegna się z nadzieją;

Nie wskazujcie tej bezdennej próżni,
Po nad którą stopa się zawiesza...
Jej widoku nie zniosą podróżni —
I nie zdoła przejść bezkarnie rzesza.

Więc, jak dobrzy czynią przewodniczy,
Grunt im twardy ukażcie pod nogą
I oparcie dla trwożnej źrenicy —
Aby w drodze nie zgubić nikogo!

DO MŁODYCH.

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg!
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,

Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów,—
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwy-
Lecz dalej sięgnie ich wzrok. [tów,

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach:
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,—
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść:
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi:
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

WY SIĘ SKARŻYCIE?

———

Wy, ulubieńcy losu i wybrani
Którym pogodne śmieją się błękity —
Wy się skarżycie, gdy wam stopę zrani
Cierń pośród kwiatów ukryty;

Gdy wam zabraknie słodkiej szczęścia rosy,
I pierwszą gorycz przyniesie wam życie —
Na świat i ludzi i na swoje losy
Wy się skarżycie!

Zapominacie o swym dniu słonecznym,
I obejmując wszechświat w złorzeczeniu,
Bunt podnosicie przeciw prawom wiecznym,
Przeciw istnieniu!

Lecz ci, co wzrośli w twardej z losem walce,
Wprzągnięci w jarzmo trudów i niedoli, —
Ci nie zważają, że cierń krwawi palce,
Nie myślą o tem, co boli.

Chociaż, w świat idąc pod nieszczęścia strażą,
Widzą, jak wszystkie nadzieje im gasną —
Ci nie złorzeczą, ani się nie skarżą
Na dolę własną.

Owszem, gdy znajdą po swym krwawym znoju
Chwilę wytchnienia, z wszystkich chwil najrzad-
Z błogiem uczuciem wiary i spokoju [szą,
W niebiosa patrzą.

W ALBUMIE.

Nie pytaj próżno o przyszłe losy, —
Nie pytaj!
Lecz otwórz ducha pogodne oczy

Na wszystko piękne, co cię otoczy;
W promieniach słońca i w kroplach rosy
Zakwitaj!

Nie zdzieraj szczęścia urojeń wiotkich, —
Nie zdzieraj!
Ani nie badaj nazbyt oględnie:
Czy ten kwiat wonny w ręku ci zwiędnie?
Lecz póki pora, z kielichów słodkich
Miód zbieraj!

Przechowuj w sercu szlachetną marę, —
Przechowuj!
I żyj miłością swego narodu...
A w chwilach smutku, w chwilach zawodu
O idealną oprzej się wiarę
Jak powój!

WIERZBA NA PUSTKOWIU.

Stoi wierzba płacząca
Nad ciemnem jeziorem;
Drży w promieniach miesiąca,
Kiedy wietrzyk ją trąca
Wieczorem.

W koło piaski wilgotne,
Rdzawe mchy i zioła,
Wody mętne i błotne,

I pustkowie samotne
Dokoła.

Gdy na niebie zapada
Noc martwa, noc cicha,
Wierzba stoi tak blada
Jak strwożona Dryada
I wzdycha.

Patrzy smutna na sine
Niebiosa z ołowiu,
Na wód czarną kotlinę
I piaszczystą równinę
W pustkowiu.

Chociaż cisza panuje
Grobowa i głucha,
Coś ją zgrozą przejmuje,
Bo się w niebo wpatruje
I słucha...

Gdy zegary gwiaździste
Już północ naznaczą,
Lecą duchy nieczyste
Przez obszary piaszczyste
I płaczą.

Przybywają z noclegu
Wybladłe, skrawione,
I siadają w szeregu
Pod tą wierzbą na brzegu,
Zmęczone.

Wspomnieniami ścigają
Utracony sen życia,
Nad przeszłością wzdychają
I zbutwiałe wstrząsają
Okrycia;

I piękność młodzieńczą,
Upojenia tak miłe —
I klną swoją mogiłę
I jęczą.

Klną poczęcia godzinę
I matki swej łono,
Swoich ojców, rodzinę
I słoneczną krainę
Straconą.

I złorzeczą ludzkości
I żywym na ziemi,
Ich nadziejom, miłości...
I wzywają nicości
Nad niemi.

Księżyc twarz swą ukrywa
Za obłok, za ciemny...
Nagle wicher się zrywa,
A z nim władca przybywa
Podziemny.

I gromadzi swe straże
I hufce śmiertelne,
I po ziemi obszarze

Spełniać dzieło im każe
Piekielne.

Każe w strony rodzinne
Powracać i czuwać,
Wkraść się w strzechy gościnne,
Nocą serca niewinne
Zatruwać;

Tłumić lepsze natchnienia,
Siać nędzę i ciemność
I bezmyślność zwątpienia,
Co czyn każdy zamienia
W nikczemność —

By w narodzie, co słynął
Rycerski, szlachetny,
Śmierci jad się rozwinął;
Aby upadł i zginął
Bezdzietny!

Wysłuchały z rozkoszą
Straszliwe rozkazy,
I w powietrze się wznoszą
I po ziemi roznoszą
Zarazy.

Potrząsając skrwawione
Całuny posępne,
Lecą, każdy w swą stronę,
Wzniecać żądze szalone,
Występne.

Lecą z wiatru poświstem,
Stopione w mgłę czarną,
Kazić tchnieniem nieczystem
I siać w polu ojczystem
Złe ziarno.

I znów pustka milcząca —
Noc martwa i cicha...
Stoi wierzba płacząca,
Drży w promieniach miesiąca
I wzdycha.

REPLIKA.

Lubię święte oburzenie.
Lubię pathos ten dziewiczy,
Co przy każdej śmiesznej scenie
Swoje "shocking" głośno krzyczy
I tragicznej czeka roli,
By wypłakać się do woli.

Lubię czułość, co się pasie
Wierzb płaczących gorzkim listkiem.
W poetycznym cienkim kwasie
Lubując się przedewszystkiem,
I co w niebo-by leciała,
Gdyby tylko skrzydła miała.

Ja to lubię... bo to właśnie
Przypomina mi Angielkę.

Co nad książką zanim zaśnie,
Zlewa swoje łzy w butelkę.
Żeby mogła wszystkim dowieść.
Że ją wzrusza tkliwa powieść.

Tych Angielek dziś bez liku
Na wysokich nogach brodzi,
Pełno płaczu, pełno krzyku:
"Słońce zaszło księżyc wschodzi"
Dzień się kończy lub zaczyna —
Do łez zawsze jest przyczyna.

Wielkie słowa, małe smutki
Lecą tędy i owędy;
Czuć kolońskiej zapach wódki,
Dużo piżma i lawendy,
A westchnienia brzmią tak śpiewnie,
Że niechcący człowiek ziewnie.

A gdy ziewnie... hałas wielki:
O bezbożnik! o bluźnierca!
"Shocking" — krzyczą te Angielki, —
"Ach, ten człowiek nie ma serca
"Ziewnął: jest to znak cynizmu;
"Trzeba użyć egzorcyzmu."

Więc z kolei po porządku
Każda zacznie głos podnosić,
I ze łzami od początku
Wszystkie swoje cnoty głosić:
Ile w piersiach ma zapału
I poczucia ideału.

I wypowie bez wytchnienia,
Śpiewnym głosem katarynki,
Post, jałmużnę, umartwienia...
Wszystkie dobre swe uczynki:
Całą duszę wyspowiada;
Powiedziawszy — jeszcze gada...

Poetyczne czyste dusze,
Namaszczone muz kapłanki
Jeszcze raz was zgorszyć muszę,
Dusze bielsze od śmietanki
Gdyż w mych piersiach siedzi szatan
Brzydszy jeszcze niż Lewiatan.

Ten, jak każdy duch przeklęty,
Na święconą wodę parska,
A z nienacka napadnięty
Kiereszuje, het, z tatarska;
Mając usta śmiechu pełne,
Nie obwija słów w bawełnę.

On dziś moim jest suflerem,
Trzyma pióro w koźlich łapach;
Kiedy piszę... nad papierem
Ulatuje siarki zapach
I mój każdy rym najprostszy
Swoim rogiem szatan ostrzy.

Czyste dusze, wiedźcie przeto,
Że czasami śmiać się można;
Że niewielką jest zaletą,
Zjadłszy dobrą pieczeń z rożna,

Nad nieszczęściem łzy przelewać
I przy cytrze dumki śpiewać.

Śmiech jest dobry, śmiech jest zdrowy,
Uspokaja słabe nerwy;
Cały Olymp bóstw różowy,
Nie wyjmując i Minerwy,
Śmiać się lubi, i swawolą
Wszystkie muzy i Apollo.

W śmiechu szukać trza lekarstwa
Na te spazmy, palpitacye,
Serc choroby i kuglarstwa, —
Które młodą generacyę,
Rozkochaną w ciągłym żalu,
Wiodą prosto do szpitalu.

Odkąd humor i jowialność
Przepędzono precz za bory,
Znikła wszelka naturalność,
Znikło zdrowie i kolory;
Nawet praczka, bieląc płótno,
Jak Elektra wzdycha smutno!

Dziś już niema lubych psotnic,
Rzucających blask wesoły;
Pełno zato jest suchotnic —
Same duchy i anioły...
W niebo lecą, gdy wychudną:
Więc na ziemi jest tak nudno!

Smutnych cieni cała legia
W ossyanicznych mgłach się chowa.
Co krok stąpisz — jest elegia
Tajemnicza i grobowa;
Chorobliwe wszędzie cnoty,
Nigdzie wdzięku i prostoty.

A z chłopcami większa bieda:
Skończy który lat szesnaście,
Już pozuje na Manfreda;
Idzie błądzić nad przepaście,
Do poświęceń wszystkich zdolny...
Tylko nie do pracy szkolnej.

Dużo uczuć, mało pracy —
Pracą gardzi nasza dziatwa;
W kąt Iliada, w kąt Horacy
Bohaterstwo — rzecz tak łatwa:
Dosyć wstąpić na katurny
Mieć wzrok czuły i pochmurny.

Gorszy jeszcze tworzą rodzaj
Nasi wieszcze rozkiełznani.
Na tych wielki jest urodzaj:
Wschodzą — chociaż niezasiani,
Z bajronicznych wschodzą grządek,
Głusząc piękno i rozsądek.

Bo ich muzy to nie owe
Helikońskie wdzięczne muzy,
Ale jakieś ćmy wężowe,
Niby Furye i Meduzy:

Co im tylko w rękę wpadnie,
To poszarpią w lot szkaradnie.

Nad bachantki, co rozniosły
Orfeusza krwawe członki,
Sroższym jest ten niedorosły
Zastęp zbrojny w dzikie mrzonki,
Gdyż się pastwi wciąż nanowo
Nad ojczystą słodką mową.

Czyż więc można brać na seryo
Ten Tytanów ród skrzywiony?
Widząc z jaką fanaberyą
Kładzie Ossy na Peliony,
By się gwałtem dostać w wieczność,
Gdzie króluje — niedorzeczność.

DZIEŃ WCZORAJSZY.

Piotr teraźniejszość wyklina;
Wszyscy gniewają go ludzie:
Gniewa zalotna dziewczyna
I piesek, co szczeka w budzie.

Gorszą go nowe kierunki;
Potępia działalność cudzą
Dzieci na łonie piastunki
Już jego odrazę budzą.

Wszędzie zepsucie go ściga.
Próżno sam stoi na straży:
Zwycięża w świecie intryga
Żydów i Wolnych Mularzy...

Zalewa ziemię wokoło
Rozpusty bezwstydny cynizm;
Jak hydra podnosi czoło
Socyalizm i jakobinizm.

Znikąd nie widać pociechy:
Więc przepowiada narodom
Za wszystkie tych czasów grzechy
Los straszny biblijnych Sodom.

"Dawniej — to wspomnieć aż miło —
"Nic nie kosztował nas najem;
"Wszystko się samo robiło
"I życie było, ach rajem.

"Podatków nie gniotło brzemię,
"A pan spokojnie sprzedawał,
"Jeśli nie całą swą ziemię,
"Przynajmniej dobry jej kawał.

"Moralność kwitła na dole...
"I niższa narodu warstwa
"Kornie znosiła niedolę,
"Szukając w modłach lekarstwa.

"Nie było pokusy próżnej:
"Każdy się godził z swym stanem;

"Kto żebrak, ten żył z jałmużny,
"A pan — ten zawsze był panem.

"Nauki zgubnego jadu
"Nikt w dusze ludzkie nie szczepił;
"Zepsucia nie było śladu,
"Najwyżej — wioskę kto przepił."

Tak się wciąż skarży i zżyma
I biada poczciwa dusza,
Aż przywdział ubiór pielgrzyma
I w drogę po nocy rusza.

Śród nocy — ciemno troszeczkę,
Więc w błocie kosturem grzebie;
Zapalił łojową świeczkę
I pilnie patrzy przed siebie.

— "Gdzie idziesz? — pytam — człowiecze
"Czy szukasz po nocy czego?"
A on mi z dumą odrzecze:
— "Ja szukam dnia wczorajszego."

— "Jak sądzę, daleko zajdziesz:
"Pośpieszaj zatem jegomość,
"A jak wczorajszy dzień znajdziesz,
"Przyślij mi pocztą wiadomość."

NA PRZEDPIEKLU.

Raz mi żona tak dopiekła,
Żem się powiesił na górze;
Ciało zostało na sznurze,

A dusza poszła do piekła;
Strącona w otchłanie ciemne
Trzęsła się cała ze strachu,
Po siarki przykrym zapachu
Poznając państwo podziemne.

Zaledwie biedaczka dusza
Stanęła w przepaści na dnie,
Gdy dziki Cerber wypadnie
Targać za poły kontusza:
I tak jął szarpać zdradziecko,
Że gdym się bronić sposobił,
To on tymczasem już zrobił
Z kontusza tunikę grecką.
Więc w takim klasycznym stroju
Ja, szlachcic i Podolanin,
Szedłem, a duchy po kroju
Mniemały, żem jest poganin.
Charon w łańcuchy mnie okuł
I zawiódł na odwach prosto,
Gdzie przed piekielnym starostą
Spisywać trzeba protokół.

Na sądzie Eak zasiadał,
Przy nim Rhadamant z Minosem.
Spojrzeli na mnie ukosem,
Żądając, bym się spowiadał.
Widząc, że patrzę przed siebie,
Nie wiedząc co mówić zgoła,
Rhadamant gniewny zawoła:
— "Coś przyszedł robić w Erebie?
"Jakie do niego masz prawo,

"Jakie masz w piekle zasługi?
"Czy szereg twych zbrodni długi
"Występną okrył cię sławą?
"Czyś może jako wódz srogi
"Rozpuścił na świat swe hordy;
"Siałeś pożogi i mordy
"Wzywając do walki bogi?
"Lub może, jak Tytan nowy,
"Niebiosa pobiegłeś gwałcić
"I ziemię chciałeś przekształcić,
"Niszcząc fatalizm duchowy
"Możeś był zemsty Orestem
"I w krwi swych blizkich się pławił?
"No, powiedz, czemżeś się wsławił?
"Mordami? zdradą? incestem — ?"

Na to ja, szlachcic struchlały,
Rzekłem: — Niech porwą mnie dyabli,
Jeżeli dotknąłem szabli
Przez życia mego wiek cały
Jestem człek prawy, zamożny...
Moi piekielni panowie
Co wam też świta po głowie,
Bym miał być taki bezbożny?
Żyłem przykładnie na roli,
Czysty przed ludźmi i Bogiem
Nikomu nie byłem wrogiem;
Strzegłem się wszelkiej swawoli;
Gromiłem życie namiętne;
Próżne marzenia postępu
Nie miały do mnie przystępu,
Doktryny były mi wstrętne.

Nie gustowałem w poezyi,
Pogańskich nie czciłem bogów
Strzegłem się ideologów
I heroicznych herezyi.
Prowadząc życie w porządku,
Nie miałem większej ambicyi
Jak zostać... posłem w Galicyi.
Gdziem słynął z swego rozsądku.
Ale czart jakiś mnie zbiesił,
Gdy mocniej zalałem głowę;
Różne zgryzoty domowe
Sprawiły, żem się obwiesił.

Gdym skończył, wstał Minos straszny
I rzekł: — "Co robić z tym fantem.
"Z Beotem i obskurantem?
"Dla piekła jest za rubaszny "
I tak, po krótkich namowach,
Wszyscy trzej mrucząc pod nosem,
Rhadamant, Eak z Minosem
Zawarli wyrok w tych słowach:
"Idź jeszcze na ziemię, bracie,
"Zająć się twojem rzemiosłem,
"A będziesz wybrany posłem,
"Zasiądziesz nawet w rajschracie;
"A kiedy już w delegacyi
"Staniesz w obronie wolności,
"Chcąc nam dochować wdzięczności,
"Pamiętaj o propinacyi!
"I nie trać nigdy nadziei;
"Walcz śmiało na każdej sesyi:
"Zdobędziesz dużo koncesyi...

"Banków i nowych kolei.
"Choćby kto za złe poczytał.
"Śmiej się bo sprawa jest czysta,
"Wszakże kraj na tem skorzysta,
"Jeśli powiększysz kapitał.
"Piekła się nie bój tembardziej;
"Bądź tylko śmiało bezczelnym:
"Honorem ręczym piekielnym,
"Że piekło tobą pogardzi.

NA GROBIE WINCENTEGO POLA.

Ciebie, ach, duchy zawiodły łaskawe
Do zdrojów przeszłej pokoleń wielkości,
I moc ci dały dawną wskrzesić sławę
I ubrać w ciało rozsypane kości.

Na znak twój — przeszłość uśmiechnięta wstała
I kipi życiem rycerskiej drużyny;
W bojowym szyku proporce rozwiała,
Znów na orężne gotując się czyny.

Znów chrzęszczą zbroje i hussarskie skrzydła,
I z wzdętą piersią arabskie rumaki
Rwą się do boju pomimo wędzidła
I przelatują jak huragan jaki!

Szlacheckie dworki, wypełnione zgiełkiem,
Braterskie uczty, sejmiki i kłótnie, —

Wszystko to miga tęczowem światełkiem,
Drży w tonach pieśni uroczo i smutnie.

Wszystko powstało i wszystko ożyło
Bo śmierć jest kłamstwem, w które nikt nie
wierzy.
Natchnione serca znajdą pod mogiłą
Gotowych w szranki powrócić rycerzy.

Tyś znalazł słowa zaklęć, co z błękitu
Zniknione mary na świat przywołały:
A więc stać będziesz kolumną granitu —
Pomnikiem polskiej i pieśni i chwały.

KANTATA.

NA JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO

Chór.

Szczęśliwy komu w życiu dano
Doczekać plonu swojej pracy
I ujrzeć myśl swą przechowaną,
I najpiękniejsze zdobyć wiano
Z kłosów, co niosą mu rodacy.

Szczęśliwy, kto swą piersią własną
Wykarmił całe pokolenia

I wytknął dla nich drogę jasną,
I w nowych jutrzniach, co nie gasną,
Ogląda dzieło odrodzenia.

Szczęśliwy, kto szedł naprzód w znoju
Z hasłami, które ludzkość budzą
I walcząc w ciszy i pokoju,
Dokonał ludzkich dusz i podboju,
Niezaćmionego krzywdą cudzą.

Szczęśliwy Palmy zwycięztw z dłoni
Nie wydrze ramię mu niczyje;
Burza go nieszczęść nie dogoni:
On wyszedł z ciemnej losów toni
I nieśmiertelny w sercach żyje.

Głos.

I naród żyje, gdy mu przodem
Pochodnia wielkich myśli świeci,
I jeszcze wielkim jest narodem,
Gdy się odświeża życiem młodem,
Wydając z siebie takie dzieci;

Żyje, gdy na świat z jego łona
Wychodzą zbrojni wciąż rycerze,
Których wróg żaden nie pokona
A ludzkość ze czcią ich imiona
Wpisuje w dziejów karty świeże.

Żyje ten naród, co prawdziwą
Zasługę pojmie i ocenia,

I w ślad za myślą idzie żywą
I zbiera świeżych kłosów żniwo
Na drogach swego odrodzenia.

Chór.

Więc w uroczystym dziś obchodzie
Wielkiego męża czcijmy święto!
W bratniej miłości; w bratniej zgodzie
Nieś mu życzenia swe, Narodzie:
Niech kończy pracę rozpoczętą;

Niech rozpościera jasność wszędzie
I zbiera owoc swoich trudów,
W wielkich zdobywców stając rzędzie;
Niechaj ojczyźnie swej zdobędzie
Cześć i braterstwo wszystkich ludów.

Niech dzień ten przyszłość nam zapowie,
Do której zwolna ludzkość wiodą
Najszlachetniejsi jej synowie:
A czyn zamknięty dotąd w słowie
Najmilszą będzie mu nagrodą.

PROLOG.

Na uroczyste otwarcie

Nowego teatru w Krakowie.

Plaudite cives! — Oto nowa scena
Otwiera muzom gościnne podwoje.
Ucieszna Talia, smutna Melpomena,
Prowadzą z sobą wdzięczne chóry swoje,
I owe deski przemienią cudownie
W ogarniającą cały świat widownię.

Cały świat uczuć, cała działań sfera
I starć namiętnych ukryte pobudki;
Zdrada, łamiąca pochód bohatera,
Dwojga kochanków sen o szczęściu krótki,
Kłamstwo i zbrodnia w zwycięskiej potędze, —
Drżące przed prawdy wschodzącem światełkiem;
Wady, śmieszności i powszednie nędze,
Życie codziennym wypełnione zgiełkiem —
Wszystko tu w barwnej przesunie się tęczy,
Wybuchnie bólem lub śmiechem zadźwięczy.
Baw się narodzie! Scena ci ukaże
Znajome dobrze postacie i twarze,
I w wiernem nieraz zestawi odbiciu
Przy grozie dziejów płaski komizm w życiu.
Więc ujrzysz na niej własne twoje syny,
Tych, co tragicznej niosą ciężar winy,

Tych, którzy duchem górują nad rzeszą,
Tych, co świat gorszą i tych, co go śmieszą.

. . . .

Baw się narodzie! Niech ci smutną dolę
Osładza tajne sztuki czarnoksięstwo;
Niech ci ukaże nowych czynów pole,
Na którem możesz wywalczyć zwycięstwo;
I niech przed okiem głodnego nędzarza
Obraz kwitnącej przeszłości odtwarza.
Niechaj satyra biczem swoim karci
Wszystkie instynkta nędzne, brudne, liche;
Niech śmiechem smaga tych, co śmiechu warci,
Niechaj piętnuje egoizm i pychę,
I obłudnikom zdziera maski z twarzy
I szpetne żądze z pięknych szat obnaży.

Baw się narodzie! Może wśród zabawy
Niejedna myśl cię szlachetna pokrzepi,
. . . .
. . . .
I dalsze drogi pochodu rozjaśni;
Może zobaczysz w czarodziejskiej baśni.
Wysnutej z podań ludowych legendzie
O tem, co było i o tem, co będzie,
Niby widzenie mgliste ideału:
Śpiącą królewnę na górze z kryształu,
Którą z rąk złego odbić czarodzieja
Trzem braciom słuszna jaśniała nadzieja —
Jak dwaj z nich w morze pobiegli płomieni
I nie wrócili więcej — zwyciężeni...

Ale ten trzeci, najmłodszy, w siermiędze,
Oprze się pokus i czarów potędze,
I pnąc się zwolna, mimo straże gniewne,
Z snu zaklętego obudzi królewnę.

J. KOLAROWI

Wieszczowi odrodzenia Czech.

Gdy lud Wasz wielką rocznicę dziś święci
Ja, polski pieśniarz, idę do Was w gości
Oddać hołd Wieszcza Waszego pamięci
I w cichem święcie słowiańskiej jedności
Wraz z Wami sercem udział wziąć pospołu
Przy uczcie duchów, u wspólnego stołu.

Przed bohaterem, który w bój bezkrwawy
Prowadził naród, budząc go do życia,
I z tej uśpionej pięknej Córki Sławy
Zbutwiałe grobu otrząsał spowicia,
Z pokorą swoje uginam kolano,
Wpatrzony w zorzę geniuszu świetlaną.

Przed wodzem, który wówczas stał na straży,
Gdy mrok niewoli ćmił wzrok ludu wszędzie,
I białogórskich podjął pieśń cmentarzy,
I kształcił śpiewne języka narzędzie, —
Przed ojcem pieśni wiodącej do czynu
W imieniu Polski składam liść wawrzynu.

Cześć śpiewakowi, który w śnie proroczym
Czuł, że z letargu cały naród wskrzesi,
Cześć hetmanowi w którego ślad kroczym
Ku odrodzeniu z Wami, bracia Czesi!
Przez trud pokoleń i duchów torturę,
By oswobodzić piękną Sławy Córę.

O Córko Sławy zostań wierną sławie,
Tej nieskalanej łzami i krwią cudzą!
Niech cię rządzące zwycięzko bezprawie,
Ani wszechwładztwa pokusy nie łudzą!
Szukaj natchnienia i sił w samej sobie
I w tej przeszłości, która żyje w grobie!

Idź raczej z tymi, co cierpią i walczą,
Nie chcąc zatracić samobójczo ducha,
I stać się tłuszczą Helotów służalczą,
Nad którą dziejów noc zapadnie głucha, —
Wszystkie ludzkości depcze ideały.

Przyjdzie czas, w którym wypełnią się jeszcze —
Tylko w zmienionej przez dzieje postaci —
Waszego piewcy te natchnienia wieszcze
O świętej zgodzie wśród słowiańskiej braci;
Skryte marzenia czas urzeczywistni:
W objęcia sobie padną nienawistni!

Gdy prąd duchowy, co kajdany łamie,
Wszystkich podniesie i usamowolni,
Wtedy staniemy do ramienia ramię,
Równi z równymi i z wolnymi wolni!
I Słowiańszczyzna — cała, silna, młoda, —
Przy bratniej uczcie ręce sobie poda.

Z EGIPSKIEGO RYTUAŁU ZMARŁYCH.

Ozyrys szalę prawdy ujął w dłonie.
I jedno oko zatopił jastrzębie
W cichej wieczności tajemnicze głębie,
A drugie zwrócił ku doczesnej stronie,
Skąd przylatują do niego po zgonie
Stadami ludzkie dusze, jak gołębie.

Z pomiędzy dobrych, co ciemne podwoje
Przebyli — jedni w zasług świetnej szacie
Idą odziani w purpurę lub zbroję.
Chwałą jaśnieją dumne ich postacie,
A o spełnionych czynów majestacie
Świadczą obszerne papyrusów zwoje,

W nich hieroglifów głoski tajemnicze
O każdym wielkim wspominają czynie
I wyliczają: wzniesione świątynie,
Prace pokoju, dzieła wojownicze,
Nadane prawa, duchowe zdobycze,
Wielkie przewroty, których pamięć słynie.

Skromnie dusz drugich zbliża się gromada;
Nie niosąc z sobą bogatego żniwa;
Każda do innych przytulić się rada,
Każda pokornie w cieniu się ukrywa,
I przed sędziego podchodząc trwożliwa,
W tych krótkich słowach z życia się spowiada:

"Proch prochów tylko wśród świata ogromu,
Nie uzbierałem zasług w mym żywocie;
Przychodzę teraz w trwodze i tęsknocie
Po zmiłowanie do wieczności domu,
Bom nie wycisnął żadnej łzy nikomu,
Ale ją nieraz otarłem sierocie."

Ozyrys sędzia treść żywotów waży
Na szali prawdy, podejmując z ziemi —
"Wszystkie uczynki głośne wraz z cichemi;
Łaskawy uśmiech osiadł mu na twarzy;
Jednych i drugich wedle zasług darzy
I taki wyrok wydaje nad niemi:

"Wy, którzy dzieła spełniacie olbrzymie
Na nowe tory pchając ludów życie
Wy, co zwycięsko po ziemi kroczycie
We krwi i trudzie, w jasności i dymie,
Czynami swoje zapisując imię
Na korze ziemi, na niebios błękicie, —

Waszą jest głośna nieśmiertelność chwały!
Waszym blask wieczny, który was wydzieli
Z powszechnej istot ginących topieli
I da wam żywot odrębny i trwały
Pośród pokoleń, co was będą znały
Jako swych wodzów i nauczycieli.

"Ale nie dla was słodki cień mogiły,
Nie dla was zmarłych wypoczynek święty:
Wciąż nowe rzesze będą was sądziły

I naruszały grobowiec zamknięty,
Przetrząsać będą wszystkie życia męty,
Aż przeklną jutro — to, co wczoraj czciły.

"I wyjdą na świat wszystkie tajne nędze,
Które wy ukryć pragniecie głęboko...
Zdejmą z was wierzchnią złotogłowu przędzę
I na jaw wszystkie słabości wywloką,
A pożądliwe potomności oko
Będzie się waszej urągać potędze.

"Wy zaś, o cienie ciche, bezimienne,
Które, jak kwiaty ukryte w ustroni,
Ledwie ślad swojej zostawiacie woni;
Wy, duchy czystem uczuciem promienne,
Które swych bliźnich niedole codzienne
Dotknięciem miękkiej łagodzicie dłoni;

"Wy, domowego kapłani ogniska,
Coście przez ziemię lekką przeszli nogą
I nie zranili w pochodzie nikogo,
Wolni od sławy, która, przez zwaliska
Idąc przebojem, nieraz łzy wyciska
I burzy szczęścia lepiankę ubogą —

"Wy się nie skarżcie na pośmiertne wiano,
Bo waszą będzie nieśmiertelność cicha,
Wam będzie słodycz wypoczynku daną...
I pić będziecie z wieczności kielicha
Niepamięć, której pozazdrości pycha,
Widząc jak dumny proch sponiewierano.

"Wy utoniecie w wielkim oceanie,
Skąd wschodzi, dokąd znów powracać śpieszy
Wszelkie dusz ludzkich anielskie świtanie,
I roztopieni w bezimiennej rzeszy
Będziecie światłem, które ludzkość cieszy
Bez względu na to — gdzie i jak powstanie.

MEMNON.

P. P. Trojackim.

Niedaleko oceanu wybrzeży,
W cichej grocie, gdzie się jutrznia zwykła kryć,
Ranny Memnon na wilgotnych mchach leży
I nie może umrzeć, ani żyć.

Co noc Eos, nim wybiegnie w niebiosa,
Tam przychodzi nad swym synem ronić łzy —
I na chwilę macierzyńskich łez rosa
Z jego czoła spędza ciężkie sny.

Wtedy rwie się z jego piersi zbolałej
Cichej skargi melodyjny, smutny ton;
Przypomina dni wielkości i chwały
I swej matce tak się skarży on:

"Czemuś ty mi wyprosiła, o matko
"Tego trwania pośmiertnego straszny dar?

"Żem pozostał dla podziemnych zagadką,
"A dla żywych jedną z próżnych mar?

"Po co było żądać dla mnie u bogów
"Świadomości, z której płynie tylko ból?
"Po co było zatrzymywać u progów,
"Gdym miał odejść do Szczęśliwych Pól?
"Lepiej było wraz z cieniami innemi
"Naraz stracić całą pamięć ziemskich dni,
"Niż pozostać nawpół martwym na ziemi,
"Z sercem, które o przeszłości śni.

"Co mi z tego, żem przechował zamkniętą
"Skrę żywota przez tę długą grobu noc,
"Gdy mi wszystkie jego dary odjęto:
'Dzielność, chwałę i królewską moc.

"Każdy może mnie znieważać bezkarnie,
"Może śmiało bezwładnego deptać lwa:
"A ja muszę znosić wszystkie męczarnie,
"Bo tak chciała, matko, miłość twa!"

Na to Eos z macierzyńską pieszczotą:
— "Synu, — rzeknie — biedny synu mój
"Znosić musisz taki smutny los po to,
"Byś mógł powstać na ostatni bój.

"Przeznaczenie próśb daremnych nie słucha:
"Wszystko trzeba okupywać nam;
"Trzeba w grobie zdobyć nową moc ducha
"Chcąc do życia znów powrócić bram."

Freski starożytne.

A.

THETYS I ACHILLES.

Równo z jutrznią pośpieszną, co na niebie już wschodzi,
Thetys smutna i blada na perłowych konch łodzi
Z głębi morza wypływa. Przed nią fali błękity
Rozsuwają się cicho i szlak złotem nabity
Znaczy drogę, po której jej perłowa łódź przejdzie.
Każda fala się kłania modrookiej Nerejdzie
I całuje jej stopy, bielsze jeszcze od piany,
Którą lekko okrasi pierwszy promień różany.
Brzmienia słodkie, łagodne, jak amfiońskiej głos liry,
Towarzyszą jej w drodze przez te płynne szafiry;
A na muszli najcichszy syn Eola z uśmiechem
Biały żagiel wydyma swoim wonnym oddechem.
Wkoło — rzesza delfinów, ssąc powietrze w swe płuca,
Wodotryski srebrzyste po nad fale wyrzuca.
Złotowłosych cór morza, śpiewnych Nerejd gromada

Igra z falą, lub z wdziękiem na delfinów grzbiet
wsiada,
Zakwitając różowo w złotym deszczu promieni,
Co ich ciała przejrzyste tchem rozkoszy rumieni.
Towarzyszą Thetydzie oceanu dziewice:
Jedna sterem kieruje, druga trzyma kotwicę;
Owa piersią swą śnieżną w biegu wstrzymać
chce fale;
Inna z morza dobywa promieniste korale;
U tej w ustach pobudką śpiewająca brzmi
koncha,
A ta znowu schylona dziwny morski kwiat
wącha;
Inna drażni delfiny, inna łowi od rana
Siecią rybki skrzydlate... Thetys smutna, stro-
skana
Na to wszystko nie zważa, towarzyszek nie pie-
ści;
Pełna gorzkich rozmyślań i głębokiej boleści,
Myśli tylko o synu, o Achillu, na którym
Przeznaczenie zawisło swym wyrokiem po-
nurym.
Śpieszy właśnie do niego szafirowych fal drogą,
By los groźny odwrócić macierzyńską przestrogą;
I tak płynie przez błękit zamyślona, milcząca...
A perłowa łódź chyżo ciche fale roztrąca.

* *
*

Nad wezgłowiem Achilla Thetys siadła strapiona
I objęła pierś jego w swoje śnieżne ramiona.

Z dumą matki, choć razem z myślą dziwnie
żałobną,
Postać męża podziwia, bogom tylko podobną,
I widokiem się poi bohaterskiej postaci,
Której nic nie wyrówna, której nic nie opłaci;
Pocałunkiem to jasne, czyste czoło pokrywa —
Razem dumna i trwożna, zrozpaczona, szczę-
śliwa!

— "O Achillu — zawoła — nie gardź bogów
przestrogą
"Jeśli prośby twej matki nic nad tobą nie mogą,
"Słuchaj niebios ostrzeżeń i w rodzinne wróć
strony,
"Gdzie cię czeka twój ojciec, starzec biedny,
stęskniony.
"Wszakże dosyć masz sławy; ta na wieki ci
starczy:
"Możesz cicho więc w domu miecz zawiesić
na tarczy
"I pod cieniem ojczystej spoczywając oliwy,
"Ród Pelidów utrwalić. — Ma-ż twój ojciec
sędziwy
"Bezpotomnie, samotnie rzucać świat ten na
wieki,
"Bez pożegnań ze synem, bez najczulszej opieki,
"Bez uczczenia popiołów przez rycerskie igrzy-
ska,
"Bez dziedzica dla swego mienia, władzy, na-
zwiska?
"Ma-ż twa matka tak rychło, w samym kwiecie
młodości

"Widzieć ciebie schodzącym w nieprzebyte ciemności?
"I utracić skarb drogi, co zaledwie przez chwilę
"W całym blasku widziała, i piękności i sile?
"Ach, ty nie wiesz jak wielka strasznych męczarń przyczyna
"Nieśmiertelnej i wiecznej śmiertelnego mieć syna;
"Jak okropnie jest widzieć niezbłaganą konieczność
"I nie módz jej odwrócić, i tak zostać na wieczność"!

— "Matko! — Achill odrzecze — co nam pomódz jest w stanie,
"Na zagubę skazanym, naszych losów badanie?
"Prędzej, później, paść musim w otchłań dla na otwartą;
"Chwilę możem odwlekać, lecz czyż odwlec ją warto —
"Żeby stracić walk naszych i poświęceń korzyści,
"Z drzewa życia spadając jako suchych proch liści?
"Nieśmiertelność bez walki — bogów tylko udziałem
"Oni jedni panują nad istnieniem nietrwałem
"Oni jedni, niezmienni, bez boleści i troski,
"Rozlewają strumieniem życie jako dar boski.
"Nieśmiertelność jest bogom przyrodzoną: my, ludzie, —

"Ją zdobywać musimy w krwawym znoju i trudzie,
"Życiem całem, na szalę losów świata rzuconem,
"Wytrwałością niezłomną, bohaterstwem i zgonem!
"Nam potrzeba bez trwogi wkroczyć w cienie Erebu
"I wyjść stamtąd zwycięzcą — żeby wydrzeć ją niebu
"Więc gdy taka konieczność, bezskuteczny żal — na co?
"Na co rady troskliwe, które wartość swą tracą,
"Nic odmienić nie mogąc? — Tak więc, matko, daremnie
"Swoim żalem i smutkiem budzisz gorzką myśl we mnie,
"Tę myśl, która mnie także dręczy często boleśnie:
"Żem jest tylko śmiertelnym i że umrę przedwcześnie!"

— "Na cóż ginąć przed czasem? — smutno Thetys odpowie —
"Gdy ci żywot najdłuższy obiecują bogowie,
"Byleś tylko odstąpił, póki jeszcze jest pora,
"I nie szukał tryumfu w krwawym zgonie Hektora?
"Dopóki on nie padnie, jesteś jeszcze bezpieczny...
"Tak brzmi wyrok przeznaczeń, niewzruszony a wieczny.

"Ale szala ta sama, co zwycięstwo ci skłania,
"Razem czas nam odważa wieczystego rozstania.
"Więc powstrzymaj, o synu zapęd miecza zwycięski:
"Co ci przyjdzie z Hektora poniżenia i klęski?
"Co ci przyjdzie, że, życiem bohaterów rozrzutny,
"Nową poślesz ofiarę Persephonie okrutnej?
"Że ją wydrzesz rodzinie i rozkoszy i chwale,
"Tyle szczęścia niwecząc — gdy sam losów swych szalę
"W czarny Hades przeważysz, z wieczną matki twej szkodą,
"I na głowę twą ściągniesz śmierć tak smutną, tak młodą"

— "Matko moja, Thetydo —Achill znowu rozpocznie —
"Naszym losem i każdym z naszych czynów widocznie
"Wyższe prawo rozrządza. Kto ma w sobie swej siły
"I wielkości poczucie, kogo mlekiem karmiły
"Nieśmiertelnych bóstw piersi — ten się cofnąć z swej drogi,
"Choćby zechciał, nie może: bez litości, bez trwogi,
"Musi ciągle iść naprzód, niosąc z sobą miecz krwawy;
"Jak niewolnik swych czynów, swej wielkości, i sławy,

"Musi zdeptać, co słabsze i po ciałach tysiąca
"Bohaterów przejść z wzgardą jak potęga niszcząca,
"Z każdą sławą się mierząc, która zazdrość w nim budzi,
"I nie znosząc równego wśród pół-bogów i ludzi, —
"Póki jeden nie stanie po nad światem wszechwładnie
"Jako pomnik na przyszłość lub dopóki — nie padnie!
"Na tem właśnie polega nasza wielkość i chwała,
"By dokonać wszystkiego, co nam tylko wskazała
"Moc wewnętrzna, nie dbając, co i kiedy nas czeka, —
"Bez litości nad sercem i nad losem człowieka, —
"Prąd nas zmusza, silniejszy po nad żale chwilowe,
"Pędzić dalej a dalej, po zdobycze wciąż nowe!
"Przez tryumfy i klęski, przez orężne zatargi
"Całych plemion, przez stosy ciał poległych, przez skargi
"Biednych starców i niewiast, przez ruiny i zgliszcze —
"Tak zdążamy do kresu! Każdy mniema, że zyszcze
"Nieśmiertelność dla siebie i nie troszczy się wiele
"O przeznaczeń wyroki i o skryte ich cele.

"Ostateczny cel jaki? Nikt się tego nie dowie
"Z nas, śmiertelnych; zaledwie znać go mogą bogowie!"

B.

HERAKLES.

I.

Greckie go myty Heraklesem zwały,
Chociaż właściwie ludem się nazywa;
Na wieczną pracę nieba go skazały:
Więc jego ramię nigdy nie spoczywa.

Jest pracowity, silny i wytrwały,
Lwia skóra nagie barki mu pokrywa;
Lecz, wobec pana swojego nieśmiały,
Łańcuchów swoich sam kuje ogniwa.

I spełnia wszystkie najcięższe zlecenia;
Kiedy podniesie maczugę — to straszny
A jednak stąpa cicho, najzwyczajniej,

Pełen zaparcia i upokorzenia,
Śmieją się z niego, że jest za rubaszny,
Kiedy go widzą w augiaszowej stajni.

II.

Dziewicza Muza nieraz wstydem spłonie,
Widząc jak, grubej oddany swawoli,
Pijaną orgią gasi ogień w łonie,
Pragnąc zapomnieć o tem, co go boli;

Lub gdy, rozżarty nadmiarem niedoli,
Chwyta w szaleństwie za trujące bronie
I na świat biegnie w niszczyciela roli,
I krwią niewinnych plami swoje dłonie!

Jednak pomimo tych wybuchów szału,
Przez które w niwecz idzie wieków praca
I wielkich czynów szereg się zaciera —

Z obłędu swego budząc się pomału,
Kornie na dawne stanowisko wraca
I spełnia dalej dzieło bohatera.

III.

On bohaterstwo swoje mało ceni
I nie wie jeszcze, czem jest i czem będzie,
Nie wie, że, cało wyszedłszy z płomieni,
Miejsce dla siebie wśród bogów zdobędzie;

Lecz wiedzą o tem bogowie strapieni,
Co w nim mieć chcieli posłuszne narzędzie:
Więc cały Olimp z wściekłości się pieni
I prześladuje go zawsze i wszędzie.

Jeszcze w kolebce posyłał mu gady,
Aby go zgniotły w duszącym uścisku,
I wciąż tysiącem olbrzymów nań godzi...

Bezsilne gniewy, zasadzki i zdrady
Będzie zwycięzcą — i przy gromów błysku
Prometeusza z więzów wyswobodzi!

CHÓR OCEANID.

O, nieustanny wszech żywiołów sporze,
Nieskończoności wstrząsający morze
  Prądami wciąż się ścierających sił!
Olbrzymia walko, co, trwając bez końca,
Zapalasz jedne nad drugiemi słońca
  I w ruch wprowadzasz wszechświatowy pył! —

Tyś jest wyrazem twórczej myśli bożej,
Która przez ciebie ożywia i tworzy
  I dzierży wieczny nad światami rząd;
Ty jesteś prawem powszechnem istnienia,
Które wciąż światów powierzchnię odmienia
  I toczy naprzód rwący życia prąd;

Ty wszystkie wrogie potęgi i władze
W żywej wszechświata trzymasz równowadze
  I gwiazd krążących obejmujesz ster;
Ty z sprzecznych dążeń i kierunków wielu

Wytwarzasz jedność działania i celu, —
Harmonię wszystkich wojujących sfer.

Wszędzie dokoła, gdzie tylko drga życie:
W bezbrzeżnych głębiach, w gwiaździstym błękicie,
Na ziemi, niebie, w ciemnem łonie mórz —
W tajniach natury i w dziedzinie ducha —
Zacięta walka ogniami wybucha,
W zniszczeniu siejąc światło nowych zórz.

Na fali wiecznie zmiennej i ruchomej
Wszystkie z nicestwa dobyte atomy
W ciągłych przewrotach o byt walczą swój:
I żywych istot rozmnożone plemię
Zdobywa sobie i wydziera ziemię, —
I bogi wiodą na błękitach bój!

ORFEUSZ I BACHANTKI.

Pani Maryi Ilnickiej.

Chór bachantek.

Dyonizos boski, boski,
Przyszedł na świat, uśmiechnięty,
By przemienić łzy i troski
W młodocianych żądz ponęty;

W złotej czarze
Przyniósł w darze
Upojenia słodki szał —
Dla spragnionych dusz i ciał!

Z jego przyjściem proroctw ciemnych
Ustąpiła cześć i trwoga,
Ustał mściwy rząd Podziemnych;
Słonecznego mając boga,
Ziemia cała
Zapomniała
O żałobie przeszłych dni, —
I o szczęściu tylko śni.

Orfeuszu! lirę swoją
Do słodkiego nastrój brzmienia;
Niech jej dźwięki rozkosz zdwoją,
Co nam piersi rozpłomienia;
Niech się w serca nasze leje,
Niech zapala ogniem krew,
Niechaj z nami wraz szaleje —
Słodki śpiew!

Świeżej wiosny śpiewaj wdzięki,
Niezmąconą życia radość,
I ciał naszych powab miękki,
I namiętnych pragnień bladość:
Nowych światów pieśń weselną,
Pieśń zmysłowych ponęt stwórz!
Daj ją nagą i bezczelną
W wieńcu róż!

Orfeusz.

Powróciłem z podziemnej otchłani,
Z posępnego umarłych królestwa —
I wciąż widzę jak cierpią skazani,
Widzę wieczność męki i nicestwa...
I straciłem u piekielnych progów
Pamięć szczęścia i słonecznych bogów.

Zostawiłem za straszliwą bramą
Mej miłości i walk moich ślady:
A wyniosłem ból i rozpacz samą,
Gdy w objęciach cień jej zniknął blady,
A jam nie mógł powrócić przebojem
Po jej życie, które było mojem.

Wtedy pękły struny w mojej lirze,
Struny serca, co tak dźwięczne były,
I w piekielnym utonęła wirze
Przeszłość, pełna słodyczy i siły:
A jam odszedł okryty żałobą,
Zostawiając wszystko poza sobą.

Nie żądajcie więc pieśni odemnie,
Bo ja z wami w szeregu nie stanę,
By na gruzach przeszłości nikczemnie
Wielbić świata jaskrawą przemianę,
I przed waszym schylając się bogiem,
Wydrzeć z serca, co było mi drogiem!

Wszystkie wasze pragnienia i cele,
Wszystko, co was upaja i pieści,
I serc waszych bezwstydne wesele:
Wszystko mojej urąga boleści!
I pogardzam kłamliwą rozkoszą
I bóstwami, co ją wam przynoszą

Chór bachantek

Czy słyszycie? czy słyszycie?
Naszych bogów czcią pomiata
I znieważa nasze życie,
Odrodzeniem gardząc świata.
A więc pocóż z myślą chorą
Wśród kwiecistych życia łąk
W drodze stawać ma zaporą?
Niechaj ginie z naszych rąk

Dyonizos.

Coście zrobiły .. Potrzaskana lira —
I śpiewak martwy u stóp waszych leży..
W ręku Bachantek, pod ciosem Satyra,
Ucichł na zawsze zdrój melodyi świeży.

I krwawym laurem uwieńczono skronie
Tego, co wyraz ludzkiej dał rozpaczy,
Wyraz tak śpiewny, że długo po zgonie
Przemawiać będzie do smutnych słuchaczy.

Taką jest sprawiedliwość świata,
Która dawniejsze bożyszcza obala,
Taką dla natchnień minionych zapłata,
Kiedy kierunek zmieni rwąca fala.

Trudno! nie można powstrzymać strumienia,
Ani młodzieńczych uniknąć nadużyć:
Kroczące naprzód nowe pokolenia
Kruszą narzędzia, co im nie chcą służyć.

Świat żywych musi niewdzięcznym pozostać
Dla tych, co, sercem z przeszłością związani,
Zniknioną wiecznie opłakują postać,
Myślą do ciemnej wracając otchłani.

Musi zapomnieć ziemia o swych stratach,
Aby na nowo stanęła w rozkwicie;
W namiętnym szale i weselnych szatach
Musi biedz dalej odmłodzone życie...

Pobojowiska, gruzy i cmentarze
Muszą się pokryć kwiecistą zasłoną;
I słodki napój musi szumieć w czarze
I poić nowych biesiadników grono.

I słusznie rzesza żywych się domaga,
By dla niej z pieśni nowa jasność biła, —
Świeża chęć życia i świeża odwaga,
Coby ją naprzód w przyszłość prowadziła.

———

TANTAL.

Niegdyś w pragnienia wieczystego męce,
Na wskroś palony żary piekielnymi,
Napróżno swoje wyciągałem ręce
Po owoc, który uciekał przed nimi,
I próżno usta swe na fali kładłem,
Goniąc za wiecznie kłamliwem widziadłem.

We mnie i za mną wrzało całe piekło,
Na pastwę mękom wydając mnie nowym;
Pierś moją, bólem strawioną i spiekłą,
Erinnye biczem krwawiły wężowym, —
I urągały mi te mściwe duchy,
Patrząc na mojej wściekłości wybuchy.

A ja naówczas, ciągle pożerany
Żądzami, które w nieskończoność rosły,
Byłem jak ogniem ziejące wulkany,
Na przekór losom groźny i wyniosły —
I jakaś wielka tytaniczna siła
W wnętrznościach moich skrępowana tkwiła.

Więc, choć bóstw łaski wzywałem w mej kaźni,
To prośba moja do podziemnych grzmotów
Była podobną — i sam bez bojaźni,
Przeciw ich woli stanąć byłem gotów:
Bom czuł, że w śpiewnej ducha zawierusze
I więzy moje i świat cały skruszę.

Dzisiaj piekielne mnie się nie śnią rzeczy,
Z moich udręczeń nikt się nie natrząsa;
Głos Eumenid już mi nie złorzeczy
I bicz wężowy serca mi nie kąsa:
Ucichły jęki, zagasły płomienie...
I martwe tylko nastało milczenie.

A oto w takiem odrętwieniu głuchem,
W którem mnie żadna boleść nie dosięga,
Wraz z żądz straconym burzą i rozruchem
Cała się moja rozpierzchła potęga:
I dziś minionych męczarni żałuję,
Gdyż się nędzniejszym niźli przedtem czuję.

Wróćcie mi zatem, nieśmiertelne bogi
Grozę mych piekieł i straszliwe kary;
Wróćcie mi widok Erynnyi złowrogi
I niezgaszone pragnienia pożary
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech pragnie, cierpi, — lecz niechaj wybucha.

LYKOFRON DO FATUM.

Przyjacielowi w braterskim upominku.

Już dogorywał świat grecki — minęły wieki
Potężnych natchnień młodzieńczych i wyschły
źródła twórczości;
Wśród sporów biegłych sofistów
Konało piękno;

Umilkły lutnie poetów. Jeden z ostatnich,
Żyjący wówczas Lykofron, co skrycie czcił jeszcze Muzy,
Na progu opustoszałej
Świątyni bogów,
Na marmurowej tablicy, ten napis wyrył:

"O Fatum pożerające ludzi i bogów,
Grzebiące w ciemnej otchłani długie pokoleń szeregi, —
Głuche na wszelkie wołania,
I bez litości
Czy cię czcić? czy też przeklinać? — nie wiemy;
Nie wiemy: jakim sposobem dzierżysz swą władzę nad nami,
Nie wiedząc, czyli dłoń twoja
Świat wydobyła
Z bezwładnej chaosu nocy, co bez początku...

"Pierwotnie przed twoim tronem stał ród kwitnący
Promiennych blaskami niebian, którzy z twojego ramienia
W przystępnej ludziom postaci
Rząd sprawowali;
Wypełniał światów przestrzenie orszak tęczowy
I igrał w powietrznej fali ogniami nieśmiertelności,
I złotą jutrznią Olimpu
Oczom śmiertelnych
Przesłaniał oblicze twoje nieubłagane.

"Ułomne były to bogi! żądz ludzkich pełne,
Dyszące gniewem, zawiścią, rozkoszujące się
jękiem
Skazanych na wieczność całą
W czarnym Hadesie;
Ułomne były to bogi chciwe swej chwały,
Cień tylko władzy znikomy posiadające w swej
dłoni
I nic nie zdolne odmienić
W przeznaczeń biegu,
Wytkniętym po za ich wiedzą przez kolej wie
ków:

"A przecież te ich postacie świeciły ziemi
Blaskiem wieczystej młodości i nieśmiertelnych
rozkoszy
I żyły w całej swej krasie
W sercu człowieka;
Dobrze spoczywać mu było w cieniu ich łaski,
Zwracać się do nich z modlitwą w pragnieniach
nienasyconych.
I żądać losów odmiany
W każdem nieszczęściu,
I wierzyć, że mu pomogą — gdy ich przebłaga.
"Ale ty, w cieniu schowana, surowa władzo!
Przygotowałaś w milczeniu koniec boskiego ich
bytu,
Z spokojem patrząc się na to
Jak giną wieczni;
Patrzałaś jak się spychają z niebieskich wyżyn,
Jak odsłaniają śmiertelnym całą swą słabość
i nędzę...

Jak zamierają powoli
W piersiach ludzkości;
Aż pogrzebałaś ich wszystkich w bezdennej próżni!

"Tak padły całe ich rody! Różowy Olimp
Girlandą gwiazd spadających w przestrzeń rozsypał się ciemną;
Nawet ogniste Hadesu
Zagasły tonie;
Nastała posępna cisza — świat opustoszał;
Wszystko i wszystkich zrównało powszechne prawo zagłady;
A człowiek samnasam z tobą,
O, ślepe Fatum!
Pozostał mając pod nogą otchłań nicości —

"Sam, wobec twojej wszechmocy, pełnej tajejemnic,
Pozostał jako niewolnik niezrozumiałej tyranii,
Wpatrzony w wieczną zagadkę
Swego istnienia;
Na gruzach wszystkich swych marzeń pozaświatowych
Zobaczył tylko w błękitach cień twój bezkształtny, olbrzymi,
Który nikogo nie karze,
Ani nagradza,
Lecz wszystkim wyznacza miarę koniecznej męki.
"Jednak twe rządy ponure nie są wieczyste,

Twój niewolnik powstanie w przyszłości
przeciwko tobie —
Kłamliwa maro nicestwa,
O, ślepe Fatum —
I strąci gwałtem ze szczytu nieskończoności
Twą maskę nieubłaganą, a ta, spadając z błę-
Odsłoni jasnego Boga, [kitów,
Który z miłością
Wciąż po szczeblach przemian prowadzi światy."

OCIEMNIAŁY THAMYRIS.

Niewidomego starca prowadzi pacholę,
Wspierając drżące kroki. Z ramion jego spływa
Szmat spłowiałej purpury, a na jego czole
Lśni złocisty dyadem. Broda długa, siwa;
Twarz blada, co powagę i smutek wyraża;
Martwo się patrzą w błękit dawno zgasłe oczy;
Jakby widmo królewskie w łachmanach nę-
dzarza,
Tak on, wsparty na chłopcu, z trudem naprzód
kroczy.
Długą przebyli drogę: starzec, blizki zgonu,
Dźwigając ciężkie nieszczęść i lat swoich brze-
mię
Kazał się wieść na święte wzgórze Helikonu,
By tam pożegnać razem niebiosa i ziemię.

Po drodze często gawiedź przystaje ciekawa,
Otacza ich i głośno urąga starcowi,
Mówiąc: "Oto Thamyris, który bogów prawa
"Obwieszczał, przyrzekając, że wiek złoty
wznowi;
"On to jest, co w świat wróżby rzucając fał-
szywe,
"Mienił się muz kochankiem i bogów wysłańcem,
"Co był królem i wieszczem, aż niebiosa mściwe
"Zrobiły go żebrakiem i ślepym wygnańcem!"
Lecz w pielgrzymie już gniewu żadnego nie
budzi
Ni natrętna ciekawość, ani gorzkie słowo:
Obojętny on teraz na szyderstwo ludzi, —
I w dalszą idzie drogę z pochyloną głową.

Tak zwolna zaludnione rzucili równiny,
Minęli niższe stoki i lesiste wzgórza,
I pnąc się przez wąwozy i skał rozpadliny,
Stanęli, gdzie wierzchołek w błękitach się nurza.
Tam, pod kamienną ścianą, wśród łomów zwa-
liska,
Co tworzy tajemniczą grotę lub świątynię,
Kryształowemi wody czysty zdrój wytryska
I z melodyjnym szmerem spływa po wyżynie.
Po nad bijące starzec przybliżył się źródło
I kazał pacholęciu wracać w strony swoje —
Poczem, sam pozostawszy, twarz swoją wychu-
dłą,
Przeklęknąwszy, pochylił nad szumiące zdroje
I zaczął zwolna mówić:

"O, boskie dziewice
"Życie moje ucieka, noc już moja blizko;
"Jako starzec przychodzę nad świętą krynicę,
"Do was, com dzieckiem widział nad moją kołyską.
"O, siostry nieśmiertelnej piękności i chwały
"Bądźcie znów mi łaskawe, tak, jak za dnionych
"Gdyście mię na dziewiczem łonie piastowały
"I mlekiem swoich pieśni karmiły natchnionych!
"Nie szczędźcie mi ostatniej pociechy na ziemi!
"Noc ciemną, która z oczu i z serca nie schodzi
"Rozświećcie mi nad grobem blaskami swojemi
"Niech spokojny odpłynę na umarłych łodzi;
"Niech mi nie przyjdzie zwątpić w rozpaczy i trwodze
"O tem, co mi na drogach żywota świeciło;
"Niech po przebytych burzach smutny nie odchodzę,!
"Sądząc, że wszystko tylko próżną męką było
"Jeżelim, uwiedziony ziemskiej pychy szałem,
"Zapomniał, żem od was słowo brał natchnione;
"Jeśli w proroczej dumie wam dorównać chciałem,
"Zrywając tajemniczą przyszłości zasłonę:
"Tom dość był ukarany męką życia długą
"Za winy, które z serca wierzącego wyszły;
"Bo zresztą wiernym byłem waszych natchnień sługą,
"Wiodąc znękaną ludzkość do harmonii przyszłej.

"Wyście mi lepszą świata odkryły połowę,
"Co nad zamętem walki lśni pogodą jasną,
"Pozwoliły podziwiać jutrzenki różowe,
"Co rozświecają przyszłość i nigdy nie gasną.
"Wiecznych waszych melodyi oddalone echo
"Przenosiłem na drżące struny swojej lutni;
"Upadające serca krzepiłem pociechą,
"Rzucając swoje pieśni tym, co byli smutni!
"Lecz próżnom zapowiadał o jasnych bóstw przybycie
"I zwiastowałem nadejść mający wiek złoty,
"Co niebiańską pogodą opromieni życie
"I zakwitnie tryumfem miłości i cnoty;
"Próżnom lepsze pragnienia w pierś zaszczepiał gminu,
"I sam wraz z pieśnią swoją stawałem na czele,
"Podnosząc słabe serca, wzywając do czynu
"I ukazując wyższe, doskonalsze cele...
"Złoty wiek nie nadchodził, nic się nie zmieniło
"W powszechnej nędzy bytu: zawsze, tak jak przódy,
"Rozpacz szła za uciskiem, gwałt kroczył za siłą
"A nienawiść i zemsta rozdzielała ludy;
"Zawsze te same klęski, niedole i zbrodnie
"Snuły się jak ogniwa jednego łańcucha;
"Zawsze te same szału płonęły pochodnie;
"Zawsze ta sama w głębiach noc nieszczęścia głucha!
"Więc w tej ciężkiego życia ponurej kolei
"Tłum, co, żądając szczęścia, w bezczynności drzemie,
"Mnie oskarżył o zawód wzbudzonych nadziei,

"Na mnie zwalając wszystkich swoich nieszczęść
brzemię.
"Ci, co marzyli dotąd o zbyt łatwym cudzie,
"Iskierką nietrwałego zagrzani zapału,
" Pogardą i szyderstwem okryli mnie, ludzie,
"Złorzecząc nieśmiertelnym blaskom ideału.
"Boleść ich oślepiła i w dzikim obłędzie
"Zwodniczem kłamstwem zwali natchnioną moc
waszą
"I bluźnili jej, sądząc, że im lepiej będzie,
"Gdy wszystkie boskie światła w swych piersiach
pogaszą.
"Tak więc z pieśnią, co echa żadnego nie budzi,
"Okryty zniewagami i potwarzą splamion,
"Zostałem opuszczony przez bogów i ludzi
"I królewska purpura opadła mi z ramion.
"W niepewności i trwodze przyszłość mi sciem-
niała
"I opuścił pierś moją duch widzeń proroczy;
"A w ślad z nocą duszy przyszła noc dla ciała:
"Nielitościwe bóstwa zamknęły mi oczy
"Niebiosa potwierdziły wymiarem tej kary
"Wyrok, co nad zuchwałym ciężył świętokradcą:
"Poszedłem na wygnanie, żebrak ślepy, stary,
"Co byłem ludu mego i wieszczem i władcą
"Dzisiaj przychodzę do was w śmierci mej godzi-
nie,
"Byście mi rozwiązały zagadkę żywota:
"Czemu, gdy wszystko tutaj jak sen marny ginie,
"Do idealnych światów wiedzie nas tęsknota?
"Czemu nam odsłaniacie swoją piękność skrycie?

"Czemu, zbudzoną ze snu potrząsając dus
"Niezmierzone pragnienia w piersiach n
szczepicie,
"Jeśli nieugaszone wiecznie zostać muszą?
"Lub jeśli waszych natchnień opiekuńcza wła-
dza,
"Tak, jakem wierzył przedtem, nie jest czczym
pozorem,
"Lecz z błędów i niedoli ludzkość wyswabadza
"I posuwa ją naprzód wyznaczonym torem:
"Powiedzcie, czemu same spotkałem zawody,
"Tracąc jedno za drugiem wszystkie światła
moje?
"Czemu, zapowiedzianej dla duchów pogody
"Nie doczekawszy, smutny dziś nad grobem
stoję?"

Umilkł starzec i w błękit ramiona błagalne
Wyciągnął, jakby niebios chciał dosięgnąć niemi
I ubłagać dla siebie bóstwa niewidzialne,
Żeby dały ostatnią odpowiedź na ziemi.
Tak klęczał, zachodzącem słońcem oświecony
Co mu na twarz rzucało ciepłą światła falę,
Siląc się przedrzeć ciemne źrenic swych zasłony,
By się raz jeszcze przyjrzeć dnia jasnego chwale.
Wytężył swoje ucho w uroczystej ciszy
I chwytał wszystkie światów najlżejsze oddechy..
Czekając z utęsknieniem czyli nie usłyszy
Śpiewnych dźwięków nadziei, łaski i pociechy.
A oto wśród cichego teraz pożądania
Zdaje mu się, że w boskich świateł majestacie
Czarna mgła ustępuje i oczom, odsłania

Nieśmiertelnej piękności dziewicze postacie
Zdaje mu się, że słyszy melodyjne głosy,
Co niebieskim spokojem przepełniają łono,
Jakoby ciche krople spadającej rosy
Na ziemię całodziennym skwarem rozpaloną...
I widzi zstępujący na złotym promieniu
Ten sam orszak świetlany, co niegdyś, przed laty,
Unosił go z tej ziemi pomroki i cieniu, ;
Ukazując jaśniejsze, doskonalsze światy.
Znowu go pieści światła i harmonii fala,
Znów dawna ufność w serce powraca nieznacz-
nie,
Znowu go chór niebianek swym wieńcem okala
I tak na jego skargi odpowiadać zacznie:
"Niewdzięczny! ty śmiesz jeszcze słać nam skar-
gi swoje

"Za łaski, cośmy hojnie zlewały na ciebie;
"Nam wyrzucać błądzącej duszy niepokoje,
"Co mimo boskich świateł w ciemnościach się
grzebie
"Czy tak cię przygniótł marzeń zbyt śmiały
upadek?
"Czy tak cię chwila bólu przeraża i trwoży?
"Żeś się zbłąkał wśród życia pozornych zagadek
"I zatracił ślad jasny wiecznej myśli bożej!
Wy, śmiertelni, bieg świata wyłącznie mierzycie
"Miarą krótkich dni swoich i w tej jednej chwili
"Chcielibyście to wszystko widzieć już w roz-
kwicie,
"Czego dopiero zasiew bogowie rzucili;

"I kiedy wam ich łaska tajną myśl odsłoni,
"Wskaże cel, ku któremu posuwać się trzeba,
"To wy go chcecie zaraz ująć w swojej dłoni
"I nie dosięgłszy, próżno oskarżacie Nieba.
"Nie możecie zrozumieć, że ten, tajemniczo
"Świecący wam nad głową, ideał daleki
"Wiecznie nie uchwyconą jest dla was zdobyczą,
"Ku której się przybliżać należy przez wieki,
"Nie doskonałość bowiem waszym jest udziałem,
"Nie tryumf, co już żadnej nie podlega zmianie;
"Lecz postęp, okupiony dążeniem wytrwałem —
"Dobra, prawdy i piękna wieczne pożądanie
"To wasz skarb, który szczęście najwyższe stanowi
"I przepaściste drogi pochodu wyzłaca;
"Z nim możecie iść śmiało na przekór losowi,
"Pewni, że nie zmarnieje nigdy wasza praca.
"Jeśli więc, samolubstwem i dumą popchnięty,
"Chciałeś za życia ujrzeć dokończone dzieło,
"To musiałeś zawodu wypić gorzkie męty
"I zrozpaczyć, że z tobą wszystko zaginęło;
"Lecz, jeśli po doznanym upadku i wstydzie
"O przyszłe losy świata dręczy cię obawa,
"A niezmienność nędz ludzkich bólem cię napawa:
"To pociesz się, śmiertelny! Cel, co wam jaśnieje
"W mgłach przyszłości, ten — nie jest złudzeniem zwodniczem;
"Nie napróżno niebiosa dały wam nadzieję
"I szlachetne pragnienia, niezgaszone niczem.

"W ciągu wieków, wśród ciągłych zmian i przeobrażeń,
"Coraz więcej świat boskich przyswaja promieni;
"I to, co należało do dziedziny marzeń,
"W niezłomną rzeczywistość później się przemieni.
"Przyjdzie czas, w którym wszystkie twe natchnienia wieszcze,
"Co dzisiaj jak sen marny w ciemność się rozwiały,
"Kiedyś po twojej śmierći zmartwychwstaną
"I ozdobią cię blaskiem niespożytej chwały;
"Przyjdzie czas, gdy pieśń twoja, dziś martwa i głucha,
"Znów idealnem tchnięniem przejmie ludzkość młodą
"I ten pośmiertny tryumf tęskniącego ducha
"Będzie za mękę życia sowitą nagrodą."

ODŁAMOWI PSYCHY PRAKSYTELESA.

Psyche! ty stoisz w marmuru tunice
Wiecznie niewinna, wiecznie zadumana.
Pierś się nie wzdyma i nie chmurzy lice;
Lecz, jak cię mistrza uwięziło dłuto,
Przetrwałaś wieki, natchnieniem owiana —
I do białego marmuru przykutą
Kołyszesz przeszłość jakąś tęskną nutą.

Na przechylonej z melancholią twarzy,
Co czystych linij przyświeca profilem,
Żadna namiętność usiąść się nie waży...
I wzrok, co trzymasz spuszczony ku ziemi,
Najwyżej — gonić może za motylem,
Co ponad kwiaty przebiegał wonnymi
Przed chwilą wieków i znikł między nimi.

Ledwie rozkwitłaś w majowy poranek,
Już, zawstydzona kwiatem własnych marzeń,
Kryjesz się, by cię nie zbudził kochanej;
I zalękniona, niepewna i trwożna,
Odsuwasz czarę niespokojnych wrażeń
I sercu swemu powiadasz: nie można —
Na szelest liści mirtowych ostrożna.

Wolisz uwieczniać w dziewczęcej pogodzie
Myśl jasną, co się błękitami żywi,
I być odbiciem, w ideałów zgodzie,
Tej duszy świata, co senna przez wieki,
Dziewiczych natchnień odblaskom się dziwi,
Przed żywszem światłem zamyka powieki,
Zanim ją zbudzi kochanek daleki.

Kamienna siostro! przebudź się na chwilę
I sennych marzeń twoich treść opowiedz.
Dziś sama jesteś na plemion mogile:
A nie znać w tobie sierocej boleści;
Tylko, jak urna zdobiąca grobowiec,
Która już żadnych popiołów nie mieści,
Zostałaś pełna tajemniczej cześci.

Kiedyś spoczęła na milczącym głazie
Paryjskiej skały, inny świat cię witał:
Byłaś dla niego jako dźwięk w wyrazie,
Co, nakreślony Praksytela ręką,
Cały lud odczuł i w sercu doczytał;
Bo jego niebios świeciłaś jutrzenką,
Odziana piękną plastyczną sukienką...

Więc z różanego Olimpu, jak dziecko
Zstąpiłaś świadczyć idealnym marom
I wyobraźnię rozkołysać grecką
Pieśnią słowiczych smutków i porywem
Tych żądz nieznanych, co każą Ikarom
Wiązać się skrzydeł anielskich ogniwem
I nieśmiertelność mierzyć okiem chciwem.

Wtedy wokoło tytaniczne bajki
Liryzm w miękkości szatę poubierał;
I ten kraj ducha lśnił się od mozajki
Promiennych bogiń, co na widzeń pianie —
Gdy jaki nowy bohater umierał —
Zakwitły żalem po zgasłym tytanie,
Przyszłości wonne rzucając podanie.

O wtedy jeszcze brzaski wieków srebrnych
Niańczyły ziemię w kolebce lotusów;
Chimery ludów, po ścieżkach podniebnych
Biegały złotem i ogniem ziejące;
A Epos oczy otwarła Argusów
I, by je łowić w zodyakach tonące,
Bellerofony wysyłała lśniące.

Życie się wtenczas przelewało hojnie
Nad ciasne brzegi wrzącej świata czary;
I ziemia z niebem w ustawicznej wojnie
Z Prometeuszów korzysta rachunku
I dzieli z nimi wieczność srogiej kary:
Aż w jakim długim, ciemnym obrachunku
Obie się strony zlały w pocałunku!

A z tych uścisków biegły nowe kształty,
Olbrzymie widma, pół-bogi, pół-karły,
I nowych wstrząśnień wulkaniczne gwałty
Kruszyły dzikich gigantów granity:
Aż się nareszcie w jeden proch roztarły
Te szalejące życiem Uranity,
A z mórz wytrysła tęcza Afrodyty.

Nastała cisza wschodzącej pogody,
Świat się już nagiął do harmonii duchów
I zaludniły się kastalskie wody
Orszakiem dziewic, co przy lutni złotej
Nuciły pośród wiosennych podmuchów
Te pieśni, pełne pierwotnej prostoty,
Co echem ciemne ożywiały groty.

Poezya ciała weszła na tej niwie
Jako kwiat pierwszy czarodziejskiej woni;
I upajała się nią ludzkość chciwie,
Gromadząc wszystkie promienne natchnienia
W swojej młodzieńczej za pięknem pogoni
W jeden rytm — wiecznej rozkoszy pragnienia
Co ciała w jasne posągi zamienia.

I trzeba było uroczych obnażeń,
Dziewiczym wstydem wdzięcznych przy nago-
ści, —
Zmysłowej formy natchnionych wyrażeń,
Gdzie życie zlało w poematu całość
Szlachetny kontur z ciepłem namiętności,
A siła, miękką podnosząc omdlałość,
Rozkosznych wygięć uwieczniła trwałość.

Za każdym nowym kwiatem, co się wcielił,
Miłosnych legend powiewały wonie,
I krzyk wesela w niebiosa wystrzelił,
Gdy między mirty i rododendrony,
Nad tajnych źródeł przeźroczyste tonie
Biegły zbłąkane żądzą Akteony
Boską Dyanę ujrzeć bez zasłony.

W tem ubóstwieniu cielesnych rozkwitów
Ubiegła rączo porankowa chwila;
A ciała nie dość sączyły zachwytów:
Więc zapomniana w błękitnym eterze
Dusza na skrzydłach zstępuje motyla
I na wygasłych pożądań kraterze
Stępionym zmysłom rzuca blaski świeże.

Psyche! tyś przyszła kończyć dzień stworzenia,
Jak akord jednym wiążący łańcuchem
Ciemnych zagadek bieg — i Przeznaczenia.
Dziejowych zjawisk bezładne wyskoki,
Co się być zdają męką i rozruchem,
Zszeregowałaś w jeden nurt głęboki,
Chwiejne narodów podpierając kroki.

Dobrze ci było pośród tego ludu
Wypełnić żywych widzeń krajobrazy
I poplątane arabeski cudu
Ująć w myślący porządek Etosu,
I spocząć w głębi zielonej oazy,
W pół przesłoniętej cieniami chaosu,
W pół słuchającej własnych brzmień rozgłosu.

I nie dziw! wszystkie powtarzają struny
Pieśń, co związała ludzkość jednem prawem;
Platońskich marzeń lecą już zwiastuny,
Błyszczące ogniem przeczutych zapałów,
I w przyszłość okiem wglądają ciekawem:
Kiedy się złoży z rozbitych kawałów
Spójnia walczących dotąd ideałów?

Ty słuchasz jeszcze, a tam śpiewne głosy,
Brzmiące miłością promiennej Hellady,
Leją się hymnem nad płonące stosy
Ległych obrońców, których liść laurowy
Przystraja w ogniach złocistej kaskady, —
A te w bieliźnie leżą amiantowej.
Niby pomniki chwały narodowej.

Chwała i wolność — te dwa dźwięki złote,
Jako anioły w niebiosach się ważą
I mlekiem karmią wielkich mężów cnotę,
Która, zarówno z trybun, jak z oręża,
Do przyszłych wieków obraca się twarzą
I wzrokiem smutne ciemności zwycięża,
W których zabraknie i cnoty i męża.

Wszędzie harmonia myśli, która władnie
I bryły w jasny porządek układa...
Lud tajemniczą piękność tę odgadnie,
Co formy lepi dla życia narodów;
Tyle z jej łona blasków powykrada,
Że przez daleki szereg epizodów
W przyszłość je rzuci — aż do antypodów.

Niech nad tą świtów słonecznych świątynią
Oko twe dłużej z miłością odpocznie
Kapłani twoi ślub odrodzeń czynią,
Nieskończoności żądzę i przeczucie
W wszechwładną bytu zmieniając wyrocznię;
Sokrates bogi postawił w zarzucie...
I nieśmiertelność wypija w cykucie.

Tęskniąc za słońcem, które zwolna wstaje
Ponad krwi ludzkiej morzem purpurowem,
Zwróceni wzrokiem w odgadnięte raje,
Gdzie wstępu bronią ciemności anioły,
Idą pokrzepiać życiodawczem słowem
Łaknące pociech zgraje — apostoły,
I dzień, co przyjdzie, zwiastują wesoły...

Ale nie nadszedł — i królestwo ducha,
Choć, objawione cichym i prostaczkom,
Z Golgoty boskim płomieniem wybucha,
Przecież w dalekich zawisło niebiosach;
I tylko ziemskim pozostało płaczkom
Na wieków marnie uwiędłych pokosach
W całopalenia odradzać się stosach.

Tęcze pogasły w dzikich zawieruchach;
Harmonią stłumił tentent barbarzyńców...
I myśl stanęła pod pręgierz w łańcuchach.
Na mętnej fali wichrem gnane hordy
Spłynęły burzą śród ziemskich gościńców,
Wstrząsając grzmiące przewrotów akordy
I niosąc trwogę na zasiew — i mordy.

Na gruzach nowe życie się zieleni
I świeże kwiaty rosną na cmentarzach,
Biorąc swe barwy z pod ruin kamieni;
Skrzydlate widma z czarnych wstają lochów,
A zakochane w namiętnych grabarzach
Uczą ich stąpać śród dziejowych prochów
Bez próżnych złudzeń, lecz i bez popłochów.

Tyle lat zbiegło i Furyńskie wrzosy *)
Miały czas wyschnąć pod niebem południa:
A ludzkość kroczy wciąż przez krwawe rosy.
I wciąż od celu swojego daleka!
Przeszłość się duchy smutnemi zaludnia,
Których żałobny hufiec tęsknie czeka:
Kiedy się znowu wcieli Bóg w człowieka?...

Do wspólnej dobra ludzkiego skarbnicy
Tyle przybyło zasług i ofiary!
Długo z bezbronną piersią przodownicy
Szli na śmierć pewną, niewiedząc przy zgonie
Czy prawda, której zatknęli sztandary,

---

*) W gaju Furrina pod Rzymem ostateczne rozwiązanie tragedyi Gajusa Grakcha.

Z nimi w niepamięć wieczną nie zatonie,
Próżną męczeństwa palmą zdobiąc skronie....

A pod tą wrzawą namiętną skarg smutnych
Wciąż się dopełnia niecny targ Judasza —
I nic nie przerwie pasma dni pokutnych!
Ludy wołają: "Szczęścia!" — ach, gdzie droga?.
I chociaż biegną, krzycząc: "Przyszłość nasza!"
Przecież na wszystkich wielka padła trwoga:
I nic nie mogą znaleźć — nawet Boga...

Wschodzące mary ledwie zejdą — zbledną,
Nigdy się w ciała oblec nie są zdolne;
Lecz choć szeregi przedświtowców rzedną,
Chociaż się kruszy ułomne narzędzie:
Jednak natchnienia nie zmarnieją wolne
I pójdą dalej w niewstrzymanym pędzie, —
Aż prawda ziemskie królestwo posiędzie.

Psyche tej ziemi, — co dziś, tak milcząca,
W zwojach ciemności marząc o kochanku,
Skrzydłami krwawe kałuże potrąca
I myśli senna, że to laur i róże, —
Zbudzi się wreszcie w gwiazd niebieskim wianku
I jak te lilie, śpiące w wód lazurze,
Wypłynie — wichry uciszyć i burze.

Kamienna siostro! czekaj wieków chwilę
I świeć nadziemskiej pogody odbiciem:
Mirty zakwitną, powrócą motyle,
Miłość ci przyjdzie zwiastować o wiośnie;

Tymczasem stój tu nad grobowców gniciem
I spojrzyj także, z wysoka, litośnie,
Gdy trawa nasze mogiły porośnie.

PIGMALION

Pani Maryi i Maryanowi Sokołowskim.

Jam cię wydobył z marmurów spowicia,
Gdzie spoczywałaś bez kształtów na wieki,
Nie powołana przez bogów do życia;
Jam sercem cień twój odszukał daleki,
Błądzący w istot niestworzonych rzędzie;
Ja cię przeniosłem przez ciemne krawędzie
Snu i nicestwa na ten świat słoneczny,
Twojej piękności dając wyraz wieczny.

Stworzyłem ciebie swojej piersi tchnieniem...
I moja dusza w marmur moc przelała,
Ażeby martwym przestał być kamieniem
I przybrał powab dziewiczego ciała.
I zadrżał drżeniem bijącego łona
I tchem rozkoszy, którym ożywiona
Zdajesz się na świat wybiegać z ukrycia,
Spragniona blasków, miłości i życia.

Dałem ci senne i spokojne trwanie,
I słodkich wzruszeń dałem wdzięk zwodniczy,

Przeczucie szczęścia, miłości zaranie,
Uśmiech i wyraz niebiańskiej słodyczy —
Wszystko ci dałem, wszystko co potrzeba,
Prócz jednej iskry życiodajnej z nieba:
I oto teraz zgryzota mnie kruszy,
Że dając tyle — nie mogłem dać duszy.

Bóstwa, co sięgnąć śmiertelnym nie dadzą
Po tajemniczą, boską moc tworzenia,
Karząc mnie zaraz — nieprzepartą władzą
Do twej postaci przykuły z kamienia,
I moje serce miłością wybucha
Do tego kształtu, co stanął bez ducha,
I burza uczuć namiętna i wrząca
O twe kamienne stopy się roztrąca.

Przy tobie każda inna piękność blednie,
Jako noc w chwili, gdy świta poranek.
Nie dla mnie teraz rozkosze powszednie,
Nie dla mnie zwykłe pieszczoty ziemianek,
Nie dla mnie żywa usteczek wymowa,
Ni uśmiech, który w rumieńcu się chowa;
Bo tu, na ziemi, i w ciemnym Erebie
Nie będę żadnej kochał — oprócz ciebie.

Lecz próżno chciwie wyciągam ramiona,
I próżno wszystkie powtarzam zaklęcia...
Bo ty nie zstąpisz drżąca i stęskniona
I nie opadniesz w otwarte objęcia;
Ogniem się piersi twoje nie zapalą
I nie poruszą żywą pragnień falą,

W twych oczach płomień nie zabłyśnie świeży
I serce na mem sercu nie uderzy.

Usta, co chylić zdają się tak skromnie,
Czekając pierwszych pocałunków świtu,—
Te się miłośnie nie przybliżą do mnie,
Nie zleją z memi w jedną pieśń zachwytu!
Ty nie odpowiesz, choć jesteśmy sami
Dreszczem rozkoszy, rumieńcem i łzami
I nie zanurzysz duszy mej widomie
W wspólnego szczęścia świetlanym ogromie.

Zawsze stać będziesz nieruchoma, cicha,
W marzeniu z łona martwości wysnutem
I sercu memu, co z pragnień usycha,
Na skargi niemym odpowiesz wyrzutem:
Że cię z nicości przywoławszy czarnej,
Dałem istnienia tylko pozór marny;
Będziesz mi wiecznie przypominać winę,
Za którą cierpię, szaleję i ginę.

Lecz niech tak będzie! Żałować nie mogę,
Żem ciebie stworzył i ukochał razem,
Bom twoim kształtom w przyszłości wytknął dro-
Ukrywszy płomień pod milczącym głazem. [gę,
I po mej śmierci twa pierś marmurowa
Całą mą duszę weźmie i przechowa
I przystęp twórczym natchnieniom otworzy
Dla przyszłych wieków nadchodzącej zorzy.

Więc jako światło w grobowcu płonące
Zniknionych światów zabłyśniesz urodą,

I w ciemność iskier rozrzucisz tysiące,
Któremi ludzkość poobdzielasz młodą.
W czasach pokrytych barbarzyństwa cieniem
Ty będziesz niebios jasnem objawieniem,
Przed którem dzikie plemiona uklękną,
Czcząc w tobie boskie, nieśmiertelne piękno

Piękność wystąpi jako nowa siła,
Co po nad żądzę zmysłową, namiętną,
Serca pokoleń będzie podnosiła,
Kładąc pragnieniom szlachetniejsze piętno,
I wschodząc w ciała czystości dziewiczej,
Krąg przeobrażeń przejdzie tajemniczy:
Aż w ludzkich uczuć i czynów dziedzinie
Wieczyste ducha piękności rozwinie.

EPAMINONDAS.

W chwili zwycięstwa wśród walczacych tłoku
Żelazny grot utkwi w jego boku,
I przeszył pierś i pozostał w ranie...
Na tarcze swe wzięli go Tebanie
I do namiotu zanieśli. Obficie
Krew uchodziła a z nią razem życie.
Wódz podniósł głowę i na orszak zbrojny
Badawczo zwrok rzucił niespokojny.
Trwoży go boleść na twarzach wyryta:
— "Czy ustał bój? — niecierpliwie pyta—
"Czy z rąk nam pewne zwycięstwo wydarto?"

Odrzekli: — "Wszystko skończone ze Spartą,
I nadal jej dziś zwycięskie Teby
Nie będą miały lękać się potrzeby."
— "Skądże więc żal w waszych sercach gości,
Zamiast tryumfu, dumy i radości?"
A na to w głos rzekną mu rycerze:
— "Najszlachetniejszą los nam zdobycz bierze,
Gdyż żywot twój, tak ojczyźnie drogi,
Uciekające zabrały nam wrogi...
I szkoda nam twych dni pełnych chwały,
Pod których tarczą Teby zwyciężały,
I smutno nam, że tak bez potomków,
Którym-byś sławę przekazał wśród ziomków,
Odpływać masz na posępnej łodzi...
Wszak cenić życie wszystkim nam się godzi?"
— "I ja też cenię — z dumą wódz odpowie —
Ów życia dar, który nam bogowie
Zsyłają na to, by wśród przeszkód wielu,
Wytknąwszy cel — prosto iść do celu
I zbierać słodycz po drodze rozlaną,
I jasność nieba podziwiać różaną.
Jam ten dar cenił — bo kto w swojej dumie
Pogardza nim pewnie ten nie umie
Żyć i umierać. Lecz dlatego właśnie,
Żem cenił życie — teraz kiedy gaśnie,
Bez żalu mogę rzucać jasność słońca,
Widząc je czyste i piękne do końca.
Ginąć w sam czas, wśród walki zwycięskiej
To najpiękniejszy koniec pracy męskiej;
I bardzo mnie obdarzyły nieba,
Dając i żywot i zgon jaki trzeba.
Pięknie mi przyszedł cały wiek młodzieńczy,

A teraz jeszcze najpiękniej go wieńczy
Chwalebna śmierć, która pracownika
Strudzone oczy pod wieczór zamyka.
Nie schodzę przytem z świata bezpotomnie:
Mam córki dwie-te zostaną po mnie...
Leuktra jedna, Mantinea drugą —
Te będą żyć po mym zgonie długo".

FRESK POMPEJAŃSKI.

Zielone, wonne gaje rozsiadły się wokoło,
Po uroczych pagórkach zbiegając w doliny;
Gdzieniegdzie dąb lub kasztan podnosi swe czoło
Po nad drobniejsze mirty, laury i jaśminy.
Łagodnie pluszczą źródła, skryte gdzieś w zieleni,
I z melodyjnym szmerem z skał ściekają dalej.
Srebrzystym wężem migną wśród łomu kamieni
I pod sklepieniem dębów w cichej płyną fali.

W powietrzu pełno woni, ciepła, barw i blasku,
I błękit, przesiąknięty tem światłem gorącem,
Zda się lśnić niby pyłkiem złocistego piasku
I tęczowych iskierek połyskać tysiącem.
W tem ciepłem oświetleniu żywa drzew zieloność,
Przyjmując połysk złoty na szmaragdy swoje,
Harmonijnie w błękitną spływa nieskończoność.
Gaje, błonia i wzgórza i przejrzyste zdroje,
Pełne uśmiechu szczęścia i rozkoszy dreszczu,

Wdzięczą się jak Danae w złotym bóstwa de-
szczu.

Wszystko płynie weselem, wszystko tchnie roz-
koszą,
Czarem młodego życia i wiośnianych rojeń;
I miłosne marzenia pierś ziemi podnoszą
Żądzą namiętnych wzruszeń i słodkich upojeń.

Różowo płoną laury, mirty prószą śniegiem
Delikatnego kwiecia, które wietrzyk strąca,
I wstydliwie szeleszczą ponad wody brzegiem,
Gdy pierś białą odsłoni Najada płynąca.

Na głazie zarośniętym jedwabistą pleśnią,
W cieniu starych kasztanów siedzi Pan rogaty —
Ucieszne bóstwo lasów — i weselną pieśnią
Wypełnia rozbawione, szalejące światy.
Kosmate koźle nogi podwinął pod siebie
I uwieńczon różami w flet zawzięcie dmucha.
A śpiew płynie po ziemi, po wodzie i niebie,
I kwili, wzdycha, pieści i miłośnie grucha:
Aż sam Pan, upojony własnych brzmień słody-
czą,
Twarz przekrzywił podziwem i muska swą bro-
dę,
Patrząc się jak artysta z miną tajemniczą
Na pląsające Nimfy nadobne i młode.
Te, przywabione pieśnią, wybiegły z ukrycia
I tańczą lotną stopą po miękkiej murawie...
Szał tańca i pustoty, czar wiosny i życia
Ogarnia tanecznice. W rozkosznej postawie,

Z wzburzoną piersią w błękit rzucone świetlany,
Wzlatują, rozpuściwszy na wiatr włosów sploty,
I drażnią skryte w mirtach Fauny i Sylwany,
I omdlewają z zbytku namiętnej pustoty.

KRÓL JUBA.

Chodź, Petrejuszu, — rzecze król Juba —
Po co nad klęską chmurzyć swe czoło?
Nie czas żałować... skończona próba:
Potrzeba zginąć wesoło!

Cezar zwycięża; my, zwyciężeni,
Już się nie dźwigniem więcej z pogromu:
Pole zabitych krwią się rumieni
I niema walczyć już komu.

Cezar nas wszystkich osaczył w matni:
Na cóżby wszystkie skargi się zdały
Czy my to pierwsi? czy my ostatni,
Co nędznie giniem bez chwały?

Ktoś musi zawsze ustąpić z drogi;
Dziś na nas kolej, oni są górą...
Lecz, Petrejuszu, klnę cię na bogi,
Czemu spoglądasz ponuro?

Czy żal ci tęczy złudzeń rozwianej?
Żal ci wolności jasnych sztandarów?

Rzymu — co będzie dźwigał kajdany
Pod stopą swoich cezarów?

Żal ci szlachetnej myśli, co ginie,
A której inni podjąć nie zdolni?
Rozpogódź czoło, mój Rzymianinie!
Zgon nas od troski uwolni!

Ja, barbarzyńca, syn dzikich plemion,
Nie będę waszym rozpaczom wtórzył;
Gdy lud zwycięzcy gnie się do strzemion,
Ma los, na jaki zasłużył.

Ja, barbarzyńca, nie znam co smutki:
Walczyłem z wami wiernie do końca;
Teraz chcę jeszcze, przez ten czas krótki,
Ucztować do wschodu słońca.

W moim pałacu czeka biesiada:
Więc ciebie na nią zapraszam w gości;
Zanim nam usta zamknie śmierć blada,
Wypijem na cześć wolności!

*

* *

Cóż, miły gościu" czyż nie ochoczo
Bawim się, tłumiąc myśli złowieszcze?
Zanim nas tutaj wrogi zaskoczą,
Do picia mamy czas jeszcze.

Niech żyje słodka winna jagoda!
Niech żyje napój zesłany z nieba!

Takich nektarów zostawić szkoda,
Amfory skończyć potrzeba.

Więc prędzej, czary wychylmy do dna!
Każda z nich z czoła chmurę nam strąca:
Niech żyje męstwo i myśl swobodna,
Niech żyje wolność ginąca!

Chodź, niewolnico, moja ty biała,
Śnieżnem ramieniem opasz mi szyję:
Niech żyje powab pięknego ciała,
Cypryjskie bóstwo niech żyje!

Weź jeszcze swoją lirę do ręki
I śpiewaj grecką piosnkę miłosną:
Niech żyją pieśni rozkoszne dźwięki,
Od których serca tak rosną!

Dość... dość, Greczynko! dolej nam wina
I ucisz ust twych śpiewne słowiki:
Niech nam numidzka teraz dziewczyna
Zatańczy taniec swój dziki.

Dosyć i tańcà! Jutrzenka chyża
Niedługo dzienne światło odnowi:
Więc nasza uczta także się zbliża
Teraz ku swemu końcowi.

Wszystko się kończy, co się zaczyna,
Czy złe, czy dobre losy człowiecze...
Ostatnią czarę spełnijmy wina
I weźmy w dłonie dwa miecze.

Zmierzym się z sobą, tak, dla zabawy...
Wiem, że się stalą zabawim ładnie;
Komu los będzie sprzyjać łaskawy,
Ten z ręki drugiego padnie.

W walce umierać jakoś najgładziej
I cała przykrość namysłu znika;
Kto pozostanie, niech sobie radzi
I ginie z rąk niewolnika.

Cóż, Petrejuszu? rozjaśniasz lica
I za żelazo chwytasz z pośpiechem?
Mój pomysł ciebie widać zachwyca,
Bo usta krasisz uśmiechem!

A więc skrzyżujmy nasze oręże!
O cios śmiertelny będziem się spierać;
Walczmy jak wrogi, walczmy jak męże,
Z których chce każdy umierać!

Co? ty się chwiejesz pod moim ciosem...
Padasz na ziemię, o, Rzymianinie...
Słusznie, żeś został wybrany losem:
Wszak byłeś u mnie w gościnie...

Musisz mi przyznać, że byłem hojny,
Niosąc ci w końcu ten dar żelazny:
Już nic nie pragniesz... jesteś spokojny;
Poległszy z ręki przyjaznej.

Teraz i na mnie nadchodzi kolej...
Daremnie żądać pomocy bratniej —

Greczynko! jeszcze wina mi dolej,
Daj pocałunek ostatni!..

Hej, niewolniku! zwiędły mi róże;
Przygotuj świeży wieniec na skronie,
Popraw draperye na mej purpurze...
A teraz — ujmij miecz w dłonie.

Posłuchaj, chłopcze... wolnym cię robię,
Tylko idź ślepo za mym rozkazem:
Kiedy różami czoło ozdobię —
Przeszyj mi piersi żelazem!

JULIAN APOSTATA.

Na czele bitnych rzymskich legionów,
Spaliwszy na Tygrze floty, —
Gdzie przed wiekami wódz Macedonów
Rozbijał swoje namioty,

Stanął zazdrosny jego podboju,
Świeżą okryty purpurą
Cezar, co, wedle sługi pokoju,
Na słońcu prawdy był chmurą. *)

*)Tak panowanie Juliana nazywał Atanazy, biskup Aleksandryjski.

Pieszcząc w swem sercu przeszłości marę,
Chrystusa sieciom niechętny,
Zamierza wskrzesić imperyum stare
I Olimp bogów ponętny.

Jedzie i marzy o swoim wrogu,
Co berło świata wydziera, —
O tym nieznanym i cichym Bogu,
Co gdzieś na krzyżu umiera.

"Duszę mam, — mówi — blasków słonecz-
"Pełną i niemi obrzucę [nych
"Ludzkość spragnioną jutrzenek mlecznych,
"I dawną pogodę wrócę.

"Przeze mnie błyśnie dawna potęga
"Obrządku, co światem władnie,
"A nowa wiara, co Rzym rozprzęga
"Pod stopą moją upadnie.

"Nie w ciemnem, nawpół dzikiem marzeniu
"Leży zbawienie dla świata,
"Lecz w tym Heliosa jasnym promieniu
"Dojrzewa przyszłość bogata.

"Mądrość, na którą wieki się całe
"Składały w ciężkiej kolei,
"Mamyż wymienić za to niestałe
"Zaziemskich widmo nadziei?

"I barbarzyńską targnąć się ręką
"Na święte przodków spuścizny?

"Za galilejską biegnąc jutrzenką,
"Odstąpić wrogom ojczyzny?

"O nie! mój mistrzu, co wzrok odrywasz
"Od ziemi, gdzie życia cele,
"I myśl w sennem niebie spoczywasz:
"Ziemią się z tobą nie dzielę;

"Lecz ją sam ujmę w żelazne dłonie,
"Promienną przeszłość odtworzę:
"A na zwycięskim wejdzie zagonie
"Słońce, co zgasnąć nie może."

Tak dumał Julian, patrząc się w gwiazdy,
I szukał swojej w niebiosach,
Aż wtem z pod ziemi perskie podjazdy
Przyszły rozstrzygać o losach.

Wzięły zwycięstwo bitne legiony,
Pierzchają hordy przed niemi;
Ale wódz, strzałą perską raniony,
Chyli się z konia ku ziemi

I laur ostatni rwąc na tej niwie,
Obficie krwią swą go zmywa...
Spojrzał się w górę dumnie, wzgardliwie,
I sny stracone przyzywa.

Potem, zgarniając w dłonie już drżące
Strumień krwawego koralu,
Cisnął nim w niebo jasne, milczące,
Z wymówką skargi i żalu —

I zionąc duszę w namiętnym krzyku,
Słabnący rzekł Apostata:
— "Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku!
"Lecz jutro!.. gdzie jutro świata?

"Cóż, że my padniem przy tych bożyszczach,
"Tchnących wdziękami młodości?
"Cóż, że na naszej potęgi zgliszczach
"Ponury, krzyż się rozgości?

"Że ten świat grecki w mgły się rozwieje
"Z harmonią tęczowych mytów,
"Że w miejsce niego niebo zadnieje
"Męczeńskich pełne zachwytów?

"Czy krzyż otworzy swoje ramiona
"Tułaczej narodów rzeszy?
"Czy w cieniu jego spocznie strudzona
"Ludzkość, co nie wie gdzie spieszy?

"Czy tak, jak teraz kona świat stary
"Pod znakiem boskiego zbawcy,
"Nie będą padać ludów ofiary,
"Wleczone pod miecz oprawcy?

"Czy w imię tego czarnego krzyża
"Świat się nie spławi krwi strugą,
"I wiara, co dziś niebo przybliża,
"Ciemności nie będzie sługą?

"O! przyjdzie chwila, w której o Tobie
"Gromady zwątpią cierpiące,
"Gdy ujrzą na swych nadziei grobie,
"Jak ja dziś, niebo milczące —

"I wołać będą w dzikim okrzyku,
"Padając pod topór kata:
— "Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku!
"Lecz jutro!.. gdzie jutro świata?"

W Tatrach.

Mieczysławstwu Pawlikowskim
Na pamiątkę chwil wspólnie spędzonych w Łakopanem
z wyrazem przyjaźni.

WSTĘP.

O, matko ziemio, dobra karmicielko!
Żywisz nas hojnie przy swej piersi mlecznej
Niebieskiej rosy ożywczą kropelką
I promieniami jasności słonecznej,
Które przerabiasz na chleb, co się mnoży
Codziennym cudem wiecznej myśli bożej.

O, matko, ziemio! ty nam, dając ciało,
Zbudzoną duszę karmisz na swem łonie;
Dajesz jej poznać świata piękność całą,
Oprowadzając przez błękitne tonie,
I po gwiaździstym unosisz przestworze,
Codzień poranku odnawiając zorze...

Roztaczasz przed nią kształtów nieskończoność
I coraz nowe przesuwasz obrazy;

Stroisz się w błękit morza, w łąk zieloność,
W błyszczące piaski, w niebotyczne głazy;
Rozwijasz widzeń tęczę malowniczą
I świeżych wrażeń napawasz słodyczą.

Ty ją przenikasz barw i dźwięków falą,
Przez zmysły drogę otwierając do niej;
Rzucasz w nią ognie, co się wiecznie palą
W obłoku marzeń i kwiecistej woni;
Podajesz przędzę, którą ona bierze,
Snując z niej dalej Pasma uczuć świeże.

Ty jej swe wszystkie skarby zgromadzone
Rzucasz na pastwę z rozrzutnością matki,
Pozwalasz zdzierać z twarzy swej zasłonę
I coraz nowe zadajesz zagadki,
Kryjąc w swej dłoni, jako Izys czarna,
Kwiaty lotusów i pszeniczne ziarna.

Dobra piastunko! trzymasz nas tak mocno
Na swojej piersi, co się ciągle chwieje...
Sny cudowności zsyłasz porą nocną,
A we dnie własne opowiadasz dzieje,
Nawet prostaczkom dając mądrość wielką, —
Dobra piastunko i nauczycielko!

My się nie możem oderwać od ciebie,
Ciężarem ciała z ciałem twem spojeni;
I chociaż myślą wzlatujem po niebie,
Sny zaświatowe ścigając w przestrzeni,
Musimy zawsze czuć pod nogą swoją
Ten grunt, na którym kształty nasze stoją.

Musimy z tobą w zgodzie żyć: inaczej
Duch się obłąka w mgle urojeń ciemnej,
W złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczy,
W sennem omdleniu lub w walce daremnej —
I poza światem pędzi żywot chory,
Nie mając twardej dla siebie podpory.

Musim żyć z tobą w zgodzie — do mogiły,
Chociaż cel wyższy stawiamy przed oczy.
Pragnąc zaczerpnąć świeży zasób siły,
Każdy z nas musi w walce, którą toczy,
Tak jak Anteusz, dotykać się ziemi...
Bośmy — o, matko — wszyscy dziećmi twemi.

Na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty,
A ty stosowne nam wyznaczasz grządki;
Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty,
Swych poprzedników prochy i pamiątki;
I każdy tylko na swej własnej niwie
Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Tam tylko znajdzie odpowiednie soki,
Właściwy zakres i warunki bytu,
Skwarny blask słońca, albo cień głęboki,
Modrą toń jezior, lub krawędź granitu;
Tam kształt i barwę właściwą przybiera,
Na czas dojrzewa — i na czas zamiera.

Zna się z burzami swej ojczystej strony
I z tchnieniem wiosny, która go upieści...
I od początku idzie uzbrojony
Na rozkosz życia i jego boleści:

Więc nic dziwnego, że nad wszystkie inne
Musi ukochać zagony rodzinne.

To przywiązanie, które ludzie prości
Czerpią z cichego z naturą przymierza,
Stwarza ojczyznę jako cel miłości,
I coraz więcej zakres swój rozszerza,
Aż cały krąg twój obejmie — o, ziemio!
Razem z zmarłemi, co w grobowcach drzemią.

A kto ukochał ciebie sercem swojem
I w twe objęcia chyli się z tęsknotą,
Tego pogodnym obdarzasz spokojem,
Spojrzeniem matki i matki pieszczotą, —
W zaczarowane znów wprowadzasz koło,
Wracając młodość jasną i wesołą.

Chociaż do ciebie przybędzie złamany,
Uchodząc losów ciężkiego rozbicia,
Ty, dobrotliwa, zagoisz mu rany,
I spędzisz z duszy palący ból życia,
I cierpiącego pojednasz człowieka
Z tem, co już przeżył, i z tem, co go czeka.

I wszystkim, którzy do ciebie się garną,
Pozwalasz zebrać odpowiednie żniwo:
Młodzieńcom dajesz serca moc ofiarną,
A starcom dajesz wytrwałość cierpliwą, —
Zadowolenie, co twarz krasi bladą,
I uśmiech, z jakim do grobu się kładą.

Bo ty, — o, matko, — masz dla swoich dzieci
Zawsze miłością promienne oblicze,

I twój wzrok jasny, co nam w życiu świeci,
Jeszcze rozwidnia mroki tajemnicze,
Kiedy zamykasz miłosierne łono
Nad garścią prochów — prochom powróconą.

RANEK W GÓRACH.

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole — lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada;

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży!

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą;

Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie;
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli,
W tem powietrzu przezroczystem.

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza;
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy;
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy;

Już pokraśniał rąbek lasu,
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny — a z szałasu
Dolatują śpiewne echa...

Przez zielone łąk kobierce,
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta;
Dusza wybiedz chce oczyma
Upojona, a nie syta —

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia,
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

MORSKIE OKO.

I.

Ponad płaszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, co w koło ze sobą się zwarły,
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro,
Odźwierciadlając w łonie głazów świat zamarły.

Stoczone z szczytów bryły, mchu pokryte korą,
Po brzegach rumowisko swoje rozpostarły;
Na niem pogięte, krzywe, kosodrzewu karły
Gdzieniegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki, wyniésione w chmury,
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopusz-
cza...
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.

Cisza — tylko w oddali gdzieś potoki pluszczą
Lub wichry, przelatując nad zmartwiałą puszczą,
Swym świstem grozę dzikiej powiększą natury.

II.

Tu myśl twórcza straszliwą pięknością wy-
kwita:
Pięknością niezmierzonej potęgi i siły,
Co, gromami na skałach rozdartych wyryta,
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej
bryły.

Dziki zamęt! Głazami zasłane koryta
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła — rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina:
Poszarpane gór grzbiety, wody, co czernieją,
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...

Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje jak mała dziecina
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!

III.

Słońce, gdy na zachodzie złotą tarczę skłoni,
Purpurą zdobi jeszcze skał korony wierzchnie:
Tysiąc tęczowych świateł po szczytach się goni,
Tu sinieje... tam ogniem zaświeci... znów
zmierzchnie;

A w dole, na jeziora zamąconej toni
Odbity blask zakrwawia drżących wód powierz-
chnię,
Póki skrwawionej fali płaszcz mgły nie osłoni
I ostatni rumieniec wieczoru nie pierzchnie.

Wszystko zgasło... świat cały napełniony mro-
kiem;
Granitowe olbrzymy majaczeją w dali,
Rosną w bezmiar i kształty zmieniają przed
okiem;
Mgła pokryła przepaści szarym swym obłokiem
I jezioro zniknęło... lecz słychać szum fali
I z gór lecący potok wymowniej się żali...

IV.

Noc króluje — na głowę kładzie gwiazd dyadem;
Przez błękity przesiąka niepewna i drżąca
Jasność jeszcze skrytego dla oczu miesiąca;
Mgły ulatują w górę śnieżnych chmurek sta-
dem.

Wszystko topnieje w świetle niebieskiem i bla-
dem
I ciemność nad otchłanią chwieje się wisząca.
Księżyc przez skał szczelinę wstał nad wodospa-
dem,
Srebro leje i w przepaść wraz z falami strąca.

Zwolna cała kotlina z śpiących wód topielą
Wynurza się jak obraz czarodziejskiej księgi...
Wybrzeża przeraźliwym odblaskiem się bielą,

Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą;
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi,
Przypominając piekieł dantejskie okręgi.

V.

O, wielki poemacie natury! któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wie-
czystem?..
Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże?
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?

O, wielki poemacie! ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skry-
tem,
Gdy, pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna

W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

KOŚCIELISKA.

Oto tatrzańska sielanka
Łagodną wabi ponętą,
Jak dziewczę, co uśmiechniętą
Twarzyczką wita kochanka.
Przez skał rozdartych podwoje
Przegląda wąwozu łono,
Gdzie szumią srebrzyste zdroje
Melodyę głazom nuconą;
Przez skał rozdartych podwoje
Świerk zwiesza konary swoje
I słońca blask się przeciska:
To Kościeliska!

Zielona skacze dolina
Przez strumień z brzegu do brzegu;
Gdzie potok wstrzyma ją w biegu,
Na góry łączką się wspina
I postać przybiera sielską,
Strojąc się w trawę i zielsko
I kwiaty do swego wianka
Wplatając ręką niedbałą...
A dołem, skryta pod skałą,

Z marmurowego wciąż dzbanka
Czysta Najada swe fale
W przejrzystym sączy krysztale
I strąca potok z urwiska:
To Kościeliska!

Pionowo sterczące skały
Igłami świerków się jeżą,
W ciemną się zieleń ubrały,
Lecz w balsamiczną i świeżą,
Z której gdzieniegdzie szczyt biały
Kamienną wytryśnie wieżą,
Lub nagie wapienia ostrze
Szeroko pierś swą rozpostrze.
Za każdym drogi zakrętem
Cały krajobraz się zmienia;
Jakby w królestwie zaklętem
W głaz zamienione marzenia,
Dziwaczne fantazyi gmachy
Z wejrzeniem coraz-to nowem,
Wiszące ściany i dachy
Tłoczą się ponad parowem
Lub uciekają w lazury,
Ręką marzącej natury
Wypchnięte z ziemi ogniska:
To Kościeliska!

Srebrzyste wstęgi katarakt,
Oprawne w zielony szmaragd
Mchów rozesłanych na skałach
I drobnolistnych paproci...
W powietrzu pełno wilgoci

I chłód rzeźwiący w upałach,
Zwalone kłody i mosty,
Łomy strącone z wierzchołków,
Rdzawe na głazach porosty,
Co woń roznoszą fijołków,
Żywiczne świerków oddechy,
Błękitnych niebios uśmiechy —
I spokój dla duszy słodki,
I zawieszone wysoko
Nad niedostępną opoką
Gwiaździste srebrne szarotki —
Wszystko się srebrzy lub złoci,
W kropelkach świeżej wilgoci,
Tęczową barwą połyska:
To Kościeliska!

NOC POD WYSOKĄ.

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek w słońca promieniach kąpany;
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom
Wciśnięta między dwa ramiona góry
Kotlina, pełna granitowych łomów,

Które z daleka sterczały jak mury
Zdobytej twierdzy lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,
Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta. — W głębi toń jeziorka sina
I mchu na głazach zielony aksamit...
Zresztą ni trawki, ni krzewu — jedynie
Woda, i głazy, i mchy w rozpadlinie.

Tu na jeziora zeszliśmy wybrzeże
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże
I mech jedwabny podesłać pod głowę
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyzębione skały
Złotem, purpurą albo fioletem...
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrożonem jeziorka zwierciadłem,
Co, z brzegów w śniegi oprawne i lody.
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem — jako w pracy nieustannej
Fala srebrzystą powłokę podmywa,
Aż tafla lodu, dźwięk wydając szklany,
Pęka i dalej z szelestem odpływa;
Patrzałem — jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,
Jak jedna drugą potrąca i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu...
I żałowałem, że się próżno kręci,

Przypominając sobie ludzką dolę,
W której, ach, nieraz wszystkie dobre chęci
W zaklętem muszą obracać się kole...
Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
Bory zsiniały pod mgieł mleczną szatą
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
Pobladł i barwę przyjął popielatą.
Wraz z znikającą jasnością promienną
Ostatnie życia uchodziły ślady...
Mrok zwiększył martwość pustkowia kamienną, —
I obszar zastygł, posępny i blady,
I swym straszliwym przytłoczył ogromem
Myśli zbłąkane w państwie nieruchomem.
Geniusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma,
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nademną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,
I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata, —
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przez rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem bezlitosnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajnem... nieujętem...

Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,
Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;
I sam złożyłem głowę na posłaniu
W półsennem teraz pogrążon dumaniu.
Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przezroczyste,
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie.
Stały się więcej ciemne, przepaściste —
I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte;
Zostało jedno wielkie rusztowanie,
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad któremi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokręgi cieniu,
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu
Cisza! a jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągłe wrzenie słyszy, —
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie świata nawpółsenne ruchy.
Czasami skała u szczytu wisząca
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem
O najeżone ściany się roztrąca;
Huk długo echa powtarzają potem —

Aż rozsypany głaz na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści...

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko, jak dawniej, szepczą z sobą góry
Podmuchem wiatru i szemraniem zdroju;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

Wślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie trwoży...
On się zanurzył w źródle wiecznie-żywem,
Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,

I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

LETNI WIECZÓR.

Już zaszedł nad doliną
Złocisty słońca krąg;
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słychać śpiew,
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew

Promieni gra różana
Topnieje w sinej mgle,
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz,
Cicha poezya światów
W głąb ludzkich spływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór,
Nocnemi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze chmur —

I wiążą swoje skrzydła,
Podarty kryjąc stok;
Jak senne malowidła
Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny
Oświetla obraz ten...
Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

PODCZAS BURZY.

Dołem wicher ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po zczerniałym lesie
I gromami w głąb wąwozów ciska:
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodne, jak dawniej, błękity.

Ach! tak samo na drogach żywota
Nieraz burza szaleje nad głową:
Wicher nami nad przepaścią miota
A grom ciemność oświetla grobową;
Jednak wyżej — widać błękit nieba...
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

LIMBA.

Wysoko na skały zrębie,
Limba iglastą koronę
Nad ciemne zwiesiła głębie,
Gdzie lecą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,
Prawie ostatnia już z rodu...
I nie dba, że wrzące fale
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żałobą
Chyli się ponad urwisko
I widzi w dole pod sobą
Tłum świerków rosnących nizko.

Te łatwo wschodzące karły,
W ściśniętym krocząc szeregu,
Z dawnych ją siedzib wyparły
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze
Pełzają dalej na nowo!
Ona się w chmurach kołysze —
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,
O życie walczyć nie będzie;
Wciąż tylko wznosi się wyżej
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu
Na tryumf rzeszy poziomej:
Woli samotnie z błękitu
Upaść — strzaskana przez gromy.

WODOSPAD SIKLAWY.

Jakaż to prządka snuje białe nici,
Które wśród głazów migają tak żywo,
Że je zdaleka ledwie wzrok pochwyci?
Jakaż to prządka rozpierzchłe przędziwo
Łowi po skałach strojnych w szarą pleśń?
I z drobnych nitek srebrną wstęgę przędzie,
I przez granitów przewiesza krawędzie,
Nucąc wieczyście jednobrzmiącą pieśń?

To wartki strumień szumiącej Siklawy
Zagarnia w koło śnieżne ścieki gór;
Na nić swą czarne nawiązuje stawy
I wiedzie głośny z kamieniami spór;
To potok wzbiera siatką wód pajęczą,
I coraz głębiej pierś wąwozu porze,
I znika w ciemnej gardzieli otworze,
Kończąc krajobraz wodospadu tęczą.

Skromny to potok — a jednak w swym biegu
Tyle piękności naszych gór jednoczy!
Chylą się nad nim ściany pełne śniegu

I gonią za nim czarnych stawów oczy;
Za nim, piętrami spadających wzgórz,
Ciągną się gruzem zasłane rozdroża,
Jak falujące a zastygłe morza,
Co skamieniały wśród pierwotnych burz.

Skromny to potok — lecz tak wdzięcznym
rzutem
Zamyka wąwóz na błękitów tle,
Tak pięknie ginie w wnętrzu skał rozprutem
Znikając w tęczach albo w sinej mgle.
Skromny wodospad — nie ma w świecie sławy;
Lecz tak mu pięknie w ukrytej czeluści,
Gdy na wiatr wstęgi przejrzyste rozpuści —
Skromny wodospad szumiącej Siklawy.

ULEWA.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz,
I rosę z chmur wyciska
A strugi wód z wilgotnych paszcz
Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór,
    Zasłony spadły sine;
W deszczowych łzach, granitów gmach
    Rozpłynął się w równinę.

Nie widać nic: błękitów tło
    I całe widnokręgi
Zasnute w cień, zalane mgłą,
    Porznięte w deszczu pręgi;

I dzień i noc i nowy wschód
    Przechodzą bez odmiany;
Dokoła szum rosnących wód,
    Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz i świszcze wiatr,
    Głośniej się potok gniewa;
Na szczytach Tatr, w dolinach, Tatr —
    Mrok szary i ulewa.

MACIEJOWI SIECZCE.

Przewodnikowi w Zakopanem.

Mój przewodniku! Tyś mnie wiódł przez góry,
Dając mi poznać ich poezyę świeżą, —
Nagą, dziewiczą piękność tej natury,
Niezeszpeconą mdłych legend odzieżą,
Nierozdrobnioną na powszednie rysy,
Zdawkowe słowa, zdawkowe opisy.

Tyś ją pojmował swojem sercem prostem
Wiernie, jak staje wyciosana z głazów:
Nie pociągałeś fałszywym pokostem,
Co kryje nicość bezmyślnych obrazów;
Ale umiałeś jędrne znaleźć słowo,
Aby jej wielkość wyrazić surową.

Tyś mnie nauczył czuć ją silniej, lepiej,
Bez wykrzykników i przenośni bladej,
I w dzikich formach, które ona sklepi,
Nie szukać natchnień niemieckiej ballady;
Lecz na nią okiem spoglądać górala,
Co wszystkie wirchy rozpoznaje zdala.

Tyś mnie nauczył, drapiąc się na turnie,
Nie brać przyborów romantycznej muzy
I na klasycznym nie stąpać koturnie
Przez naszych grobów kamieniste gruzy;
Ale wesoło, bez zawrotu głowy
Mijać głęboko wycięte parowy.

Pamiętam, nieraz siedząc na upłazku
Rzeźbiłeś słowem Tatr skalisty wątek;
Każdy szczyt w wiernym schwytałeś obrazku
Każdej doliny koniec i początek,
I piętr górzystych oznaczałeś biegle
Trawiaste kopy i lesiste regle.

Umiałeś kształty każdego olbrzyma
Z gór zębatego grzebienia wydostać,
Wskazać, jak drugich ramieniem się trzyma,
Jaką przybiera z każdej strony postać,

I na swych palcach przedstawiałeś żywo
Każde odrębne łańcucha ogniwo.

Ukazywałeś ciemne wód lusterka
W wgłębieniach, w śniegu błyszczące oprawie
Siklawy w przepaść skaczące z piąterka, —
Wnętrza wąwozów splątanych ciekawie
Kierunek dolin i strumieni koryt —
Wszystkim właściwy nadając koloryt.

Wszystko, coś mówił, miało więcej wdzięku,
Niż romantyczna daje opisowość;
Bo, mówiąc, miałeś pierś natury w ręku,
A każde słowo dziwną miało nowość:
Świeżą poezyę górskiego powietrza,
Dla której rymów i porównań nie trza.

I nie prawiłeś mi spłowiałej bajki
O Dziwożonach lub zaklętych skarbach,
Lecz, dym puszczając z swej króciutkiej fajki,
Juhasów w żywych malowałeś farbach,
Życie w szałasach i życie na hali,
Dolę — niedolę pasterskich górali.

Ich ciemne twarze i kożuszki smolne,
Zgrzebne koszule, ciupagi i pałki
Więcej mi serce rozgrzać były zdolne
Niż wszystkie Gnomy, Ondyny, Rusałki,
Co w Tatr poważnych wyniosłym łańcuchu
Tak wyglądają — jak kwiat przy kożuchu.

Żadne się bowiem widmo nie przyswoi
Tej wyniesionej pod niebo pustelni,
Gdzie tylko jeden duch na straży stoi —
Bez kształtów, w które chcą go wprządz śmiertelni, —
Duch wszechświatowy, duch wód i kamieni,
Co się w milczącej unosi przestrzeni.

Przy nim już niema dla fantazyi tworów
Odpowiedniego miejsca wśród tych wyżyn:
Wielka symfonia turni, hal i borów
Nie znosi ludzkich trefleń i postrzyżyn,
Nie znosi skrzydeł przyprawnych z tektury,
Gdy sama cała wzlatuje do góry.

Ty czułeś dobrze, że wielkość przyrody
Nie potrzebuje bielidła i różu;
Że miło patrzeć na schodzące trzody,
Gdy z gór pędzone w szarym skaczą kurzu;
I że tatrzańskiej polany nie szpeci
W koło szałasu chwast na stosach śmieci.

Tyś czuł, że prawda — piękna, chociaż naga,
Gdy jest odczutą silnie a głęboko;
Że tracić musi dzika gór powaga,
Gdy fantastyczną okryć ją powłoką;
I że nie trzeba robić z skał posągów,
Ani wytwarzać różnych dziwolągów.

Tyś czuł, że każda z okolic mieć musi
Swój wdzięk właściwy i wyraz odrębny;
Że Tatrom trzeba bydła, a nie strusi;

Że zapatrzone w niebo wiejskie bębny
Piękne są — tworząc harmonię pastuszą,
Do której trzeba dostroić się duszą.

Twa estetyka prosta, domorosła
Znała jednakże widnokręgi szersze:
I choć nie byłeś poetą z rzemiosła.
Co mierzy swoje uczucia na wiersze,
Choć nie goniłeś w laur zmienionej Dafne —
Poczucie piękna zawsze miałeś trafne.

I realizmu powszednego mistrze
Nie mogą ciebie w swej zamieścić szkole...
Boś kochał wszystko jaśniejsze i czystsze
I nie lubiłeś pozostawać w dole;
Lecz rozumiałeś, że ludziom potrzeba
Piąć się — by wyjrzeć oczami do nieba.

Dobrze więc było mnie pod twoją wodzą
W królestwie głazów dni pogodne przeżyć,
Chwytać wrażenia jak same przychodzą,
Piersi nieznanem uczuciem odświeżyć
I w samem źródle piękności i czarów
Ożywczą rosę z śnieżnych pić wiszarów.

Dobrze mi było, idąc za twym śladem,
Zdobywać z trudem mało znane szczyty
I z rączych kozic spotykać się stadem,
Przeskakującem granitowe płyty,
I na najwyższym ostrej turni zębie
Ogarniać wzrokiem nieprzejrzane głębie.

A chociaż czasem deszcz lał jakby z cebra
I trzeba było zmoczonym do nitki
Umykać na dół z skalistego żebra,
By gdzie w szczelinie czas przeczekać brzydki —
Tyś miał w zapasie zawsze myśl wesołą,
Co rozchmurzała zasępione czoło.

I słodko było gwarzyć z tobą potem,
Po całodziennym spoczywając znoju
Pod rozpostartym błękitów namiotem,
Po nad brzegami jeziorka lub zdroju,
Gdzieśmy budzili krzykiem echa dolin
I chleb chwytali — głodni jak Ugolin.

A gdy ostatnie gasły zórz kolory,
Wtedy i nasze przycichły gawędki;
Bośmy słuchali: co szumiały bory,
Co na kamieniach szemrał potok prędki...
Myśmy milczeli, a gwarzyły skały...
I tak wśród marzeń dzień nadchodził biały.

To wszystko jeszcze w mych myślach się kręci,
I wszystkie twoje starania i prace
We wdzięcznej u mnie zostały pamięci:
Więc dług wdzięczności wspomnieniami płacę;
Które, jakkolwiek spełzły na papierze,
Jednak gór tchnienie przechowują świeże.

GIEWONT.

Stary Giewont na Tatrach przedniej straży
Głową trąca o lecące chmury...
Czasem uśmiech przemknie mu po twarzy,
Czasem brwi swe namarszczy ponury,
I jak olbrzym w poszczerbionej zbroi
Nad kołyską ludzkich dzieci stoi.

Przez ciąg wieków wznosi dumne czoło
I wysuwa pierś swą prostopadłą,
Patrząc z góry na wieśniacze sioło,
Co pokornie u nóg jego siadło;
Przez ciąg wieków straż swą nad niem trzyma
Z troskliwością dobrego olbrzyma.

Wypiastował już pokoleń wiele,
Które wieczny związek z nim zawarły,
Z nim złączyły swe losy i cele,
Przy nim żyły i przy nim pomarły,
Nawet myślą z pod jego opieki
Nie wybiegłszy nigdy w świat daleki.

Wypiastował cały ród górali:
On ich widział, gdy dziećmi radośnie
U stóp jego bawiąc się pełzali;
Widział młodzież, jak mu w oczach rośnie,
Jak się krząta koło swego plonu;
Widział potem starców w chwili zgonu.

Zna więc dobrze bieg ich trwania krótki,
W ciasnem kółku zamknięte nadzieje,

Ich radości, pragnienia i smutki,
Co ich boli, co im piersi grzeje;
Zna zabiegi i spory gorące
O kęs ziemi na polach lub łące.

On się przyjrzał kolejom powszednim
I był sędzią już niejednej sprawy;
Nieraz w nocy rozegrał się przed nim
Jaki dramat posępny i krwawy...
Widział różne skryte ludzi czyny,
Widział cnoty, widział także winy.

Lecz, choć czoło chmurami powleka,
Zbyt surowo nikogo nie sądzi,
Bo zna dolę biednego człowieka,
Który, idąc na oślep, zabłądzi,
I o głodzie wzrok obraca chciwy
Na żyźniejsze swych sąsiadów niwy.

Raczej czuję dla tej biednej rzeszy
Wielką litość w piersi swej kamiennej,
Od kolebki bawi ją i cieszy,
Z każdą chwilą biorąc strój odmienny,
Przed jej wzrokiem stroi się i wdzięczy,
Pożyczając wszystkie barwy tęczy.

Dla niej wstaje w gęstej mgły zasłonie,
Którą zwolna zrzuca z ramion we dnie,
Dla niej w wieczór cały ogniem płonie,
I szarzeje, mroczy się i blednie,
Zawieszając księżyc w swojej szczerbie,
Jakby srebrną Leliwę miał w herbie.

Dobry olbrzym! troszczy się o ludzi,
Co się jego powierzyli straży;
Śpiące dusze z odrętwienia budzi,
I piękności poczuciem je darzy,
I rozrzuca nad dzieciństwa nocą
Pierwsze blaski, które życie złocą.

Tak jak w baśni: kocha się w pasterce
Dobry olbrzym i dobiera kluczy,
By otworzyć nawpół dzikie serce;
Tak jak w baśni: swych tajemnic uczy,
Uczy znosić ciężkie losu brzemię
I miłować swą rodzinną ziemię.

Z PODRÓŻY DUNAJCEM.

Już jasny księżyc na wodospadzie
Haftuje srebrem strumienia bieg,
I fala, co się do snu nie kładzie,
Lekko potrąca o skalny brzeg!

Już ciemne lasy drzemią w oddali,
Szemrząc modlitwy wieczornej chór;
Dalekie echa głuchną na fali
I we mgłach toną podnóża gór.

Łódkę do drogi strumień kołysze
I pianą rosi nadbrzeżne mchy:
Płyńmy więc w ciemność i nocną ciszę,
W krainę cudów, marzeń i mgły!

Głowę swą oprzyj na mem ramieniu
I do księżyca obróć swą twarz,
I oświecona w bladym promieniu
O widmie szczęścia dumaj i marz!

Ja będę śledził na twojej twarzy
Przelotnych marzeń ruchomą nić,
I będę myślał: "Jak pięknie marzy..."
I zwolna zacznę o tobie śnić.

A tak cię sen mój sercem odmieni,
Że mi wykwitniesz jak biały kwiat, —
Pełen miesięcznych, drżących promieni
Rzucony ze mną w fantazyi świat.

I będę mniemał wtenczas, wpółsenny,
Że na twych marzeń tęczowem tle
Widzę uczucia odblask promienny,
Płynący ku mnie na srebrnej mgle.

A kiedy jeszcze fala zdradziecka
O kamień naszą potrąci łódź,
To ty z przestrachu trwożnego dziecka
Na mnie wzruszone spojrzenie rzuć!

I do mnie bliżej pochyl się cała
I ujmij silniej braterską dłoń,
Ja będę myślał, żeś ty zadrżała,
W mojego serca spojrzawszy toń...

A kiedy dalej wypłyniem zwolna
Na wód leniwych spokojny szlak,

Może pomyślę, żeś kochać zdolna
I że mi łezkę rzucasz na znak!

Więc płynąc znowu w girlandach piany,
Co się roztrąca o progi skał,
Wyszepnę przez sen, "żem zakochany
I żem ci serce na wieki dał."

Tak rozmarzeni oboje ciszą,
Pijąc tęsknotę i nocny chłód,
Wymienim słowa, które usłyszą
Fale i duchy leniwych wód;

I w księżycowych blasku promieni,
Rwąc kwiaty marzeń na srebrnej mgle,
Uwierzym, żeśmy sercem złączeni
W pierwszej miłości rozkosznym śnie.

Lecz gdy przybijem wreszcie do brzegu.
Rzucając miejsce czarownych scen,
Wtenczas, o dobrym myśląc noclegu,
Poznamy wkrótce, że to był sen

PODRÓŻNI.

Przez włoskie wille nad morzem wiszące
Ciągniemy, rzesze senne i cierpiące,
Trochę tu niebios zaczerpnąć, i morza —
Gdy nam przybrakło ojczystego brzegu —

I skargi rzucać w gwiaździste przestworza,
Szukając w gajach oliwnych noclegu;
Gdzie w ciemne groty szafiry się leją
Niebieskiem światłem olśniewać podziemie,
Gdzie burze przerwać milczenia nie śmieją,
I tylko ptactwo zabłąkane drzemie —
Przyszliśmy, grubą odziani żałobą,
Zazdrościć ciszy tym błękitnym grobom.
Gdzie góry biegną nad zwierciadłem fali
Kąpać się w blasków różowych pogodzie,
Tuśmy, wygnańcy, ojczyzny wołali,
Na pełne morze odbijając łodzie —
A płynąc myślą w mgły przeszłości czarne,
Rwali cyprysy i róże cmentarne.
Witajcie, płynne otchłanie! swym szumem
Dokończcie dźwięków wydartych westchnieniem...
Wszak w nieskończoność toniem wraz z tym tłumem
Mar zatraconych za zgasłym promieniem!
A nieświadomi wybrzeża, gdzie staniem, —
Spoczniem... za nowem czekając świtaniem.

W ZATOCE BAJA.

Cicho płyńmy jak duchy,
Białe żagle nawiążmy!
Toń tak głucha, milcząca,
Fala o brzeg nie trąca;

Więc utajmy namiętne wybuchy,
I wzrok łzawy w ciemności pogrążmy.

Dzień już zapadł w otchłanie —
I w posępnej pomroce,
Jako cienie przelotne
Pijmy rosy wilgotne,
Po srebrzystej ślizgając się pianie,
W tej przeszłością szumiącej zatoce.

Tu przed nami się czerni
Stary cmentarz dziejowy
Gdzie ruiny dokoła
Śpią pod skrzydłem anioła;
Tu przystaniem, grobowców odźwierni
I pochylim ciążące już głowy.

Może echa, co drzemią
W długim kolumn krużganku,
I marzenia, co legły
Nim swej mety dobiegły,
Naszem przyjściem zbudzone, pod ziemią
Dopowiedzą historyi poranku.

Pośród wonnych jałowców
Dumające widziadła
Szepczą między zwaliska
Zapomniane nazwiska...
Pewnie przyjmą gościnnie wędrowców,
Nad którymi już przeszłość zapadła.

W Serapisa kościele
Złóżmy Lary rodzinne:
Może z nawy strzaskanej
Wyjdą słońca kapłany
Pytać się nas, co robim w popiele?
I czy słońce nie świeci nam inne?

A Kumejska Sybilla,
Skryta w głębi pieczary,
Nad trójnogiem schylona
Krzyknie przez sen, zdziwiona:
Czy się zjawił znów jaki Attyla?
Czy to tylko mordują Cezary?

Przed prostylem Dyana
Trzyma księżyc nad głową;
Gdy nas ujrzy, pomyśli,
Że Niobidy tu przyszli,
I po łuk swój pobiegnie, zmieszana
Tą kamiennej boleści wymową.

I pierzchając przez łomy,
W liść rzeźbione akantów,
Będzie mniemać, że zdala
Stoi córka Tantala
I w nią wlepia swój wzrok nieruchomy,
Przesłonięty potokiem brylantów.

Wróć się, blada Hekate!
Bo ruina się skarży;
Fryz, odarty z ozdoby
Patrzy pełen żałoby:

Nie przyszliśmy po krwi swej zapłatę,
Ani chcemy zakłócać cmentarzy.

Zejdź więc, gwiazdo Erebu,
Tulić dalej straszydła;
Już piekielnych psów wycie
Głosi nasze przybycie:
My z własnego wracamy pogrzebu,
I pod twoje chronimy się skrzydła.

Rzuć ostatnie promienie
Nam na drogę podziemną;
Może za tem wybrzeżem
Acherontu, dostrzeżem
Naszych braci błądzące już cienie
I żalące się niebu — że ciemno!

TEATR W TUSCULUM.

Na gór albańskich łagodnym zakręcie,
Na dwóch złączonych pagórków grzebieniu,
W draperyi dębów włoskich jest wycięcie,
Gdzie gruzy drzemią w pustce i milczeniu:
Szeroko tutaj rozsiadły się kołem,
Pokryte wieków pleśnią i popiołem.

Jak tylko ścieżka z lasu się wynurza,
Rododendrony witają wędrowca,

I sam laur biegnie prowadzić przez wzgórza
Do kamiennego przeszłości grobowca
I pokazuje im laur wiecznie młody,
Gdzie cycerońskie kwitły wprzód ogrody.

Lecz dobiega do ruin — by szumem
Nie przerwać wielkiej ciszy i powagi,
I pozostaje z innych krzewów tłumem:
A gruzy leżą na wyżynie nagiej
I patrzą w błękit... tylko wśród kamieni
Bluszcz się przeciska jak wąż i zieleni.

Dawnych pałaców olbrzymie szkielety
Wryły się w ziemię i zielskiem zarosły;
Gdzieniegdzie sterczą poszarpane grzbiety,
Gdzieniegdzie leży kolumny wyniosłej
Strzaskany odłam... a na wyższem piętrze
Widać odarte i posępne wnętrze.

Po nagich ścianach z różnobarwnej lawy
Sączy się wilgoć i kroplami ścieka,
A te łzy żywią w szczelinach mech rdzawy,
Co jak krwi plamy wygląda z daleka;
Lecz nic dziwnego, że płacze ruina,
Jeśli swą dawną wielkość przypomina.

Białych okruchów marmurowych mnóstwo
Wala się wszędzie pod nogą przechodnia —
Może nie jeden Cezar albo bóstwo,
Nie jedna wielkość i nie jedna zbrodnia...
Ale czas zgładził całe pokolenia
Bogów i ludzi, z gliny, czy z kamienia.

Zdala od ruin natłoku — samotnie,
Tuż u podnóża skał wiszącej ściany,
Rzymski teatrzyk wdzięczy się zalotnie
W kotlinie liściem akantów ubranej;
Po stopniach spływa półkolem ku scenie
Gdzie dwie kolumny zdobią podwyższenie.

Czas uszanował to klasyczne dzieło,
Tylko ciemniejsze narzucił mu tony;
W liniach się całe mistrzowstwo zamknęło,
Co dało kształtom wdzięk niewysłowiony, —
I jest podobnym ten teatrzyk szary,
Do wbitej w ziemię marmurowej czary.

Sklepieniem są mu niebieskie błękity,
Co ściany świateł obmywają strugą;
I tak, błękitną kopułą nakryty
Na widzów czeka — ci śpią nadto długo! —
I próżno scena wdzięcznie się przymila,
Myśląc o jakiej tragedyi Eschyla.

Wszystko gotowe! krajobraz gotowy!
Widać kolumny portyku... za niemi
Lasy i wzgórza, strumienie, parowy,
I wielki obszar cudnej włoskiej ziemi:
Wszystko tak piękne , pełne kolorów!
Brak tylko dotąd widzów i aktorów.

Widzem ja byłem; zstąpiłem z pagórka,
Siadłem na stopniu, i słucham.. i patrzę...
Oprócz mnie jedna przybyła jaszczurka

I drugie miejsce zajęła w teatrze
I głucha cisza wypełniła mury
Oczekiwaniem na tragedyi chóry.

Ale chór dawno nad ruiną przewiał
I w kraj przeszłości uleciał zamierzchły;
Ustały skargi — krwawy miecz zardzewiał,
Wyniosłe cienie bohaterów pierzchły,
I zeszły z sceny pokolenia całe,
Unosząc z sobą rozpacz, wstyd, lub chwałę.

Dziś nic już śpiącej fali nie poruszy,
I grobów ciszy nie przerwie pokutnej...
Scena już pusta... i tylko w mej duszy
Na nowo dramat rozgrywał się smutny
Po stosach ofiar zdążając przez wieki
Ku jakiejś gwiaździe jasnej i dalekiej.

Tusculum 1872 r.

WIDMO JESIENI.

Tak żywe niegdyś błękity
Cieniami zaszły szaremi;
Jakiś duch mgłami spowity
Zimną dłoń kładzie na ziemi.

Przez mgieł przejrzyste zasłony
Przegląda postać widziadła:

Wzrok jakby mgłami zaćmiony,
Twarz chłodna, smutna, wybladła.

Na czole wieniec zczerniały
Kropelki sączy wilgotne;
Po kwiatach, co się rozwiały,
Zostały ciernie samotne.

Tak płynie z schyloną twarzą,
Roznosząc ciszę złowrogą,
A łzawe spojrzenia rażą
Sennością, smutkiem i trwogą.

Przyciska do ziemi łona
Dłoń skrzepłą — ziemia się wzdryga
Lecz, tchem grobowym rażona,
Martwieje — głuchnie — zastyga.

Z motywów ludowych.

SIWY KONIU.

Siwy koniu, siwy koniu!
    Coś tak zadumany?
Nie wiesz drogi, nie wiesz drogi
    Do mej ukochanej?

Moja miła nas rzuciła,
    Nie wyrzekłszy słowa;

Jak nie znajdziesz do niej drogi,
Zginąć nam gotowa.

Siwy koniu, siwy koniu,
Ciężko tobie będzie:
Przegonimy wiatr, co wieje,
Nie spoczniemy w pędzie.

Siwy koniu, siwy koniu,
Cięższej sercu memu,
Bo straciło już nadzieję —
Samo nie wie czemu!

SZUMI W GAJU BRZEZINA.

Szumi w gaju brzezina,
Bo inaczej nie może;
Wiatr gałązki jej zgina —
Musi szumieć nieboże.

Wzdycha w gaju dziewczyna,
Mimowoli łzy cieką —
Bo miłego wspomina,
Co jest od niej daleko.

Gdy nadejdzie już zima,
Brzoza liści pozbędzie,
Wszystkie wichry wytrzyma
I już szumieć nie będzie.

Gdy nadejdzie już zima,
Dziewczę wspomni miłego
I smutnemi oczyma...
Zacznie szukać drugiego.

KLĄTWA.

Kto był przyczyną rozstania naszego —
Niechaj łzy moje upadną na niego!
I niech tak samo serce mu przygniotą
Samotnym żalem i próżną tęsknotą!

Kto był przyczyną naszego rozstania —
Niech nie doczeka słodkiego spotkania,
Lecz niechaj ginie zdala od kochanej,
Niepocieszony i nieżałowany!

HUCZY WODA PO KAMIENIACH.

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie:
Nie sądź ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie.

Kto prawdziwie czuć nie zdolny,
Ten się szumem słowa pieści:

Potok głośny a swawolny
Mało wody w sobie mieści.

Lecz spokojnej cisza toni
Zwykle wielką głąb zwiastuje:
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje!

BŁĄKA SIĘ WICHER W POLU.

Błąka się wicher w polu,
Nie wie w którą wiać stronę;
Błąka się w dzikim bolu
Moje serce zmęczone.

Śnieg leży w gęstym borze
I pokrywa krwi ślady:
Tam moje ślubne łoże,
Tam kochanek mój blady!

Tak długo na mnie czeka!
Próżno pytam o drogę;
Droga ciemna, daleka —
Dotąd trafić nie mogę!

Noc czarna świat otacza:
Głucho, straszno i ciemno!
Ktoś płacze, ktoś rozpacza,
Przy mnie, czy też nade mną.

Mówiono, że to biedna
Obłąkana dziewczyna
Po polu sama jedna
Żale swoje poczyna...

Lecz nie wiem kto to taki?
Bo tak ciemno, w jak grobie;
Gdy ujrzę krwawe znaki,
To przypomnę ją sobie!

BODAJ OWA RZECZKA...

Bodaj owa rzeczka szuwarem zarosła,
Która mnie młodego w obcy kraj zaniosła;
Bodaj owa rzeczka rybek nie rodziła,
Która mnie młodego z domem rozłączyła;
Bodaj owa rzeczka wyschła do ostatka,
Że mnie tam zaniosła, gdzie nie znajdzie matka!

"Nie trzeba ci było — o, mój chłopcze młody —
Puszczać się tak łatwo na wezbrane wody!
Nie trzeba ci było z domu się wydzierać:
Nie musiałbyś teraz z tęsknoty umierać.
Rzeczka będzie rzeczką i wciąż będzie płynąć...
Wstecz nie wróci woda: musisz marnie ginąć!
A twojej mogiły nie obleję łzami —
Tylko nad nią burze będą wyć nocami!"

NIE BĘDĘ CIĘ RWAŁA...

Nie będę cię rwała,
Konwalijko biała,
Bo ty-byś na moję
Płochość narzekała.

Myślałabyś sobie,
Że to na złość robię:
Rośnij więc szczęśliwie
Gajom ku ozdobie.

Nie mam ja dziś komu
Kwiaty nieść do domu,
Nikt mi ich nie wyjmie
Z włosów pokryjomu.

Niema już sąsiada,
Co kwiaty wykrada;
Zdradziecki to chłopiec,
Ale słodka zdrada!

Pokąd nie przyjedzie,
Nic mi się nie wiedzie;
Bo wciąż tylko myślę
O młodym sąsiedzie...

I wszystko mnie nudzi,
Uciekam od ludzi;
Nawet zrywać kwiaty
Chętka się nie budzi.

Możesz więc w spokoju
Rosnąć tu przy zdroju;
Dziś mi nic nie przyjdzie
Z kwiecistego stroju.

Lecz gdy wróci luby
Zawrzeć ze mną śluby,
Wtedy, konwalijko,
Już nie ujdziesz zguby.

CHŁOPCA MEGO MI ZABRALI...

Chłopca mego mi zabrali,
Matulu!
W świat daleki go pognali,
A ja za nim umrę z bólu.
Dałam na mszę sznur korali:
Niechaj Pan Bóg go ocali,
Matulu!

Do szeregu poszedł z bronią,
Mój Boże!
Tam śmierć pewna; poszedł po nią:
Miłość moja nic nie może,
Ani łzy go nie zasłonią
Przed zawistnej śmierci dłonią —
Mój Boże!

Nie pytają oto wrogi
Kto ginie...

Czy jest sercom ludzkim drogi?
Czy płacz siostry za nim płynie?
Czy umiera matka z trwogi,
Kiedy pyta śmierci srogiej:
Kto ginie?

Na kulami zaoranej,
Na roli,
Ma paść we krwi mój kochany...
Czyliż na to Bóg pozwoli,
By samotnie ginął z rany,
Zdala swoich — na zasianej
Krwią roli!

Spojrzyj na nas, Ty, Panienko
Przeczysta!
I nad serca mego męką
Ty się zlituj, o gwiaździsta
Niebieskiego dnia jutrzenko!
Osłoń jego swoją ręką, —
Przeczysta!

PAN JEZUS CHODZI PO ŚWIECIE.

O! nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.

Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatów wianeczki zwija;
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca — i mija.

Lecz gdy sierotę napotka
W chacie zwalonej od gromu,
Natenczas zjawia się słodka
Twarz Jego na progach domu...

I boskie wyciąga dłonie,
Aby przytulić sierotę;
Niesie jej blaski i wonie,
Kwiatki niebieskie i złote.

A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy.

I w sercu nabrzmiałem łzami
Wciąż pączki wypuszcza świeże...
Jasnemi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.

A każdy kwiatuszek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia
I lśni nad czołem sieroty..
Iskrą czystego natchnienia:

Choć pójdzie drogą boleści,
Choć nie zna rodzinnej strzechy —

W swych piersiach dziedzictwo mieści
Pełne niebiańskiej pociechy.

Więc nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa po łąkach kwiatki.

CZARY.

Coś się zdawało dziewczynie,
Coś się zdawało!
Przy młynie
Godzinę całą
Patrzała, jak woda płynie,
Jak pod nią w wodnej kotlinie
Coś się pluskało!

Zdawało jej się, że w wodzie
Widzi tęczowy
Na spodzie
Gmach kryształowy,
A przed nim, w świetnym pochodzie,
W zaczarowanym, ogrodzie
Królewskie łowy,

Zdawało jej się znów dalej
Że widzi potem
Na fali,
Błyszczących złotem

Rycerzy w hełmach ze stali;
Że nawet ukłony w dali
Widzi przelotem.

O cuda! tuż przed nią klęka
Piękna jak świeża
Jutrzenka
Postać rycerza;
Wpół ją objęła dłoń miękka;
Ona się płoni — i lęka —
I niedowierza.

On szepcze miłośnie do niej:
"Z kraju piękności,
Barw, woni,
Z kraju młodości,
Z wieczystej błękitnej toni —
Przybywam z wieńcem na skroni:
Pragnę miłości!

"Jeśli masz serca choć tyle,
Żeby pierś biała
Na chwilę
Uczuciem drżała...
Porzucę skrzydła motyle
I pozostanę tu w pyle
Ludzkiego ciała.

"Lecz jeśli tylko odgadnę,
Że kształty owe
Tak ładne,
Są marmurowe;

Że serce nie drży w nich żadne:
To wtedy jak cień przepadnę
W mgły światowe!"

Dziewczyna słucha i płonie,
Coś jej się zdaje,
Że w łonie
Zwolna powstaje,
W dziewiczej wstydu osłonie,
Prawdziwa miłość: więc dłonie
Drżąca podaje.

Lecz kiedy schyla się z trwogą
Do słodkiej mary,
Pod nogą...
Byłyż to czary?
Nie widać przed nią nikogo?
A tylko przechodzi drogą
Młynarczyk stary.

Widocznie w owej godzinie
Coś się jej śniło
Przy młynie;
Skądby wziąć było
Rycerzy w wodnej kotlinie?
A może w pięknej dziewczynie
Serce nie biło?

PRZYKRO, PRZYKRO JEST DĘBOWI...

Przykro, przykro jest dębowi, gdy go robak toczy;
Ale przykrzej nie módz płakać, gdy łez pełne oczy.
Smutno biednej jest ptaszynie, gdy jej skrzydła urzną;
Ale smutniej jeszcze temu, co kocha napróżno!

Źle jest zmykać jeleniowi, gdy go zdybią w kniei;
Ale gorzej jeszcze sercu — wyrzec się nadziei...

Trudno pływać ciężkim głazom po rzecznej głębinie;
Ale trudniej nie żałować szczęścia, kiedy minie.

Ciężko, ciężko wrócić na świat, gdy się leży w grobie;
Ale ciężej, o mój miły, zapomnieć o tobie!

ZDRADZIECKIE DRZEWO.

W złą czy dobrą dolę,
Wśród szczęścia lub męki,
Chodziłem na pole,
Śpiewając piosenki.

I było lżej sercu
Wypłakać się śpiewem
Na łąki kobiercu,
Pod szumiącem drzewem.

Słuchały mnie gaje
I wtórzyły pieśni
Srebrzyste ruczaje
I ptaszkowie leśni.

I dolina cała
Z uśmiechem wesela
Zawsze mnie witała
Jako przyjaciela.

Aż przyszła dziewczyna
I pyta się drzewa:
"Dlaczego dolina
Tak dźwięczy i śpiewa?"

A na to powiada
To drzewo szumiące:
"Jest ktoś, co posiada
Serce śpiewające,

"I chodzi przez błonie
Po polach i lesie;
Serce drży mu w łonie,
Wietrzyk, piosnki niesie,"

Więc rzecze złośliwa:
"To serce mieć muszę!

Niechaj mi przygrywa,
Gdy je rączką ruszę."

I przychodzi do mnie
Układna, zdradziecka,
I prosi się skromnie
Z naiwnością dziecka:

"Nudzą mnie już zdroje,
Nudzą mnie motyle;
Daj mi serce twoje:
Zabawię się chwilę.

"Chcę tej strunie śpiewnej
Przyjrzeć się ciekawie;
Oddam ci, bądź pewny,
Skoro się zabawię.

"Proszę cię powolnie —
Widzisz mą pokorę:
Nie dasz dobrowolnie,
To gwałtem zabiorę."

Zrobiła co chciała
I ruszyła w drogę:
Pusta pierś została...
Śpiewać już nie mogę.

Więc dziwią się gaje
I ptaszkowie leśni,
Że im nie dostaje
Teraz mojej pieśni.

I ja sam się dziwię,
Myśląc z niepokojem,
O tej, co złośliwie
Igra z sercem mojem.

Choć wszystko straciłem,
Nie mam do niej gniewu;
Tylko dokuczyłem
Zdradzieckiemu drzewu, —

Drzewu, co wydało
Mój sekret dziewczynie:
Ściąłem gałąź całą...
Niechaj marnie ginie!

GDY...

Gdy zielenić gaj się zacznie
W majową pogodę,
Zaczynają się nieznacznie
Budzić serca młode.

Gdy różowe kwiecia puchy
Pokryją jabłonie,
Ktoś się skrada do dziewuchy —
A ta cała płonie.

Gdy jabłoni kwiat opada,
Kalina zakwita —

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale:
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale!

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie —
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie.

A więc, siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo;
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą.

W CHACIE...

W chacie słabo ogień błyska,
Dymiąc tli się pniaczek świeży...
Niedaleko od ogniska
Siwy dziaduś w kącie leży.

Izba taka naga, dymna,
Nędzę wkoło znać widomie;
Siwy dziaduś drży ze zimna,
Na wilgotnej leżąc słomie.

Trupia bladość swą powłoką
Pomarszczoną twarz pokrywa,

Zapadnięte skrzy się oko,
Niby świeczka dogorywa.

Śmierć z bladego patrzy czoła,
I na zdobycz swoją czyha,
I okrąża go dokoła,
I po chacie stąpa cicha.

Dwoje dzieci w nogach siadło;
Trwożnie patrzą nieruchome
Na dziadusia twarz wybladłą...
I z posłania skubią słomę.

W głowach stoi kobiecina
Jeszcze młoda, choć już zwiędła;
Zapłakana, drżąca, sina,
Nici zwija, co uprzędła.

Tłumi w sobie płacz i łkanie
I w milczeniu stoi głuchem;
Patrzy chyłkiem na posłanie
I ociera łzy fartuchem.

Chce żal ukryć — lecz nie umie,
I przed chorym łza ją zdradzi...
Dziaduś widzi i rozumie,
I tak do niej rzecz prowadzi:

— "Córuś moja! nie masz czego
Lamentować, tak przezemnie;

Lżej wam będzie bez starego:
Jadłem chleb wasz nadaremnie!

"Gdy szczęśliwych śmierć rozdziela,
To pojmuję żałość wtedy:
Ich radości i wesela
Nie zagorzkły kwasem biedy.

"Ci, nie znając gorzkiej doli,
Mogą myśleć o kochaniu
I łzy swoje lać do woli
Przy wieczystem pożegnaniu.

"Ale takim ludziom biednym
Nawet kochać się nie trzeba:
Mniej nędzarzem będzie jednym,
To dla drugich więcej chleba.

"Trza na rozum brać te rzeczy;
Jedna troska drugą spędza:
Śmierć przed głodem zabezpieczy...
A nad wszystko sroższa nędza.

"Już, bywało, od lat paru,
Nieraz gorzka myśl przeleci,
Że przysparzam wam ciężaru
I objadam wasze dzieci.

"Czasem mnie się też uwidzi,
Że się mąż twój patrzy krzywo:
Nie dziwota! — trapią Żydzi.
A zmarniało całkiem żniwo.

"Tom wyrzucał nieraz sobie,
Że po ziemi chodzę jeszcze,
Gdy już grosza nie zarobię,
Tylko, bywa, dzieci pieszczę.

"Bóg zlitował się nareszcie...
Mnie i twoim będzie lepiej...
Więc do serca tak nie bierzcie:
Niech Pan Jezus was pokrzepi!

"Kłopot tylko — pochowanie,
I wydatek dosyć znaczny;
Lecz zaradzić jestem w stanie,
Na potrzebę byłem baczny.

"Pod głowami, obok paska,
Jest skórzany mieszek stary;
W nim, prócz noża i obrazka,
Cztery srebrne są talary...

"Przewidując kłopot taki,
Nie dawałem wam na życie...
Sprawcie pogrzeb ladajaki...
Może co z nich oszczędzicie.

"Kozik niechaj Wojtuś bierze,
A obrazek mój — Jagusia.
Ach! za dziećmi żal mi szczerze...
Niechaj westchną za dziadusia!"

SŁOŃKO.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte jasne, złote;
Szło nad gajem, szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: — "Tak wesoło
"Świecisz światu, słonko moje;
"Uśmiechami sypiesz wkoło,
"Gdy ja smutny we łzach stoję.

"Obojętnie patrzysz na to
"Jak się ludzkie serca męczą...
"I nad każdą ludzką stratą
"Promienistą błyskasz tęczą."

Słonko na to: — "Biedne dziecię!
"I mnie smutno na niebiosach,
"Gdy o waszym myślę świecie
"I o ludzi ciężkich losach;

"Lecz nie mogę ustać w drodze,
"By nad każdą boleć raną:
"Więc w złocistym blasku chodzę,
"Wypełniając co kazano.

"Nie pomogą próżne żale...
"Ból swój niebu trza polecić —
"A samemu wciąż wytrwale
"Trzeba naprzód iść... i świecić!"

BAŚŃ TĘCZOWA.

F. V. Kvapilovi.

Od kolebki biegła za mną
Czarodziejska baśń tęczowa
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa.

Urodzona nad wieczorem
Z cichych gawęd mych piastunek.,
Spała ze mną, na mych ustach
Kładąc we śnie pocałunek.

I budziła się wraz ze mną,
I wraz ze mną ciągle rosła,
I z kołyski na swych skrzydłach
W jakiś dziwny świat mnie niosła...

Po nad morza purpurowe,
Po nad srebrne niosła rzeki,
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki...

Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów —
I wkroczyłem raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widm i czarów;

I zamknęły za mną wrota
Jakieś wróżki, czy boginie:
Więc na całą życia kolej
Szedłem błądzić w tej krainie —

W tej krainie, w której wszystko
Ożywioną bierze postać,
W której każdy głaz ma duszę
I człowiekiem pragnie zostać...

Złotolistym szedłem gajem,
Gdzie się wszystko skrzy i złoci,
Gdzie zakwita, skryty w cieniu,
Tajemniczy kwiat paproci.

Szedłem gajem, gdzie dokoła
Śpiewające szumią drzewa,
Gdzie młodości wiecznej źródło
Czyste wody swe rozlewa.

I witały mnie po drodze
Rozmarzone oczy kwiatów,
Co patrzyły tak wymownie
W niezmierzoną przestrzeń światów.

I witały ludzkim głosem
Różnobarwnych ptasząt chóry,
Ukazując dalszą drogę
Nad przepaści brzeg ponury.

Ja słuchałem śpiewnej wróżby
I z ożywczej piłem fali,

I w głąb dzikszej coraz puszczy
Niestrwożony — szedłem dalej.

Próżno groźne widma straszą,
Próżno kłęby gadzin syczą:
Biegłem naprzód, zapatrzony
W jakąś jasność tajemniczą.

I przebyłem czarne puszcze
I spienionych wód odmęty,
I stanąłem u stóp góry
Prostopadłe na dół ściętej.

Na jej szczycie błyszczał zamek,
Kryształowy gmach olbrzyma,
Co zaklęciem w swojej mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.

Przed zamczyskiem stoją smoki...
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną.

Swe śpiżowe jeżąc łuski,
Bronią skarbu zaklętego;
Najpiękniejszej z wszystkich dziewic
W kryształowym zamku strzegą.

Jednak, mimo czujnej straży,
Jam ją ujrzał na skał szczycie
I odgadłem, żem tu przybył,
Aby dla niej oddać życie...

Miała gwiazdę na swem czole,
Pod nogami sierp księżyca,
Błękit niebios w swoich oczach
I aniołów cudne lica;

I odrazu swem spojrzeniem
Zaszczepiła miłość w duszę:
I poznałem, że koniecznie
Do niej w górę dążyć muszę.

Więc po nagiej, gładkiej ścianie,
Zapatrzony tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.

Coraz wyżej pnąc się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...
I w zachwycie do królewny
Wyciągnąłem ręce obie.

Miałem schwycić ją w objęcia...
Gdy powojów pękły sploty —
I upadłem w głąb otchłani,
Gdzie z ran ginę i tęsknoty.

Lecz choć z serca krew upływa,
Choć w przepaści ciemnej leżę,
Jeszcze wołam: "Za nią! za nią!
Idźcie gonić, — o, rycerze!"

"Idźcie piąć się w górę, w górę,
Po nad ciemnych skał krawędzie:

Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiędzie.

"Choć nie dojdzie — chociaż padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza cząstka życia
W takiej walce i pogoni.

"Warto choćby widzieć zdala
Ów zaklęty gmach z kryształu;
Warto, płacąc krwią i bólem,
Wejść w krainę ideału.

"Gdyby przyszło mi na nowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi,
Za tą piękną na błękicie!"

LEGENDA PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

Ja ją kochałem — tak mi się zdaje —
Bo cudną była w szesnastej wiośnie;
Umiała patrzeć na mnie miłośnie
I rwać mi serce w nadziemskie kraje:
A więc w jej oczach, pełnych tęsknoty,
Tonąłem wzrokiem i tak na jawie
Śniłem o różach, które ciekawie
Ponad jej włosów wybiegły sploty, —

Tak, że je zrywać ustami chciałem,
I byłbym przysiągł, że ją kochałem!

Ja ją kochałem, — ach! jestem pewny! —
Bom często błądził w noc księżycową,
Przypominając mojej królewny
Każde spojrzenie i każde słowo;
A w gwiazdy patrząc wpół nieprzytomnie,
Widziałem usta zwrócone do mnie,
Że aż mnie brała wielka pokusa
W wonne powietrze rzucić całusa...
Lecz się obrazić skromnej lękałem,
I dość mi było, że ją kochałem...

Miłość to była, lecz taka cicha,
Że sam przed sobą bałem się zdradzić,
I tylko kwiatków szedłem się radzić:
Czemu dziś smutna? i czemu wzdycha?
Ale o serca jej tajemnicę
Nie chciałem nawet lilii zapytać;
A gdy w ogrodu weszła ulicę,
Stałem nie śmiejąc wzrokiem ją witać
I tylko do nóg upaść jej chciałem,
Kiedy w jej oczach łezki dojrzałem...

Bo przypuszczałem, że smutek rzewny,
Rozlany na jej anielskiej twarzy,
Wypłynął z serca i siadł na straży...
Tak przeczuwałem, nie będąc pewny,
I sam już nie wiem jak się to stało,
Że zapytałem drżący, nieśmiało:
Co jest jej smutku dziwną przyczyną

I czemu łezki po twarzy płyną:
Na to odrzekła smutnemi słowy,
Że nie ma świeżej sukni balowej...

Chociaż wyrazy te obojętne
Upadły szronem, co serce ziębi,
Ale jej oczy mówiły smętne,
Że się myśl inna kryje gdzieś głębiej:
Więc pomyślałem, żem był za śmiały,
I chcąc złagodzić moją zuchwałość,
Balowej sukni chwaliłem białość,
W którą się stroi krzak róży białej;
Chwaliłem ciernie, które jej bronią
Przed zbyt ciekawych natrętną dłonią.

Jednak już potem częściej myśl płocha
Trącała skrzydłem w błękit mych marzeń
I z różnych rozmów, sprzeczek i zdarzeń
Stawiałem wnioski: kocha? nie kocha?
I z tem pytaniem, jak Hamlet nowy,
Chodziłem długo w ranek majowy;
A kwiaty wonią, drzewa szelestem
Odpowiadały: kocham i jestem!
Nim powtórzyłem setne pytanie,
Wybiegła wołać mnie na śniadanie.

Różowa ze snu, w słońcu przejrzysta,
Stała przede mną jasna i czysta,
Zamiast brylantów na złote włosy
Jaśminy kładły kropelki rosy...
I tak oblana światła potokiem
Jeszcze mnie swoim paliła wzrokiem;

A ja, zmieszany, mówiłem do niej
O drzew szeleście i kwiatów woni —
Lecz ją nudziła moja rozprawa,
Bo rzekła: "Chodź pan, wystygnie kawa."

Oj! oj! figlarko — myślałem z cicha, —
Nie chcesz mnie słuchać na głos i w oczy,
Za to twój uśmiech mówi uroczy,
I pierś, co mocniej teraz oddycha,
Nie chcesz mnie słuchać, bo w serca drżeniu
Czujesz, że staniesz cała w płomieniu,
Gdy ci wypowiem z schyloną twarzą
Słowa, co w ustach moich się ważą...
Wtem ona, widząc, żem zadumany,
Rzecze: "Pan jesteś dziś niewyspany..."

I tak mię nieraz mała psotnica
Zbijała z toru krótkiemi słowy.
Jam się w anielskie wpatrywał lica,
I w usta pełne niemej wymowy,
A serca mego tamując bicie,
Czułem, że nic nas już nie przedziela,
Że toniem razem w marzeń błękicie...
Lecz gdy się tylko spojrzałem tkliwiej,
Pytała: "Czemu pan się tak krzywi?"

Raz, ach! powziąłem myśl dosyć śmiałą,
Ukraść jej z album karteczkę białą
I na niej wszystko wypisać szczerze,
Co mnie ochota powiedzieć bierze:
A więc ubrałem w urocze farby
Całą jej postać czystą, powiewną.

I wysypałem końcówek skarby,
By miłość moją uczynić śpiewną —
Słowem, jak młody poeta liryk,
Wpisałem wierszem jej panegiryk.

Gdy to odkryła, chciałem uciekać;
Ale przemogła trwogę ciekawość, —
I już wolałem przy niej zaczekać,
Śledząc na twarzy wrażeń jaskrawość.
Ona czytała uważnie, zwolna,
Głębokich wzruszeń ukryć nie zdolna,
A gdy zdumienie minęło pierwsze,
Rzekła: "Pan także pisuje wiersze?
Szkoda, że kartkę odjąć wypadnie,
Bo pan tak pisze krzywo, nieładnie!"

Zrazu to nieco mnie zabolało,
Że mnie tak zbyła lekko, złośliwie;
Ale myślałem: Ja się nie dziwię.
Że moje wiersze ceni tak mało.
Ona! to jeden poemat cały,
A moje wiersze pełne wyrazów
Pustych w jej oczów blasku stopniały...
Nie umiem oddać tego, co roję:
Ona piękniejsza niż wiersze moje!

I coraz bardziej i coraz więcej,
O jej prostocie myśląc dziecięcej,
Pytałem siebie: czy jestem godny
Takiej miłości czystej, łagodnej?
Lecz czułem tylko, że byłbym dla niej
Gotów me życie poświęcić w dani;

I byłbym rzucił wszystko — gdy trzeba,
I poszedł za nią prosto do nieba,
I bymbym poszedł za nią do piekła...
Gdyby — nie była z drugim uciekła.

SERENADA.

Patrz! oto wiosna znów
Najsłodsze niesie ci tchnienia
I czoło twoje ocienia
Wieńcem kwitnących bzów,
Czy czujesz w niemym zachwycie
Wdzięk nowy i nowe życie?
O, luba, mów!

Czy czujesz dziwne pragnienia,
Ożywczy powiew płomienia,
Urok niebieskich snów?
Czy czujesz tę woń w błękicie,
Co serca przyśpiesza bicie?
O, luba mów!

Słyszysz miłości śpiew?
Słyszysz jak wietrzyk szeleści,
Kwiaty całuje i pieści,
Igrając pośród drzew?
Słyszysz, w tej cichej godzinie
Harmonią, co w serca płynie
Z nadziemskich stref?

I kojąc ludzkie boleści,
Przynosi w sennej powieści
Najtkliwszych uczuć siew?
Słyszysz jak, skryty w jaśminie,
Słowik wygłasza jedynie
Miłości śpiew?

Czy widzisz światła rzut,
Który w błękitów przestrzeni
Wśród nocy niebo rumieni,
Zwiastując słońca wschód?
Czy widzisz? widzisz — tam w dali
Jak księżyc igra na fali
Spokojnych wód?

Czy widzisz w blasku promieni,
W grze świateł i lekkich cieni,
Wiecznej piękności cud?
Czy serca twego nie pali
Płynący w wianku korali
Jutrzenki wschód?

Jeżeli w sercu twem
To wszystko słyszysz i czujesz,
Jeżeli rozkosz zgadujesz,
Co świat ożywia tchem;
Jeśli twe usta różane
Gonią, pragnieniem owiane,
Za jakim snem;

Jeśli się w niebo wpatrujesz,
I wonne kwiaty całujesz,

Z wzruszeniem walcząc swem:
Zejdź do mnie, dziewczę kochane,
Kończyć marzenia wiośniane —
Na sercu mem!

PRZEBUDZONA.

Słonko majowe
Ze snu już wstaje,
We mgłach różowe
Wyzłaca gaje,
Przez chmur koronkę
Patrzy ciekawie;
Biegnie przez łąkę
Kąpać się w stawie;
Promyki drżące
Po drzewach wiesza
I budzić śpiące
Kwiatki pośpiesza;
Ukradkiem, z cicha
Pączki rozwija
I w lot z kielicha
Rosę wypija.

O ileż blasku!
Jakże uroczo
W poblizkim lasku
Ptaszki szczebiocą!
A z tego drzewa,

Co pod oknami,
Słowiczek śpiewa
Pieśń nad pieśniami.
Piosenka płynie
Dalekiem echem;
Chaty w dolinie
Wtórzą jej śmiechem...
Wszystko budzi się,
Do zajęć wraca;
Ożywia ludzi
Radość i praca.

I w sercu mojem
Coś się zbudziło:
Drży niepokojem
Dziwnie a miło;
Jakieś zachcenia
Nowe, nieznane,
Najsłodsze brzmienia.
Blaski różane, —
W serce się leją
I pierś podnoszą
Niby nadzieją,
Niby rozkoszą...
I coś mnie drażni,
Czegoś wyglądam...
Lecz najwyraźniej
Nie wiem, co żądam.

Chciałabym zrzucić
Postać dziewczyny,
Lecieć i nucić

Jako ptaszyny;
Po brzóz zwieszonych
Gałązkach pląsać,
Z listków zielonych
Rosę otrząsać;
W przelocie, szybko
Muskać strumienie
I srebrnym rybkom
Nieść pozdrowienie;
I ponad pola
I ponad laski
Lecieć, gdzie wola,
W różowe blaski, —
Coraz ku górze,
Wyżej i dalej, —
Tonąć w lazurze,
W powietrznej fali...

Chciałabym potem
Zakwitnąć różą,
Pod drzew namiotem
Pachnącą, dużą,
Strojną w szkarłaty
I wdzięk niezwykły, —
By wszystkie kwiaty
Gasły i nikły,
By słowik mały,
Skryty w gęstwinie,
Moje pochwały
Śpiewał jedynie.

Znaleźć-bym rada
Ów pierścień złoty,

Co-to posiada
Dziwne przymioty
I w nadzwyczajne
Kształty nas zmienia,
I wszystkie tajne
Spełnia życzenia.

Ale goręcej
Jeszcze-bym chciała
Znaleźć coś więcej...
Niby człowieka,
Niby anioła,
Co mnie zdaleka
W snach moich woła.
Chciałabym jego
Znaleźć przy boku
Zapatrzonego
Z miłością w wzroku;
Rączki serdecznie
Podać mu obie
I mieć go wiecznie,
Wiecznie przy sobie...
Chodzić i gwarzyć
Wśród drzew warkoczy
I słodko marzyć,
Patrząc się w oczy...
I całą jasność
I piękność ziemi
Zabrać na własność
Sercami swemi,
I skryć w błękicie
Wszystko radosne...

I całe życie
Zamienić w wiosnę.

RÓŻOWA CHWILKA.

Pięknym jest ten gaj,
Piękną jezior toń,
Pięknym świeży maj,
Co roznosi woń;

Piękny jasny dzień,
Co blask złoty śle,
Pięknym nocy cień
Na błękitów tle;

Piękny cały świat,
Piękny wzdłuż i wszerz;
Piękny każdy kwiat,
Każdy ptak i zwierz;

Piękny słońca wschód
I rumieniec zórz:
Świat, jak jeden cud,
Piękny wszerz i wzdłuż!

Szczęście, rozkosz tu,
Szczęście, rozkosz tam!
Piersiom braknie tchu
Czerpać zachwyt sam.

Rozkosz płynie w dal,
Rozkosz płynie w krąg,
Płynie z szumem fal,
Płynie z wonią łąk;

Płynie z dolin, z gór,
Z lasów, wsi i miast,
Z błękitów i chmur,
Ze słońca i gwiazd.

Słodko szumi las,
Słodką nuci pieśń,
Słodko patrzy głaz
Przez jedwabną pleśń.

Drzewa szczęściem drżą,
Drży ich każdy liść:
Drzewa tańczyć chcą,
Chcą powstać i iść.

Zatacza się buk
I cieszy się w głos;
Brzozy aż do nóg
Rozpuszczają włos.

Nawet stary dąb
Przystrojny w bluszcz
Chce się sunąć w głąb
Swawolących puszcz.

Ptaszki nucą tu,
Ptaszki nucą tam:

Brak mi w piersiach tchu —
Śpiew ich w sercu mam.

Słychać z poza drzew,
W jaśminie i bzie,
Słychać ciągle śpiew:
"Ona kocha cię."

"Kocha" — puszcze staw,
"Kocha" — szemrze zdrój,
"Kocha" — brzęczy z traw
Złotych muszek rój.

"Kocha" — słówkiem tem
Ziemia wokoło brzmi —
"Kocha" — wiem już, wiem!
Sama rzekła mi.

Muszę wierzyć jej,
Bo mi rzekła: Wierz!
Słońce, ty się śmiej!
Ziemio, ty się ciesz!

Róży imię ma,
Różą jest jej twarz;
Kiedy rączkę da,
Różę w sercu masz.

Nie wiem jak się stał
Cud niebieski ten;
Jednak to nie szał, —
Prawda? — to nie sen!

"Kocham" — rzekła w głos,
Płonąc jako świt;
Z ócz jej krople ros
Biegły gasić wstyd.

"Kocham" — szepnie znów —
A tuż za nią w ślad
Oddźwiękiem tych słów
Zabrzmi cały świat.

"Kocham" — śpiewa bór,
"Kocham" — woła głaz,
"Kocham" — echo gór
Odpowiada wraz.

"Kocham" — słówko to
Śle tysiące brzmień
I tęczową mgłą
Barwi jasny dzień;

W słońcu blasku drży,
Lecąc w światów toń;
Dźwięczy, lśni się, skrzy
I roznosi woń;

Na błękitów tle
Płonie ogniem zórz
I w powietrze śle
Słodki zapach róż.

I zakwita wschód
Jak różowy kwiat:

Świat jak jeden cud, —
Piękny, boski świat!

WĄTPLIWOŚCI.

Strumień mówi: "Nie rozumiem na co
"Muszę wiecznie z gór w doliny płynąć?
"Mój ruch ciągły próżną tylko pracą,
"Kiedy w morzu mam bez śladu ginąć..."
Na to kwiaty w dolinie rosnące:
"Ty się nie skarż, — o, dobry strumieniu! —
"Twoje wody sączą życie łące,
"Są niezbędne naszemu istnieniu."

Kwiaty mówią: "Dziwne nasze losy!
"Poco wonie rozsiewać z kielicha?
"Poco błyszczeć kropelkami rosy?
"Gdy z nas każdy tak szybko usycha.
Na to dziewczę: "Dola wasza, kwiaty,
"Jest podziwu godną i zazdrości:
"Waszym wdziękiem ożywiacie światy,
"Sercom ludzkim niosąc woń piękności."

Dziewczę mówi: "Na co mi uroda?
"Na co w sercu słodkich wzruszeń tyle?
"Szkoda marzeń serdecznych, ach, szkoda!
"Wszystko zniknie jako sen, za chwilę."
Na to młodzian: "Szczęścia nikt nie mierzył

"Dnia długością, lecz tem, co mu dano:
"Bóg ci skarby uczucia powierzył,
"Byś kochała i była kochaną."

Młodzian mówi: "Ach, w tym życia boju,
"Co wre ciągle przede mną i we mnie,
"Próżno szukam szczęścia i spokoju!
"Poco żyję, gdy walczę daremnie?"
Na to usta dziewczęcia milczały,
Lecz rączkami oplotła mu szyję...
Wątpliwośći jako śnieg stopniały —
I nie pytał więcej: poco żyje?

ODPOCZYWA.

I.

Odpoczywa, złożył skronie
Na jedwabnych mchach;
Na pościeli miękkiej tonie
W nieprzerwanych snach.

W leśnej ciszy odpoczywa
Pośród wonnych tchnień.
Paproć włosy mu pokrywa...
W koło chłód i cień.

Czarne świerki go kołyszą,
Szepcąc tęskny śpiew,

A motyle złote wiszą
Na gałązkach drzew.

Na ramionach mu zielony
Rozpostarł się bluszcz...
I gwar ptasząt przytłumiony
Dolatuje z puszcz.

II.

Noc zapada, z ziemi wstają
Zwolna srebrne mgły;
Szare płaszcze zarzucają
Na wilgotne mchy.

Mkną i płyną, jak jeziora
Zalewają las.
W lesie straszno — duchów pora:
A on śpi jak głaz.

Księżyc przedarł swe promienie
Przez zielony dach
I przetopił mgły i cienie
W brylantowych skrach.

Odmieniają kształty drzewa
Wśród tych światła fal...
Po wierzchołkach wicher śpiewa
Dzikiej pieśni żal.

III.

Nad perłową mgławisk falą
Błędne światła drżą;
Mgły się kłębią i kryształą, —
Lżejsze w górę mkną,

Przybierają postać bladą
Eterycznych ciał;
Wstają, lecą — znów się kładą,
Gdy je wietrzyk zwiał.

Przeźroczyste srebrne mary
Napełniają bór,
Cicho płyną przez moczary
Jak girlandy chmur.

W księżycowym drżącym blasku
Mglistych dziewic splot
Ponad mgłami wszczyna w lasku
Fantastyczny lot

I zatacza lekkie kręgi
Pląsających dziew,
I rozwija jasne wstęgi
Pośród czarnych drzew.

Pląsa, leci wietrzna rzesza,
Nad gęstwiną mknie...
Pod świerkami się rozwiesza,
Gdzie spoczywa w śnie.

IV.

Posplatane, dłoń za dłonią,
Jak za cieniem cień,
Wciąż się wietrzą, pędzą, gonią
Wśród falistych drżeń.

Wiotkie kształty i kibicie
Rozkołysał bieg:
To nad ziemią, to w błękicie
Srebrny znaczą ścieg;

To spadają gwiazd kaskadą,
To się łamią w łuk
To się topią w jasność bladą
Pośród mlecznych dróg.

Uniesione w ciągłym wirze
W tańca dziki szał,
Tworzą wieńce, wstęgi, krzyże
Z eterycznych ciał.

Fosforyczne biją blaski,
Oczy ogniem skrzą,
Z pod tęczowych szarf przepaski
Żywiej łona drżą:

Aż zmęczone szybkim lotem
Rozpuszczają włos,
Pod zielonym drzew namiotem
Piją krople ros;

I z konwalii dzwonków śnieżnych
Wysysają miód,
I w postawach nimf lubieżnych
Nocny piją chłód.

V.

Po nad świerków ciemne szczyty
Księżyc w górę wstał
I oświecił parów skryty,
Gdzie młodzieniec spał.

Zobaczyły tanecznice
Pod arkadą drzew
Uśpionego blade lice
I na sukniach krew:

Więc zlatują z lekka, z cicha,
Koło niego tuż;
Patrzą bliżej — nie oddycha,
Serce nie drży już!

W półotwartych oczach zgasnął
Wszelki życia ślad:
I poznały, że nie zasnął,
Lecz, że w boju padł.

Jak kochanki nad kochankiem
Duże leją łzy,
Skroń mu wieńczą kwiatów wiankiem
I pierś myją z krwi...

Pieszczotami senność wieczną
Chcą mu z czoła zdjąć, —
Bytu trwałość nadpowietrzną
Chcą mu w piersi tchnąć...

VI

Wicher jęczy, zgina drzewa...
Szumi cały bór;
Nad umarłym rzewnie śpiewa
Mglistych dziewic chór:

"Powstań, powstań! zimny bracie,
Twardy sen twój rzuć!
W eterycznej duchów szacie
Znów na ziemię wróć!

"Kształtów życia ci pożyczy
Księżycowy świt;
We mgle duchów tajemniczej
Będziesz nowu kwitł.

"Ciało da ci promień, drżący
Na powierzchni fal,
I cień chmurki pierzchającej
W nieskończoną dal...

"Uprzytomni się w naturze
Współczujący duch,
W harmonijnym istnień chórze
Wejdzie w wieczny ruch.

"Będziesz wszystkiem, będziesz niczem
W wszechświatowym śnie:
Zestawieniem mgieł zwodniczem
Na błękitów tle.

"Kroplą rosy, trawy listkiem,
Światłem nocnych zórz —
Będziesz niczem, będziesz wszystkiem
W oceanie dusz.

"Będziesz, ludziom niewidzialny,
Trącać skrzydłem świat
I z krainy idealnej
Wonny rzucać kwiat.

"Z szumem wiatru, z liści drżeniem,
Czystem światłem lśniąc,
Będziesz poił serca tchnieniem
Zaświatowych żądz.

"Więc cię pozna i dostrzeże
Sercem swojem lud,
I pieśń gminna cię ubierze
W wdzięczny podań cud.

"Twe nieznane poświęcenia
I ofiarny zgon
Przejdą w dalsze pokolenia
Na przyszłości plon.

"Co noc wstaniesz czysty, świeży
I z legendy rąk

Weźmiesz złoty miecz rycerzy
I światłości krąg.

"Co noc płynąć będziesz z nami
W szafirową toń
I nad ziemią, nad kwiatami
Spijać czystą woń."

VII.

Na głos pieśni, wstrząsającej
Niemą grobu straż,
Zadrżał lekko młodzian śpiący
I odwrócił twarz.

Z jego piersi koralowy
Znowu prążek ściekł...
Rzucił wkoło wzrok surowy
I z westchnieniem rzekł:

"Kto mnie budzi, kto mnie woła?
Poco na świat zwie?
Czyż mi jeszcze zwrócić zdoła
Jasne życia dnie?

"Czy mi odda rozkwit ciała,
Świeżych zmysłów wdzięk,
Rozkosz, co je nastrajała
W harmonijny dźwięk?

"Grób nie odda mi jutrzenki
Życiodajnych sił,

Bo z zazdrosnej śmierci ręki
Wraca tylko pył!

"Mamże jeszcze marnym cieniem
Na mogile stać?
Fosforycznym lśniąc płomieniem,
Przeszłą męką trwać?

"Co noc boleść swą odświeżyć,
Wskrzesić wspomnień moc
I pozorem życia przeżyć
Nieskończoną noc?

"Mamże znów nawiązać krwawą
Rozerwaną nić?
Wrócić z bólem i niesławą,
Nie mogąc się mścić?

"Między żywych pójść ukradkiem
Jedną z próżnych mar, —
I pozostać zbrodni świadkiem
A wspólnikiem kar?

"Nie chcę bytu mglistej szaty
Na ramiona kłaść,
I przeszłości zwiędłe kwiaty
Nie chcę śmierci kraść!

"Nie chcę wieńczyć się łańcuchem,
Nie chcę stroić w pleśń,

Ani na świat wracać duchem,
Nucąc grobów pieśń.

"A i z wami, blade cienie,
Nie chcę w nocnej mgle
Księżycowe ssać promienie
Na błękitów tle.

"Chcę pozostać zimny, czysty,
Na posłaniu mchów,
I spoczynek mieć wieczysty
Nieprzerwanych snów.

"Niech natury wieczna praca
Wznawia dalszy byt;
Niech proch w koło istnień wraca
Witać nowy świt,

"Niech po świecie się rozproszy
Tysiącami tchnień,
Niech odżyje tchem rozkoszy
W jasny życia dzień!

"Lecz ja spocząć chcę na wieki...
Od duchów i ciał
Równie obcy i daleki —
Będę cicho spał."

VIII.

Księżyc zaszedł w ciemne chmury,
Ukrył srebrny blask;

W lesie słychać śmiech ponury,
Nocnych ptaków wrzask.

A na nocy czarnej szacie
Znikły światła mdłe,
Rozpłynęły się postacie
W lekką, siną mgłę.

I pozostał sam w ciemności
Skryty w lasu głąb,
A na straży snu cichości
Stoi świerków klomb.

Serca jego już nie nęka
Echo ziemskich burz,
I nie zbudzi go jutrzenka, —
Bo spoczywa już!

RADA.

Utraciłeś, mówisz, spokój
I moralną równowagę
Dla dziewczęcia pięknych oczu;
Biedny chłopcze, miej odwagę!
Sam najlepiej zawyrokuj:
Czy to warto żyć spokojnie?
W mglistych, czystych snów przeźroczu
Kąpać duszę bogobojnie?

Nigdy czoła nie zachmurzyć
I niedoznać serca bicia?
Żyć bez szaleństw, pragnień, wzruszeń
Pozorami mdłego życia?
Lepiej, że się zacznie burzyć
Niepokojem pierś twa młoda:
Tęcza tęsknot, żądz, pokuszeń
Nowych blasków tobie doda!

Na twe troski znajdziesz radę,
Tylko śmiało patrz jej w oczy,
Niech ten płomień, co z nich bucha,
Falą ognia cię otoczy;
A gdy w wzroku dojrzysz zdradę,
Gdy tęsknota wzrośnie w łonie,
Chcąc odzyskać spokój ducha —
Weź i ściśnij drobne dłonie!

Jeśli za to się obruszy
I gdy twarz jej, dotąd biała,
Opromieni się różowo
I gdy pierś jej będzie drżała —
Wtedy ratuj spokój duszy!
Uratujesz, jak Bóg w niebie,
Gdy wymówisz słodkie słowo:
— O, najdroższa! kocham ciebie!...

Jednak, jednak być to może,
Że ucieknie zapłoniona...
Na ucieczkę ty nie zważaj,
Bo powróci jeszcze ona!
Że powróci — głowę łożę:

Więc ty tylko bądź wytrwały;
Pierwszą próbą się nie zrażaj —
Bądź namiętny, tkliwy, śmiały.

I choć będziesz cierpiał, marzył,
Choć sić ogniem pierś zapali,
Spokojności, ach! nie żałuj,
Lecz się jeszcze posuń dalej.
Gdy się będziesz przed nią skarżył,
A ta śmiać się będzie pusta...
Weź za rączkę i pocałuj.
Lecz pocałuj — w same usta!...

W NOC CZERWCOWĄ.

Ciepła, jasna noc czerwcowa
Woń duszącą kwiatów śle;
Rozmarzony świat się chowa
W księżycowej, srebrnej mgle.

Przy kwitnącej siedząc lipie,
Białych chmurek śledzę bieg...
Wietrzyk z góry na mnie sypie
Kwiatów śnieg.

Zwolna głowa na pierś spada
I zachodzi cieniem wzrok;
Rzeczywistość spływa blada
W poplątanych widzeń mrok.

Czyli czuwam, śnię lub marzę?
Nie poznaję dobrze sam...
Jakieś światy, jakieś twarze
W oczach mam.

W piersiach dawnych wzruszeń dreszcze,
Dawne burze w sercu wrą...
Nie wiem, co jest prawdą jeszcze,
A co sennych marzeń grą?

Czy musnęła czoło drżąca
Pieszczotliwa, miękka dłoń?
Czy to nocny motyl trąca
Moją skroń?

Czy to przeszłość wstaje żywa?
Znanych głosów słodki chór
Smutną skargą mnie przyzywa?
Czy to w dali szumi bór?

Czy to w liściach twarz widziadła?
Czy księżyca promień drży?
Czy to rosa nagle spadła?..
Czy też łzy?

DZIEŃ I NOC.

Dzień ma swój uśmiech ponętny,
Błyszczącą weselem postać
I ogień życia namiętny:

Więc chciałem przy nim pozostać...
Ale z kolei na straży
Stoi noc pełna zazdrości,
Zdejmuje wesołość z twarzy —
I uśmiech ginie w ciemności...

Noc ma swój smutek niebieski,
Tęsknotę pragnień serdeczną,
Rozsiewa po kwiatach łezki:
Więc chciałem zrobić ją wieczną;
Lecz znowu jasność paląca
Burzy gmach nocnych bławatów,
Urocze widma roztrąca
I rosę wypija z kwiatów.

Ty masz dnia jasne oblicze,
Wdzięk nocy, co duszę pieści;
Twoje spojrzenie dziewicze,
Łzy razem i uśmiech mieści:
Chcąc zgodzić pragnienia sprzeczne,
Na żadną nie trafić zmianę,
Przy tobie na czasy wieczne, —
Przy tobie, luba, zostanę!

NAWRÓCENIE.

Gdy miała szesnaście latek,
Była, ach! bardzo sceptyczną:
Nie chciała wierzyć, gdym mówił,
Że jest prześliczną!

Wątpiła o swej urodzie,
W uczucie wierzyć nie chciała;
Kiedym jej miłość wyznawał.
    Tylko się śmiała!

Lecz dzisiaj, po latach wielu,
Wiara w jej serce wstąpiła —
I nawrócona zupełnie,
    Żałuje, że wprzód wątpiła
Ufna w potęgę miłości,
Wspomnienia pragnie odświeżyć,
Wierzy, że jeszcze ją kocham;
    Lecz ja — przestałem już wierzyć...

POWRÓT PIOSENKI.

Piosnka, którą ukochana
Zwykła była mi nucić,
Piosnka dawno zapomniana
Przyszła sen mój zakłócić.
Jej melodya staroświecka,
Zapomniana oddawna,
Miała w sobie uśmiech dziecka
A w łzę była oprawna.

Skąd się wzięła dziś na nowo
W sercu mojem? któż zgadnie?
Ale słyszę ton i słowo,
Co mi dźwięczy tak ładnie.

Jeśli piosnki jak skowronki
Odlatują z jesienią,
A wracają znów na łąki,
Gdy się z wiosną zielenią —

To piosenki tej przybycie
I jej tchnienie miłosne
Może wrócić nowe życie,
Przebudzenie i wiosnę.

Jeśli piosnki są, ach! tylko
Własnym cieniem człowieka,
Co, tak duży ranną chwilką,
Z biegiem słońca ucieka.

A do dawnej wraca miary,
Kiedy słońce już nizko —
To ten powrót piosnki starej
Może wróżyć noc blizką.

Kwiaty.

NIEZABUDKI KWIECIE.

Niezabudki wdzięczne kwiecie
Ona dała mi,
Gdym anielskie żegnał dziecię,
Ciche tłumiąc łzy,

I mówiła, kryjąc twarz:
— "Luby! wrócisz przecie?
"Ja cię czekam... wtedy dasz
"Niezabudki kwiecie.

"Wszak mówiłeś, że me oczy
"Jasne jak ten kwiat,
"Gdy się po nich łezka toczy
"W dziwny marzeń świat;
"Mego życia rajski sen,
"Wziąłeś sen uroczy:
"Bierz więc łzawy kwiatek ten,
"Pomnij na me oczy.

"Kiedy smutek cię przemoże,
"Gdy cię złamie ból —
"Porzuć góry, porzuć morze,
"Wracaj do tych pól,
"Ja, jak teraz, moją skroń
"Na twych piersiach złożę:
"Mej miłości czysta toń
"Głębsza niźli morze.

"Gdybyś długo błądził w świecie
"I po przejściu burz
"Znalazł dziś ci miłe dziecię
"W cichym grobie już —
"Idź — o, luby, — na mój grób
"W noc miesięczną w lecie,
"Wrzuć, spełniając dawny ślub,
"Niezabudki kwiecie."

Odjechałem. Dnie mijały,
Nadszedł smutku dzień;
Wszystkie moje ideały
Pierzchły jako cień:
Jeden tylko wierny mi
Został kwiatek mały,
A z nim pamięć lepszych dni,
Senne ideały.

Życie lało gorzkie męty
W kielich duszy mej,
A ja szedłem uśmiechnięty,
Bo wierzyłem jej!
Dwoje oczu, gwiazdek dwie,
Jak talizman święty
Prowadziło w przyszłość mnie —
Szedłem uśmiechnięty.

I ostatnie blaski złote
Snuła życia łódź...
Gdym w niebieską wstąpił grotę,
Echo rzekło: wróć!
Więc rzuciłem wzrokiem w dal,
Opuściłem grotę,
I wędrując pośród fal,
Snułem blaski złote.

Raz, ach! śniłem sen proroczy,
Że ją widzę tuż;
Ma zamknięte martwo oczy,
Wieniec z białych róż,
Drżąca rączka trzyma w krzyż,

Kwiaty wśród warkoczy:
Więc spytałem: "Czemu drżysz
I zamykasz oczy?"

Nic nie rzekła, lecz z westchnieniem
Stopniała we mgle...
Jam się zbudził z przerażeniem,
I wróżyłem źle;
Ach, myślałem, ona to
Przyszła marnym cieniem,
Osłonięta grobu mgłą,
Żegnać mnie westchnieniem.

Nigdy jej nie ujrzę zatem!..
I ostatnia nić,
Co wiązała mnie ze światem,
Pękła... mamże żyć?..
Pójdę tylko na jej grób
W noc miesięczną latem
I wypełnię dawny ślub,
Co mnie wiąże z światem.

Popędziłem jak szalony;
Serce łamał ból...
Gdym się zbliżał w znane strony,
Do rodzinnych pól —
Nad strumieniem, gdzie mi kwiat
Dała łzą zroszony,
Powitałem wspomnień świat,
Biegnąc jak szalony.

Aż wtem nagle widzę dwoje
Nad zwierciadłem wód,

Jak zrywają kwiaty moje,
Kwiaty drogie wprzód;
Dziewczę skryło swoją twarz
W jego płaszcza zwoje, —
I widziałem, Boże skarz,
Ich w uścisku dwoje!

Jak statua Laokona
Stoję słupem wciąż;
A myśl dziwna, że to ona,
Kąsa mnie jak wąż...
Aż nareszcie, Boże skarz,
Odchylił ramiona —
Odwróciła swoją twarz:
Ach!... to była ona!

Wkrótce potem — ha, co chcecie! —
Kiedy zamąż szła,
Prowadziłem rajskie dziecię
Do kościoła... Ha!
Tylko na pamięci znak,
W noc miesięczną w lecie,
Na weselu wpiąłem w frak
Niezabudki kwiecie.

Tak się skończył sen milutki
I ostatnia nić...
Zwiędły kwiatek niezabudki
Przestał w sercu żyć;
Powróciłem w ciemne mgły,

Unosząc swe smutki, —
I nie wierzę dziś już w sny,
Ani w niezabudki!

BŁAWATEK.

Jaki to chłopiec niedobry!
Tak mnie wciąż zbywa niegrzecznie;
Muszę się gniewać na niego —
Gniewać koniecznie.

Niedawno wyrwał mi z ręki
Zerwany w polu bławatek
I przypiął sobie do piersi —
Skradziony kwiatek.

I jeszcze żartował ze mnie,
Gdym się żaliła na psotę,
Bo mówił, że ma coś więcej
Ukraść ochotę.

Że oczy moje piękniejsze
Niźli ten kwiatek niebieski,
Że chce pić rosę z bławatków,
A z oczów łezki.

I mówił dalej, niegrzeczny,
Że mnie rodzicom ukradnie:

Tak straszyć kogo, doprawdy,
Że to nieładnie.

Chciałabym gniewać się bardzo!
Nie widzieć więcej... ach, trudno!
Wiem, że mnie samej bez niego
Byłoby nudno.

Ale go muszę ukarać;
Podstępu na to użyje:
Będę umyślnie płakała —
Niech łezki pije!

STOKROTKI.

I.

Jakże żałuję tej szczęśliwej pory,
Kiedy stokrotki, kwiatek pospolity,
Zdał mi się w cudne ubranym kolory
I budził w sercu dziecinne zachwyty.

I kiedy długie majowe wieczory
Spędzałem, patrząc w jasnych ócz błękity,
Cichego szczęścia pełen i pokory,
Bijący sercem, a nigdy nie syty.

A choć to było kwiecie takie skromne,
Nigdym się z prawdą marzeń nie rachował,
Bom miał rozkoszą serce nieprzytomne, —

I kiedym usta różane całował,
Tom nic nie pragnął i nic nie żałował —
I dziś drżę jeszcze, gdy tę chwilę wspomnę...

II.

Później, ach, wiele kwiatów egzotycznych
Widziałem, pełnych piękności i woni;
Dużo heroin znałem poetycznych,
Niosących uśmiech, łzy i serca w dłoni...

A przecież żaden z tych kwiatów rozlicznych
Wspomnieniem szczęścia mnie teraz nie goni
I z tych postaci wzniosłych, eterycznych
Od melancholii żadna mnie nie broni!

Bom się nie spotkał już z tem upojeniem,
Co jedno drogę do szczęścia otwiera,
Bez względu czy jest prawdą, czy złudzeniem;

Bez niego serce powoli zamiera,
I z ideałów blade maski zdziera
I żegna zwiędłe stokrotki — westchnieniem.

RÓŻA.

Ach ta róża! ach ta róża
Co się w twoje okno wdziera,
Na pokusy mnie wystawia,
Sen i spokój mi odbiera...

Wciąż z zazdrością myślę o niej,
Choć jej nie śmiem dotknąć ręką.
Bo mnie gniewa, że bezkarnie
Patrzy nocą w twe okienko.

Radbym nieraz rzucić wzrokiem,
Błądząc w wieczór po ogrodzie,
Radbym dojrzeć.. ale zawsze
Stoi róża na przeszkodzie!

Ona winna! ona winna!
Że ciekawość moją drażni,
Bo gdzie sięgać wzrok nie może —
Sięga siła wyobraźni.

Odtwarzając piękność twoją
Coraz bardziej tracę głowę;
Zamiast pączków, zawsze widzę
Twe usteczka karminowe.

A gdy jeszcze wonne kwiaty
Poosrebrza blask księżyca,
Wtedy, wtedy w każdej róży
Widzę tylko twoje lica.

A myśl coraz dalej biegnie
I wypełnia postać cudną,
I odsłania wszystkie wdzięki...
Bo fantazyą wstrzymać trudno.

Widzę ciebie nawpół senną,
Snem rozkoszy rozmarzoną;

Widzę włosów splot jedwabny,
Śnieżną falą drżące łono,

I te usta, co miłośnie
Wpół otwarte — chcą czarować,
I rozważam: co za rozkosz
Takie usta pocałować!

Krew się ogniem w żyłach pali;
Chcę ten obraz pieścić wiecznie;
Lecz przy róży — pod okienkiem
Stać młodemu niebezpiecznie.

Gdybym tylko mógł być pewny,
Że cię, piękna, nie oburzę,
Byłbym... byłbym już oddawna
Pod twem oknem zdeptał różę.

POWÓJ.

Nie jedna wesoła piosenka
W wiosenne wieczory lub ranki
Wybiega z tego okienka,
Strojnego w białe firanki.

I śmiechu srebrnego kaskada
Ach, nieraz! z owego pokoju
Spłynęła w okna sąsiada
Po wiotkich splotach powoju.

Natenczas ja byłem studentem
I boski zajmował mnie Plato,
I nad niejednym fragmentem
Ślęczałem zimę i lato.

Myślałem, pracując tak pilnie
I pisząc uczone rozprawy,
Że się dorobię niemylnie
Wiedzy, znaczenia i sławy.

Zły sąsiad, zły sąsiad był ze mnie!
Siedziałem jak więzień za kratą
I klnąłem w duchu tajemnie
Sąsiadkę, piosnki i lato.

I nigdym nie patrzał w okienko,
Choć nieraz w niedzielę lub święto
Mignęła białą sukienką
W powoju kwiaty upiętą.

Napróżno wesoła figlarka
Rzucała do okna mi kwiatki:
Brałem do ręki Plutarka,
Strzegąc się psotnej sąsiadki.

Dziś znowu po trudach i znoju,
Po wielu minionych już latach —
Mieszkam w tym samym pokoju
I myślę czasem o kwiatach.

Nie myślę już więcej o sławie
W tej biednej izdebce pod dachem,

Lecz patrzę w okno ciekawie,
Pojąc się wiosny zapachem.

Daremnie wyglądam, daremnie!
Dziś nic mi spokoju nie skłóci;
Ja jednak wzdycham tajemnie, —
Cisza mnie gniewa i smuci.

Ach! teraz już puste okienko!
I niema w nich białych firanek!
Nikt mnie nie wabi piosenką
W majowy wieczór lub ranek.

I śmiechu nie słychać srebrnego,
I wszystko już leży w ruinie...
Ja wzdycham, sam nie wiem czego,
Myśląc o psotnej dziewczynie.

Zaginął ślad mojej sąsiadki,
I tylko zwieszony kapryśnie
Powój przynosi mi kwiatki,
Do okna gwałtem się ciśnie.

I motyl przyleci czasami
Pić słodycz z jasnego kielicha:
A ja się patrzę ze łzami...
"Gdzie ona?" — pytam go zcicha.

Wspomnienie przeszłości pierś tłoczy,
Aż wreszcie żalami wybucha;
A motyl patrzy mi w oczy,
Na kwiatach siedzi — i słucha —

I szemrze, miód pijąc z kielicha:
"Wszak mogłeś i kochać i marzyć?
"Kto napój szczęścia odpycha,
"Ten nie ma prawa się skarżyć!"

LILIE WODNE.

Taki spokój rozlany w naturze,
Niebo takie czyste i pogodne!
Na jeziora przejrzystym lazurze
Zakwitają blade lilie wodne —
Zakwitają i z schyloną twarzą
Za czemś tęsknią i gonią i marzą.

Sierp księżyca przegląda błyszczący
Przez nadbrzeżne sitowia i trzciny,
Łódka płynie po fali milczącej —
Na niej chłopiec patrzy w twarz dziewczyny,
A ta główkę rozmarzoną skłania,
Czyniąc jemu dziwne zapytania:

— "O czem marzą owe lilie smutne,
Zatopione w podwójnym błękicie?
Czy, jak duchy jeziora pokutne,
W śnie kwiecistym nowe biorą życie,
Gdzie je znowu w jasny wieniec wplata
Idealna twórcza piękność świata?

"Czy też może służą za dyadem
Utopionej w jeziorze dziewicy?

Albo tylko są odbiciem bladem
Ludzkich tęsknot wiecznej tajemnicy —
I dlatego sen życia je pieści
Echem naszych pragnień i boleści?"

— "Ty się pytasz, mój biały aniele,
O czem marzą owe kwiaty senne?
W naszych piersiach kwitnie uczuć wiele:
A nie wiemy gdzie biegną — promienne,
I związani ze ziemią łańcuchem
Nic nie wiemy gdzie płyniemy duchem."

"Wiemy tylko, że w ciągłej pogoni
Za tą marą piękności bezwzględną
Rozsiewamy kwiaty pełne woni,
Które kwitną chwil kilka i więdną;
Ale w każdym w krótkiej trwania dobie
Zostawiamy jakąś myśl po sobie."

— "Ja-bym chciała — dziewczę się ozwało —
Mój sen życia powstrzymać w swym biegu
I zakwitnąć taką lilią białą,
Pełną woni na jeziora brzegu,
I nie ponieść żadnej serca straty,
Lecz tak zwiędnąć jako więdną kwiaty.

"Ja się lękam w ciemną przyszłość płynąć
I utracić rajskich marzeń jasność;
Wolę raczej w chwili szczęścia zginąć
I twą miłość wziąć z sobą na własność,
I być pewną, że się nic nie zmieni
W blasku naszych wewnętrznych promieni.'

— "Niech cię przyszłość, najdroższa, nie straszy!
— Odparł młodzian, topiąc wzrok w błękicie —
Myśmy najprzód już w miłości naszej
Zaczerpnęli nieśmiertelne życie,
I możemy iść dalej bezpieczni,
Że się sen nasz za światem uwieczni.

"Los nas może na zawsze rozłączyć,
Wyszukiwać męczarnie najrzadsze,
Może w serca truciznę nam sączyć:
Tych chwil szczęścia on jednak nie zatrze!
I zostawim nad swoją mogiłą
Co nam spójnią nieśmiertelną było.

"Może także nad tonią błękitną,
Tu, gdzie teraz rozmawiamy z sobą,
Takie lilie znów po nas wykwitną,
Naszych losów owiane żałobą,
I w niebiosa patrząc się pogodne,
Będą o nas marzyć — lilie wodne."

DZWONKI.

Naraz mi jasność zniknęła dzienna —
I świat zalała ciemność bezdenna.
Czułem, że serce boleść mi zrywa..
Poczem nastała cisza straszliwa:
Z całego życia przebrzmiałej wrzawy
Zostały tylko mgliste wspomnienia, —

Jakiś bój straszny, upadek krwawy,
Wyrok zagłady i potępienia,
Nędza bez granic, byt bez przyszłości,
I całe morze, morze — nicości...

W wnętrznościach ziemi, w prochu i pyle,
Leżałem martwy w swojej mogile, —
Z wystygłą piersią, z wystygłą twarzą,
Pod ciemnych duchów leżałem strażą;
Lecz chociaż wszystko padło w rozstroju,
W niemocy ducha, w martwości ciała,
Jednak nie miałem w grobie spokoju,
I myśl paląca wszystko przetrwała —
I po przebytej męce konania
Zostało jeszcze poczucie trwania.

Czułem na ustach życia gorycze
I wszystkie smutki śpiewne, słowicze.
Marzenia, w przepaść strącone ciemną,
Ulatywały jeszcze nade mną;
A pod tych marzeń mglistą zasłoną,
Pod tym oddźwiękiem przebrzmiałych godzin,
Tysiącom uczuć drżało mi łono,
Tysiącem wskrzeszeń, czy też narodzin, —
Życie się lało w nowe koryto,
Rzucając dawną formę przeżytą.

Czułem jak piersi moje rozsadza
Razem niszcząca i twórcza władza,
Jak nieśmiertelna Boska potęga
W ruch nieskończony znowu mnie wprzęga,
Jak mnie roztapia w światów ogromie,

Jak mi dla ducha drogę toruje...
I widzę siebie w każdym atomie,
I wszędzie myśl mą dawną znajduję;
A jedną cząstką ponad grobami
Wybiegam na świat kwiatów oczami.

I zamieniony w dzwonki błękitne
Na własnem zgliszczu stoję i kwitnę...
Znowu się patrzę na jutrznię złotą,
Znowu się do niej zwracam z tęsknotą;
A noc wiosenna perłowe łezki
Rzuca na kwiatów senne kielichy...
I znowu kończę sen mój niebieski,
Taki spokojny i taki cichy...
A kiedy wietrzyk potrąci kwiecie,
Pieśń idealna płynie po świecie.

Płynie daleko — wietrzyk ją niesie
Po złotem polu, zielonym lesie,
Po naszych górach, po naszych wodach,
Po naszych cichych wiejskich zagrodach —
Miesza się z szmerem jasnego zdroju,
Z szumem topoli, z śpiewem słowika,
I nadpowietrznym hymnem spokoju,
Harmonią ciszy serca przenika;
I błogosławi ojczyste pole,
I błogosławi ludzką niedolę.

Czasami także niebieskie kwiecie
Zwabi do siebie samotne dziecię...
I siada dumać pacholę młode,
Patrząc na kwiatów dziwną urodę;

I nie wie nawet jakim sposobem,
Zrywając dzwonków kłosy powiewne,
Wyrasta myślą nad smutnym grobem
I w sercu dźwięki znajduje śpiewne;
Lecz czuje tylko, że się w niem budzi
Pragnienie niebios, miłość dla ludzi.

Więc czegoś patrzy i czegoś czeka,
Niby coś widzi w cieniu zdaleka...
W gasnącej zorzy i w barwach kwiatów
Zgaduje piękność umarłych światów;
I nim się ocknie z zadumy sennej —
Wykwita przed niem na tle błękitu
Anielska postać w szacie promiennej,
Płonąca ogniem nowego świtu,
I tajemnice grobów odsłania —
Królowa śmierci i zmartwychwstania.

MIRTY.

Śródziemnego morza brzegiem,
Nad błękitnych wód przestrzenią
Osypane kwiatów śniegiem
Mirty wiecznie się zielenią.

Niebo błyszczy tak ogniście,
Zrumienione dołem zlekka;
Przez zielone gaju liście
Roztopione złoto ścieka.

Melodyjnie pluszcze fala,
Wietrzyk w listkach szemrze słodko;
Canzonettę słychać zdala
Co wciąż nową dźwięczy zwrotką.

Pośród mirtów zwolna kroczy
Syn chmurniejszej, innej ziemi...
I olśnione spuścił oczy
Przed blaskami, przed złotemi!

Prószy z krzewów białe kwiecie,
A on marzy: jak tam w dali
Wicher śnieżne zaspy miecie,
Jak tam jęczy, jak się żali;

Jak tam ciężko jest podróżnym
Po pustkowiach błądzić nocą...
I o domu marzy próżnym,
Gdzie powracać nie ma poco.

Wtem pieśń zabrzmi: "Mirty płoną,"
"Drżą listkami nieprzytomnie,
"Ale silniej drży me łono...
"Luby, luby, śpiesz się do mnie!"

A wędrowiec idąc wzdycha:
"Ach, nie dla mnie płoną kwiaty!
"Tam mogiła stoi cicha,
"Gdzie mi zatkwił mirt przed laty.

"Tam, pamiętam! rósł w ogródku,
"Zasadzony matki dłonią,

"Ale biedny usechł z smutku:
"Łzy go moje nie dogonią."

Smutny uśmiech znikł mu z twarzy,
Czoło chmurzy się boleśniej —
O mogile drogiej marzy...
Wtem znów słychać zwrotkę pieśni:

"Śpiesz, — o, luby! — przybądź przecie!
"Mam dla ciebie dary nowe:
"Świeży uśmiech, świeże kwiecie,
"Świeże usta purpurowe."

Dziwnie mu na duszę pada
Ten ton pieśni rozkochanej,
Ta rozkosznych słów kaskada
Na otwarte serca rany:

Więc ucieka przed tem echem
Na nadbrzeżnych skał krawędzie...
Morze wita go z uśmiechem
A piosenka ściga wszędzie.

Piosnka kończy: "W mirtów cieniu
Rączką cię nakryje białą;"
Przy canzonet słodkiem brzmieniu,
"Dobrze ci się będzie spało!".

A wędrowiec dalej kroczy,
Rozważając piosnki słowa...
Ach! nie luba zamknie oczy:
Obca ziemia go pochowa!

I powtarza w zamyśleniu,
Przyciskając pierś zbolałą:
"Przy canzonet słodkiem brzmieniu
"Dobrze ci się będzie spało!"

FIOŁKI.

Te fiołki, co mnie nęcą,
Te nie siedzą skryte w trawie —
Lecz z pod długiej ciemnej rzęsy
Patrzą na mnie tak ciekawie, —

Z pod tej rzęsy, co ocienia
Piękniej niźli traw zieloność,
W niebieskiego mgle spojrzenia
Patrzy na mnie nieskończoność.

Niezmierzona, dziwna głębia!
W niej się wszystko, wszystko mieści:
Wymarzone senne skarby,
Czarodziejskich raj powieści.

Ale na tych skarbach wróżka
Położyła swe pieczęcie;
Strzeże ocząt i serduszka
Sen cudowny i zaklęcie.

I te oczy drzemią jeszcze
Otoczone tajemnicą,

Choć z nich czasem błyśnie płomień
Jedną wielką błyskawicą.

Z pod spuszczonych skromnie powiek
Widać jakby jutrznię nową...
O, szczęśliwy stokroć człowiek,
Kto odgadnie zaklęć słowo!

Szczęsny, komu się otworzą
Pełne blasku i pieszczoty!
Wędrowałbym na kraj świata,
Byle znaleźć ów klucz złoty.

O fiołki! lube, zdradne!
Troska dręczy mnie surowa...
Bo ja zginę i przepadnę,
Nie znalazłszy zaklęć słowa.

KWIAT PAPROCI.

Zakwita w puszczach dziwny kwiat paproci:
Na jedną chwilę w tajemniczym cieniu
Cały świat blaskiem czarodziejskim złoci...
Lecz można tylko dotknąć go — w marzeniu.

Młodość, co wierząc sama cuda tworzy,
Umie go dojrzeć w cudowności lesie;
Żadne widziadło w biegu jej nie strwoży —
Pewnej, że skarb ten na sercu uniesie.

A choć nie uszczknie kwiecia ideału,
Co pod jej ręką jako sen przepada...
Jednak ma chwilę ekstazy i szału,
W której jest pewną, że niebo posiada:

I widzi wszystkie ziszczone nadzieje,
Tryumf szlachetnych poświęceń i trudów,
I nową jutrznię — która zajaśnieje
Ponad przyszłością wyzwolonych ludów...

Gdy się dwa serca spotkają tęskniące
Pełne nadziemskiej piękności i żalu;
Gdy objawienie miłości jak słońce
Na ust spłonionych zabłyśnie koralu;

Gdy po raz pierwszy, drżące a wstydliwe,
Te usta w jeden pocałunek spłyną;
Gdy przez nie dusze połączyć się chciwe
Jako dwie fale w oceanie giną —

Natenczas w uczuć wezbranych powodzi,
W tej błyskawicy duchów idealnej,
Kwiat ów cudowny tajemniczo wschodzi
I w pocałunku kwitnie niewidzialny.

Tyle też jego trwania: gdy z zachwytu
Zbudzona dusza chce go ująć w dłonie —
Zniknął bez śladu... tylko wśród błękitu
Zostały po nim jakieś dziwne wonie.

POSYŁAM KWIATY.

Posyłam kwiaty: niech powiedzą one
To, czego usta nie mówią stęsknione,
Co w serca mego zostanie skrytości
Wiecznym oddźwiękiem żalu i miłości.

Posyłam kwiaty: niech kielichy skłonią
I proszą srebrną rosą jak łezkami!
Może uleci z ich najczystszą wonią
Wyraz drżącemi szeptany ustami;
Może go one ze sobą uniosą
I rzucą razem z woniami i rosą.

Szczęśliwe kwiaty! im wolno wyrazić
Wszystkie pragnienia i smutki i trwogi;
Ich wonne słowa nie mogą obrazić
Dziewicy, choć jej upadną pod nogi;
Wzgardą im usta nie odpłacą skromne, —
Najwyżej rzekną: "Słyszałam — zapomnę."
Szczęśliwe kwiaty! mogą patrzeć śmiele
I składać życzeń utajonych wiele,
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...
Zanim z tęsknoty uwiędną serdecznej.

ZWIĘDŁY LISTEK.

Nie mogłem tłumić dłużej
Najsłodszych serca snów:
Na listku białej róży
Skreśliłem kilka słów.

Słowa, co w piersiach drżały
Nie wymówione w głos,
Na listku róży białej
Rzuciłem tak — na los!

Nadzieję, którąm pieścił,
I smutek, co mnie truł,
I wszystkom to umieścił,
Com marzył i com czuł.

Tę cichą serca spowiedź
Miałem jej posłać już
I prosić o odpowiedź
Na listku białych róż...

Lecz kiedy me wyrazy
Chciałem odczytać znów,
Dojrzałem w listku skazy,
Nie mogłem dostrzedz słów.

I pożółkł listek wiotki,
Zatarł się marzeń ślad, —

I zniknął wyraz słodki,
Com jej chciał posłać w świat!

JA CIEBIE KOCHAM!

"Ja ciebie kocham!" Ach, te słowa
Tak dziwnie w mojem sercu brzmią!
Miałażby wrócić wiosna nowa
I zbudzić kwiaty, co w niem śpią?
Miałbym w miłości cud uwierzyć?
Jak Łazarz z grobu mego wstać?
Młodzieńczy, dawny kształt odświeżyć,
Z rąk twoich nowe życie brać?

"Ja ciebie kocham!" Czyż być może?
Czy mnie nie zwodzi złudzeń moc?
Ach-nie! bo jasną widzę zorzę
I pierzchającą widzę noc,
I wszystko we mnie inne, świeże!
Zwątpienia w sercu stopniał lód,
I znowu pragnę — kocham — wierzę —
Wierzę w miłości wieczny cud!

"Ja ciebie kocham!" Świat się zmienia,
Zakwita szczęściem od tych słów,
I tak jak w pierwszych dniach stworzenia
Przybiera ślubną szatę znów!
A dusza skrzydła znów dostaje:
Już jej nie ściga ziemski żal —

I w elizejskie leci gaje
I tonie pośród światła fal!

ACH, POWIEDZ.

Ach, powiedz, powiedz! jaki Bóg
W nadziemskie ubrał cię szaty —
Abyś w piękności zbrojna łuk
Zburzyła promienne światy?

Ach, wobec ciebie niema nic!
Ty łamiesz prawa odwieczne
I przed jasnością twoich lic
Promienie gasną słoneczne.

Niebiosa, ziemia, błękit wód, —
Wszystko przepada i ginie,
Gdy ty, w piękności zbrojna cud,
Stajesz na światów ruinie.

Olśniewasz wszystkie światy trzy
Białością swojego łona;
Rozkoszy dreszczem ziemia drży,
Kiedy obnażysz ramiona,

Z ust twoich pijąc słodycz róż,
Z pragnienia umrzeć-by trzeba;
Ich ogień wstrząca światem dusz
I pali najwyższe nieba.

A któż z śmiertelnych może znieść
Twą piękność w całym rozkwicie?
Kto może oddać tobie cześć
I jeszcze zachować życie?

Kto może myślą pieścić skroń,
Twych włosów bawić się splotem?
Kto pić namiętną może woń —
I jeszcze nie umrzeć potem?

A jak konwalii biały kwiat
Usycha na twojem łonie,
Tak każdy zginąć byłby rad
Z uśmiechem szczęścia przy zgonie.

Lecz, widząc ciebie, odejść znów
W samotne ziemi obszary:
Na te męczarnie niema słów,
I niema straszniejszej kary!

Więc powiedz, powiedz: jaki Bóg
Zrobił cię światów królową?
Bo ja chcę umrzeć u twych nóg —
Byś mnie wskrzesiła nanowo!

TY CZEKAJ MNIE.

Ty czekaj mnie, dzieweczko cudna,
Pod tą wysmukłą topolą!
Przysięgam ci — choć to rzecz trudna, —
Że wrócę... gdy mi pozwolą.

Ty czekaj mnie i kochaj wciąż!
Będzie to wielką zasługą —
A jak się znajdzie dla ciebie mąż,
Nie każ mu wzdychać zbyt długo!

Lecz bierz z nim ślub i kochaj znowu,
Dopóki serca ci stanie,
I wierzyć chciej mojemu słowu,
Że to ci skróci czekanie.

Gdy minie już miłości szał —
Czekaj mnie pod tą topolą:
Chociażbym z grobu powstać miał,
Powrócę!.. gdy mi pozwolą.

PŁACZĄCEJ.

Ty płaczesz dziewczę? łez twoich szkoda!
Na te łzy gorzkie jeszcześ zamłoda.
Otrzyj swe oczy:
Świat tak uroczy,
Na niebie jasna pogoda!

Wszak najpiękniejsze z wszystkich niebianek,
Młodość i wiosna — wiją ci wianek:
A ty w łzach przecie,
Niedobre dziecię,
Jak chmurny maju poranek?

Jakaż to boleść czoło ci chmurzy?
Możeś się pączkiem ukłóła róży?
Lub pragniesz skrycie
Gwiazdki w błękicie
I nie chcesz czekać już dłużej?

Może ci wietrzyk przyniósł majowy
Szept podsłuchanej kwiatów rozmowy?..
Utul się w żalu,
Na ust koralu
Niech uśmiech zabłyśnie nowy!

Możeś na kogo dziś się zgniewała —
I stąd ta chmurka przebiegła mała?
Chmurka się zmieni
W siatkę promieni
I tęczą będzie jaśniała.

Choćby cię większa dotknęła strata —
Przyszłość dla ciebie w uśmiech bogata...
Prędko się zgoi
Ból w piersi twojej:
Łzy schowaj na dalsze lata!

SONET.

Kiedym cię żegnał, usta me milczały...
I nie wiedziałem jakie słowo rzucić:
Więc wszystkie słowa przy mnie pozostały,
A serce zbiegło — i nie chce powrócić.

Tyś powitała znów swój domek biały,
Gdzie ci słowiki będą z wiosną nucić —
A mnie przedziela świat nieszczęścia cały:
Dom mój daleko — i nie mogę wrócić...

Tak mi boleśnie, żem odszedł bez echa!
A jednak lepiej, że żadnem wspomnieniem
Twych jasnych marzeń spokoju nie skłócę;

Bo tobie jutrznia życia się uśmiecha:
A ja z gasnącym żegnam się promieniem
I w ciemność idę — i już nie powrócę.

DZIWNY SEN.

Dziwny sen miałem z wieczora...
Trwał jakby przez wieczność całą:
Tyś była falą jeziora,
Ja byłem nadbrzeżną skałą.

Nie żałowałem tej zmiany,
Żem skałą, a nie człowiekiem:
Marzyłem, żem jest kochany...
A wiek przemijał za wiekiem.

Nie żałowałem, że głuchy
Głaz nic powiedzieć nie może:
Mówiły ze sobą duchy —
Jam niebo widział w jeziorze.

Tyś zawsze padała drżąca
Na moje piersi z granitu,
Złączona wśród lat tysiąca
Węzłami wspólnego bytu.

Kruszyłaś kamienne łono:
A jam się cieszył z zniszczenia,
Bo przeczuwałem spełnioną
Dolę zimnego kamienia.

Wiedziałem, że gdy do końca
Zamiary przywiedziesz zdradne —
Żegnając gwiazdy i słońca,
W objęcia twoje upadnę.

MARZENIE PORANNE.

Siedziała w ogrodzie w pół świetle, w pół cieniu,
Przy blasku wschodzącej jutrzenki,
Wśród ciszy porannej oddana marzeniu,
Słuchając słowika piosenki.

Marzyła o szczęściu, miłości — tak trocha...
Bo o czemże możnaby innem?
Wszak każda dziewczyna, choć jeszcze nie kocha,
Marzeniem się bawi niewinnem.

Tęsknota, niepokój i dziwne żądania
Nieznanych a słodkich upojeń

Budziły w jej sercu odblaskiem świtania
Girlandy tęczowych urojeń;

I piła skwapliwie te wonie, te fale
Powietrza, co pierś jej wznosiły,
I mocniej błyszczały jej ustek korale
I żywiej się oczy paliły.

Patrzała na kwiaty, co, jasne, z uśmiechem
Skłaniały kielichy miłośnie
I, dzieląc się wonnym rozkoszy oddechem,
Szeptały o szczęściu i wiośnie.

Widziała konwalię dziewiczą jak drżała
Łzy lejąc z drobnego kielicha,
W objęciach wietrzyka, a choć tak nieśmiała,
Jednakże coś pragnie i wzdycha

A dalej narcyzy, tak piękne, urocze...
Że muszą samotne pozostać,
Więc główki zwiesiły nad wody przeźrocze,
Ścigając odbitą w niej postać.

Tam znowu fiołki kryjące się w trawie...
Tak dobrze tej cichej rodzinie!
Nie myśli o próżnej wielkości i sławie,
Lecz żyje dla siebie jedynie.

Tak marząc o kwiatach i tonąc w marzeniach,
Oparła na rękę swą głowę
I chmurki śledziła, w słonecznych promieniach
To srebrne, to znowu różowe.

Wtem widzi zdziwiona, że z słońca promieni
W jej oczach gmach staje złocisty.
Z kopułą szafirów, z ścianami z zieleni,
A cały jak kryształ przejrzysty.

Kolumny — to palmy splecione w arkady
Przez liany i bluszcze wiszące;
Schodami — srebrzyste ściekają kaskady,
Posadzką — mozajki kwitnące.

I widzi strwożona jak kwiatów kielichy
Ludzkiemi ją mierzą oczami,
I widzi rój sylfów skrzydlaty i cichy —
Jak igra w powietrzu z tęczami.

A jeden z narcyzów, rosami wilgotny,
W pięknego młodzieńca się zmienia;
Lecz skrzydeł nie dostał i usiadł samotny
Nad brzegiem srebrnego strumienia.

I widzi wzruszona, jak wiatrom się skarży,
Że nie ma na świecie nikogo...
I słyszy westchnienia, i w myślach się waży —
A tak jej smutno i błogo!

Nad litość nic niema na ziemi świętszego!
Więc litość skłoniła dziewczynę,
Że wstała powoli i poszła do niego
Zapytać o smutku przyczynę.

Słyszała jak przez sen wyrazy namiętne,
Co śpiewnem pieściły ją echem,

I oczy widziała tak piękne a smętne,
Że odejść byłoby, ach! grzechem.

Słyszała jak mówił: "Ty jesteś wybraną,
"By nowe ukazać mi życie,
"I dusze na wieczną tęsknotę skazaną
"W niebiańskim pogrążyć zachwycie.

"Ty jedna ach, możesz, na ziemi ty jedna!
"Otworzyć mi nieba podwoje:
"Twa miłość nam władzę cudowną wyjedna —
"I skrzydła dostaniem oboje."

To wszystko słyszała jak w sennem marzeniu...
I uciec i zostać-by chciała;
Aż wreszcie uległa słodkiemu wzruszeniu
I rękę nieśmiało podała.

Podała — i nagle spostrzegła z podziwem,
Że lecą oboje dłoń w dłoni,
Złączeni swych skrzydeł tęczowem ogniwem
W obłoku jasności i woni.

A wszystko się przed nią roztapia w blask słońca.
Pierś samą oddycha rozkoszą:.
Kraina cudowna, bez końca — bez końca,
A skrzydła ją w górę unoszą...

I płyną wciąż razem w błękitne etery,
Po szlakach przestrzeni gwiaździstych;
A pieśni — nadziemskie śpiewają im sfery
O ducha pragnieniach wieczystych.

Więc czuję, że serce wyrywa się z łona,
Że nadmiar uczucia pierś tłoczy;
Wśród jasnych błękitów, gwiazd złotych stęskniona —
Na niego podniosła swe oczy.

I wzrokiem spoczęła w młodzieńca spojrzeniu,
Co ognia płynęło falami,
I w sennej ekstazy bezbrzeżnem pragnieniu
Ust jego dotknęła ustami.

Wtem wszystko przepada... i widzi — o, dziwy —
Świat jasnych urojeń zniknie ony!
I siebie zmienioną w krzak brzydkiej pokrzywy —
A młodzian stał w oset zmieniony.

W rozpaczy i wstydzie chce płakać — nie zdoła;
Cóż będzie nieszczęsna robiła?
Wtem słyszy z radością, że matka ją woła —
I nagle się ze snu zbudziła

I poszła zapytać do matki: co znaczy
Sen dziwny o takiej przygodzie?
A matka z uśmiechem swej córce tłómaczy,
Że marzyć nie trzeba w ogrodzie.

NIEZRĘCZNY.

I.

Gdy ją raz pierwszy ujrzał w kobiet gronie,
Uczuł w swej duszy jakby światło nowe:
Zdawało mu się, że widmo tęczowe
Młodzieńczych marzeń podaje mu dłonie —

I zapatrzony w oczy szafirowe
Zaledwie zdołał skłonić przed nią głowę
Przy przedstawieniu, i wiedząc, że płonie,
Onieśmielony stał jak żak w salonie.

Ona, spostrzegłszy to jego zmieszanie,
Chciała przyjść w pomoc i pierwsza z uśmiechem
Zadała jakieś zwyczajne pytanie.

By odpowiedzieć zwrócił się z pośpiechem,
Lecz się w jej sukni zaplątał jedwabnej
I urwał kawał falbany — niezgrabny!

II.

Trudno uwierzyć! lecz taka przygoda,
Zamiast mu szkodzić u pięknej kobiety,
Pomogła raczej — i nastała zgoda
Pomiędzy sercem wdówki i poety.

I widywała się ta para młoda:
On jej przynosił do domu bukiety

I wzdychał ciągle, na co szkoda czasu
I co go wreszcie zgubiło — niestety!

Siedział sam przy niej, źrenicą spragnioną
Tonął w jej oczach w niemem zachwyceniu;
Na twarz im padał srebrny blask miesięczny,

Więc ją mógł widzieć drżącą i wzruszoną:
Ale w tem samem został oddaleniu,
Gdyż bał się suknię nadeptać — niezręczny!

SPÓŹNIONA ODPOWIEDŹ.

Miałem raz jedną szczęścia chwilę —
Chwilę rozkoszną, lecz zbyt krótką:
Patrzałaś na mnie dziwnie a mile,
Siedząc cichutko.

Ja byłem wtenczas tak wymowny!
Tyś mnie słuchała, pieszcząc pieska.
Na ustach uśmiech wykwitł czarowny,
A w oku łezka.

Mówiłem wiele w upojeniu;
Miłością brzmiało każde słówko:
A tyś tonęła w słodkiem marzeniu
Z schyloną główką.

Widziałem serca twego bicie,
Widziałem w wzroku wzruszeń tyle...

Ach, jeszcze dzisiaj oddałbym życie
Za taką chwilę!

Wyznałem moją miłość całą,
Czekając co mi powiesz sama;
Nie wiem, co wtenczas ze mną się działo...
Wtem weszła mama!

Ja się zmięszałem, tyś się zlękła,
I odtrąciłaś rączką pieska;
Pierzchła odpowiedź — i w locie pękła
Bańka niebieska.

Potem ubiegło czasu wiele —
Czekałem długo na odpowiedź...
Aż usłyszałem w jedną niedzielę
Twoją zapowiedź.

ABDYKACYA.

Sukienkę miała w paseczki
Perkalikową,
We włosach polne kwiateczki,
Twarzyczkę zawsze różową:
Nie było piękniejszej dzieweczki —
Daję wam słowo!

Była, doprawdy, królewną
Cudownych krajów!

I miała orkiestrę śpiewną
W królestwie zielonych gajów,
I armię kwiatów powiewną
Brzegiem ruczajów.

Gdy zbrojna ruszyła w pole
Wraz z wojskiem swojem,
Wszystko spełniało jej wolę;
Słynęła w świecie podbojem, —
I mnie zabrała w niewolę
Nad jasnym zdrojem.

Miała na swoje rozkazy
Nadziemskie moce,
Poranki słodkiej ekstazy,
Rajskich pożądań owoce,
Gwiaździstych sfer krajobrazy,
Wiosenne noce.

Nie wiem dlaczego złożyła
Berło liliowe
I na koronki zmieniła
Swoje korony tęczowe;
Wiem, że Arkadya straciła
Swoją królowę.

Dziś tylko... wielką jest damą,
Strojną bez miary,
Ma pałac z herbem nad bramą,
Kaprysy spełnia mąż stary;
Ale już nie jest tą samą —
Znikły ach! czary.

I choć króluje na balu
W każdym salonie —
Znać na niej jakiś cień żalu...
I marzy, wspierając skronie,
O swej sukience z perkalu
I polnych kwiatów koronie.

PRZESTROGA.

Ty, lube dziewczę, masz duszę tkliwą,
Co się pięknością wszelką zachwyca;
Jednak ci radzę: chcesz być szczęśliwą,
To za mąż idź za szlachcica!

Poetycznego nie bierz kochanka!
Poezya w życiu — to ból i troski;
Ty przedewszystkiem jesteś szlachcianka:
Trzeba ci z mężem i wioski.

Bardzo rozsądnie robi twa matka,
Łamiąc kaprysik twój idealny:
Miłość — to jakaś ciemna zagadka;
Majątek — ten jest widzialny!

Przeminie wiosna rozkosznych wrażeń
I sny przeminą, któremi żyjesz,
I śmiać się będziesz z dziecinnych marzeń,
Skoro troszeczkę utyjesz.

I będziesz wdzięczną swej matce potem,
Na bal w poczwórnej jadąc karecie,
Żeś zaślubiła worek ze złotem,
Dawszy odkosza poecie.

MIĘDZY NAMI NIC NIE BYŁO.

Między nami nic nie było!
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych!
Nic nas z sobą nie łączyło —
Prócz wiosennych marzeń zdradnych;

Prócz tych woni, barw i blasków,
Unoszących się w przestrzeni;
Prócz szumiących śpiewem lasków
I tej świeżej łąk zieleni;

Prócz tych kaskad i potoków,
Zraszających każdy parów,
Prócz girlandy tęcz, obłoków,
Prócz natury słodkich czarów;

Prócz tych wspólnych, jasnych zdrojów,
Z których serce zachwyt piło;
Prócz pierwiosnków i powojów, —
Między nami nic nie było!

Mozaika.

NOKTURNO.

Na dworze wicher i słota —
Tak smutno, mroczno i chmurno...
Po szybach deszczyk przygrywa,
A wicher śpiewa nokturno.

Tańcują pożółkłe liście,
Tańcują para za parą;
Ja siedzę smutny w kąciku
I w przestrzeń spoglądam szarą.

Czegoś mi tęskno i straszno...
Patrzę bezmyślnie przed siebie,
A coraz ciemniej mi w duszy,
I coraz ciemniej na niebie.

Czy tylko wicher tak jęczy,
Kręcąc się z deszczem dokoła?
Czy tam nikt więcej nie płacze,
Nikt więcej na mnie nie woła?

Bo słyszę jakieś wzdychania
I jakieś głosy mi znane,
Które brzmią strasznie, ponuro,
Wstępując w serce stroskane;

I jakieś blade postacie
Do moich okien się tłoczą:
Patrzą się na mnie szyderczo,
Śmieją się ze mnie i droczą...

I nie pytając: czy wolno? —
Wchodzą do mego mieszkania,
A każda z drwiącym uśmiechem
Przede mną nizko się kłania.

I ciągną w długim szeregu,
Szeleszcząc jak suche liście,
I tańczą para za parą
Przy dzikim wichru poświście.

"Chodź z nami! — wołają na mnie —
"Wszakżeż ty do nas należysz
"Minioną przeszłością żyjesz
"I jeszcze kochasz i wierzysz...

"Ty się nas przecież nie wyprzesz,
"Jak się cię wszyscy wyparli,
"Co myślą, że żyją jeszcze,
"Choć dawno duchem pomarli.

"Chodź do nas! dalej, do koła!
"Z nami zabawisz się pięknie
"I będziesz tańczyć i śpiewać,
"Póki ci serce nie pęknie!

"Lepiej niech pęka odrazu
"W krwawej przeszłości uścisku,

"Niż ma zastygać powoli.
"Na brudnem ludzi śmiecisku!

"Masz zostać przez nich zdeptanym
"Lub stać się z nimi zaprzańcem?
"Wolisz pójść w ciemność za nami,
"Bawić się śpiewem i tańcem!"

Tak mnie wołają i kuszą
Coraz to śmielej, natrętniej,
I otaczają mnie kołem...
A w oczach coraz mi mętniej —

I czuję, że mnie unoszą...
Brzmi strasznie wichru muzyka,
Świat się podemną zapada...
Wtem nagle wszystko mi znika —

I pusto w moim pokoju,
Na świecie mroczno i chmurno;
Po szybach deszczyk przygrywa,
A wicher śpiewa nokturno.

SCHERZO.

Siedzi w oknie cały ranek,
Do wieczora siedzi,
Siedzi ciągle smutny Janek,
Czeka odpowiedzi.

Do swej lubej list wyprawił,
Na odpowiedź czeka;
Sześć miesięcy w oknie strawił,
Wzdycha i narzeka.

List wyprawił przez gołębia;
Gołąb nie powrócił:
Może spotkał gdzie jastrzębia,
Co mu drogę skrócił.

Wodzi okiem wciąż po niebie,
Na posłańca czeka,
Patrzy w górę, znów przed siebie...
Pies na niego szczeka.

Pytaniami wszystkich nudzi
I zaczepia co dnia
Ptaki, chmury, nawet ludzi, —
Każdego przechodnia.

Wszyscy się już z niego śmieją
Szczerze lub obłudnie;
On się żywi wciąż nadzieją, —
Coraz bardziej chudnie.

Dziś znów patrzy w jedną stronę
I wzdycha okropnie...
Słońce poszło spać, znudzone:
Zrobiło roztropnie.

Księżyc wyszedł już z gospody,
Po niebie się toczy,

Zrumienione ma jagody
I nabrzękłe oczy;

Podpił sobie starowina,
Tacza się wśród drogi
I do gwiazd się brać zaczyna,
A te przed nim — w nogi!

Więc niechętnie idzie dalej,
Gorzko się uśmiecha,
Mrucząc: "Dyabli to nadali;
"Starość nie uciecha!

"Oj, te gwiazdy! ród zdradliwy!
Każda z nich jest płocha;
Dziś dlatego żem już siwy
Żadna mnie nie kocha.

"Młodość za to miałem sławną —
Kochały mnie więcej,
A to temu tak niedawno:
Lat coś sześć tysięcy."

Kiedy ujrzał smutny Janek
Starego na niebie,
Wychylił się z za firanek,
Wzywa go do siebie:

"O, mój stary przyjacielu!
Zbiegłeś drogi tyle...
Siadaj u mnie na fotelu,
Spocznij choć na chwilę.

"Musisz być zmęczony pewnie
Dzisiejszą podróżą..."
Księżyc na to mruknął gniewnie:
"Nogi mi nie służą!

"A tu trzeba spacerować
I świecić latarką
Wszystkim, co chcą romansować —
Księżnom, czy kucharkom.

"I tych samych klątw, uniesień,
Słuchać wciąż od ludzi,
Czy to wiosna, czy to jesień:
To mnie dyablo nudzi!

"Każdy myśli z tych młodzików,
Że on tylko jeden
Pełną piersi wykrzykników
Odkrył nowy eden;

"Że on pierwszy z swoją miłą
Między gwiazdy zalazł,
I że przedtem nic nie było —
On miłość wynalazł!

"Gdy go zdradzi ładne dziecię,
Wtedy znowu mniema,
Że na całym bożym świecie
Nieszczęśliwszych niema —

"I dziwuje się bez końca ,
Utraciwszy zdradną,

Że księżyce, gwiazdy, słońca,
 Na nos mu nie spadną."

Janek przerwie: "Srebrny panie,
 Jesteś w złym humorze,
Lecz na moje zapytanie
 Odpowiesz mi może.

"Nie będziesz się na mnie srożył
 Za pospólstwa winy:
Wszak wiesz, że mnie Pan Bóg stworzył
 Z innej całkiem gliny.

"Moja miłość — to nie zwykłe
 Śmiertelnych mamidła,
To nie zmysłów cacko nikłe,
 To nie bańka z mydła!

"Moja miłość — ta wyrosła
 Ponad poziom ziemi,
W niebo czysty skarb uniosła
 Skrzydłami swojemi.

"Nic wspólnego nie ma z zmienną
 Ludzkich uczuć nędzą,
Gdyż oplotła świat promienną
 Idealną przędzą.

"Ona wyższą nad egoizm
 I nad serca klęski...
Moja miłość — to heroizm
 Dumny i zwycięski!

"Ja nie pragnę nic dla siebie,
Dla szczęścia własnego.
Bo w miłości mojej w niebie
Niema nic ziemskiego.

"Nic nie pragnę, nic nie żądam,
Tak, niczego więcej,
Oprócz wieści, co wyglądam
Od sześciu miesięcy.

"Chciałbym tylko wiedzieć tyle
O moim aniele:
Jak przepędza smutne chwile?
Czy nie cierpi wiele?

"List posłałem przez gołębia;
Nie mam w zamian wieści:
Więc niepokój mnie przygnębia,
Usycham z boleści.

"W twoje ręce los mój składam;
Powiedz, że jest żywą:
Oddam wszystko, co posiadam,
Za tę wieść szczęśliwą."

Księżyc odparł: — "Jesteś hojny,
Bo posiadasz mało;
Lecz gdy jesteś niespokojny,
Powiem prawdą całą.

"Jest mi miło, że cię mogę
Tak łatwo pocieszyć;

Powiem krótko, bo mi w drogę
Czas się już pospieszyć.

"Byłem właśnie mimochodem
W tamtej stronie zrana
I widziałem jak ogrodem
Szła twa ukochana.

"Przy niej ładny szedł chłopaczek;
Patrzała nań słodko
I niejeden spiekła raczek,
Bawiąc się stokrotką.

"Potem list twój wydobyła
Z kieszeni fartuszka
I o tobie coś mówiła
Tamtemu do uszka;

"I usiadła z nim pod drzewem
Z śmiechem list podarła..."
Na to Janek krzyknie z gniewem:
"Bodajby umarła!

"O niegodna! o zdradliwa!
Tak mnie zwieść szkaradnie!
Co mi z tego że jest żywa...
A, niechaj przepadnie!".

Księżyc zaczął śmiać się głośno,
Ramionami wstrząsał,
Słysząc furyę tę miłosną;
Janek wciąż się dąsał.

Aż staremu się znudziło
    Słuchać, jak się żali
I wyklina swoją miłą —
    Chciał wędrować dalej.

Spostrzegł Janek, że staruszek
    Zaczyna się zżymać;
Chciał go schwycić za kożuszek,
    Żeby go przytrzymać:

Ale księżyc w mig się sprawił,
  Przewidziawszy łapkę,
W ręku Janka pozostawił
  Tylko lisią czapkę.

ANAKREONTYK.

Nie szczędź mi rajskich rozkoszy,
Różanych ustek nie żałuj!
Zanim się dzika myśl spłoszy,
Niebieska! ty swoim wzrokiem
Zalej mnie blasków potokiem,
Bez końca pieść mnie i całuj!

Odpędzę widziadła wstrętne,
Ze śmiercią hardó się zmierzę,
Gdy w pocałunki namiętne
Roztopię duchową dzielność:

W rozkoszy tych nieśmiertelność —
W tę jedną, ach! tylko — wierzę.

Przed twym ożywczym płomieniem
Dusza ma kielich otwiera,
Rozkwita z dziewiczem drżeniem
W świateł i woni obłoku,
W twych ustach i w twoim wzroku
Znajdując wieczność — umiera.

Eros zawstydzi się blady
Przed moich pragnień pożarem;
Wśród sennej życia biesiady,
Pijąc nadziemskie słodycze —
Wszystkie łzy twoje przeliczę,
Dobyte szczęścia nadmiarem.

A gdy się strawi doszczętnie
To życie nic już niewarte, —
W ostatniej chwili, namiętnie,
Na twojem oparty łonie,
W nowe się blaski przesłonię,
Patrząc w twe oczy otwarte.

PIJĄC FALERNO.

Dosyć łez! poco te smutki?
Czas się nareszcie rozchmurzyć!
Poranek życia tak krótki;
Trzeba go użyć.

Szczerością pewnie się zgubię,
Mimo to będę otwarty:
Dawniej kochałem.... dziś lubię
Życie na żarty.

Com kochał?.. razem z miłością
Pamięć rzuciłem za okno,
A resztki wspomnień z radością
W kieliszku mokną.

Jeśli to miłość dziewczyny,
Więc, by ukarać niewierną,
Usiadłem na łonie Fryny,
Pijąc Falerno.

*

* *

Jeśli to... lecz daj mi pokój
Z bezpłodną ojcowizn schedą!
Lepiej ty, Fryne, prorokuj
Bachiczne Credo.

Rozkoszy stawmy ołtarze,
Pijacką miejmy bezczelność,
A może znajdziemy w czarze
I nieśmiertelność.

Zdziwim się, a przy wdzięczności
W piwnice pójdziemy rajskie
Wybierać z beczek wieczności
Wina tokajskie.

Tymczasem, do wniebowzięcia
Sposobiąc żądzę niezmierną,
W twoje się chylę objęcia,
Pijąc Falerno.

*

* *

Winnice na grobach rosną,
A zatem z tych winogradów
Ożywiam wenę miłosną
Prochem pradziadów.

Życie nad śmiercią przeważa,
Bo taka istnienia kolej:
Wypijmy zdrowie grabarza...
Wina mi dolej:

Kto jeszcze nie przestał szlochać,
Ten pewnie z własnej swej winy
Nie może już pić... ni kochać
Ładnej dziewczyny.

Niech się więc kruszy przed niebem,
Gotując się *in aeterno:*
Pójdę za jego pogrzebem,
Pijąc Falerno.

*

*

Kto mi przerywa?.. to duchy,
Znane mi kiedyś, przed chwilą...

Brząkają w swoje łańcuchy,
Mówić się siłą.

Chodźcie tu, moi najszczersi,
Grzać się miłością i winem!
Wszak nieraz piersią przy piersi
Byliśmy czynem.

Dźiś wy — cieniami marnymi,
Skrwawione chylicie usta;
Mnie zaś tu trzyma na ziemi,
Dziewczyna pusta.

Więc klnijmy w pijanym szale
Opatrzność niemiłosierną...
W łeb sobie jutro wypalę,
Pijąc Falerno!

PIOSNKA PIJAKA

Na trzeźwo nie mogę żyć!
Więc się upijam od rana
I zawsze z pełnego dzbana
Do nocy wciąż muszę pić!
Za każdym kielichem wina
Piękniejszym staje się świat
I urok młodzieńczych lat
Wstępować w serce zaczyna.

Zaledwie wypróżnię dzban,
Piosenkę znajduję na dnie,
A ona dźwięczy tak ładnie
Wśród moich samotnych ścian!
Rozjaśnia duszę pogodą
I z serca zdejmuje pleśń, —
Wesołą swobodną pieśń
Fantazyę wskrzesza mi młodą:

I słyszę kochanki głos,
Pierwsze miłosne zaklęcia,
I chwytam dzban mój w objęcia,
Padając na flaszek stos.
Zdjętemu błogiem marzeniem
Zda się, że wraca znów
Do jasnych młodości snów
Ponad srebrzystym strumieniem!

Po kwiatach sączy się zdrój
A wietrzyk roznosi wonie...
Pierś ogniem szlachetnym płonie:
Chcę wznowić rycerski bój;
W dobranym braci orszaku
Ochoczo biegnę na szturm
I słyszę w odgłosie surm:
— "Zwycięstwo przy białym ptaku!"

Pośpieszam co zdąży koń
I u nóg kochanki klęczę:
Ona z obłoków rwie tęczę
I moją ozdabia skroń.

W rodzinne przychodzę strony
I witam rzucony dom,
I matki radośnym łzom
Powierzam zdobyte plony...

W pośrodku ojczystych pól...
Lecz tu się sen mój ucina.
Fantazyi gdy braknie wina.
Powraca zgłuszony ból,
Każda odnawia się rana:
Na trzeźwo nie mogę żyć...
A więc pozwólcie mi pić
Z mojego pełnego dzbana!

KARNAWAŁOWY LAMENT POETY.

O, poezyo, ty nie grzejesz:
A tu takie ciężkie mrozy!
Dobrze jeszcze tym, co mają
Ciepłe futra i powozy;
Lecz nam, dzieciom Apollina,
Strasznie zimno być zaczyna.

Poezyami palić trzeba,
Drzewo bowiem podrożało,
A te dużo dają dymu,
Ale za to ciepła mało:

Najognistszą paląc odę,
Zamroziłem w piecu wodę.

O, szczęśliwy ten śmiertelnik
Co się zrodził milionerem,
Co przy cyfrze swego mienia
Jest ostatniem wielkiem zerem!
Bo on właśnie o tej porze
Jest u hrabstwa na wieczorze.

W salonowej dam cieplarni,
Pośród kwiatów egzotycznych
Sam zakwita purpurowo
Przy libacyach ustawicznych
I podziwia dziewic gracyę,
Oczekując na kolacyę.

Tak mu dobrze, tak mu ciepło!
Hrabia jemu rękę ściska,
A hrabina — ta z nim tańczy;
Panny chcą go widzieć zblizka,
Robiąc przytem spostrzeżenie,
Że ma piękne ułożenie.

Blaskiem spojrzeń czarujących
On się pieści i ogrzewa:
A ja z domu uciec muszę,
Bo mi całkiem brakło drzewa;
Poetyczna wena skrzepła —
Trza u ludzi szukać ciepła.

Pędzę szybko przez ulicę,
Palto wiatrem mam podszyte...
Jest to smutna ostateczność
Iść się ogrzać na wizytę;
Ale cel uświęca środki:
A więc idę grzeczny, słodki...

W jednym domu, w drugim domu
Odpowiada mi służący,
Że dziś państwo są na mieście
Na herbacie tańcującej:
Na to tylko ten karnawał,
Żebym ludzi nie zastawał!

Aż nareszcie gdy skostniałem,
O, radości! o, rozkoszo!
W jakiem czwartem, piątem miejscu
Lokaj mówi: — "Państwo proszą."
Gdybym był, ach, demokratą,
Uściskałbym jego za to.

Wchodzę śpiesznie do salonu:
Cieplej niby niż na dworze;
Ale pani jakaś kwaśna,
Panna także nie w humorze,
I chłód wieje nieustanny
Z twarzy pana, pani, panny.

A rozmowa jak po grudzie:
To podskoczy, to ustanie,
Choć dom cały błyszczy w świecie

Przez wykwintne wychowanie
I w ogólnem tu pojęciu
Jest przybytkiem muz dziewięciu.

Rozmawiamy więc o wszystkiem:
O Bulwerze i Kaulbachu,
O muzycznem towarzystwie,
O Mozarcie, Glucku, Bachu,
O Alhambrze i Walhalli—
I tam dalej, i tam dalej.

Panna Lowiem co minuta
Z ust wyrzuca wielkie imię;
Ja powtarzam, ale widzę —
Na fotelu pan już drzemie...
Chcę odchodzić, gdy wtem matka
Mówi do mnie: "Jest herbatka."

Ach, herbata, ta herbata!
Co podają nam we Lwowie; —
Ta nikomu wyjść nie może
Na pożytek i na zdrowie:
Biedny jesteś, nieboraku,
Co ją pijesz bez araku!

Trzeba było jednak spełnić
Ocukrzoną czarę do dna,
Szczęście jeszcze, że na drugą
Prosić tutaj — rzecz nie modna;
Nie odniosłem zatem szwanku:
Cieplej było po rumianku.

Aż tu, widzę, panna idzie
Z miną dziwnie zamyśloną
I przynosi wielką księgę
Bardzo ładnie oprawioną.
Z trwogą patrzę się tajemną,
Że ją kładzie tuż przede mną.

I, wspierając się o stolik,
Z wielkim wdziękiem się kołysze,
Mówiąc do mnie: "Ja słyszałam,
"Że pan zdolnie wiersze pisze:
"Do albumu więc mojego
"Pan wymyśli co ładnego.

"Jest tu dużo wielkich ludzi,
"Gapczykiewicz, Totumfacki,
"I ten Gucio, co-to robi
"Lepsze wiersze niż Słowacki!
"Tylko brak mi jeszcze pana,
"Ale jego grzeczność znana..."

Ha, co robić! za herbatę
Trzeba album wziąść przez grzeczność
I powracać z niem do domu —
Smutna, smutna ostateczność!
Tak więc dźwigam wielką księgę,
Klnąc te mrozy na potęgę.

Spać zawcześnie; to mię zmusza
Do miejskiego wejść kasyra —
I spotykam mego krawca,

Co o dług się upomina;
A tam krawcy znaczą tyle,
Co w Egipcie krokodyle...

ZAPUSTNY OBRAZEK.

Noc zapadła; niebiosa jasne i pogodne
Błyszczą się jakby modre zamarzłe jeziora —
Tak dla oka są sine, przejrzyste i chłodne.
Dawno zagasł ostatni rumieniec wieczora,
A biały odblask śniegu, w powietrze odbity,
Dziwną martwością powlókł zmrożone błękity.
Jasność, błękitna w górze, srebrzysta u spodu,
Drżącą a chłodną falą przenika świat cały...
I księżyc po niebiosach jak po tafli lodu
Ślizga się i na pola patrzy, co zbielały,
Gwiazd nieskończoność... wszystkie, zaiskrzone mocno,
Błyskają migotliwem, jaskrawem światełkiem,
Nad miastem, co się właśnie budząc porą nocną,
Zawrzało wesołością i ruchliwym zgiełkiem.
Na ulicach dokoła ruch i wrzawa wzrasta,
Snuje się pełno ludzi, a powozy w biegu
Niemiłosiernie skrzypią po przymarzłym śniegu,
Słychać piosnki hulaszcze... tu owdzie wśród miasta
Dolatuje muzyka z oświetlonej sali;
Przez okna widzieć można falujące głowy;
Tłum się tłoczy do wejścia, — bo to bal ludowy

A taniec już się zaczął. Kilka ulic dalej,
Wśród orszaku ciekawych, do pałacu bramy
Zastawionej kwiatami, szereg karet liczny
Zajeżdża, a z nich strojne wysadzają damy,
Galonowi lokaje... Bal będzie prześliczny!
Gdzieniegdzie po ulicach krzątają się maski,
Zdążając na zabawę — dyabły, arlekiny,
Trzęsą się wprawdzie z zimna, lecz nie tracą miny:
Biegną wesoło — słychać pusty śmiech i wrzaski.
Wszystko się krząta, bawi, albo bawić żąda;
Nawet nędzarz nieśmiało do szynku zagląda,
Patrząc z niemą zazdrością na szczęśliwe pary,
Co się kręcą przy brzęku niestrojnej gitary,
Której pomaga zgrzytem chrapliwa basetla.
Dla niego ta izdebka, duszna, odraźliwa,
I ta lampa dymiąca, która ją oświetla,
Ten hałas i ta kłótnia, co się nagle zrywa —
Ach, tyle ma uroku! — i tyle go nęci
Ten napokój, co przynosi ulgę dla pamięci!
Zapusty! — nic dziwnego, że się ludek cieszy:
Prócz chleba, trzeba jeszcze dla łaknącej rzeszy
Zapomnienia o troskach codziennych żywota —
Odurzenia i szału, dla myśli — spoczynku...
A więc wszystkich porwała chwilowa pustota,
Zacząwszy na pałacach, skończywszy na szynku.

PRZY KOMINKU.

Gdy się ogień na kominku pali,
Lubię grzać się przy jego płomieniu...

I w przekwitłej młodości wspomnieniu
Odgrzebywać te iskry błyszczące,
Co tryskają z płomienistej fali
I znikają w ciemnościach gasnące...

Złote głoski w ognisku zawarte
W szereg natchnień minionych układam
Złote mary wstające spowiadam,
O przeszłości mówiące tak wiele,
I na nowo odtwarzam tę kartę,
Co już dawno zastygła w popiele.

Przez girlandy tańczących płomyków
Wzrok mój leci i blaskiem się pieści;
Wszystkie życia prześnione powieści,
Pogrzebane w sercu mojem na dnie,
Występują z zamglonych tajników
I przez chwilę znów błyszczą tak ładnie.

Na stos jeden ułożone drewna
Zdają mi się być stosem pogrzebu,
Skąd burzliwie uleci ku niebu
Ta pogańska wszech bogów kapłanka —
Mara jasnej młodości powiewna —
Biegnąc szukać nowego kochanka!

KARMELKOWY WIERSZ.

Bywało dawniej, przed laty,
Sypałem wiersze i kwiaty

Wszystkim dziewczątkom;
Bom myślał — o, piękne panie —
Że kwiat lub słowo zostanie
Dla was pamiątką.

Wierzyłem — zwyczajnie, młody —
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć;
Że trocha serca kobiecie
Świetnej karyery na świecie
Nie może psuć.

Aniołków brałem na seryo
I z śmieszną Don-Kiszoteryą
Wielbiłem lalki,
I gotów byłem — o, zgrozo! —
Za Dulcyneę z Tobozo
Stanąć do walki!

Lecz dziś komedyą salonu,
Jak człowiek dobrego tonu,
Na wylot znam.
Z serca pożytek nie wielki:
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.

PRELUDYUM.

Już niejeden obraz miły
Ciemne widma zasłoniły,

I niejeden ślad zatarły —
Ślad przeszłości obumarłej.

Łzy, uśmiechy, kwiatów wieńce,
Pragnień ognie i rumieńce,
Sny miłości, szczęścia, chwały —
Już się w drodze rozsypały;
Pozostały za mną w tyle
Na rozdrożach — lub mogile.

Lecz choć wszystko pierzchło, znikło —
Serce kochać nie odwykło
I młodzieńczych natchnień chwila
Jeszcze duszę wciąż zasila;
Jeszcze czystem światłem błyska
Przez mgły ciemne i zwaliska
I w ten życia wieczór szary
Rzuca wspomnień cudne mary.

Wciąż młodości wiara żywa
Pozrywanych snów ogniwa
W idealny wieniec splata
I wskazuje piękność świata.

Więc znów oczy mam zwrócone
Na jaśniejszą życia stronę,
Znów odczuwam to, co piękne,
Znów przed śpiewnym głosem mięknę,
I swych wspomnień mary blade
Znów z miłością na pierś kładę —
A gdy serce drży boleśniej
To przerabiam łzy na pieśni.

NAJPIĘKNIEJSZE PIOSNKI.

Najpiękniejszych moich piosnek
Nauczyła mnie dzieweczka;
Mistrzem bowiem były dla mnie
Harmonijne jej usteczka.

Te usteczka brzmiały zawsze
Jakąś piosnką świeżą, nową;
Każdy uśmiech był melodyą,
Śpiewem było każde słowo.

Wszystko, o czem serce śniło,
Wszystko, o czem nawet nie śni,
Odbijało się w jej oczach
I płynęło w słodkiej pieśni.

Więc mnie zawsze przy jej boku,
Wpatrzonego w jej oblicze,
Kołysały śpiewne mary,
Czarodziejskich brzmień słodycze.

Czegom uchem nie dosłyszał,
Czegom wzrokiem nie doczytał,
Tom z usteczek koralowych
Sam ustami swemi chwytał.

W ZIMOWEJ NOCY.

Idzie z piosenką na ustach
Przez śniegu zaspy zimowe

I nie wie, gdzie mu wypadnie
Na nocleg położyć głowę.

Choć noc już ziemię pokrywa
A wszędzie pustka wokoło —
On w swej samotnej wędrówce
Bez trwogi idzie wesoło.

Patrzy na pola zmrożone,
Na cieniem pokryte drzewa,
I nie przerywa piosneczek
Lecz dalej tak sobie śpiewa:

"Tyś mi nie straszną — o, nocy! —
Chociażeś mroki rozsiała
Tak gęste, jakbyś na zawsze
Nad światem panować miała;

"Bo wiem, że musisz nie długo
Przed słońcem uciec w otchłanie —
A dla tych, co się obudzą,
Zabłyśnie nowe świtanie.

"Ty mi nie zmrozisz — o, zimo! —
Serdecznych moich nadziei,
Choć ziemię pokrywasz martwą
Całunem śnieżnej zawiei.

"Po mimo groźnej twej władzy
Nie mogę zwątpić, że z wiosną,
Jeżeli nie mnie, to innym
Znów świeże kwiaty wyrosną.

"Ty mnie nie zwiedziesz tak łatwo
Pozornym chłodem — o, miła! —
Choć mnie odpychasz za życia...
Choćbyś mnie wzgardą zabiła;

"Bo wiem, że prędzej, czy później,
Chwile niechęci przeminą:
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Moja ty piękna dziewczyno!

"Wy także ludzie przede mną
Próżno uczucia kryjecie:
Nie dam się złudzić pozorom,
Że serc zabrakło na świecie;

"Jak tylko tchnienia cieplejsze
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,
Po śmierci kochać mnie będziesz
Ty, chłodna, milcząca rzeszo!"

ROZŁĄCZENIE.

Ujrzał ją znowu po latach
Z krzyżykiem w ręce...
Jak spała cicho na kwiatach
Po życia skończonej męce;
Ujrzał — gdy każde swe słowo,
Każde spojrzenie łaskawsze
Uniosła w ciemność grobową
Na zawsze.

Jak obcy przyszedł tu do niej
W dzikiej rozpaczy,
Wiedząc, że główki nie skłoni,
Nie wstanie i nie przebaczy:
Więc boleść piersi mu targa —
I stoi blady jak chusta,
I straszna tłoczy się skarga
Przez jego usta

I mówi: — "Już leżysz w trumnie,
Nic cię nie wzruszy;
Nie spojrzysz litośnie ku mnie,
Nie zdejmiesz ciężaru z duszy!
Nikt losów moich nie zmieni
I klątwy nikt nie odwoła;
Nie sięgnie w morze płomieni
Ręka anioła.

"Nie dojdzie do twego ucha
Moje wołanie:
Przestrzeń przegradza nas głucha,
Wieczyste ciężkie rozstanie;
Na zawsze pomiędzy nami
Ciemna się przepaść rozwarła...
Mnie czoło występek plami —
A tyś umarła!

"Dla innych nadzieją błyska
Grobowca łono,
Bo wiedzą, że duch odzyska
Miłość na ziemi straconą;

Dla innych rozstania chwile
Szybko uniesie czas rączy,
I znów kochanków w mogile
Wieczność połączy:

"Lecz mnie zgon również jak życie
Od ciebie dzieli:
Obcą mi będziesz w błękicie,
Jak tu na zmarłych pościeli.
Przedział otworzy daleki
Ta śmierć, co innych przybliża;
Bo nas rozdziela na wieki —
Znak krzyża!"

ŁABĘDZI ŚPIEW.

Łabędzi słyszałem śpiew...
Było to letnim wieczorem:
Przy bladem świetle miesiąca,
W pośrodku płaczących drzew,
Ponad przejrzystem jeziorem —
Stała wybladła i drżąca,
Łabędzi zawodząc śpiew.

Na cichej powierzchni fal
Łabędzie pieśni słuchały,
Myśląc, że jeden z ich grona
Przedśmiertny wylewa żal;
Gdyż ona, jak łabędź biały,

Co z pieśnią zraniony kona,
Śpiewała wśród cichych fal.

Dziś dla niej ostatni dzień,
W którym do śnieżnych słuchaczy
Swobodnie przemawiać może
Wśród serca gwałtownych drżeń,
I głosem śpiewnej rozpaczy
Płynąć po modrem jeziorze,
Żegnając ostatni dzień.

Gdyż jutro wykopią grób
Dziewiczej życia piosence,
Pogrzebią sen ideału...
Jutro nastąpi jej ślub —
I zwiążą na zawsze ręce,
Bez serc żywszego udziału
W małżeński położą grób.

Niemiły weźmie ją mąż:
Tak każą względy rodowe
I domu wysokie związki;
Te słowa słyszała wciąż...
Więc poddać musiała głowę
Pod cierń mirtowej gałązki,
Pod łańcuch, co włoży mąż.

I musi, rzucając dom,
Pójść za nim jak niewolnica,
Po stracie wszystkich swych marzeń,
Ku ciemnym, nieznanym dniom —
Przywołać uśmiech na lica,

Gdy sama, pełna przerażeń,
Porzuca rodzinny dom.

I nie wie, jaki jej byt
Zgotuje ręka człowieka,
Którą ma ująć ze łzami;
Czy boleść, rozpacz lub wstyd
W ciemnej przyszłości ją czeka?
Czy białych skrzydeł nie splami
Ten nowy posępny byt?

I nie wie, na jaki ląd
Obca ją wola popędzi...
Wie tylko, że bez miłości,
Bez pociech odjedzie stąd
I już wśród białych łabędzi
Nie stanie w dawnej czystości,
Na obcy stąpiwszy ląd.

Więc bólem dobyty śpiew
Rzuca, w łabędzia postawie,
Tej rzeszy słuchaczy bratniej
Z pod wieńca płaczących drzew:
Ptaki słuchają ciekawie,
Bo wiedzą, że to ostatni,
Prawdziwy łabędzi śpiew!

UCISZ, SIĘ SERCE.

Ucisz się, serce! — swoich strat
Już nie opłakuj, stroskane;

Ale wschodzący pozdrów świat
I jego jutrznie różane.

Błogosław nowym życia dniom,
Temu, co wschodzi i rośnie,
Świeżym nadziejom, świeżym snom;
Świeżej młodości i wiośnie.

Pozdrów pokoleń ród,
Nowych kochanków zachwyty,
Nowe tęsknoty, nowy ból, —
I wiecznie nowe błękity.

Pozdrów kłos złoty nowych pól,
Nowych kochanków zachwyty,
Nowe tęsknoty, nowy ból, —
I wiecznie nowe błękity.

Pozdrów tych wszystkich wiernych sług,
Co twardą pracą i znojem
Płacą ludzkości święty dług,
O szczęściu nie myśląc swojem;

I tych, co będą światło nieść
Do chat gdzie ciemni i głodni, —
Co będą walczyć, aby zgnieść
Widziadło nędzy i zbrodni.

Witaj ich wszystkich w blasku zórz,
Który zaledwo widnieje;
W ich ręce swoją wiarę złóż,
Swą miłość i swą nadzieję.

Przy dziewczynie chłopiec siada
I o coś się pyta.

Gdy słowiczek pieśń wiośnianą
Nuci ponad strugą, —
Ukochany z ukochaną
Rozmawiają długo.

Gdy się biały powój wije
Około olszyny, —
Oplatają chłopca szyję
Rączęta dziewczyny.

Gdy na żniwo czas nadchodzi
I żyta się bielą, —
Przysięgają sobie młodzi
Że ich nie rozdzielą.

*

* *

Gdy szron potem trawkę zwarzy,
Zmarszczy listki suche, —
Coś ojcowie radzą starzy
Jak wydać dziewuchę.

Gdy w cieplejsze ciągną światy
Wędrowne bociany, —
Wraca z niczem z ojców chaty
Chłopiec ukochany.

Gdy upadną pierwsze śniegi, —
Dziewczyna rozpacza,

Bo przychodzą na przeszpiegi
Swaty od bogacza.

Gdy nastaje dzionek krótki, —
Trzaska jeździec z bicza,
Ojciec wnosi kielich wódki,
Zięcia grosz oblicza.

Gdy zmrożone staną rzeki,
Ścięte w grube lody, —
Z ciężkiem sercem w świat daleki
Rusza chłopiec młody.

Gdy pod śniegiem dyszą sioła,
Smutnie wrona kracze, —
W ślubnym wianku do kościoła
Dziewczę jadąc płacze.

SIEDZI PTASZEK NA DRZEWIE...

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje;

Bo szukają dokoła
Tam gdzie nigdy nie bywa.
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa;

Szczęście, za którem dzisiaj ty
Napróżno tęsknisz i czekasz,
I niezniszczone wszystkie sny,
Wszystkie pragnienia — im przekaż!

Wzleć ponad własnej drogi kres
Z błogosławieństwem dla świata,
Co w pasmo błędów, walk i łez
Szlachetne dążenia wplata.

A snuć się będzie złota nić,
Chociaż ty spoczniesz w mogile...
I będziesz nowem życiem żyć
W młodzieńczej barwie i sile.

Wszędzie coś z swoich znajdziesz snów
Z uczuć straconych i rojeń —
I z kochanków będziesz znów
Pić słodycz świeżych upojeń;

Będziesz — gdzie ludzkiej myśli zdrój
W niepowstrzymanym rwie biegu...
Gdzie się rozstrzyga duchów bój,
W walczących staniesz szeregu;

Gdzie płynie skargi rzewny głos,
Tam będziesz — i będziesz z temi,
Co chcą polepszyć ludzki los
I przynieść szczęście tej ziemi.

I do wieśniaczych zstąpisz chat
Uczucia budzić nieznane...

Więc nie opłakuj swoich strat,
Pociesz się, serce stroskane!

DLACZEGO WICHER TAK WYJE?

Dlaczego wicher tak wyje
I z jękiem leci ku niebu?
Czy skargi roznosi czyje?
Czy pieśń zawodzi pogrzebu?

Różne są nędze na ziemi:
Są jedne, co litość budzą —
I ma kto płakać nad niemi
I boleść utulić cudzą.

Są inne jakby przeklęte
Od świata, ludzi i Boga...
Gdzie serca rozpaczą wzdęte
Otacza pustka złowroga.

Nikt się nad niemi nie żali,
Obca im wszelka pociecha —
I przepadają gdzieś w dali
Samotnie, bez łzy, bez echa.

Tylko wiatr niesie ku niebu
Brzemienne klątwą rozpacze
I wyje pieśni pogrzebu...
W ciemnościach jęczy i płacze.

MGŁAWICE.

Rozsiane w światów przestrzeni
Kosmiczne spływają mgły;
W smugi przejrzystych pierścieni,
W obłoczek wiążą się mdły.

Pośród gwiaździstych łabędzi,
Gwiaździstych wężów i lir
Moc wieczna w przyszłość je pędzi,
W powszechny wprowadza wir.

Świetlanym zwojem się wznosi
Tych nikłych cząsteczek rój...
Szukają wspólnej swej osi,
By obrót rozpocząć swój, —

I tak się męczą i chwieją
I lotny skupiają pył,
By zbić się z czasów koleją
W szeregi ognistych brył;

Przez długie męczą się wieki,
Chcąc wewnętrzny zdobyć ład.
Dzień jeszcze bardzo daleki,
Gdy nowy z nich wyjdzie świat;

Lecz będą kolebką jasną
Nowych żywotów i sił,

Gdy nasze słońca pogasną,
W kosmiczny zetrą się pył.

* * *

W ludzkiego ducha przestworzach
Podobnie wiąże się mgła
Rzucona w odległych zorzach
Na niebios błękitne tła.

Mgły marzeń płyną po niebie
Do nikłych podobne smug,
Szukają kształtów dla siebie,
Szukają dla siebie dróg.

Chcą tkankę swoją pajęczą
W ciał szereg promienny zbić...
Chwieją się, ważą i męczą,
By mogły w przyszłości żyć.

Przez wieki cienie tych mgławic
Skupiają cząsteczki swe
I czasem światłem błyskawic
Zgęszczoną oświecą mgłę.

Przez wieki krążą tak marnie,
Czekając na przyszły świt,
Który za wszystkie męczarnie
Słoneczny nada im byt.

I przyjdzie czas ten, gdy one
Po długim upływie lat

Zastąpią dawne zburzone
I nowy utworzą świat.

DAREMNE ŻALE.

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu:
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z Żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe:
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę!

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą!
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

ZACZAROWANA KRÓLEWNA.

Zaczarowana królewna
W mirtowym lasku drzemie;

U nóg jej lutnia śpiewna
Zsunęła się na ziemię;

Niedokończona piosneczka
Uśmiechem lśni na twarzy;
Drżą jeszcze jej usteczka...
O czemś rozkosznem marzy.

Marzy o jednym z rycerzy,
Że idąc przez odmęty,
Do stóp jej tu przybieży
I przerwie sen zaklęty.

Lecz rycerz, co walczył dla niej —
Ten męstwo swe przeceniał:
Zabłąkał się w otchłani...
I zwątpił... i skamieniał.

ZA MOICH MŁODYCH LAT.

Za moich młodych lat
Piękniejszym bywał świat,
Jaśniejszym wiosny dzień!
Dziś niema takiej wiosny:
Posępny i żałosny,
Pokrywa ziemię cień.

Za moich młodych lat
Wonny miłości kwiat

Perłowym blaskiem lśnił.
Dziś blaski te i wonie
Napróżno sercem gonię...
Czarny je obłok skrył.

BÓL ZASNĄŁ.

Ból zasnął we mnie już zcicha,
Jak dziecię krzykiem zmęczone
Łzy na dno duszy kielicha
Spływają niepostrzeżone.

Wszystkie żywota gorycze
Zamknąłem w sercu, jak w grobie:
Niech drzemią w niem tajemnicze,
Nie mówiąc światu o sobie.

Lecz jeszcze męczarnia cudza
Łzę wydobywa z pod powiek,
Do gorzkiej myśli pobudza
Przybity rozpaczą człowiek.

Jęk, który w ciemnościach słyszę,
Paląca nędzarzów skarga
Jeszcze przerywa mi ciszę
I żalem pierś moją targa.

A nie tych żal mi najbardziej,
Co cierpią niezasłużenie:

Ci, jako rycerze twardzi,
Znieść mogą każde cierpienie;

Ci, chociaż los ich przygniata,
Chociaż nieszczęścia dłoń kruszy,
Mają współczucie od świata
I spokój własnej swej duszy...

Lecz żal mi tych, którym cięży
Poczucie spełnionej winy,
Co w sercu noszą kłęb węży
I cierpią z własnej przyczyny.

Takiej boleści posępnej
Najsilniej wstrząsa mną echo...
Gdyż w mrok ich duszy występnej
Nie można zstąpić z pociechą.

JEST-ŻE TO PRAWDĄ?

Jest-że to prawdą? że nad mą kołyską
Dzieckiem niebiańskie widziałem zjawisko —
Anioła, który, schylony nade mną,
Zwolna mi z duszy noc odganiał ciemną
I, rozpostarłszy blasków swych koronę,
Miłością poił serce przebudzone,
A chociaż skrzydła otwierał do lotu,
Słodką nadzieją żegnał mnie powrotu...

Jest-że to prawdą? że zniknął przedwcześnie,
Zaledwie sercem przeczuwany we śnie,
I że już odtąd napróżno na ziemi
Za jego ślady goniłem jasnemi;
Aż zbłąkanemu nad ciemne otchłanie
Coraz mniej dawne jaśniało świtanie
I w duszy cudne zatarły się lica,
I ta powrotu słodka obietnica...

Jest-że to prawdą? że mi teraz znowu
Wolno zawierzyć anielskiemu słowu
I śnić, że dusza stęskniona przywoła
Wracającego z błękitów anioła...
Jest-że to prawdą? że mi teraz dano
Powitać widzeń jutrzenkę różaną
I pod jej skrzydeł opiekuńczych dwoje
Znowu w opiekę oddać serce swoje...

BARKAROLA.

Noc taka jasna!
Gwiazdami płonie,
Światłem okala
Przejrzyste tonie.

Noc taka jasna!
Jasna i cicha...
Zaledwie fala
Szemrze i wzdycha.

Łódka jak ptaszę
Po wodzie z lekka
Wzlatuje z nami
I w dal ucieka...

A serca nasze,
Pełne zachwytów,
Wybiegły łzami
W morze błękitów.

W świateł powodzi
W niebo się wznoszą,
Miłością drżące,
Senne rozkoszą.

Płyń więc — o, łodzi, —
Choćby na wieki,
Przez wody śpiące
W obszar daleki...

Aż gdzieś w przestrzeni
Zginiem w oddali,
W półcieniach jasnych
Na srebrnej fali, —

A roztopieni
W cichym błękicie
Tylko serc własnych.
Usłyszym bicie.

NA POCZĄTKU.

Na początku nic nie było,
Tylko przestrzeń ciemna, pusta...
W tem jej czarne błysły oczy
I różowe świeże usta.

Od jej spojrzeń, od rumieńca
Zajaśniała świateł zorza,
A gdy pierwsze rzekła słowo,
Ziemia wyszła z głębi morza.

Gdy przebiegła ziemię wzrokiem.
Śląc jej uśmiech — rój skrzydlaty
Wzleciał ptaków i motyli
A z pod ziemi wyszły kwiaty.

Lecz nie istniał jeszcze człowiek,
Tylko martwa gliny bryła;
Aż nareszcie swym płomiennym
Pocałunkiem — mnie stworzyła.

I zbudziłem się do życia
W cudowności jasnym kraju...
Lecz mnie również, tak jak innych,
Wypędzono z tego raju.

SZCZĘŚLIWA MŁODOŚĆ!

Szczęśliwa młodość!.. nawet smutki
Zaprawne ma rozkoszą;

Dzień szczęścia długi, żalu — krótki;
Łzy ulgę jej przynoszą.

Szczęśliwa młodość swe boleści
W słowiczym odda śpiewie
I echem własnych skarg się pieści,
I o swem szczęściu nie wie!

MIŁOŚĆ JAK SŁOŃCE.

Miłość jak słońce: ogrzewa świat cały
I swoim blaskiem ożywia różanym;
W głębiach przepaści, w rozpadlinach skały
Dozwala kwiatkom zakwitnąć wiośnianym
I wyprowadza z martwych głazów łona
Coraz-to nowe na przyszłość nasiona.

Miłość jak słońce: barwy uroczemi
Wszystko dokoła cudownie powleka;
Żywe piękności wydobywa z ziemi,
Z serca natury i z serca człowieka,
I szary, mglisty widnokrąg istnienia
W przędzę purpury i złota zamienia.

Miłość jak słońce: wywołuje burze,
Które grom niosą w ciemnościach spowity,
I tęczę pieśni wiesza na łez chmurze,
Gdy rozpłakana wzlatuje w błękity,
I znów z obłoków wyziera pogodnie,
Gdy burza we łzach zgasi swe pochodnie.

Miłość jak słońce: choć zajdzie w pomroce,
Jeszcze z blaskami srebrnego miesiąca
Powraca smutne rozpromieniać noce
I przez ciemności przedziera się drżąca,
Pełna tęsknoty cichej i żałoby,
By wieńczyć śpiące ruiny i groby.

W WIECZNY CIEŃ.

Spadła śmieci już zasłona
Na żywota grzeszny dzień:
Idzie dusza potępiona
W wieczny cień;

Idzie w ciemność tak leniwo,
Na rzucony patrząc świat,
Gdzie występków smutne żniwo
I zbrodniczy został ślad;

Widzi każdą myśl swą czarną —
Jak jej zniszczyć nie mógł zgon,
I szkodliwe widzi ziarno —
Jak obfity daje plon.

Złe na gorsze się przemienia:
Błędy ojca bierze syn
I z pokoleń w pokolenia
Spada ciężar dawnych win.

Więc przeklęte widząc koła
I występku tajną moc,
O zatratę własną woła,
O nicestwa głuchą noc —

I, przez ognia idąc rzeki,
Straszną rozpacz niesie w dal;
Chce się ukryć gdzieś na wieki
W płomienistych głębi fal;

Chce, by płomień wyżarł z łona
Nieśmiertelny bytu rdzeń...
Idzie dusza potępiona
W wieczny cień!

NIEŚMIERTELNI.

Przez mgły czasu, w otchłań wieków
Zaglądając, widać w dali
Pośród mętnych plemion ścieków,
Wśród burzliwej ludów fali —
Nieśmiertelnych, co przetrwali
Długą kolej pierzchłych wieków.

W próchnie ziemi, w dziejów pyle
Rozjaśnione twarze świecą;

Ku nieznanej ich mogile
Duchy nowych mężów lecą,
By wyprosić światła nieco
Na jutrzejszą świtań chwilę.

Na świeczniku z trupich kości,
Niezgryzieni pleśnią rdzawą,
Stoją żywcem wśród ciemności
Nad przebrzmiałą życia wrzawą
I płomieniem swym jaskrawo
Oświecają twarz ludzkości.

Każdy w swego wieku łonie
Całą jego myśl zawiera;
Sfer przyszłości biorąc w dłonie,
Nową jutrznię rozpościera —
A zaczęta przezeń era
Nieśmiertelne wieńczy skronie.

PANIENECZKA...

Panieneczka, panieneczka
    Czesze złoty włos,
Śpiewną piosnką brzmią usteczka,
    Nuci sobie w głos...

Białe lilie cicho drzemią
    Otulone w cień,

Kołysane ponad ziemią
Falą chłodnych tchnień.

Noc zamyka im kielichy,
Strzegąc czystych szat,
W niewinności pozór cichy
Stroi biały kwiat

I powiada: — "Śpijcie w cieniu,
Śpijcie póki czas!
Gdy zaświta — w swym płomieniu
Słońce spali was.

"Nie wzdychajcie, ach, przedwcześnie
Do skwarnego dnia:
Wymarzone szczęście we śnie
Krótko potem trwa."

Ale lilie choć stulone
Nocny piją chłód,
Już w sloneczną patrzą stronę
Na różowy wschód.

Oczekują tęsknie chwili,
Gdy z pieszczotą już
Biały kielich im odchyli
Blask promiennych zórz.

I daremnie noc na straży
Swych udziela rad:
O miłości dziewczę marzy,
A o słońcu kwiat.

GDY OSTATNIA RÓŻA ZWIĘDŁA.

Gdy ostatnia róża zwiędła,
Rzekłam chłopcu: "Idź;"
Zerwała się złota nić,
Którą miłość przędła.

Poskoczyłam jak najprędzej
Świeży wątek wziąść,
Chciałam złotą nitkę prząść...
Lecz zabrakło przędzy.

Zakwitnęły róże znowu,
Nić się nie chce snuć...
Próżno wołam: "Luby, wróć!"
On nie wierzy słowu.

KOPCIUSZEK.

W gniewie zaklęła ją wróżka —
I odtąd biedna królewna
Przybrała smutną postać kopciuszka:
W lichej odzieży
Na rozkaz bieży
I nosi wodę i drewna.

Napróżno w jej czystem łonie
Skarbów zawiera się mnóstwo

I w niewidzialnej próżno koronie
Jej piękność świeci,
Gdyż ziemske dzieci
Dojrzały tylko ubóstwo.

Nieraz w jej państwie zaklętem
Rycerski stanął królewic;
Lecz na jej odzież spojrzał ze wstrętem —
I poszedł dalej,
I z złotej sali
Wziął jedną z pośrednich dziewic.

ASTRY.

Znowu więdną wszystkie zioła;
Tylko srebrne astry kwitną,
Zapatrzone w chłodnych niebios
Toń błękitną.

Jakże smutna teraz jesień,
Ach, smutniejsza niż przed laty,
Choć tak samo żółkną liście,
Więdną kwiaty.

I tak samo noc miesięczna
Sieje jasność, smutek, ciszę,
I tak samo drzew wierzchołki
Wiatr kołysze;

Ale teraz braknie sercu
Tych upojeń i uniesień,
Co swym czarem ożywiały
Smutną jesień.

Dawniej miała noc jesienna
Dźwięk rozkoszy w swoim hymnie,
Bo anielska czysta postać
Stała przy mnie...

Przypominam jeszcze teraz
Bladej twarzy alabastry,
Krucze włosy — a we włosach
Srebrne astry...

Widzę jeszcze ciemne oczy...
I pieszczotę w ich spojrzeniu;
Widzę wszystko w księżycowem
Oświetleniu...

TYM, KTÓRZY SMUTNI.

Tym, którzy smutni, tym, którzy zgnębieni
W milczeniu tylko i cierpią i giną —
Tym dla serc trzeba jaśniejszych promieni
Nad idealną świecących krainą.

Im zimne słowa mędrców nie wystarczą
I praw koniecznych bezwzględna powaga

Nie będzie dla nich osłoną ni tarczą,
Gdy serce gwałtem szczęścia się domaga.

Trzeba i pociech, których nie da życie,
Trzeba anielskich uśmiechów w błękicie
Trzeba litosnej nad światem opieki,
Trzeba miłości wiecznej — choć dalekiej...

DAŁAM CI MOC.

Dałam ci moc nad sercem ludzi, —
Moc, której próżno przeczą,
Gdyż ona łzy i zachwyt budzi,
Wstrząsając pierś człowieczą.

Piękności czar — ten nie przeminie,
On wieczną jest potrzebą;
I ludzki duch wciąż za nim płynie,
W błękitne patrząc niebo.

Piękności czar — ten zawsze będzie
Nad światem dzierżyć władzę,
I swoją woń rozsiewa wszędzie
Kwiat każdy, co zasadzę.

Niechaj więc chłód i cisza głucha
Wśród świata cię nie ziębi:
Najlepszy siew twojego ducha
W serc cichej wejdzie głębi.

Tych śpiewnych brzmień, co ja poruszę,
Niepamięć nie pogrzebie;
Lecz, choćbyś dał swą całą duszę,
Nie żądaj nic dla siebie.

Nic żądaj nic od biednej rzeszy,
Zmęczonej życia znojem:
Ty rzucaj blask, co ją pocieszy,
I sercem nakarm swojem.

Idź sobie w grób, nieznany światu,
Bez żądzy sławy próżnej,
Bez wieńców róż, bez mirtów kwiatu,
Bez bratnich łez jałmużny.

Ziszczenia snów, owoców trudu,
Nie pragnij tu oglądać:
Dałam ci moc nad sercem ludu, —
Nie możesz więcej żądać!

DZIEJE PIOSENKI.

Narodziła się w duszy poety
W łez mroku,
Wywołana miłością kobiety
Jako tęcza na marzeń obłoku, —
Śpiewnych dźwięków odziana sukienką,
Drgnieniem serca dobyta z nicości,

Przyszła na świat naiwną piosenką
Miłości.

Upajała melodyjnem tchnieniem
Pierś młodą
I nad starców rozwianem marzeniem
Słodkich wspomień jaśniała pogodą;
Wzgórza brzmiały jej rozkosznem echem,
Przedrzeźniali ją Faunowie leśni,
Płoche Nimfy wtórzyły z uśmiechem
Tej pieśni.

Przeszły wieki świeżości młodzieńczej
I krasy;
Nikt się teraz różami nie wieńczy,
Wchodząc z troską codzienną w zapasy;
Nie słuchają już Nimfy na łące
I nie wtórzą piosnkom w wieczór letni;
Zagłuszyły dziś burze huszczące
Głos fletni.

Jednak pieśń ta, starodawna, grecka,
Wciąż wraca!
Nieśmiertelnym swym uśmiechem dziecka
Chmurne niebo nad ziemią wyzłaca, —
Wraca z każdą serc i wieków wiosną,
Pełna dziwnej, niespożytej siły,
I roztacza w koło woń miłosną
Z mogiły.

NIE MÓW.

Nie mów! — chociażbyś miał ginąć z pragnienia —
Że wszystkie źródła wyschły już bijące:
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów! — chociażbyś umierał z tęsknoty, —
Że niema czystej miłości na ziemi:
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając błędnemi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu — marą jest zwodniczą!
Zdrój czystych uciech będzie innym szumiał
I inne serce poił swą słodyczą.

KWIATY I CHWASTY.

Są kwiaty tyle barwne i ponętne tyle,
Że ściągają do siebie pszczoły i motyle;
Stoją wśród zalotników skrzydlatego wieńca
I nie mają obrony innej prócz rumieńca,
I źle im wróżą wszystkie doświadczone zioła,
Wiedząc, że słodycz lubi i motyl i pszczoła.

Są inne, mniej powabne, lecz przezorne, chwasty,
Co stoją najeżone jak oset kolczasty...

I te, przed napastników zuchwałą pogonią
Zabezpieczone, łatwo kolcami się bronią
I dumne są z zwycięztwa— nic bowiem nie
wiedzą,
Że je pomimo kolców wreszcie osły zjedzą.

POKORA POETÓW.

Niezwykle pokornego spotkałem poetę...
Wśród poufnej rozmowy przyszedł na myśl
Goethe —
I mówiliśmy o nim... Wtem poeta, skromnie
Spuściwszy swoje oczy, odwraca się do mnie
I wręcz mnie zapytuje: "Czy zgadniesz, kolego,
W czem ja jestem właściwie wyższy od Goethe-
go?
Jam zdrętwiał — a on, widząc, że nie zgadnę,
skoro
Rzecze: "Ja jestem wyższy od niego pokorą."

UCZENI.

Gdy przybędzie do miasta obcy kruk uczony,
Wnet na niego miejscowe napadają wrony;
Dzióbią go bez litości, wyskubują pióra,
Próbując: czy grzbiet giętki i hartowna skóra?

Jeśli konieczną mędrcom cierpliwość posiada,
Wtedy go mądre wrony przyjmują do stada;
A do wielkiego bractwa gdy się raz zapisze,
Wolno mu wraz z drugimi dzióbać znów przybysze.

IRONIA.

Ironia dziwnem jest ziółkiem, co żyje
Łzami i bólem, a śmiechem zakwita;
Na gruzach szczęścia jako bluszcz się wije
A w jego wieńcach ruina spowita,
Choć krwawe ślady w łonie swojem kryje,
Zawsze uśmiechem przechodzących wita
I własną pustkę i smutek wyszydza —
Przed okiem widza.

MARNOTRAWCOM.

Niech nikt sił własnych nadto nie przecenia,
Ani też nadto w swą szlachetność wierzy:
Trzeba się liczyć z czynem poświęcenia
I marnotrawić serca nie należy.
Kto dobrowolnie lepsze swe natchnienia
Wyda na pastwę przechodniów grabieży,
Temu zabraknąć może sił zasobu,
Aby z godnością dojść później do grobu.

ŻABY.

Żaby, jak to wiadomo, lubią siedzieć w bagnie...
Choć która zeń wyskoczy, zaraz wracać pragnie:
Więc choć są zniewolone czasem do podróży,
Zawsze na nocleg trafią do jakiej kałuży,
A wróciwszy do siebie, powiedzą z prostotą,
Że w całym świecie wszędzie jednakowe błoto.

Są ludzie, co tak samo wydają wyroki,
Że kałużą zepsucia cały świat szeroki,
I że wszędzie, gdzie spojrzeć, wysoko, czy nizko,
Trzeba zawsze jednakie napotkać bagnisko.
Lecz ja, kiedy usłyszę te skargi rozpaczne,
Zaraz surowych sędziów podejrzywać zacznę
I myślę sobie w duchu: Ci pewnie z ochotą,
Jak żaby, lubią wszędzie wyszukiwać błoto.

WIELKIEMU CZŁOWIEKOWI.

Jesteś wielkim człowiekiem: bądź nim gdzie należy,
Lecz do śmiertelnych przychodź w zwyczajnej odzieży;
Bierz za przykład Jowisza, co, choć gromowładny,
W dom śmiertelnych przychodził grzeczny i układny,
Nie chcąc zbyt żywym blaskiem olimpijskiej chwały

Razić biednej ludzkości wzrok niedoskonały.
Więc i ty, kiedy schodzisz w towarzystwo ludzi,
Nie bierz ze sobą gromu, który postrach budzi,
Nie przynoś orlich spojrzeń, tytanicznych postaw —
Lecz wielkość z kaloszami w przedpokoju zostaw!

UMYSŁ MĘDRCA.

Głęboki umysł mędrca z swojego ogniska
Jak brylant różne barwy i odblaski ciska,
A chociaż wciąż się mieni w barwnej świateł zorzy,
Z pojedyńczych odblasków harmonia się tworzy.

Umysł pedanta, nakształt brukowych kamieni,
Tęczowemi barwami nigdy się nie mieni
I w tem dumę pokłada, że, wciąż jednej miary,
Zawsze jest jednostajny, bezbarwny i szary.

PRZYCZYNOWOŚĆ.

Nasz rozum, ułatwiając poznanie zagadki,
Wiąże następujące po sobie wypadki
I związek zależności przeprowadza ścisły
W szeregu, co najbliżej podpada pod zmysły:

Więc o zjawiskach twierdzi w dochodzeniu
krótkiem,
Że jedno jest przyczyną, a drugie jest skutkiem.
Szukając zaś przyczyny, często nasza wiedza
Bierze za nią fakt błahy, co skutek poprzedza,
I gotowa nauczać, że sprawcą niepogód
Był piejący przed deszczem na podwórzu kogut.

DWA SPOTKANIA.

Spotkałem go w młodości dniach —
W objęcia moje upadł on
I rzekł mi: "Bracie, w wspólnych snach
Znajdziem zwycięstwo albo zgon!"
Spotkałem go po latach wielu,
Spotkałem na środku rynku, —
W objęcia padł: "Ach, przyjacielu! —
Zawołał — chodźmy do szynku!"

HORACY.

1. Lib. Sec. Ode III.

Ad. Q. Dellium.

Pomnij zachować umysł niezachwiany
Pośród złych przygód i od animuszu
Zbyt zuchwałego wśród pomyślnej zmiany
Chroń się, gdyż umrzesz, Delliuszu;

Umrzesz, czy smutny przeżyjesz czas cały,
Czy na trawniku zacisznym zasiędziesz
Na dni świąteczne i z piwnic wystały
Swój Falern zapijać będziesz.

Gdzie biała topol z sosną rozrośniętą
Chętnie swe cienie gościnnie zespala,
Gdzie wstrząsać brzegu kotliną wygiętą
Pierzchliwa sili się fala —

Tam rozkaż przynieść i wina i wonie
I kwiaty róży, tak krótkiej trwałości,
Póki wiek, mienie i trzech prządek dłonie
Tej ci dozwolą radości.

Ziem skupowanych ustąpisz — i domu,
I willi, którą żółty Tyber myje —
Ustąpisz: bogactw spiętrzonych ogromu
Dziedzic twój potem użyje.

Czyś bogacz, plemię Inachusa stare,
Czyś biedak wyszły z warstw najniższych
łona, —
Niema różnicy: pójdziesz na ofiarę
Bezlitosnego Plutona.

Wszyscy zdążamy tamże; wszystkim z urny
Prędzej czy później jeden los wychodzi
I w kraj wiecznego wygnania pochmurny
Na smutnej wyśle nas łodzi.

2. Lib. Prim. Ode XXX.

Ad Venerem.

O Wenus! Knidu i Pafii królowo,
Porzuć Cypr ulubiony i zstąp do świątyni,
Gdzie Glycera, zwąc ciebie, z kadzideł wciąż nową
Ofiarę czyni.

Niech śpieszy z tobą i syn z strzałą w ręku,
I Gracye z rozwianemi przepaski, Nimf chóry,
I młodość, co bez ciebie pozbawiona wdzięku —
I sam Merkury.

PRZEKŁAD
TRZECIEJ PIEŚNI PIEKŁA.

"Przezemnie droga do boleści grodu,
Przezemnie droga na wieczyste męki:
Do zgubionego na zawsze narodu.

"Sprawiedliwości mego Stwórcy dzięki
Ugruntowana przez moc Boską w bycie,
Wyszłam z Mądrości i Miłości ręki.

"Przedemną żadne nie wszczęło się życie,
Prócz odwiecznego — i ja wiecznie stoję:
Rzućcie nadzieję wy, co tu wchodzicie!"

Te słowa oczy napotkały moje
Na szczycie bramy ciemną barwą znaczne;
Gdyśmy przed straszne nadeszli podwoje.

Więc przerażony naraz mówić zacznę:
— "Mistrzu! dlaczego owe słowa ciemne
Takie mnie myśli przywodzą rozpaczne?"

Na to on, rzeczy znający tajemne,
Rzekł: — "Tu należy pożegnać się z trwogą!
Tu zamrzeć winno wszystko, co nikczemne;

"Idziemy bowiem tą, com mówił, drogą,
Gdzie masz zobaczyć jako cierpią oni,
Co utracili ducha jasność błogą."

To mówiąc, dłoń swą kładzie na mej dłoni
I pogodnemi krzepiąc spojrzeniami,
Do tajemniczej wprowadził mnie toni.

Tu płacz, wzdychania, z łośnemi jękami
Płyną w przestrzeni bez gwiazd, pełnej cienia,
Tak, że je słysząc, zalałem się łzami.

Różne języki, mowy, złorzeczenia,
Słowa boleści, gniewu krzyk szalony,
Zmięszane głosy, rąk klaszczących brzmienia —

Sprawiały wrzawę, co na wszystkie strony,
Wciąż się w powietrzu tem zmartwiałem kręci,
Jak piasek wirem wichru uniesiony.

A ja, bez myśli stojąc i pamięci,
Rzekłem: — "Cóż to jest, co słyszę struchlały?
Co to za ludzie takim bólem zdjęci?"

A mistrz odpowie: — "Taki los dostały
W udziale dusze smutne i mizerne
Tych, co bez hańby żyli i bez chwały;

"Przyszły tu między anioły niewierne,
Które się przeciw Bogu nie zwróciły
I nie szły za Nim — lecz zostały bierne:

"Wygnanych z niebios, których piękność ćmiły,
Piekło nie chciało przyjąć w swe otchłanie,
Bo z nich źli chluby nie mają, ni siły."

A ja znów: — "Co tak strasznego w ich stanie,
Że taką burzę podnoszą żałości?'
Mistrz odrzekł: — "Krótko odpowiem: ich trwanie

"Tyle jest marne i pełne podłości,
Że łaknąc próżno śmierci, co wyzwala,
Każdy z nich losu innego zazdrości;

"Ich smutna sława po ziemi się wala,
Przez sprawiedliwość i litość wzgardzona.
Dość mówić o nich: patrz i mijaj zdala."

Patrzę i widzę jak wirem niesiona
Wielka chorągiew, wciąż się kręcąc, biegła
Niegodna swoje rozwinąć znamiona.

A za nią ludu ciżba tak rozległa,
Iż mi uwierzyć było rzeczą nową,
Że taka liczba śmiercią już poległa.

Gdy rozpoznałem postać tę i ową,
Dostrzegłem także tego cień nieśmiały,
Co przez nikczemność splamił się odmową.

Pojąłem zaraz, że ten orszak cały
Składał się z grzesznych, co, Bogu niemili,
Również niemili wrogom Jego chwały.

Tych nieszczęśliwych, co nigdy nie żyli,
Tu, obnażonych, kłuły straszne roje
Os i komarów, aż się krwią broczyli

I z krwią łzy razem przelewali swoje,
Co tak zmięszane z pod ich nogi chciwie
Wstrętnych robaków połykały zwoje.

Potem, gdy dalej spoglądam w podziwie,
Tłumy nad brzegiem wielkiej widząc fali:
— "Mistrzu — zapytam nieco niecierpliwie —

Co to za jedni? i co ich tak pali,
Że się z pośpiechem cisną do przeprawy,
Jak to w mdłem świetle poznaję w oddali?

A on: — "Wiadome będą ci te sprawy,
Kiedy już nasze zatrzymamy kroki
Nad Acheronu brzegiem smutnej sławy."

Spuściwszy oczy, zamilkłem bez zwłoki,
Trwożny, czy mową przykrości nie czynię...
Do brzegu szedłem w zadumie głębokiej.

A oto ku nam po wodnej głębinie
Starzec, którego kudły ubielone
Siwizną wieków, na łodzi podpłynie,

Wołając: — "Biada! duchy potępione!
Już nigdy niebios widzieć nie będziecie!
Ja was przybywam wieźć na drugą stronę.

"Gdzie między wieczne ciemności pójdziecie,
W wieczyste żary i w wieczyste lody!
Ty zaś, żyjąca duszo, odejdź przecie

"Od tych umarłych i od owej wody."
Lecz widząc, że się nie ruszam, znów rzecze:
— "Przez inne drogi, przez inne przechody,

Do innych brzegów przybędziesz, człowiecze;
Lżejsza łódź w innej przeprawi cię porze."
Wtedy mistrz, swoją rozciągnąwszy pieczę:

— "Charonie! — rzeknie — tak chce Ten, co może
Wszystko, co zechce. A więc uchyl czoła,
Nie pytaj więcej i nie trwaj w oporze."

Poczem się zaraz uciszyły zgoła
Wełniste szczęki sternika otchłani,
Który w swych oczach miał płomienne koła;

Lecz nagim, drżącym duszyczkom w przystani
Odrazu przestrach odjął barwę z liców:
Zębami zgrzytać zaczęli skazani

I przeklinali Boga, swych rodziców,
Ród ludzki, miejsce, i czas, i nasienie
Swego nasienia i jego dziedziców.

Potem zaś wszyscy, płacząc nieskończenie,
Zbiegli się razem nad straszne wybrzeże,
Gdzie dla bezbożnych wspólne przeznaczenie.

Charon ich zaraz płomiennem dostrzeże
Okiem i wiosłem powolnych okłada —
Aż ich tak wszystkich do siebie zabierze.

Jako jesienią liść za liściem spada,
Aż w końcu gałąź pozostanie czarną,
Oddawszy plon swój ziemi, choć nie rada:

Podobnie tutaj złe Adama ziarno
Rzuca się z brzegu, jedno drugie goni,
Jak ptaki, co się do odlotu garną —

I tak wędrują po brunatnej toni;
A zanim jedno stąd odejdzie mrowie,
Znów nowy szereg stamtąd się wyłoni.

— "Synu mój — do mnie mistrz uprzejmy
powie —
Ci, co w niełasce umierają Bożej,
Wszystkich stron świata schodzą tu synowie

"I owe wody przebywać są skorzy;
Bo sprawiedliwość tak ich prze surowa
Że pragną właśnie tego, co ich trwoży.

"Dobry duch tutaj — to rzecz całkiem nowa!
Więc przeto Charon z gniewem cię wspomina;
Lecz ty już poznasz jak brzmi jego mowa.

Skończył — a cała przeklęta kraina
Tak się trząść zacznie, że dziś jeszcze z trwogi,
Gdy wspomnę, dreszcz mnie przechodzić za-
czyna.

I z tej łez ziemi wicher wyszedł srogi,
I blask rozniecił ohydny, czerwony,
Co wszelkie czucie odjął mi wśród drogi —
Żem padł jak człowiek od snu zwyciężony.

PETRARCA.

Sonet CXXIII.

Widziałem tu na ziemi anielskie uroki
I niebiańskie piękności, jedyne bez skazy;
Gdy wspomnę, czuję rozkosz, razem ból głęboki,
Bo pierzchają z przed oczu jak senne obrazy.

Widziałem światła, przez łez patrzące obłoki,
Których blask zazdrość słońca budził tyle razy,

I słyszałem płynące w westchnieniach wyrazy,
Zdolne poruszać góry, powstrzymać potoki

Miłość, rozum i cnota tkliwość i cierpienie —
W taką słodką harmonię w płaczu się zlewały,
Jakiej usłyszeć ziemskie nie zwykły przestrzenie,

I tak się w tę harmonię wsłuchiwał świat cały,
Że na gałązkach nawet listki się nie chwiały,
A słodycz wypełniła każde wiatru tchnienie.

GIORDANO BRUNO

Sonet

Wyjęty z "Gli eroici furori".

Za Parnas własne serce wystarczyć mi może,
Gdy, uchodząc nieszczęścia, dumnie na niem
stanę:
Myśli moje — to Muzy, które w każdej porze
Czynią mi przytomnemi wszystkie cuda znane;

Tam są zaś me najczystsze helikońskie zdroje,
Skąd się biorą łzy hojnie na świat wylewane.
Te wyżyny, te muzy, te zdroje mam: przeto
Za wolą niebios, jam się urodził poetą.

Nie przez królów zostałem wieńcami pokryty,
To nie ręka życzliwa samego cesarza,

To mie najwyższy pasterz łaską mnie obdarza,

Dając mi przywileje, ozdoby, zaszczyty;
Ale laurem to czoło pokryły na wieki
Me serce, moje myśli — i łez moich rzeki.

SHELLEY.

1. Chmura ("The Cloud").

I.

Świeże ulewy
Na spragnione krzewy
Przynoszę z morza lub z rzeki;
Dostarczam cieniu
Listkom, co w znużeniu
Wśród dziennej spoczęły spieki.

Na skrzydłach niosę
I otrząsam rosę,
Budząc tłum pączków uroczy, —
Śpiące gromadki
Na piersiach swej matki,
Co wkoło słońca się toczy.

Gradami zionę:
I łąki zielone
Pokrywam białym całunem;
W deszcz je przemienię

I mknąc już w przestrzenie,
Znów się uśmiechnę piorunem.

II.

Sniegiem zawieję
Gór lesiste knieje,
Aż sosny gną się i dyszą,
I na noc całą
Mam poduszkę białą,
Gdy wichry śpiącą kołyszą.

W górze, u szczytu
Mej wieży z błękitu,
Tam błyskawica ster trzyma!
W otchłani, w dole,
Grom wzięty w niewolę
Z swych więzów rwie się i zżyma.

Z lądów na morza
Wiedzie mnie przestworza
Ten mój przewodnik ognisty,
Co rozkochany
W duchach mgły i piany
Ściga je w toni falistej.

Wszędzie on z niemi
Na niebie i ziemi
Brata się jawnie lub skrycie,
Śląc im z przestrzeni
Swój całus z płomieni,
Gdy ja się grzeję w błękicie.

III.

Gdy w krwawej zorzy
Wschód oczy otworzy,
Zgasiwszy gwiazdy już senne...
Wskakuje nagle
Na me wzdęte żagle,
Roztacza pióra płomienne, —

Jak orzeł, który
Gdzieś na zrębie góry,
Co nad przepaścią się chwieje,
Zawisłszy w locie,
Przez kilka chwil w złocie
Otwartych skrzydeł jaśnieje.

A gdy z nad morza
Tchnie zachodu zorza
Ciszą, miłością, rozkoszą;
Gdy płaszcz z purpury
Pada na dół z góry
A z dołu cienie się wznoszą:

Ja skrzydła złożę
W błękitów przestworze,
Piór szarych pochowam rąbki,
I, w gniazdko mroczne
Uleciawszy, spocznę
Nakształt drzemiącej gołąbki.

IV.

Tą srebrzysto-lica
Błękitów dziewica,
Zwana księżycem na ziemi,
Połyskując, sunie
Po mem wiotkiem runie,
Wzdętem powiewy nocnemi.

A gdzie w mym namiocie
W cichym stóp swych locie,
Co słyszą tylko anioły,
Przerwie tkankę cienką, —
Zaraz przez okienko
Tłum gwiazd przegląda wesoły.

Ja, widząc, jak chyże
Przelatują w wirze
Niby złocistych pszczół roje,
Z uśmiechem rozwinę
Namiotu szczelinę —
Aż morza, jeziora, zdroje,
Jak strzępki błękitu
Strącone ze szczytu,
W księżyc i gwiazdy przystroję.

V.

Ja owijam słońce
W wstęgi gorejące,
Księżyc — w przepaski tęcz sine;

Wulkany się mroczą,
Gwiazdy drżą, migoczą,
Gdy ja swój sztandar rozwinę.

Z lądu na ląd śmiele
Pomostem się ściśle
Przez mórz wzburzone obszary,
Nie puszczam promieni
Przez mój dach w przestrzeni
Oparty o gór filary.

Tryumfalna brama,
Co powstaje sama
Na me zwycięskie przebycie,
Gdy z burzą i gromem
Kroczę nad poziomem —
To tęczy barwne odbicie.

Słońca glob ognisty
Tka jej wzór przejrzysty
I łuk świetlany napina,
Podczas gdy zroszona
Łzy strząsając z łona,
Śmiać się znów ziemia poczyna.

VI.

Duchy wód i ziemi —
Rodzicami memi,
Piastunką — przestrzeń powietrzna;
Przenikam w obiegu

Tkań morza brzegu,
Wciąż zmienna a jednak wieczna.

Choć z deszczową rosą
Wiatry mnie rozniosą
I w górze istnieć przestanę;
Choć słońca promienie
Błękitów sklepienie
Bez skaz utkają świetlane:

Ja z swego pogrzebu
Wzlatuję ku niebu
Z jaskini deszczów ukrytej;
Jak duch z grobu łona
Nowo-narodzona
Przesłaniam znowu błękity.

---

2. Ozymandyas.

Podróżnik wracający z starożytnej ziemi
Rzekł do mnie: —Nóg olbrzymich z głazu dwoje sterczy
Wśród puszczy bez tułowia. W pobliżu za niemi
Tonie w piasku strzaskana twarz. Jej wzrok szyderczy.

Zacięte usta, wyraz zimnego rozkazu
Świadczą, iż rzeźbiarz dobrze na tej bryle głazu

Odtworzył skryte żądze, co, choć w poniewierce,
Przetrwały rękę m'strza i mocarza serce.

A na podstawie napis dochował się cało:
"Ja jestem Ozymandyas król królów. Mocarze!
"Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą

"Gińcie z rozpaczy!" Więcej nic już nie zostało.
Gdzie stąpić,gruz bezkształtny oczom się ukaże
I piaski bielejące w pustyni obszarze.

LONGFELLOW.

Excelsior.

Szybko zapadał wieczorny mrok;
Alpejskiem siołem przez górski stok
Szedł młodzian, niosąc w śniegu i lodzie
Sztandar z tem dziwnem god em na przodzie:
Excelsior!

Czoło miał smutne, ale z pod brwi,
Jakby miecz z pochwy, oko mu lśni;
Jak srebrnej fletni głos kryształowy,
Dźw ęczny ton jego nieznanej mowy:
Excelsior!

Widzi on światła szczęśliwych chat,
Jasny i ciepły domowy świat;

Nad nim lodowców groźne widziadła —
Więc smutna skarga z ust się wykradła:
Excelsior!

"Nie próbuj przejścia!" — rzekł starzec doń —
'Burza nad głową, potoku toń
"Wezbranym nurtem huczy w parowie!"
Na to donośny głos ten odpowie:
Excelsior!

"Stój! — rzekło dziewczę — zmęczoną już
"Na mojej piersi głowę swą złóż!"
Łza w modrem oku błysła promieniem
Lecz odpowiedział tylko westchnieniem:
Excelsior!

"Strzeż się gałęzi, idąc przez bór
"Strzeż się lawiny lecącej z gór!"
Tem go wieśniacy słowem żegnali...
A głos im odpar na górze w dali:
Excelsior!

O świcie kiedy niebieska straż
Uczniów Bernarda chyląc swą twarz,
Zanosi w niebo modły gorące,
Ten okrzyk przedarł powietrze drżące:
Excelsior!

Wędrowca wierny odnalazł pies:
On w śnieżnej zaspie znalazł swój kres;
Lecz trzyma jeszcze w ręku stkostniałem

Ten sztandar z godłem dziwnem a śmiałem:
Excelsior!

Tam w szarem świetle porannych zórz,
Martwy, lecz piękny spoczywa już
A z toni niebios pogodą tchnącej,
Głos nakształt gwiazdy mknie spadającej:
Excelsior!

---

2. Wiejski kowal.

Pod rozłożystym stoi kasztanem
Kuźnia wśród wiejskiej ustroni;
Silny, barczysty kowal w niej panem
O grubej, żylastej dłoni,
A jego ramion mięśnie stalowe
Potrafią złamać podkowę.

Włos kędzierzawy, czarny i długi,
Twarz jego jak dębu kora;
Po czole potu spływają strugi
Od rana aż do wieczora:
Lecz patrzy dumnie z swojego domu,
Gdyż nic nie winien nikomu.

Przez cały tydzień z pod jego strzechy
Słychać gwar dziennej roboty,
Słychać sapiące powietrzem miechy
I spadające w takt młoty,

Które tak dźwięczą czysto i śmiele
Jak dzwony w blizk m kościele.

Powracająca dziatwa ze szkoły
Przez drzwi zagląda z rozkoszą...
Bawi ją widok ognia wesoły
I miechów, co się podnoszą,
I pryskaj cych na wszystkie strony
Iskier ze sztaby czerwonej.

W niedzielę za to, w skupien u d cha
Czeladce on towarzyszy,
Świątecznych modłów i kazań słucha...
A kiedy śp ewy posłyszy,
Głos córki w świętem poznając pie.niu,
W głębokim duma wzruszeniu.

Tensam, co matka, głos ma dziewczyna;
Lecz matka śpiewa u Boga...
Więc z rozrzewnieniem o tej wspomina,
Co jeszcze w grobie mu droga —
I szorstką dłonią ociera oczy,
Skąd łza po twarzy się toczy.

Tak w trudzie, w smutku, cichem weselu.
Przeż życie idzie swym torem;
Rano — zadanie świeże na celu,
A koniec pracy — wieczorem;
I co dzień świeże zbierając żniwo
Na noc zarabia szczęśliwą.

O, przyjacielu, przyjm dziękczynienia
Za tę naukę nam daną:
Tak w kuźni życia pośród płomienia
Do pracy wstawać trza rano
I każdy zamiar, każdy czyn potem
Pod twardym urabiać młotem.

TENNYSON.

Tithonus.

Lasy butwieją, lasy padają i giną,
Obłoki wy łakują łez swoich brzemiona,
Człowiek orze swe pole i pod niem sie kładzie,
I o kilku wiosnach łabędź kończy swoje trwanie:
Mnie jednego okrutna nieśmiertelność trawi;;
Ja więdnę wciąż powoli w twych boskich objęciach,
Tu na cichej granicy dalekiego świata;
I mój cień siwowłosy wędruje jak mara
Przez te przestrzenie wschodu senne i milczące,
Przez mgieł zwoje i lśniące przedsienia poranku.

Niestety! ten cień siwy był niegdyś człowiekiem
Tak dumnym z swej piękności i z twego wyboru
Co go zrobił wybranym — że w swem wielkiem sercu
Nie chcąc być niższym, sam się uznawał za boga!
I żądałem od ciebie: "Daj mi nieśmiertelność,"

A tyś się przychyliła do życia z uśmiechem,
Jak bogacz, który nie dba o to, co rozdaje;
Lecz surowe Godziny gniewną wszczęły pracę
Przeciw mnie, i złamały, sk ziły, zepsuły,
A nie mogąc mnie dobić, zostawi'y nędzne
W obliczu nieśmiertelnej młodości kalectwo:
Wieczystą starość obok wieczystej młodości —
I stałem się popiołem. Czyliż to naprawić
Twoja miłość piękność zdoła nawet teraz,
Gdy tuż nad nami srebrna gwiazda, twój przewodnik,
Oświeca w twoich oczach łzy, które wylewasz
Na głos mój? Pozwól umrzeć, dar swój weź ode mnie:
Pocóż ma pragnąć człowiek, aby w jaki sposób
Wyróżniał się od ludzi pokrewnego rodu
Lub mijał przeznaczoną od losów ciemnicę,
Gdzie dla wszystkich spoczynek, dla wszystkich spotkanie!
Łagodny wietrzyk chmury jak wachlarz rozwija;
Przez nie przegląda ciemny świat ten, gdziem zrodzony.
Znów się wykrada dawny, tajemniczy połysk
Z twego czystego czoła, i z twych czystych ramion,
I z łona bijącego odnowionem sercem;
Twe lica różowieją przez mroki rumieńcem;
Twe wdzięczne oczy zwolna jaśnieją tuż przy mnie,
Zanim zagaszą gwiazdy; zaprząg twych rumaków,
Chciwy jarzma, z miłością ku tobie wzlatuje

I otrząsa ciemności z swych grzyw rozpuszczo-
nych,
I z rannych zmierzchów krzesze ogniste iskierki.
Widzisz, oto teraz stajesz się piękniejszą,
Gdy milczysz i opuszczasz mnie bez odpowiedzi,
Zostawiając mi tylko łzy na mojej twarzy.

Czemu tak zawsze chcesz mnie straszyć swe-
mi łzami?
Czemu chcesz, bym drżał, myśląc, że jest mo-
że prawdą,
W dniach minionych na ziemi posłyszane zdanie:
"Bóstwa same nie mogą odwołać swych darów?"

O biedny! stokroć biedny! w dniach minionych
dawno
Z innem sercem niż teraz, innemi oczami
— Jakby zupełnie nie ten, co dzisiaj — śle-
dziłem
Świetlany wkoło ciebie tworzący się zarys
I mgliste loki coraz słoneczniej płonące;
Mieniąc się w ślad za tobą, czułem jak krew
moja
Żarzy się żarem który czerwienił powoli
Twój pałac wpół otwarty; czułem wtedy leżąc,
Usta moje i czoło ocieplone rosą
Tych pocałunków, które wonniejszemi były
Od ledwie rozwiniętych pączków dni wiosen-
nych,

I mog'em s'yszeć z ust tych co mnie ca'owały,
Jakiś szept nieujęty, namiętny a s'odki,
Podobny do cudownej pieśni Apolina,
Od której Ilion w niebo wytrysnął wieżami.

Teraz już mnie nie trzymaj w swem królestwie wschodu!
Wszak stan twój d'użej z moim nie może iść w parze!
Już mnie chłodem przejmują twe różowe cienie,
Już są zimnemi dla mnie wszystkie twoje światła,
I zwięd'e moje stopy na twym lśniącym progu
Lodowacieją zwolna, gdy się mgły podnoszą
Nad polem, wkoło domostw tych szczęśliwych ludzi,
Którzy mogą umierać, i wkoło porosłych
Trawą mogił — szczęśliwszych jeszcze, co pomarli.
Puść mnie, i powróć ziemi, do której należę!
Widzisz wszystko: więc będziesz i grób mój widziała,
Co poranku swą piękność odnawiając wieczną,
Ja, proch w prochu, zapomnę o tych sferach próżnych
I o tobie, na srebrnych wracającej kołach.

RUECKERT.

Die Weisheit des Brahmanen.

Z ks. pierwszej.

38.

Złą dolę znoś jak dobrą, mając to na względzie,
Że gdy będziesz źle znosił — gorzej ci z tem
będzie.

Gdy cię przyjaciel zrani, przebacz — przekonany,
Że sam cierpi: inaczej nie zadałby rany.

Gdy znajdziesz cierń w miłości, kochaj jeszcze
wierniej:
Że masz różę przy sobie — poznajesz to z cierni.

Z ks. drugiej.

4.

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który daje
Wszystkie inne — a siebie zrysować nie daje.

Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie
Raczej da się skaleczyć, niż samo zadraśnie.

Z ks. siódmej.

27.

Jak dziecko, które ze snu oczęta otworzy,
A drgnąwszy, zaraz główkę spokojnie położy,

Ujrzawszy twarz swej matki w przebudzenia chwili
Która czuwając nad nią z miłością się chyli, —

Tak szczęśliwy, kto w wycia ziemskim śnie spoczywa
I gdy, wznosząc wzrok w niebo, na chwilę się zrywa,

Widzi niebieską matkę, co, z błękitów fali
Uśmiechając się, mówi: "Ja czuwam... śpij dalej!"

Z ks. dziesiątej.

3.

Poezya będzie dzieci chorobą w przyszłości,
A umiejętność tylko znakiem dojrzałości.

Chłopcem — każdy odrobi melodram poety,
Mężem — bez wzruszeń serca będzie szedł do mety.

Wtenczas ludzkość w największą powagę się
wzbije..
Lecz mnie cieszy że owych czasów nie dożyję.

86.

Gdy gardzisz poprzedników myślami wszy-
stkiemi
Jak chcesz, by myśl twą potem ważono na
ziemi?

Nawet nie możesz wiary mieć we własne zdania,
Kiedy do myśli ludzkiej nie masz zaufania.

Z ks. dwunastej.

32.

Wędrowiec wśród pustyni spotkał łączkę małą,
Gdzie na murawie piękne drzewo wyrastało;

A pod stopami drzewa zdrój wytryskał cichy
I kwiat nad czyste fale zwieszał swe kielichy;

Na drzewie ptaszek głośnym odzywał się śpie-
wem.
Wędrowiec wypoczywał z rozkoszą pod drzewem

I rzekł: "Próżno ptak śpiewa i zakwita kwiecie
W tej pustce, gdzie się niemi nikt nie cieszy
przecie."

Wtem bóstwo, mieszkające w drzewie, rzekło
zlekka:
"Wędrowcze! któryś do mnie przybył tu z daleka.

"Nie próżną piękność kwiatu, pieśń ptaka — gdyż obie
"Mnie służą... a gdyś spoczął przy mnie — więc i tobie."

Z ks. trzynastej.

45.

Drzewo, gdy ptaszek siedzi, ciężaru nie czuje,
Lecz zachwieje się gałąź, gdy on odlatuje:

Tak ty nie czujesz szczęścia, gdy w twych piersiach gości,
Lecz gdy uleci, — czujesz utratę radości;

Tak świat zacnych człowieka dążeń nie spostrzeże,
Póki z świata powierzchni śmierć go nie zabierze.

Z ks. czternastej.

58.

Doskonałych i świętych kochać mi najtrudniej:
Byliby niewygodni i byliby nudni.

Tak, jak są, kocham ludzi: słabych, zaślepionych.
Jednostronnych, ułomnych i ograniczonych;

Tak się przedstawiających kocham ich na świecie,
I tak ich przedstawionych chcę znaleźć w poecie.

Gdy innych mi ukaże świat — to ich w pokorze
Znieść muszę; lecz gdy książka — na bok ją odłożę.

Z ks. piętnastej.

26.

Stoi skała na drodze — gdy stoisz przy skale,
Że może być czem innem, nie posądzisz wcale;

Lecz gdy miniesz i na nią spoglądasz z daleka,
Wtedy głaz ci ukaże kształt twarzy człowieka.

Jak z tą skałą, tak z panem niejednym się zdarzy,
Że tylko w oddaleniu ma kształt ludzkiej twarzy.

38.

Sztuka, jak to widzimy z jej historyi wątku,
Skromnem tylko rzemiosłem była na początku.

Teraz sztuka, co dumnie i wysoko wzrosła,
Nie schodząc ku skromności zeszła do rzemiosła.

HEINE.

1. Lyrisches Intermezzo.

XXXII.

Najsłodsza ma! gdy zejdziesz w grób —
Gdy w ciemnym lęgniesz już grobie —
Ja wtedy zstąpię do twych stóp,
Sam się przytulę przy tobie.

Całuję, w objęcia przyciskam cię swe, —
Ty cicha, ty zimna, ty biała! —
To płaczę z rozkoszy, to z bólu znów drżę,
Aż martwe zostaną dwa ciała.

Umarli powstają — już północ ich zwie,
I tańczą powietrznym swym rojem;
My dwoje zostajem w grobowym swym śnie
Ja leżę na sercu, na twojem.

Umarli powstają na straszny ów sąd
Do niebios, lub w morze płomieni;
My, na nic nie bacząc, nie ruszym się stąd,
Wieczystym uściskiem złączeni...

LV.

Oto płakałem we śnie —
Śniłem, żeś w grobie spoczęła;
Choć się zbudziłem... łza dalej
Z lic moich na dół płynęła.

Oto płakałem we śnie —
Śniłem, żeś ty mnie zdradziła;
Choć się zbudziłem... ach, długo
Gorycz się we łzach sączyła.

Oto płakałem we śnie —
Śniłem, że kochasz mnie stale;
Choć się zbudziłem... wciąż jeszcze
Łez moich spływają ſale.

---

2. Neuer Fruehling.

VI

Zlekka słodkie po mej duszy
Przeciągają tony...
Dźwięcz, wiosenna piosnko ma'a,
Dźwięcz w dalekie strony.

Gdzie dom pełen świeżych kwiatów
Zdążaj potajemnie,

A gdy różę tam zobaczysz,
Pozdrów ją ode mnie!

XXIII.

Jak księżyca odblask drżący
Drży w wzburzonych falach morza,
On zaś idzie cicho, pewno
Przez niebieski krąg przestworza —

Tak ty idziesz, ukochana
Cicho, pewno w sercu mojem.
Drży zaś tylko twe odbicie,
Drżące serca niepokojem.

---

3. Helena.

Tyś mnie przez zaklęć swoich czar
Z grobu do siebie przywołał,
Rozkosznych pragnień wzniecił żar —
A żaru zgasić nie zdołał.

Przyciśnij usta do mych ust:
Niech pierś tchnień boskich zachwyci...
Wypiję całą duszę twą:
Umarłych nic nie nasyci!

UHLAND.

1. Der gute Kamerad.

Miałem ja towarzysza —
Lepszego nie znajdziesz, nie!
Gdy bębny do boju grzmiały,
Krok w krok na polu chwały
Szedł razem obok mnie.

Wybiegła na nas kula...
Czy mnie, czy tobie zgon?
Ach! jego mi wyrwała
Jak część mojego ciała:
U nóg mych pada on!

Wyciąga do mnie rękę,
Gdy trzeba spieszyć w bój:
"Ręki ci dać nie mogę;
Idź na wieczności drogę,
O, towarzyszu mój!"

2. Des Saengers Wiederkehr.

Na marach śpiewak złożył głowę,
Z ust bladych piosnka nie uleci...

Rzucono lauru liście płowe
Na czoło, gdzie już myśl nie świeci.

Zwoje ostatnich pieśni pewnie
Trzyma on jeszcze w skrzepłem ręku,
A lutnia, co tak brzmiała śpiewnie,
Spoczywa przy nim — lecz bez dźwięku.

Tak śpi głęboko, a ton pieśni
Drży jeszcze w uchu jego braci:
Więc każdy czuje tem boleśniej,
Że lud takiego mistrza traci!

Mijają dnie, miesiące, lata;
Cyprysy grób mu uwieńczyły;
Ci, których zgryzła jego strata,
Sami już zeszli do mogiły:

Lecz, jako wiosny wdzięk miniony
Znów wraca świeży i uroczy,
Tak śpiewak w grobie odmłodzony
Przez kolej nowych czasów kroczy.

Znów się wśród żywych rozpłomienił —
I nie czuć w nim grobowej pleśni;
Świat dawny, co go zmarłym mienił,
Sam żyje tylko w jego pieśni.

CHARLES D'ORLEANS.

Le Renouveau.

Wysłańcy lata przybyli
Urządzić jemu komnaty,
Już je kobiercem pokryli,
Utkanym w perły i kwiaty.
Więdnącym w smutku i nudzie
Sercom już jaśniej i milej:
W świat boży ruszajcie, ludzie!
Jużeśmy z zimą skończyli!

Czas zrzucił szare odzienie —
Płaszcz wichrów, chłodów i słoty —
I przywdział słońca blask złoty,
Hafty i drogie kamienie.

Słychać już ptasząt świergoty
Cieszy się każde stworzenie
I woła pełne ochoty:
Czas zrzucił szare odzienie, —
Płaszcz wichrów, chłodów i słoty.

Rzeki, strumienie i zdroje
Świąteczne noszą już stroje;
Na nich misternej roboty
Srebrnych kropelek klejnoty;
Wszystko się stroi na nowo:
Czas zrzucił odzież zimową, —
Płaszcz wichrów, chłodów i słoty.

(Koniec).

SPIS RZECZY

